

"Tehórczen, prawdziwym tehórczem
jest tylko ten, kto lęka się
własnych wspomnień."

Elias Canetti

"Step

Przedemną plik starych dokumentów i pozótkkie fotografie
rodziny, wydobyte z różnych zakamarków, zebrane niemalym
trudem. Przeleżały lata całe, a nawet wieki. Przetwały wojny
i powstania, różne ustroje społeczne i polityczne, zmiany
granic państwowych i przesiedlenia, słowem i ciężkie czasy
i kaprysy natury. Przetwały mimo rozproszenia się ich wła-
ścicieli po świecie. Wprawdzie niewiele pamiątek rodzinnych
ocalało, ale te resztki, ułożone w porządku chronologicznym
wielkie obrazują następstwo zjawisk i zdarzeń oraz niejedną
generną losów ludzkich.

Mińdą smut czas. Odeszli ci, z którymi byłem złączony
więzami krwi, dalsi krewni i powinowaci, przyjaciele i zna-
jomi, dość często znani mi tylko z fotografii lub z dokumen-
tów, znani mi z opowiadań i wiadomości przekazywanych z po-
kolenia na pokolenie.

Rysy moich bliskich znanych z autopsji jeszcze się nie
zatarły. Pamiętam ich zalety i słabości, zamierzenia i osią-
gnięcia, dorobek życia. Pamiętam wiele zdarzeń przeżytych
w dzieciństwie, tradycje i obyczaje, a we wspomnieniach
przesuwają się obrazy stron ojczystych i domu rodzinnego.

wiele wartości przemija bezpowrotnie, a miłość do ziemi
rodzinnej pozostaje na zawsze. Wracam tedy "do tych łąk zie-
lonych, do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyziaca-
nych pszenicą, posrebrzanych żytem." miłość ta każe mi prze-
śledzić swoje życie, sięgnąć w przeszłość i opisać wspom-
nienia: co przeżyłem, widziałem na własne oczy, słyszałem
na własne uszy, odczytałem w dokumentach.

./.

"Znać, że się człowiek nie na rozkaz rodzi,
bo z piątkiem na ten nędzny świat przychodzi."
/Jan Kochanowski/

Wczesne dzieciństwo

Uciekając do kraja lat dziecińczych, przypominam zabudowania
przy ulicy Wismonty nr 50 w mieście Lida, województwa nowogródz-
kiego, gdzie w starym i drewnianym, zasuwającym się w ziemię domu,
w zimowy wieczór, przyszedłem na świat w wigilię św. Mikołaja,
w roku 1924.

Byłem trzecim z kolei dzieckiem w rodzinie małżonków ślub-
nych Stanisławskich: matki Zofii Wismont i ojca Stefana Stanisła-
wskiego. Mój starszy brat Romuald Stefan urodził się w Lidzie,
dnia 9 marca 1922 roku, zaś siostra Irzyna Felicja tamże, w dniu
23 lipca 1925 roku. W odstępie półtora roku po moim urodzeniu
przyszły na świat bliźnięta, oboje płci męskiej, lecz w krótkim
odstępie czasu, jedno po drugim, zmarli.

Opowiadano mi po latach z dużą dozą humoru, że tak jak każde dziecko, tak i ja donośnym krzykiem zwiastowałem swoje urodziny i swoje "ja" z pozycji najmłodszego spośród rodzeństwa.

Ujrzałem świat nieco wcześniej niż przewidywano, a przyczyną był po prostu sagan, duży żeliwny gar do grzania wody kształtem przypominający ściętą gruszkę, który dźwignęła moja matka podczas transportu ze sklepu do domu. Zwołane tedy symposium rodzinne na okoliczność wcześniejszego porodu, niepewne dalszych losów wcześniaka, zdecydowano czy prędzej ochrzcić noworodka.

Tak więc po upływie czterech dni, dnia 9 grudnia 1924 roku ochrzczono niemowlę w rzymsko-katolickim kościele farnym Podwyższenia Św. Krzyża w Lidzie, Archidiecezji wileńskiej. Chrztu udzielił ksiądz Hipolit Bojaraniec - proboszcz i dziekan Lidzki, Kanonik Honorowy M.S.T., rzecz by można rodzinny. Towarzyszył bowiem naszej rodzinie w dobrych i złych przypadkach, przy różnych okazjach i zdarzeniach przez wiele, wiele lat: udzielił ślubu moim rodzicom, chrzczył dzieci, grzebał zmarłych, nie wspominając wcześniejszych posług kapłańskich. Bywało gościł w naszym domu, a z całą ceremonią poświęcał stół wielkanocny.

Do chrztu trzymali mnie rodzice chrzestni: Józef Kolendo - felczer medycyny i Kazimiera Dziśkiewicz, dziś nie mówiące mi nazwisko. Na chrzcie dano mi imiona Jan Czesław. Pierwsze otrzymałem po swoich dziadkach: Janie Wismoncie i Janie Stanisławskim, obu podówczas już nieżyjących. Imię Czesław nadano mi podług panującej ówczesnie mody.

Mimo wcześniejszych obaw wychowywałem się bez specjalnych kłopotów i rozwijałem się fizycznie i psychicznie bez żadnych sensacji. Środowiskiem wychowawczym dla mnie i mojego rodzeństwa była wyłącznie rodzina i dom rodzinny. Tak było do osiągnięcia wieku szkolnego. Poza nielicznymi przypadkami życia naszej trójki maluchów zamykało się w granicach zabudowań i obejścia domowego. Był to teren dość rozległy.

Owa posiadłość matczyna to dom i zabudowania gospodarcze, wielkością dostosowane do niegdyśszej gospodarki rolnej dziadka Jana Wismonta. W całości była to duża posesja, szerokością stu arszynów przyległa do ulicy Wismonty, a długością ok. 450 arszynów sięgająca starorzecza rzeki Lidziejki, której wody spływały do Dzitwy, a następnie łącząc się z rzeką Niemen. Część parceli z zabudowaniami odgradzała wokół plot z desek, na tyle wysoki i szczelny, że dla maluchów stanowił przeszkodę trudną do pokonania. Część pola i ogrodu była ogrodzona drutem kolczastym.

Od ulicy na pierwszym planie posesji stało duże gumno o wymiarach: 20 x 13 x 4 arsz. wartości 600 rubli carskich. Dla posesji, ówczesnie już miejskiej, nie była to najpiękniejsza wizytówka, ale taki urząd budownictwa był niewątpliwie zgodny z dawnymi zasadami urbanistyki, a przede wszystkim praktyczny. Położenie to umożliwiało dogodny dojazd ciężkim wozom gospodarczym, załadowanym płodami rolnymi wprost z ulicy. Opodal stała obora z chlewnią wielkości podobnej: 18 x 8 x 3,5 arsz., obciążona hipotecznie na 200 rb. Przystosowana była na kilkanaście sztuk bydła, tyleż sztuk trzody chlewnej oraz dla drobiu: kur, indyków i gęsi. Kaczek u nas nie hodowano, natomiast były króliki, hodowane okresowo nie tyle dla mięsa co dla skór i wełny. Najczęściej były to krole rasy angorskiej.

Spośród wszystkich budynków, włącznie z domem mieszkalnym, najokazalej prezentował się śpichrz. Był wprawdzie niewielki: 6x6x4 arsz. wartości 150 rb, ale posiadał od strony frontowej zdobiony ganek na pięć metrów, przez który wciągano worki ze zbożem za pomocą kołowrotu, a następnie transportowano po pochylni w górę śpichlerza i przesypany do właściwych sypieków w parterze, po przez otwory w kształcie kominów.

Wszystkie budynki wzniesione zostały z grubych smolnych bali, drewna jak dzwoniaki starzy ludzie. Solidne także były poddasza i strzechy słomiane. W starych zabudowaniach odkrywaliśmy liczne schowki, dokonywaliśmy wiele ciekawych odkryć, a znaleziska były naszą dziecięcą tajemnicą, nie odkrywaną nieraz przez wiele lat. Znajdowaliśmy broń i amunicję myśliwską, inną także, mapy, stare dokumenty, pieniądze - wśród nich nawet 500 rb banknoty z podobizną carcy Katarzyny. Znaleziska te datowały się z czasu zaboru rosyjskiego.

Dokładność opisu matczynej posesji zawdzięczam starym dokumentom skrzętnie przechowanym do dnia dzisiejszego. W konkretnym przypadku posłużę się urzędowym aktem notarialnym z dnia 16 sierpnia 1915 roku, sporządzonym na okoliczność podziału majątku dziadkowego między spadkobierczynie: moją matkę Zofię natenczas uzyskującą pełnoletność, jako osieroczoną po zgonie jej ojca Jana Wismonta - mojego dziadka, a babką Izabelą Wismont z Bogdanowiczów - matką mojej matki, od roku 1907 secundo voto Wilniewiczyc.

W głębi ogrodzonej parceli, za budynkami gospodarczymi znajdował się sad owocowy, dalej zaś ogród kwiatowy, a dopiero za tą ścianą zieleni stał skromny dom mieszkalny o wymiarach: 12 x 8 x 3,5 arsz. wartości 500 rb.

W ogrodzie owocowym przez jabłoni, gruszy, wiśni i śliw rosły

krzewy owocowe: porzeczki czarne i czerwone, agrest, w równych rzędach. Natomiast ława malin niesfornie wymykała się poza wyznaczone im granice. Na jabłoniach wszczepiono rozmaite gatunki, dodając drzewom szczególnego uroku w okresie kwitnienia i owocowania. Wzdłuż plotu, odgradzającego parcelę od reszty posesji niezabudowanej, rosła leszczyna. Malowniczości przydawało swobodne rozmieszczenie drzew, nie skrepowanych narzuconym przez człowieka ordynkiem.

Podobnie prezentował się ogród kwiatowy bez grządek, bez geometrycznych klombów i rabatów. Staraniem matki ogród kwiatowy raczył domowników kolorystyką i wonnością wszelaką od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Przy ogrodzeniu podszytym leszczyną rozłożyły się byliny. Wysadzone kiedyś w barwnych planach żółte pierwiosnki, białe konwalie i fioletowe kosańce, zimowały i wzrastały na przemian bez ingerencji człowieka. Było w tym coś bardzo naturalnego. Inne byliny, odnawiane co kilka lat, zajmowały następny pas ogrodu. Rosły tu różnokolorowe bratki, białe i różowe stokrotki - jedne z najpiękniejszych, najpoetyczniejszych, a jednocześnie najskromniejszych kwiatów, którym fraszkopisarz i poeta Jan Sztudynger poświęcił taką oto fraszkę:

" Kiedy chwalił Horacy czar złotego srodka,
O mnie to mówi, szepnęła stokrotka."

Za stokrotkami wznosiły się wyżej laki o liściach lancetowatych i dużych wonnych kwiatach żółtych i czerwonych zebrane w grona, tudzież nieznanne mi z nazwy krzaczaste byliny o kwiatach ciemnoczerwonych w kształcie serduszka zakończonego łezką, floksy różnobarwne silnie pachnące. Środek ogrodu zajmowała przede wszystkim elita kwiatowa: szlachetne odmiany róż od białych do ciemnoczerwonych z odcieniem niemal brunatnym, sąsiadowały z różami jednoroczne rośliny letnie, jak: lewkonie o popielato owłosionych liściach, lwie paszcze w kolorowych pękach, smukłe gladiole i maki, driakiew ciemnopurpurowa, georginie o wyszukanych w kształcie i barwie kwiatach, petunie z białymi, różowymi i fioletowymi kielichami. Od strony ścieżki wiodącej ku domowi na przemian plamkami barwnymi rozsiadły się nagietki pomarańczowe, nasturcje żółte, mąrgerytki białe, astrv różnokolorowe, wonna maciejka, a w pobliżu starej drewnianej studni białe niezabudki.

Przed domem ścielił się trawnik, a na jego krańcu ustawiona była długa ławka i stolik, na które padał chłodny cień leszczyny.

Tuż przy domu samotnie wzrastało jasiołkowe rachityczne drzewko.

Nikt dotąd nie rozprawił się z dziczką-samosiejką, aż zrzędzeniem przypadku kres jej istnieniu położył Cezary Furs, bywalec naszego domu, naówczas dyrektor rozlewni wódek w Lidzie. W sporze towarzyskim " mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił " jegomość potężnej postury i ogromnego brzucha, tudzież takichże sił, zaparł się mocno nogami w ziemię, wyciągnął intruza wraz z kępą korzeni ku zdumieniu licznych biesiadników i dzieciarni. Burzliwymi oklaskami skwitowano zastąpienie wygrany zakład. Pan Cezary, wielce ceniony przyjaciel mego ojca, po przejściach wojennych popełnionych poza Lidą, w 1945 roku szczęśliwie powrócił do rodzinnej Warszawy na ulicę Żąbkowską 55 m 7.

Nasz dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd "chędogi!", jak pisał Adam Mickiewicz, zbudowany był z solidnego drewna, wewnątrz otynkowany. Jego wygląd zewnętrzny bardzo poprawił się po zdobnym oszalowaniu i zmianie pokrycia dachu, które to miały miejsce już za mojej pamięci ok. 1928 roku.

Dom składał się z trzech pokoi, kuchni i pomieszczeń gospodar - skich dostosowanych do potrzeb rodziny utrzymującej się ongiś wyłącznie z rolnictwa. Po dwóch stopniach wchodziło się najpierw do krytego ganku /wycenionego ongiś dokładnie na 20 rb ?/. Pod okienkami po obu stronach wmontowane były ławeczki, cieszące się dużym wzięciem. Siedząc nań przy otwartych drzwiach ganku-oszklonych- wdychało się wieczorne powietrze przesycone zapachem zieleni. Szczególnie zapamiętałem letnie wieczory pełne uroku i rozbudzonej fantazji opowiadany mi baśniami.

Za masywnymi drzwiami z malutkim okienkiem w kształcie rombu znajdowała się sieni, w sezonie jesiennie-zimowym oświetlana lampką naftową, a po roku 1928 - elektrycznością. W sieni nie było sprzętów. Tylko niska półeczka obok drzwi wejściowych do pokoju dużego pełna była obuwia, jako że w porze wiosennej i jesiennej - deszczowych- ustawiano na niej kalosze, botki, słowem obuwie ochronne. Z kaloszami kojarzy mi się następujące zdarzenie. Około 1932 roku zamieszkiwał u nas Adam Żemojtel, kuzyn ze strony matki, który po studiach w Wilnie piastował urząd kierownika akcyzy. Adamek, skądinąd porządny, lubiący dzieci i zwierzęta, np psa Rekxa, miał dziwny uraz do kotów. Wyładowawszy się na naszej starej kotce, bardzo u nas zadomowionej i lubianej, rozpieszczonej przez dzieci, pięknej-czarnej z zielonymi oczami-, został Adamek przez nią dotkliwie skarcony. Kotka, spośród kaloszy ustawionych w szeregu, trafnie wybrała własność delikwenta, a kiedyś w przyuczajeniu załatwiła się w nie. Odór był okropny, a kalosze nie nadawały się do dalszego użytku.

Ponieważ "konflikty" zdarzały się w pewnych odstępach czasu, Adam postąpił niehumanie. Śledził kotkę, by przy nadarzającej się okazji zakończyć krwawo swoje porachunki. Wkrótce zastrzelił kotkę z własnego pistoletu. Po pewnym czasie sprawca został ujawniony, a sprawa skończyła się dlań nieprzyjemnie.

Z sieni prowadziły drzwi do pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych, tak więc: na wprost do tak zwanej słuźbówki, w prawo do dużego pokoju zwanego stołowym. Nadto do pomieszczeń gospodarczych: w lewo do komory, a w głąb do piwnicy, zaś w narożniku na strych.

Pomieszczenie komory było dostatecznie duże i ciemne, bez okna. Nawet kanał wentylacyjny wyprowadzony przez strych nie rzucał do nawet smużki światła. Latem i zimą panował w niej chłód, sprzyjający przechowywanym w niej produktom żywnościowym. Pod ścianami na regałach stały słoje konfitur: z wiśni, malin, rzadziej z leśnej jeżyny, czasami z płatków róży, innymi laty także konfitury z wonnego smakowitego ajeru, tj z jego młodych różowych i pachnących pędów tuż od kłaczy. Zanim do komory trafiły te delicje, odbywało się w domu przygotowywanie owoców, smażenie jagód w dwóch misach, jednej dużej mosiężnej, a drugiej mniejszej miedzianej. Towarzyszył tym czynnościom zapobiegliwy ruch i krzątanie, a przede wszystkim duże zainteresowanie ze strony wszędobylskich dzieci które ustawiały się w kolejce po szumowiny, słodkie, pachnące, lubiane, jeszcze gorące, zbierane drewnianą łyżką. Po domu rozchodził się zapach i długo łechtał nozdrza dziecięce. Zresztą dzieci chętnie garnęły się z pomocą.

Obok stały słoje z kompotami, a także miody i soki w glinianych butelkach, pokrytych gładką błyszczącą polewą. Spod powały zwisały kiełbasy wędzone, boczki i szynki, połacie słoniny, a także różne mięsa. Mięsa nieprzetrzone przechowywano w cebrykach dębowych, stojących w ustronnym miejscu. No cóż, lodówek podówczas nie znano. W komorze znajdowały się także zapasy mąki żytniej, pszennej, kasze, groch itp. Ze względów nie tylko sanitarnych komora była zawsze solidnie zamknięta. Plądrować zatem nie było okazji, chyba że byliśmy posyłani do komory w celu przyniesienia czegośkolwiek, a najczęściej chleba, którego zapas był przechowywany na okres tygodnia, oczywiście mowa o chlebie własnego wypieku. Tam też w okresach świątecznych przechowywano zapasy rozmaitych ciast, babek, mazurków, tortów, bułek i różnych wypieków.

Z sieni na wprost wejścia drzwi prowadziły do służbówki, umeblowanej skromnie w dwa łóżka, szafę ubraniową, stół i krzesła. W głębi było przejście do kuchni, a przy samym wejściu mała śpiżarenka podręczna, przeznaczona na naczynia kuchenne, urządzenia do szatkowania kapusty, do wyciskania soków, a także urządzenia i naczynia do prania. Po roku 1959 zbudowano w tym mieszkaniu trzon kuchenny nie dla własnych potrzeb, lecz w związku z dużym zapotrzebowaniem na mieszkania.

Drzwiami z prawej strony sieni wchodziło się bezpośrednio do dużego pokoju stołowego. Służył on, jak sama nazwa określała go, jako jadalnia w dni świąteczne dla domowników, na przyjmowanie gości, towarzyskie spotkania rodziców, liczniejsze biesiady. Na co dzień służył początkowo za bawialnię dla dzieci, zaś z biegiem lat na odrabianie lekcji. Umeblowanie pokoju stołowego służyło więc wszystkim tym celom. Po lewej stronie, zaraz za drzwiami, natle kilimka znajdował się wieszak, głównie dla gości. Zaraz dalej w narożniku znajdował się piec ogrzewczy, ale palenisko było od strony kuchni. Na sąsiedniej ścianie prowadziły drzwi wspólne do sypialni i do kuchni, a za drzwiami oryginalny, stary kredens-szafa, pamiętający czasy dziadka mego Jana Wismonta, pradziadka Rafała, być może nawet prapradziadka Maksymiliana. Kredens ów zajmował całą resztę ściany. Dół zajmowały trzy obok siebie znajdujące się szafki, rozdzielone kolumnkami. Były na tyle duże i pojemne, że nawet w wieku lat ośmiu każda mogła służyć dzieciom na schronienie w grze w chowanego; często też służyła tym celom. Ale w pierwszej przeszkadzały nam obrusy, serwety, serwetki, jakieś stare kilimki i bieżniki haftowane ręcznie, przeważnie przez moją matkę, która miała ku temu odpowiednie przygotowanie fachowe, a nade wszystko zamiłowanie, toteż budziły powszechny podziw. Chętnie oddawała się wszelakim haftom, nawet do ostatnich lat swojego pracowitego życia. Nie dokończony haft na dużej serwecie stołowej ukończony był dopiero przez dorosłą moją córkę Łwę-Halinę, drugą wnuczkę babci Zofii, które dane jej było poznać za życia.

W środkowej szafce, także nie do użycia dla dzieci, przechowywano "pod ręką" serwisy stołowe, a także półmiski różnego rodzaju, kształtu, wielkości, stąd też i ich przeznaczenia. Niektóre egzemplarze pochodziły z dawnych lat i bogatszych czasów, na które wskazywało ich bogactwo zdobnicze i jakość porcelany. Kolejna szafka dolna przeznaczona była najczęściej na różności: czasopisma dużego formatu, jak np. Tygodnik Ilustrowany, albumy, które

nijak nie chciały się zmieścić w innych szafach. Ta właśnie służyła nam nieraz do gry w chowanego.

Nad dolnymi szafkami we wnęce stał samowar mosiężny pobielanv, o pojemności 15 litrów, a opalany węglem drzewnym. Był dość często używany, mówiono że ze względu na wyjątkowo dobry smak herbaty w nim parzonej. Po obu stronach wnęki znajdowały się dwie pary szuflad na sztucce i inne drobiazgi stołowe. Część górną kredensu stanowiły trzy wysokie szafki, także oddzielone kolumienkami, nieco węższe od dolnych, bo też górna część kredensu także była węższa. Były natomiast tak wysokie, że nawet dorosły człowiek nie sięgał górnych półek bez pomocy stołka. Pierwsza szafka zawierała kiedyś trunki i ta nie była nam dostępna. W drugiej przechowywano szklanki, serwisy, także do kawy, bo trzeba wiedzieć, że moja mama znakomicie paliła kawę surową o kolorze jasno-seledynowym, podobną do ziaren fasoli rozłupanej, a ostatnia szafka skrywała słodycze i wielką biesiadną cukiernicę. Gdy zabrakło słodyczy, z niej dzieci wyjadały cukier, pokryjomu- prawdopodobnie nie tyle z oszczędności co z uwagi na zęby dziecięce, którym miał szkodzić cukier i słodycze- co nie zawsze się udawało. Zatem zdarzyło się swego czasu, że oblepiony cukrem po nos i oczy a odsunięty od dalszej uczyty przez bądź co bądź starsze i silniejsze rodzeństwo, biegąłem na skargę: Mamo, Irka i Romek wyjadają cukier. Był to temat na różne późniejsze okazje i przypominano mi go po latach. Ba, nawet wtedy gdy już byłem żonaty. Dobrze, że innych a większych problemów nie było. Istotnie temat budził wesołość, również u delikwenta. A zęby, jak to zęby, i tak nie na długo przetrwały. Ale wówczas byliśmy wtedy pogodni, weseli, psotni malcy w wieku 3-5 lat życia.

Środek pokoju zajmował długi stół dębowy, otoczony krzesłami giętymi, ba, z twardymi siedzeniami ale higienicznymi, o czym nam przypominano kiedy sadowiliśmy się na dwa miękkie fotele, stojące po przeciwnej stronie, tyle że pod oknami, po bokach otomany. Otomana chyba dlatego, że od tradycyjnej kanapy różniło ją niskie oparcie oraz lekko uchylone boki, w opływowych kształtach. Zaś pod samymi oknami stały etażerki-stoliki-szafki, takie fikuśne, że trudno je jednoznacznie nazwać, zwłaszcza że w kształcie i przeznaczeniu były odmienne. Jedna w głębi pokoju służyła do prasy bieżącej, a na jej wierzchu umieszczona była duża figura Matki Boskiej Niepokalanej w otoczeniu flakonów z kwiatami po obu stronach. Na drugiej, też do prasy dla dorosłych, stało radio. Najpierw był to detektor kryształkowy z anteną za oknem długości przepisowej-

Antena taka na owe czasy była niebagatelnyim urządzeniem. Słupy wysokie na kilkanaście metrów udostępnił nam kuzyn Franciszek Bołtuć ze wsi Bołtucie, odległej od Lidy o 10 km, z własnego lasu i własnym transportem, a samo zainstalowanie wymagało pracy kilku osób, a także fachowej pomocy. Detektor- radio na słuchawki- służył nam przez kilka lat. W roku 1932 ojciec zakupił aparat radiowy marki holenderskiej "Philips", lampowy z głośnikiem. Na owe czasy była to wielka nowość, o czym świadczy to, iż na całej ulicy można było spotkać tylko kilka aparatów lampowych. Wreszcie w roku 1937 zostało zakupione radio niemieckiej produkcji firmy "Telefunken", które okazało się ostatnim krzykiem mody. Był to na te czasy jedyny kontakt z szerokim światem. Ponadto rodzice prenumerowali prasę i czasopisma dziecięce: Tygodnik Ilustrowany dużego formatu w usztywnionych okładkach, Rycerz Niepokalanej, Wolna Myśl-Wolne Żarty, a spośród dzienników: IKC-Ilustrowany Kurier Codzienny, Mały Dziennik, później także Dzień Dobry oraz dziecięce: Płomyczek i Płomyk. Od roku 1936 rodzice prenumerowali bogato ilustrowane czasopisma: Mucha, AS, Światowid.

Wracając do wspomnianego już dużego stołu, służył nam w wieku szkolnym do odrabiania lekcji, początkowo przy świetle dużej lampy naftowej, stojącej w centralnym punkcie stołu. Zdarzyło się, że w trakcie odrabiania lekcji któraś pociągnęła serwetę, lampa została przewrócona, paląca się nafta rozlała po stole i podłodze. Odskokczyliśmy w trójkę poza zasięg płomieni i nie wiem co by się stało, gdyby nie przytomność Kasi, pokojowej służącej, która wykazała refleks i odwagę, no i z poświęceniem serwetę ugasiła ogień. Po tym wypadku profilaktycznie zawieszono lampę u sufitu nad stołem.

Przy przeciwległej ścianie naprzeciwko drzwi wejściowych do pokoju, obok trzeciego okna wychodzącego na południowy zachód, stał jedyny najnowszy mebel, biblioteka o opływowych kształtach. Nie pasowała swoją nowoczesnością do ciężkich starych mebli, ale spełniała najważniejszą rolę dla uczącej się młodzieży. Przy tym rodzice upodobali tę mieszaninę starości z nowoczesnością. W szafie poza ogólnie dostępnym zbiorem książek, każde dziecko miało swój kąt na przybory szkolne, każde odpowiadało za porządek w jego części. Lewa boczna część szafy była stale zamknięta, ponieważ przechowywano tam dokumenty, stare banknoty i podręczną kasę, skromną biżuterię i inne walory, nas nie interesujące. Opodal okna i tejże szafy stał stojak-kwietnik, który był oczkiem w głowie mojej mamy.

Z pokoju stołowego wchodziło się jednym wejściem bez drzwi, zasłoniętym kotarą, na lewo do kuchni, po prawej do sypialni przedzielonej na pół. W tej drugiej części spały dzieci. Nad wejściem od strony sypialni była wnęka z półką, na której ojciec przechowywał przybory do golenia. Za struganie jego brzytwą futryny wejściowej otrzymałem swego czasu lanie. Próba brzytwy kosztowała ojca kilka złotych na zakup nowej, moja cena już znana.

W sypialni dziecięcej musiałem sypiać z bratem Romualdem, na walecie w jednym łóżku. Później, gdy każde z nas mogło wyrazić swoje zdanie i życzenie, przeprowadziłem się ze spaniem do kuchni na ławę. Nie rozróżniałem wtedy materaca od siennika, dlatego że musiało mi się na nim dobrze sypiać. Bezpośrednią przyczyną zmiany lokum sypialnego było zbyt bliskie sąsiedztwo z bratem, figle i psoty, nieporozumienia. Kiedy wpadało coś pod łóżko, trzeba było tego coś szukać pod nisko zawieszonym łóżem /prawdopodobnie były to nowoczesniejsze łóżka/, a już to samo stwarzało dodatkowe potrzeby i kłopoty. Kiedyś musiałem oświetlić miejsce szukania zwykłą świecą woskową, od której musiał się zapalić materac z trawy morskiej. Trochę mieliśmy kłopotów, ale we dwójkę poradziłyśmy ogniu, wywietrzyłyśmy mieszkanie i na tym się skończyło. Jak wiadomo - szczęśliwie. Nigdy bowiem nie zdarzyło się nam rozniecić dużego ognia, nigdy nie spaliliśmy chałupy. Innego budynku także.

Za nowym posianiem w kuchni stał trzon kuchenny z tzw. duchówką, więc miałem dwójakie korzyści. Płynęło od trzonu kuchennego przyjemne ciepło szczególnie w okresie zimowym, bo latem było go nieco za wiele. W długie zimowe wieczory lokum moje nie miało konkurencji. Ponadto duchówka mieściła nieraz coś smakowitego i to było dodatkowym przywilejem mieszkańca kuchni.

W głębi za trzonem kuchennym mieścił się piec chlebowy, opalany drewnem. Jeden raz w tygodniu, czasem co dwa, nieraz częściej w okresach przedświątecznych, wypiekano w nim własny chleb razowy na chrzanowych liściach oraz pieczono mięsiwa, ciasta itd. Takiego chleba poza domem nigdzie nie jadałem. W kuchni było tylko jedno okno, wychodzące na sad za domem. Pod tym oknem stał stół, który służył nam do posiłków w dni powszednie. Potem był jeszcze mały kredensik kuchenny, w którym czasem znajdowały się jakieś specjały.

Pozostały jeszcze do opisanie dwie pozostałe części naszego domu rodzinnego, potrzebne i ważne. Z sieni lub ze służbówki wchodziło się do piwnicy wymurowanej pod tą częścią budynku z kamienia ciosanego. I tam też bywały schowki zrobione przez dziadka Jana.

Piwnica mieściła ziemniaki jadalne specjalnych odmian, takie też gromadzono dla bydła i trzody na okres do nowych zbiorów. Na posadzce stały skrzynie z piaskiem do przechowywania niektórych warzyw mało odpornych na utrzymywanie wilgoci. Inne po prostu przechowywane były w skrzyniach. Płodów tych starczało do nowych zbiorów. W ustronnym miejscu stała beczka z ogórkami kiszonymi, przekładanymi łańkami kopru, liści chrzanowych i liści wiśniowych. Zaś w innej beczce znajdowała się kapusta. Na regałach leżały owoce, jabłka i grusze. Renety szare składowane były po prostu na stosie, jako owoc nie wymagający szczególnych warunków składowania. Owoców wystarczało do nowych zbiorów wcześniej dojrzewających gatunków, mimo że każde dziecko codziennie brało ze sobą do szkoły po kilka jabłek.

Zanim to wszystko trafiło do piwnicy, ciekawe dla nas było ich przygotowanie. Zbiór owoców także odbywał się w obecności dzieci, które wyprzedzały się z oferowaną pomocą. Szatkowanie kapusty, potem przekładanie jej plasterkami surowej marchwi i przesypywanie żurawinami, każdorazowo było przżyciem dla dzieci, połączone z obserwacją i chęcią pomocy, często przeszkadzaniem. Ubijanie kapusty w beczce specjalnym ubijakiem, dosyć ciężkim, odbywało się z pomocą Marysi i Kasi, na zmianę z ojcem, a nieraz z pomocą innych osób. Zapamiętałem wówczas opowiadanie, że ongiś kapustę deptały dziewczęta bosymi stopami po uprzednim wymoczeniu nóg. Nie dane mi było ani wtedy, ani później tego oglądać. Pod względem zaopatrzenia w przetwory zbożowe, ziarna, warzywa, owoce, mleko, masło i mięswo, byliśmy samowystarczalni, co w znacznym stopniu wpływało na stabilizację i spokojne bytowanie.

Również z sieni po wysuwanej drabinie wchodziło się na strych. Widno tam było, ponieważ przez dwa szczytowe okienka naprzeciw siebie wpływało dość światła. Tu i ówdzie znowu odkrywaliśmy dziadkowe i pradziadkowe schowki, skrzętnie unieszczone pod podłogą lub wysoko pod krokwiami dachowymi. Na strychu panował ład i porządek, może z powodu jego użyteczności. Na wydzielonej bowiem powierzchni suszyły się zioła i kwiaty roślin leczniczych. Na podłodze ograniczonej deskami rozścielały się liście i kwiaty lipy, rumianku, jakież inne gatunki wówczas mi nieznane, a zwisały na żerdziach zioła dziurawca, szalwii, mięty, nawet ajer. Świeże kłącza tataraku, smażone w cukrze jako konfitura były nie lada smakołykiem. Bogaty wybór roślin leczniczych służył na wszelkie przypadłości, kiedy nie była wskazana pomoc lekarska. Z byle chorobą nie biegało się wówczas do lekarzy lub felczerów. Mama nauczona przez swego ojca i matkę,

posiadła znajomość praktyczną przyrządzania leków ziołowych w postaci kropelek, nalewek, herbaty, balsamów i esencji. Praktyczną umiejętność korzystania z ziół opanowała z perfekcją, może dlatego, że podczas własnej nauki w szkole wydziałowej przechodziła odpowiednie przeszkolenie, jak nam opowiadała w trakcie wmawiania nie zawsze smacznego lekarstwa. Tylko piołun wzbudzał w nas nieprzeżywaną odrazę. Wspomnieć też muszę o wiatropędnym kminku, który u dzieci wzbudzał wesołość. Po latach wyjaśnił mi ową przyczynę Melchior Wańkowicz, pisząc o kminku anegdotycznie. Dotyczyło rozmowy lekarza z chłopem: - żalił się chłop "Dawniej jak wstawiałem, to słyshałem jak pi....ę." "A teraz nie? -pyta doktor, zapisując chłopu dozę kminku. "Dziękuję panie doktorze, to ja teraz będę lepiej słyszeć? -pyta chłop. Nie, odpowiada lekarz, - ale głośniej pi.....ó.

Na strychu stały całe szeregi glinianych butelek, stanowiące spory zapas na domowe potrzeby. w innym kącie stały stare dwa okute kufry, w których znajdowała się odzież prababek, zdobne kapelusze, rękawiczki po łokcie -nam sięgały po pachy-, podniszczone suknie na drucianych kołach, zapewne krynoliny, welony, chusty- wszystko po naszych przymiarkach wielokrotnych nadawało się do wyrzucenia i tak się stało z czasem razem ze skrzyniami. Tylko ocalały niektóre książki, ilustracje i zdjęcia, nie zauważone przedtem przez rodziców. Strych był jednym z wypróbowanych poligonów zabawowych w okresie sioł wiosennych lub jesiennych. Kiedy dorosłeliśmy, sięgaliśmy pod dach i zabawialiśmy się resztkami broni myśliwskiej i wojskowej.

Za domem w przyzwoitej odległości stał dobrze "ogacony-biały domek." Zwany był później "sławojką."- od nazwiska premiera Sławoja Składkowskiego, który wprowadzał powszechnie, szczególnie na wsi pod tym względem zaniedbanej, obowiązek budowania ustępów, bielienia płotów itp obowiązków sanitarnych. Współcześni go docenili. Chwała mu za to. nasz domek był co pewien czas odnawiany, uszczelniany, czysty, więc też i bez oporów odwiedzany. Takie ustronne przybytki spotykaliśmy w całym mieście, chociaż były i wyjątki, nawet poza budynkami szkolnymi i urzędami. Właśnie w naszym mieście była pod tym względem "Europa." wspomina o tym cytowany wyżej Melchior Wańkowicz w książce "Tędy i owędy": "Na przykład w Lidzie pani Głojberman, właścicielka hotelu - Petersburg - pękała z dumy, urządziwszy w kuchni klozet ze spuszczaną wodą.... Ale Lida to był luksus i wykwin.... W poczciwych dworach wiejskich jeszcze po dawnemu gość idący do sławojki otrzymywał -lichtarnię-, parasol, kalosze i biczyk do odpędzania psów."

Nasz budynek skrywał się cały wśród drzew i krzewów, a dodatkowo osłaniały go drzewa owocowe, które zasadził mój ojciec w latach 1924-1925. W nowym sadzie na gruncie wielkości 40 x 70 m, w czterech rzędach po około 10 drzew w każdym rzędzie rosły jabłonie różnych gatunków, pamiętam złote i szare renety, malinówki wcześniej dojrzewające, papierówki także, antonówki i inne oraz śliwy i pałki gruszy.

Za tym sadem pas gruntu, oddzielający sad od ogrodu warzywnego był przeznaczony najczęściej pod uprawę roślin pastewnych lub warzyw pastewnych, jak brukiew i biała marchew na paszę dla bydła. W tej sadu przy granicy z posiadłością Utkiewiczów uprawiane były przede wszystkim wczesne ziemniaki na własne potrzeby.

Obszerny ogród warzywny sąsiadował z łąkami. Nisko położony na dobrej torfiastej ziemi dostarczał warzyw i jarzyn na potrzeby bieżące oraz zapasy zimowe do nowych zbiorów. Oprócz warzyw sezonowych jak sałata, rzodkiewka, kalarepa, botwina, pozostałe zagony przeznaczony były pod uprawę warzyw. Dla uzyskania ciągłości zbioru niektórych nowalijek prowadziło się wznawianą co kilka tygodni uprawę. Potem zaniechano tych praktyk ze względu na wielką pracochłonność i brak pomocy spoza ścisłego składu rodziny.

Poza wspomnianymi jarzynami, sporo gruntu przeznaczano na uprawę włoszczyzny, maku, cebuli-także fiołkowej o słodkim smaku, ogórki, pomidory, marchew, buraków czerwonych, fasoli różnych odmian, grochu, kapusty. Po brzegach ścieliły się arbuzy i dynie, w tym także ozdobne, małej wielkości, oplecione w koło łańcuszkiem w kształcie różańca. Plony były obfite. Wzdłuż między szpalerami rosły dorodne sioneczki. Zbiory były tak duże, że zaspokajały całoroczne potrzeby. Była też wielka różnorodność jarzyn i warzyw, dlatego że ogród był także wielki, podzielony na kilkanaście zagonów, długich na ok. 15 a szerokich na ok. 3 kroki, a tak dostatnio wygodnych, że pomiędzy zagonami kopano ścieżki głębokie do pół góry dla osoby dorosłej.

Za warzywnikiem, na kawałku łączki przyległej do ogrodu, ojciec urządził stawek o powierzchni blisko pół ara, z przeznaczeniem na hodowlę ryb do własnych potrzeb. Puścił się zaraz u brzegów tatarak i grąziel. Nie wiadomo skąd pojawiły się z czasem w stawku karasie i leszcze, a przy odłowieniu inne gatunki ryb właściwych wodom stojącym. Stawek urozmaicał posiadłość i dostarczał zawsze świeżę ryb. Parę lat przed wojną, na skutek opodatkowania niewspółmiernie do odnoszonych korzyści, ojciec z ubolewaniem stawek zasypał.

Dalej ciągnęły się nasze łąki wzdłuż i wszerz za ogrodem aż do starorzecza Lidziejki. Część łąk pozostawiono naturze i w tych miejscach zarastały one bujną zielenią, olszyną, skąd pozyskiwano większe egzemplarze na drewno opałowe. Ilość tego opału wraz z dodatkami drewna innych gatunków, sprowadzanego ze wsi, wystarczała na cele ogrzewcze.

Moje lata dziecięce upływały beztrąsko w ciągłym kontakcie z naturą, która nie skąpiła latem słońca i zdrowego powietrza przesyconego wonią ziemi i zieleni, a zimą dość obfitych opadów śniegu, mroźnego ale zdrowego powietrza. Warunki klimatyczne zbliżone były do klimatu o cechach kontynentalnych. Bezpośrednie obcowanie z przyrodą kształtowało cechy charakteru, zaradność, samodzielność, odwagę, odporność psychiczną i fizyczną.

Pierwszą w moim życiu wyprawę samodzielną odnotowałem w pamięci około czwartego roku życia. Bez wiedzy matki i opiekunek, panien służących, a napewno pod ich chwilową nieobecność, wymknąłem się spod opieki pokojowej kasi i wyruszyłem z wizytą do babki Izabeli. Szedłem, trochę raczkując, zapamiętaną drogą, którą przemierzałem wielokrotnie na rękach starszych lub w wózku o ogromnych kołach. Pokonawszy w poprzek ulicę, przeraczkowałem przez rów odprowadzający wodę deszczową, potem mijając kilka zabudowań skręciłem w prawo i przemierzwszy kilkaset metrów zameldowałem się w domu babki i jej męża Macieja Wilniewczyca. Nie obyło się bez strofowania, pouczeń i biadolenia ze strony babki, mimo wszystko bardzo wzruszonej wizytą, jak i ze strony zaniepokojonych domowników moim zniknięciem.

Wizyta u babki wywarła^{na} na niej duże wrażenie i wzbudziła silniejsze uczucia wobec wnuka. Długo jeszcze darzyła mnie sympatią i względami, dosłownie do końca swojego życia, mimo że później musiała je dzielić między wnuczęta z drugiego ożenku, tj. Zbyszka-rodziców Jądwi i Józefa oraz Ireny i Jurka, dzieci córki Anny i Jana Kirdzika. Każde spotkanie z babką Izabelą, w mijaniu się- ja w drodze do szkoły, ona w drodze z kościoła-kończyło się bardzo korzystnie dla mnie, bo wręczała mi datki pieniężne. Przeważnie była to kwota 50 groszy na bułki i "łakocia", jak zawsze mawiała. Była to równoważność 10 bułek lub obwarzanków.

Raz udany wyłam w rygorach troskliwej opieki spowodował kolejne wycieczki poza ogrodzoną posesję, a to do sadu, do ogrodu warzywnego, później w łąki- samodzielnie-, zaś regułą stały się wyjścia na spotkanie ojca wracającego z Urzędu. Ojciec zwykł był przynosić pulchne obwarzanki, słodczyce, bombki czekoladowe z niespodzianką

w środku. Nierzadko przynosił pomarańcze lub inne owoce, których w domu nie było. Tym więc bardziej wabiły nas te podróże, ale odbywać się mogły wyłącznie w towarzystwie rodzeństwa, akceptowane przez rodziców. Niestety została do pokonania Kasia, która była przeciwna wszelkim samodzielnym wybrykom. Kasia była bardzo ładna, miła, a także nadzwyczaj sympatyczna choć rygorystyczna, zawsze stanowcza w swoich przekonaniach i zasadach opieki nad dziećmi. Łatwo nam było rozszyfrować główne powody tej dezaprobaty dla samodzielnych wycieczek i zabaw. Po prostu dzieci wracały zabrudzone, a także była ich odzież i bielizna. Na Kasię spadał obowiązek ciągłego przebierania, prania, prasowania. Z takiej to prozaicznej przyczyny ubierała mnie praktycznie, to znaczy w odzież ciemną lub bardziej odporną na zanieczyszczenie, lub zakazywała samodzielnych zabaw poza ogrodzonym terenem. Z pomocą wówczas pojawiała się ciocia Anna, zwana przez wszystkich Hanką, która ulubionego malca ubierała jak najładniej. Babciny pupilek umizgiwał się wtedy do miłej Kasi, by uzyskać rozgrzeszenie, czego dowodem musiał być niewymaszony uśmiech Kasi.

Pokojowe Kasia i Marysia traktowane były jak domownicy, mimo że Kasia opiekowała się przede wszystkim dziećmi, a Marysia zajmowała się gospodarstwem, obrządzając kilka zaś potem tylko dwie krowy, trzodę, drób, sprząając itp. Po latach, kiedy Kasia odchodziła było mi bardzo przykro i smutno. Dziewczęta pochodziły ze wsi i czas był wychodzić im za mąż, na którą to przyszłość uzbierały posag. Na skutek zmniejszenia się gospodarstwa i w związku z dorostaniem dzieci, nikogo już nie przyjęli rodzice na ich miejsce.

Niekiedy ojciec zabierał mnie ze sobą idąc po zakupy. Wstępowaliśmy wtedy do zmechanizowanej piekarni, gdzie mogłem dowoli napatrzeć się maszynom urabiającym ciasto, piekarzom uwijającym się przy piecu zajmującym całą ścianę hali, do którego wkładano uformowane pieczywo i wyjmowano zeń podrumienione, pulchne i pachnące pieczywo. Ze sobą zabierałem wówczas sznur obwarzanków, zawieszony na szyi, w drodze powrotnej próbując smakowitości. Była to prywatna piekarnia w nowym budynku tuż za mostem na rzece Lidziejce, przy ulicy prowadzącej do kościoła farnego i do śródmieścia, w tym do Starostwa gdzie ojciec pracował. Kilka lat później chodziliśmy do piekarni gdzie w pomieszczeniach socjalnych dla pracowników korzystaliśmy z wanien i natrysków, w lepszych warunkach niż w łaźni miejskiej lub w domu, gdzie takich urządzeń nie było. Być może z powodu tych kąpielni byliśmy stałymi klientami tej piekarni, mimo że bliżej domu były sklepy z pieczywem, np. w sklepie p. Łochacza można było zaopatrzyć się w świeże i dobre gatunkowo pieczywo.

Zakupu artykułów spożywczych i monopolowych- zapalki i papierosy, tytoń, również wina i alkohole, dokonywaliśmy w sklepie żydowskim opodal piekarni, z tym że już za mostem. Był tam duży wybór artykułów i towarów, a zakupy były dokonywane na kredyt. Należność regulowano co miesiąc z dołu. większe zakupy, np. przedświąteczne, właściciel dostarczał do domu własnym transportem. Stałym klientom na Wielkanoc i z okazji Świąt Bożego Narodzenia właściciel przysyłał przez umyślnego posłańca duży kosz wypełniony słodyczami, owocami południowymi, winem i gatunkową wódką, także papierosami, cygarami, tytoniem najlepszego gatunku oraz różne drobiazgi dla dzieci. Prezenty świąteczne właściciel przysyłał na własny koszt. Sklep przyjmował zamówienia na towary, których sam nie prowadził i dostarczał w terminie do domu, lub udostępniał we własnym sklepie. Przy większych zakupach udzielał rabatu. widocznie właścicielowi sklepu opłacała się stała klientela. Na naszej ulicy w pobliżu były inne trzy sklepy spożywcze, jednak nie praktykowały podobnych form pozyskiwania i utrzymania stałej klienteli. Dopiero około 1934 roku kiedy w Lidzie założone zostało Spółdzielcze Okręgowe Stowarzyszenie Spożywców "Jedność", przenieśliśmy się z zakupami do sklepów kooperatywy przy ul. Mennickiego-róg Kolejowej. W sklepach "Jedność" prowadzono sprzedaż artykułów i towarów spożywczych oraz artykułów monopolowych i wino-kolonialnych, także na kredyt. Taka forma sprzedaży umożliwiała członkom spółdzielni wyręczenie się w dokonywaniu zakupów dziećmi lub innymi osobami, bez obawy np. że dziecko mogło zgubić pieniądze. Upoważnieniem do zakupu była książeczka członkowska, w której też odnotowywano na bieżąco dokonywaną sprzedaż. Na inne artykuły importowane i przemysłowe rozpowszechniona była forma sprzedaży ratalnej i agencyjnej, docierającej do miejsca zamieszkania klienta. Czasem trudno było się "opędzić" przed agentami. Były i nadal powstawały sklepy prywatne oraz różnych spółek, które handlowały wszelakim asortymentem towarów, maszyn, urządzeń, artykułów itd. Działo się to w latach, kiedy reklamowano szeroko i popierano usługi oraz handel "chrześcijański", konkurujące we wszystkich dziedzinach z placówkami żydowskimi. Jednym z dowodów takiej konkurencji jest "Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1939" KKO-Komunalnej Kasy Oszczędności w Lidzie, który reklamuje firmy wyłącznie chrześcijańskie: lekarzy, lekarzy dentystów, felczerów, akuszerki, geodetów, notariuszy, adwokatów, ludzi innych zawodów usługowych, rzemieślników, a także sklepy, warsztaty, kina, księgarnie, biblioteki. Trzeba przyznać, że konkurencja chrześcijańska odnosiła sukcesy, po pierwsze ze względów społeczno-politycznych,

z powodu lepszej reklamy wizualnej, solidnej obsługi, stałych cen nie podlegających targowaniu się pomiędzy sprzedawcą a kupującym, czystości sklepów i wielu innych walorów handlowych, jak chociażby gwarancji na sprzedany artykuł. W Lidzie powstawały wówczas placówki handlowe, jako agencje filialne innych przedsiębiorstw z terenu Wilna, Lwowa, Warszawy, nawet dalekiego Poznania, np. wielce szanowany sklep "Bławat Polski" I. Miśkiewicza, albo znana w całym kraju mechaniczna Wytwórnia Wędlin-Andrzej Rodziewicz- nagrodzona na wystawie złotym medalem "Grand Prix" we Włoszech w r. 1934 oraz w Poznaniu na Międzynarodowych Targach Poznańskich w r. 1935, za smaczne, dobre i trwałe wędliny.

Z mojego berbeciego okresu pamiętam nieliczne wyjścia do miasta lub wyjazdy kilkudniowe poza miasto. Rodzice bardzo często wychodzili wieczorami lub wyjeżdżali. W latach 1933 do 1938 posiadali samochód osobowy marki "Ford"--kabriolet, który im ułatwiał liczne kontakty towarzyskie. Jednak nie było w zwyczaju wychodzić lub wyjeżdżać w towarzystwie dzieci, chyba że był to wyjazd do krewnych. Również, gdy byliśmy starsi ten rygor był utrzymywany, a my stan taki uznawaliśmy za ewidentny i niepodlegający dyskusji lub zmianie.

Rodzeństwo i autor tego pamiętnika podlegali stałym i niewzruszonym zasadom dobrego wychowania oraz ściśle przestrzeganemu porządkowi dnia, ustalonym przez matkę, jako że ona zajmowała się dziećmi najczęściej. Ojciec wracał z pracy późnym popołudniem i dopiero po zakończeniu własnych zajęć domowych i przejrzaniu prasy codziennej, część dnia poświęcał maluchom. W miarę naszego dorostania jego udział w wychowaniu dzieci systematycznie wzrastał. W naszym rozkładzie dnia powtarzały się niezmiennie, określone w rodzaju i czasie, takie zajęcia, jak: poranna toaleta, śniadanie, zajęcia organizowane przez matkę w celu wzbogacenia języka przy pomocy opowiadań, umoralniających powiastek i baśni, wierszyków i piosenek, potem obiad, ewentualnie- zależnie od wieku- drzemka, następnie samodzielne zabawy lub spacer pod opieką Kasi, obowiązkowy podwieczorek, kąpiel, kolacja, układanie się do snu po zmówieniu paciorka. Wychowywano nas w duchu religii chrześcijańskiej i tradycji rodzinnych, więc dzień zaczynał się pacierzem, w niedziele i święta uczęszczaliśmy na nabożeństwa, również wieczorne, jak np. Nabożeństwo Majowe, Różańcowe, obowiązywały też praktyki religijne nakazane przez kościół, a później regulowane przez księży katechetów. Rygory i zasady obowiązywały nas stale, również

w wieku szkolnym, ze szkołą średnią włącznie, z tym że zmieniali się obowiązki, zajęcia, czas trwania samodzielnych zajęć lub rozrywek. Rodzice zapewne kierowali się zasadom wyniesionym z własnego domu i żelaznej zasadzie wyrażonej przez Jana Kochanowskiego we frasze:

" Czego za świeżu skorupka nawrzała,
Ten zapach będzie w sobie długo miała."

Przypominam sobie, że od piątego roku życia do około ośmiu lat, chętnie słuchałem pięknych baśni opowiadanych lub czytanych z grubych ksiąg, między innymi baśni Lermontowa, przez człowieka zajmującego się pasaniem bydła. Był to po prostu pastuch wynajmowany przez kilka gospodarstw. Świtem wyprowadzał bydło na pastwiska, zwane wygonem, lub na ścierniska po żniwach, wracał przed południem, potem szedł z bydłem znowu na wypas, aby wieczorem zakończyć pasanie. Przez kilka tygodni na zmianę, stoiował się kolejno w różnych domach zatrudniających go, u nas także. Właśnie w tych okresach lubiał przebywać z dziećmi, być może tęsknił do własnych dzieci lub wnucząt. Chętnie opowiadał lub czytywał baśnie. Były inne od tych, które siyszałem w domu od moich rodziców, babki lub innych domowników i ciotek.

Człowiek, o którym wspominałem, intrygował otoczenie. Dziwność jego, w moim późniejszym odczuciu wynikała stąd, że skromny ubiór, zajęcia zarobkowe, sama sylwetka, nie pasowały do reprezentowanego przezeń poziomu intelektualnego, a także jego zdolności muzycznych i rzeźbiarskich. W drewnie wyczarowywał ludziki bajkowe, świątki prawosławne, zwierzątka, wykonywał przedmioty użytkowe z drewna. Sama jego postać była intrygująca. Średniego wzrostu, szczupły i i zwinnie pomimo dojrzałego wieku, o pociągłej twarzy, lekko skośnych oczach przymrużonych z opadającymi powiekami, z cienkimi wężykami wąsów zwisających obok kącików ust, przypominał azjatę. Mimo iż pochodził ze wsi, dokąd wracał każdego roku po sezonie wypasu bydła, mówił poprawnie po polsku, znał rosyjski, był odczytany, grywał na cymbałach;`mut jednak nie znał. Tej sztuki także nauczył mnie i odsprzedał ten instrument. Korzystałem chętnie z jego towarzystwa wtedy, gdy domownicy byli zajęci pracami kończącego się dnia, tj w porze przedwieczornej, a siadując na ganku lub na ławce w ogródku przed domem wsiuchiwałem się w barwnie opowiadane baśnie i historyjki, lub słuchałem jego samorodnej muzyki. Słowem lubiłem te spotkania.

Tak bywało do około 1954 roku i nigdy potem go nie spotkałem.

Wieczory spędzane w towarzystwie ojca były zawsze ciekawe, oczekiwane i miłe. Kiewiele czasu mógł nam poświęcać, oczywiście w latach wczesnego dzieciństwa, bo później w okresie nauki w starszych klasach szkoły powszechnej i w szkole średniej na nim spoczywał obowiązek opiekuńczo-dydaktyczny. Opowiadane historyjki, przeżycia legionowe, recytowane wierszyki, nie miały sobie równych. Jako nauczyciel z zawodu, czynił to zajmująco i obrazowo, zrozumiale. Z pamięci recytował wiele wierszyków na każdą niemal okazję, choćby ten wielkanocny wierszyk, którego fragmenty zapamiętałem:

Jutro będzie wielkanoc,
babki w piec już wsadzone,
kiełbasy się gotują
i mięć będziem święcone.

Mama na stół czyściutki
biały obrus położy,
na nim stanie Baranek,
ten Baranek, ten Boży.

Potem przyjdzie ksiądz proboszcz,
stół poświęci wspaniały,
by dziateczki w tym domu
zdrowe nam się chowały.....

W wolnych chwilach ojciec uczył nas różnych robótek z drewna /przede wszystkim z podatnego do robótek łuczywa i wikliny/, były to najczęściej zabawki, ozdoby choinkowe i inne, lepił nam z ciasta zwierzątka i wypiekał na płycie kuchennej, gdy tymczasem mama przygotowywała kolację.

W długie wieczory zimowe lubiłem siadywać przy kuchennym stole, kóćem nakryty na głowę, i w pozycji półleżącej wsparty rękami o blat stołu, w ciemności wsłuchiwać się w monotony szum prymusu, na którym przygotowywana była kolacja. Żywy bardzo skądinąd, zawsze gotowy figlować, miałem skłonności do rozmyślań i własnych dziecięcych marzeń. W wyobraźni przeplatały się rzeczywiste przeżycia z obrazami z baśni i opowiadań. Wsłuchiwałem się, jakby w poszum kołysanych wiatrem drzew, jakby w szumiące łany dojrzewających zbóż, a z tych doznań tworzył się mój własny świat fantazji. Dzisiaj sędzę, że źródłem marzeń dziecięcych były baśnie i opowiadania podawane dziecku, być może, w nadmiarze. Ale przede wszystkim było to z powodu umiłowania natury, przyrody, którą nauczono mię podpatrywać, świat roślinny i świat zwierzęcy, patrzeć na pola, lasy, łąki i wody. Matka nie oponowała, tylko co pewien czas sprawdzała czy usnąłem.

Od piątego roku życia wychowanie domowe nabierało bardziej sprecyzowanych form edukacji rodzinnej. Niewątpliwie bodźcem do samodoskonalenia się był przykład rodzeństwa, już pobierającego naukę w szkole powszechnej. Podpatrywałem brata-ucznia klasy drugiej oraz siostrę-uczennicę klasy pierwszej, korzystałem z ich podręczników, a przede wszystkim z elementarza Falskiego. Odwzorowywałem litery i cyfry, przysłuchiwałem się ich głośnemu czytaniu oraz opowiadaniu przeczytanych tekstów, jako sprawdzianu zrozumienia i pamięciowego opanowania kwestii. Poza własną inicjatywą samokształcenia, matka uczyła mnie podstawowych elementów rachunków i polskiego. Kontynuowała także wcześniej rozpoczęte uczenie podstawowych zwrotów oraz liczebników w języku francuskim. Znajomość konwersacji wyniosła ze szkoły na poziomie średnim. Z tego co wiem była to szkoła wydziałowa w ramach tzw. "nowej szkoły", która miała na celu osiągnięcie dzielnych moralnie i sprawnych życiowo charakterów. W programie tej szkoły w ramach nauk humanistycznych obowiązywały dwa języki obce: rosyjski z literaturą, historią i geografią Rosji oraz do wyboru angielski lub francuski, lub niemiecki, łącznie z kulturą danego kraju. Zagadnienia traktujące na temat tych szkół podaje Podręczna Encyklopedia Pedagogiczna w opracowaniu dr Feliksa Kierskiego, Książnica Polska, Lwów-Warszawa 1925, t. II, s. 326-327. Szkoły te obejmowały głównie młodzież ziemiańską. W ramach nauki podstawowych zwrotów, nie kierowała się ambicją nauczania języka, gdyż nie miała takiej znajomości sama, ani opanowanych teoretycznie wskazówek metodycznych. Chodziło zatem, by chłonny umysł młodych dzieci zaszczerpić ambicją uczenia się i zdobywania wszechstronnej wiedzy. Obiektywnie trzeba stwierdzić, że poziom jak i zasięg tematyyczny domowego uczenia, były niewielkie, bo moja matka nie wiele miała okazji do kontynuowania samokształcenia, do utrwalania i wzbogacania języka, mimo że dysponowała doskonałym podręcznikiem tłumaczonym z francuskiego, jako że była sierotą i sama musiała prowadzić dom oraz gospodarstwo.

Ojciec uczył mnie czytania z elementarza rosyjskiego, chociaż nie znałem języka w mowie. Jedyną pomocą był elementarz rosyjski jeszcze z czasów carskich. Początkowo sylabizowałem, jak dziś pamiętam: ma-ma, ja-ma, z czasem potrafiłem odczytywać wyrazy i teksty ze zrozumieniem, bo w parze z nauką czytania, tłumaczono mi znaczenie poszczególnych wyrazów i tekstów. Ćwiczenia te odbywały się prawie codziennie przez blisko godzinę, kiedy czekałem w kolejce na swoją kąpiel przed spaniem. Wspomagany przez rodziców i wzorując się na rodzeństwie, opanowałem zupełnie poprawnie początki czytania

i rachunków oraz elementy pisania, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Był to dobry zadatek na przyszłość. w czasie okupacji i po wojnie przydały mi się w pracy i w nauce wiadomości i praktyczna znajomość języków obcych, chociaż na bardzo skromnym poziomie.

Późny okres przedszkolny zaznaczył się w moim życiu różnymi zainteresowaniami związanymi z postrzeganiem zjawisk, stosunków międzyludzkich w różnych warstwach społecznych, do których miałem jakikolwiek dostęp, z obserwacją życia na co dzień.

Najsamopierw majsterkowanie i bazgrolenie. Próbowałem dorównywać siostrze i bratu w przygotowywaniu ozdób choinkowych z papieru, bibułki, słomy. Podpatrywałem innych i uczyłem się sztuki operowania prostymi narzędziami do obróbki drewna i metalu. Nałóg ten pozostał mi na całe życie. Kiedy zaś miałem cztery lata próbowałem rysunku, nawet odnosząc sukcesy, pilnie obserwowane przez rodziców. w posługiwaniu się ołówkiem, kredkami i farbkami, nie ustępowałem rodzeństwu, chociaż ich zdolności potwierdziły się w latach szkolnych. Nikt z nas nie został jednak prawdziwym budowniczym, ani artystą malarzem. wspomnę, że brat w wieku lat 17, doskonale władał pędzlem i farbami olejnymi.

Zainteresowania miałem wszechstronne i zmieniające się, jak w tym wieku u wszystkich chyba dzieci. Bawiliśmy się chętnie w wojsko, ale nikt z nas nie służył nigdy w regularnej armii. Obserwowaliśmy często, a już z reguły w każdą niedzielę i święto, przemarsz w szyku wojskowym, oddziałów 5-go pułku lotniczego, do kościoła na Mszę Św. oraz powrót do koszar. Czasem towarzyszyła im orkiestra wojskowa, zaś my z wciśniętymi nosami w sztachety, z zazdrością zerkaliśmy przez ażurową bramę. Gdy chodzi o wojskowość, nie obce nam bywały zabawy z prawdziwą bronią, niestety po kryjomu, a otwarcie z podniesioną przyłbicą własnoręcznie wykonanego hełmu, bawiliśmy się drewnianymi karabinami. I to nam też zostało na późniejsze lata nie darowane. Później była proca, broń niebezpieczna. Każdy gwałpował na własną rękę, bo jeden drugiego nie zdążył ujarzmić. Już wówczas wiedziałem, że wodzem trzeba się urodzić. Z całej zabawy w wojsko, bez konkurencyjna była orkiestra. Posłużyły nam dwie trąby gramofonowe /jeden gramofon był jeszcze w użyciu/, bębenek lub dwa klocki drewniane. Była także musztra, ale nie na długo, z przyczyn jak wyżej. Może to przykład opowiadań ojca-legionisty podziałał, że inscenizowaliśmy jego opowiadania. Z latami to wszystko minęło: i muzyka, i wojsko, i sztuka. wszystko dlatego, że byłem zachłanny na wszystko. Zanim się spostrzegłem przyszły "Bezgrzeszne lata" Kornela Makuszyńskiego i życie potoczyło się dalej.

RODOWODY

MIASTO - LIDA

Moje miasto rodzinne i moje miasto wczesnej młodości. Darzę je wielką sympatią, uczuciem stałego przywiązania, jak żadne inne napewno piękniejsze i bogatsze, ale nie takie samo. Nie było wielką metropolią, nawet w skali regionu, chociaż własną historią dorówna wielu innym, podobnym.

Rodowód miasta sięga XIII wieku. Pierwszą wzmiankę o Lidzie odnalazłem dawno temu, jeszcze w wieku szkolnym, kiedy zachwyciłem się Adamem Mickiewiczem i jego twórczością. Tak bliską memu miastu, jak bliska mu była sama postać wieszczka. W powieści litewskiej "Grażyna" On sam wiele mówi o mieście i jego historii w wierszowanych strofach. Sięgam więc jeszcze raz do źródła: Dzieła poetyckie Adama Mickiewicza, Czytelnik, Warszawa 1982:

w. 488-491 ... " Była naonczas Książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną"...

Z przypisów autorskich samego poety wiadomo, że Grażyna była żoną Litawora /zm. w 1291 r./, księcia litewskiego, ojca Witeneša i Gedymina, stąd potwierdzenie domniemanego rodowodu miasta.

W rozmowie Litawora z Rymwidem w "Grażynie" często pojawia się w tekście, Lida jako gród:

w. 273-274 ... " Jutro, gdy Witold w zaufaniu zbyt niem,
Na Lidzie słabe zostawił załogi" ...

- jako miasto:

w. 125-127 ... " A skoro słońce z szczorsowskiej granicy,
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy" ...

- jako państwo:

w. 177-178 ... " Jeżeli prawda, że na lidzkie państwo,
Ciągniesz do twojej należące włości" ...

- jako siedziba znacznych urzędów:

w. 103-105 ... " Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś Rymwidzie,
Że Witold, pan nasz, możny i łaskawy,
Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie" ...

Istotnie Lida była podówczas grodem. W środku miasta, nad Lidzieją-

rzeką, na wysokim wzgórzu stał zamek warowny, otoczony potężnym murem szerokim a wysokim na kilkanaście metrów. Pamiętam ruiny zamku, zbudowanego przez Gedymina i zwanego Zamkiem Gedymina, mury obronne zachowane w bardzo dobrym stanie do 1939 roku. Czy dzisiaj też są pielęgnowane z całą starannością, jak niegdyś ? Nie umiem powiedzieć od tamtych lat więcej go nie ujrzałem.

Często spotyka się wzmianki o Lidzie na kartach wiekowej kroniki: Herbarz Polski -Kaspra Niesieckiego, wydany przez Jana Nepomucena Bobrowicza w Lipsku, nakładem wydawnictwa Breitkopfa i Haertela w roku 1840. Ów Herbarz wyszczególnia szereg osobistości na urzędach tego miasta i Ziemi Lidzkiej. Osobistości te najczęściej pieczętowały się herbami "Pogonia" i "Ślepowron", ale także i innymi herbami, jak na przykład:

- Radziwiłł Mikołaj, Czarny Książę na Ołyce i Nieświeżu, starosta lidzki a.d. 1544, posiadający cztery herby:

Trąby	- ojczysty
Leliwa	- babki z ojca Monwidowny,
Podkowa	- macierzyński, Kiszczanki
Ryby	- babki z matki Naruszewiczówny /t.VIII, s.44 i 57/

- Limontowie herbu Limont:

Michał	- woyski Lidzki a.d. 1632
Jerzy Piotr	- cześnik Lidzki a.d. 1648
Marcin	- ziemski Lidzki a.d. 1662
Jan s. Mikołaja	- podczaszy Lidzki / t.VI, s.100-101/

Herb Pogonia, którym pieczętowali się m.in. Gedyminowie na Lidzie, Koryatowiczowie, Lingwiengiewiczowie, Olelkowiczowie, Konrad Książę Mazowiecki, dziesiątki innych rodów ziemiańskich i książęcych, opisany został następująco:

" Mąż zbrojny w szyszaku / Petrasaneta przydaje srebrny / na białym koniu do biegu niby zapędzonym, siodło na nim i czaprak czerwony, aż do kopyt końskich rozwlekły, z trojaka złotą frendzlą, w polu także czerwonym ; w prawej ręce miecz goły wyniesiony w górę, jakby do cięcia trzyma; w lewej zaś, czyli raczej na barku jego tarcza, ze dwiema krzyżami złotymi w jeden spojone. Zwany Pogoń, podobno od konia niby w pogoń zaciekłego." /t.I, s.9-12/.

Herb Ślepowron: "Barkiem prosto do góry podkowa stoi, na niej Krzyż, na Krzyżu kruk czarny trochę wspięte do lotu mające skrzydła, w prawą tarczy obrócony, w pysku złoty pierścień trzymając, pole tarczy błękitne, podkowa biała, na hełmie nad koroną takiż kruk."

/t. VIII, s.397/.

Spotyka się herby lidzkie, łączące elementy dwóch herbów Pogonia i Słepowrona, podobnie jak poprzednie spotkać było można w farnym Kościele Podwyższenia Św. Krzyża oraz na budynkach urzędów miasta.

Współczesne encyklopedie wymieniają pod hasłem "Lida"- miasto białoruskie, a informator turystyczny sowiecki stwierdza, iż Lida była miastem białoruskim jeszcze w XI wieku? Nie wiem, czy narodowość taka istniała, a skąd by się znalazły herby, zamek Gedymina? Przeczą tym stwierdzeniom fakty historyczne, bo od wieków Lida należała do Wielkiego Księstwa Litewskiego, a jako powiat lidzki, obok oszmiańskiego, wiłkomirskiego i braclawskiego zawsze należały do województwa Wileńskiego, bo tamże: /t.I, s. 134/ " Wileńskie tedy województwo /1413. Litwa łączyła się z Koroną/, najpierwsze między litewskimi, ma w sobie cztery powiaty /j.w./, z tych rycerstwo wileńskie w Wilnie, Oszmiańskie w Oszmianie, Lidzkie w Lidzie, Wiłkomirskie w Wiłkomierzu, Braclawskie w Braclawiu, sejmikować zwykły, kędy każdy z powiatów po dwóch posłów na sejm obierają, że wszystkich dziesięciu bywa."-koniec cytatu.

Niektóre źródła we wcześniejszym okresie sprzed XI wieku przypisują miasto Lidę Jadźwingom, którzy władali również sąsiednim Nowogródkiem, jeszcze bardziej położonym na południowy wschód niż Lida. Poeta Adam Mickiewicz w przypisach autorskich do poematu "Grażyna" odnotował: s. 9. w.8. "Nowogródek, starożytne miasto na Litwie, niegdyś Jadźwingów, potem Rusinów posiadłość, zburzone przez Tatarów w czasie zagonu Batego, a po ich ustąpieniu zajęte znowu przez Erdziwiła Montwiłowicza, księcia litewskiego." Dodatkowe argumenty zdają się być zbyteczne, bo podbicie ziem i miast oraz ich spustoszenie w stanie oblężenia, nie nadaje tytułu własności i wynarodowienia rdzennych mieszkańców. Tyle historia Mickiewiczowska, najbardziej wiarogodna bo pisana bez nacisków politycznych przez poetę, patriotę polskiego.

Współczesna Lida roku 1939 liczyła 30 tys. mieszkańców, przy czym najwięcej było Polaków, potem Żydów, ludzi wyznania prawosławnego nie określających swej narodowości- rusini? -białorusini? -napływo- wi? Trudno określić. Śladów litewskich nie trzeba było szukać, widoczne były, ale jak mówił poeta współczesny Czesław Miłosz Lida powstała za Jaćwingów /taką pisownię tego ludu także spotyka się we współczesnej i dawnej literaturze/. Potem zaś na miasto i naród wywarła wpływ Litwa, a jeszcze bardziej Unia Polska-Litwa. Bronię tego stanowiska, bo moja matka Wismont, podobnie jak Limont itp. nazwiska, zawsze określała się jako Polka, być może potomkinią

społeczności przedlitewskiej, nigdy jednak rusińskiej. Równie dobitnym argumentem jest ten fakt, że najstarszy kościół należy do wyznania rzymsko-katolickiego. Cerkiew, jak i bóżnice powstały daleko później. Lida w jęz. litewskim znaczy "trzebież" kniejów.

Współczesna mi Lida była miastem w ok. 50 % murowanym, zadbanym i czystym, rozbudowującym się, nie podobnym do wielu innych miasteczek, nie dorównujących mu pod wieloma względami. Ale do pięknych miast napewno należało Grodno 50 tysięczne.

Znam każdy zakątek mego miasta, każdą dzielnicę przemierzałem wielokrotnie, bo wszędzie byli koledzy i koleżanki, rówieśnicy szkolni. Mieszkałem w dzielnicy wismonty, pochodziłem z matki z d. Wismont, urodziłem się też na ul. wismonty. Około 1930 roku ulicę przemianowano na ul. Grażyny. Przy tym również przemianowano nr domu z 30 na 65. Zmiana ta została podyktowana względami historycznymi. Ulica Grażyny dochodziła bowiem do granic śródmieścia i niewielka przestrzeń dzieliła ją od ul. Gedyminowskiej okalającej wzgórze zamkowe. W roku 1936 odkryte zostały lochy podziemne łączące niegdyś Zamek Gedyminowski z kościołem farnym, wiekiem zamkowi dorównującemu.

Długi cykl mych podróży po mieście, ograniczał się najpierw tylko do ulicy wismonty w wieku lat do sześciu, inaczej rzecz traktując tylko do cmentarza katolickiego, na którym pochowani byli dziadek Jan, pradziadek Rafał, a także dwaj bracia bliźniacy oraz brat mojej mamy, zmarły już jako sierota w wieku 3 lat życia.

Ze względów, o których dalej, cmentarzowi temu winienem poświęcić więcej uwagi. Ciągłe był na mojej, i nie tylko mojej, drodze. Obie bowiem drogi /ulice/ prowadzące ku miastu sąsiadowały z cmentarzem. Nijak nie można było go ominąć, chyba tylko od strony zachodniej, ale musiałbym wówczas nadrabiać drogi o kilka kilometrów. Samo położenie cmentarza wzbudzało zatem we mnie jakieś dziwne mieszane uczucia, krańcowo odmienne. Z jednej strony zainteresowanie i szacunek dla tego miejsca, wpajany przez Rodziców, Kościół i Szkołę, z drugiej zaś jakiś podświadomy lęk, zwłaszcza wieczorem odczuwalny, gdy jedynym po tej stronie ulicy chodnikiem, graniczącym bezpośrednio z murem cmentarnym, wracałem z miasta i mimowolnie spojrzenie kierowało się w stronę cmentarza. Za niskim z tej strony murem śledziłem wzrokiem poszczególne nagrobki pod rozłożystymi drzewami liściastymi oraz świerkami i sosnami tu i ówdzie, a towarzyszyło tej scenerii blade światło latarni ulicznych. Nie raz cięsza była przeraźliwa, kłująca w uszy, a na każdy ledwo słyszalny szmer, szelest lub tłumiony dźwięk, mimowolnie coś podchodziło do gardła. Czy mogłem inaczej reagować, mając osiem lat życia ?

Cmentarz katolicki miał kształt trapezu, umiejscowiony był pomiędzy ulicami: Grażyny, Mennickiego, Legionową i Cmentarną. Od strony południowej sąsiadował z rozkopanym placem po byłej żwirowni. Na tym cmentarzu, jak na wielu innych starych cmentarzach, odległa przeszłość łączyła się z teraźniejszością. Obok "zwykłych" śmiertelników spotykało się groby zasłużonych dla Ojczyzny i miasta. Najpiękniej prezentowała się wygrodzona niskimi barierkami część wojskowa, przylegająca do ulicy Cmentarnej. Na wydzielonych kwaterach mieściły się oddzielnie groby poległych w Powstaniu Kościuszkowskim - a.d.1794, w Powstaniu Listopadowym a.d.1831, w Powstaniu Styczniowym a.d.1863. Większa kwatera mieściła mogiły poległych żołnierzy w I wojnie światowej a.d.1914-1918. Wydzielona spośród wspomnianych kwater żołnierskich, największą jego część poświęcono lotnikom. Te nagrobki były najokazalsze, a każdy grób znaczyły autentyczne śmigła samolotów. Cała wojskowa część cmentarza była pod stałą opieką organizacji szkolnych, a przede wszystkim drużyn Związku Harcerstwa Polskiego. Pośrodku wznosił się ku niebu wysoki obelisk granitowy, na wierzchołku którego rozpościerał skrzydła orzeł lotniczy wykuty również w białym granicie.

Z czasem oswoiłem się z sąsiedztwem cmentarza. Miałem wtedy kilkanaście lat, być może 12, kiedy pewne zdarzenie zbulwersowało mój spokój. O tym zdarzeniu było głośno w całym mieście przez dłuższy czas, a różne wersje wzbogacane przez coraz to nowych opowiadaczy, musiały siać blady strach, szczególnie na młode panienki i dzieci. Zdarzenie opisał mi kolega Władek Konon, bo zdarzenie dotyczyło jego siostry. W przeddzień mającego się odbyć ślubu z przystojnym młodym lotnikiem, siostra Władka wracała późnym wieczorem z miasta idąc jak wszyscy ul. Mennickiego tuż przy murze cmentarnym. Był piękny, choć późny wieczór i absolutna cisza przy całkowicie bezwietrznej pogodzie. Takie wieczory i noce często spotykano w czerwcu. Był to pewien ewenement klimatyczny, podobnie jak bardzo krótkie noce na przełomie wiosny i lata, a także w miesiącu lipcu i sierpniu. Przechodząc miała zobaczyć słup białej mgiełki unoszący się nad świeżą mogiłą tuż przy murze cmentarnym. Jedyne powietrze powstawał za szybko idącą osobą. Kiedy po chwili obejrzała się, dostrzegła poruszający się za nią słup mgiełki. Tym szybciej przemieszczał się, im prędzej szła a potem biegła dziewczyna. Powodowana wielkim strachem biegła co siłą, a zmęczona dystansem ok. 400 metrów, wpadła przez furtkę ogródka na próg domu i tam straciła przytomność. Potem tylko na chwilę odzyskała władzę i zaraz zmarła. Opowiadacze dodawali, że słup mgiełki roztrzaskać się miał o zamykającą się furtkę.

Zabobonni twierdzili, że to był duch zmarłego. Rozsądniejsi tłumaczyli zjawisko wydobywającą się przez spulchnioną ziemię parą ze zwłok nieschorowanego człowieka. Najmniej liczna grupa tłumaczyła najzupełniej trafnie, że było to przywidzenie podszyte ogromnym strachem. W pogrzebie uczestniczyły tłumy ludzi, a przede wszystkim kobiet z całego miasta.

Mnie samemu z kolegą Tadeuszem Czywilisem zdarzyło się zimą przesiedzieć w nocy wiele godzin na cmentarzu, kiedy zmuszeni byliśmy schronić się po godzinie policyjnej przed patrolami żandarmerii niemieckiej w czasie okupacji. Oprócz obawy przed Niemcami, żadnych innych objawów strachu nie stwierdziliśmy u siebie. Mróz był trzaskający, a my musieliśmy cichutko przemierzać cmentarz wokół kaplicy, by nie zmarznąć i ^{nie}ujawnić swojej obecności.

Dane mi było jeszcze raz na tym cmentarzu przebywać nocą, kiedy w tajemnicy przyszło mi zorganizować pogrzeb poległemu żołnierzowi Armii Krajowej z Oddziału "Ragnera." Udział wzięła jego cała drużyna partyzancka i młodzi z okolicznych domów. Oprócz wieńców z narodową wstęgą i flagą biało-czerwoną odbyła się namiastka salwy, bo tylko z jednego pistoletu, którego odgłos ugrzązł wśród licznej roślinności. Refleksja była taka, że nie można było nawet po ludzku być pochowanym. Takie czasy.

Późniejsze lata szkolne zmuszały do dalszych wędrówek po mieście. By dotrzeć do gimnazjum musiałem przejść Śródmieście, Morgi i Wygon. Wędrowałem do pozostałych dzielnic: Słobódki, Piasków, koszar 77 pp zwanych "niedźwiadkami". Poznałem też: Mostowszczyznę, Wyzwolenie, Zarzecze, Roślaki, Krzywce, Zakasankę i Małejkowszczyznę, stamtąd brały początek szosy na Wilno i Mołodeczno, a także rozwidlające się linie kolejowe w tych kierunkach. Na planie miasta /vide aneks/ odtworzyłem 106 ulic, ale z nazwy tylko 77, ponieważ zawiodła pamięć moja i innych Lidsjan, z którymi próbowałem przypomnieć nazwy pozostałych ulic.

Najbardziej zabudowane było Śródmieście, tam też mieściło się centrum handlowe, dwa kościoły katolickie, dwie synagogi żydowskie, trzy kina, urzędy powiatowe i miejskie, poczta główna, rynek i targowisko obok skweru z pomnikiem Niepodległości. Właściwe targowisko było na Wygonie, ale nazwa tego placzyku pozostała z dawna, a teraz odbywały się tam odpusty, prezentowały się rozmaite trupy aktorskie odbywały się loterie, jarmarki świąteczne itp, itd. wesołe miasteczka, karuzele i beczka, we wnętrzu której po pionowych jej ścianach pędził na motocyklu prezenter swych umiejętności z szybkością 60 km/godz., ba nawet wiece przedwyborcze lub inne o tematyce politycznej.

Miasto w okresie poprzedzającym II wojnę światową było stosunkowo nieźle uprzemysłowione. Największym z zakładów była fabryka wyrobów gumowych i obuwia gumowego "Ardal." Dwa browary produkowały znane piwo pod firmą "Pupko", drugi - "Papiermeister". Duży tartak zabezpieczał miejscowe potrzeby. W olejarni sam bywałem, kiedy rodzice oddawali ziarno lniane do wytlóczenia oleju i uzyskania wytlóków zwanych makuchą, jako bardzo wartościową paszę, szczególnie dla młodego bydła i trzody. Również bywałem w dwóch młynach, w których ziarno zamieniało się w mąkę pytlową lub żytnią, lub w kaszę, zabezpieczając zapasy na zimę i przednówek. Z ciekawości uczestniczyłem chętnie w różnych transakcjach kupna, np. sieczkarni w fabryce maszyn rolniczych lub drutu na ogrodzenie, albo gwoździ w fabryce na ul. Suwalskiej. W mieście była także drukarnia "chrześcijańska" obok innej żydowskiej, ponadto wiele mniejszych zakładów i mnóstwo warsztatów rzemieślniczych polskich i żydowskich, co stwarzało konkurencyjne ceny i konkurencyjne warunki sprzedaży towarów i usług.

Dzieci w wieku 8-13 lub 14 lat życia miały możliwość pobierania nauki w 8 szkołach powszechnych, w tym 3 szkoły prywatne dla żydów. Jakiś czas istniała prywatna szkoła powszechna Ks.Ks. Pijarów, przygotowująca dzieci do nauki w gimnazjum starego typu-ośmioletnim. Reforma szkolna przeprowadzona przez ministra oświaty Janusza Jędrzejewicza, zwana "jędrzejewiczowską" w latach 1931-34, wprowadziła czteroletnie gimnazja i zróżnicowane 2 letnie licea /przyrodnicze lub matematyczno-fizyczne/, w związku z czym wyżej wspomniana szkoła powszechna Pijarów została zlikwidowana. Mój brat Romuald uczęszczał właśnie do tej szkoły powszechniej. Wszystkie szkoły powszechne miały status pełnych szkół siedmioklasowych tzw. III stopnia. Uczniowie, którzy kontynuowali dalszą naukę, przechodzili do szkół średnich po ukończeniu klasy szóstej. Spośród szkół ponadpodstawowych dwie posiadały status państwowy: Gimnazjum Ogólnokształcące oraz Liceum Ogólnokształcące im. Hetmana Karola Chodkiewicza - dyrektorem był Kazimierz Mętlewicz oraz Szkoła Mechaniczna. Szkoły te nie pobierały opłaty poza czesnym w wysokości zł 20,- jeden raz płatne w roku szkolnym. Prywatne szkoły średnie pobierały tzw. czesne co miesiąc z góry. Za brata i siostrę ojciec co miesiąc z góry wpłacał 50,- zł. Prywatne Gimnazjum Kupieckie Ks.Ks.Pijarów kosztowało ojca rocznie zł 500,- /dla porównania koszt budowy kilkuizbowego domu drewnianego zamykał się w kwocie ok. tysiąca złotych/. Rektorem był Ks. Klemens Czabanowski, a dyrektorem świeckim Henryk Żeligowski, brat generała Lucjana Żeligowskiego. Jeszcze wyższe opłaty czesnego obowiązywały w Prywatnym Koedukacyjnym Gimnazjum Ogólnokształc.

Związku Osadników-dyrektorował dr Józef Mężyk. Jeszcze jedna szkoła prywatna zawodowa pod nazwą "Prywatna Szkoła Żeńska Krawiecko-Bieliźniarska Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet" zabezpieczała naukę dla dziewcząt, które z różnych względów nie podejmowały nauki na poziomie średnim. Sieć szkolna zabezpieczała ówczesne zapotrzebowanie społeczne, zwłaszcza że część młodzieży mogło zdobywać naukę rzemiosła w licznych warsztatach rzemieślniczych. Trzeba gwoli sprawiedliwości przyznać, że nauka była kosztowna i nie każda rodzina mogła kształcić swoje dzieci na poziomie średnim i wyższym, a te które kształciły się, były solidnie przypilnowane przez rodziców, aby nie pozostawały w tej samej klasie, ponieważ repetacja kosztowała znacznie więcej. We wszystkich szkołach, zarówno powszechnych jak i średnich, obowiązywał uniform i czapka oraz tarcza na rękawie dla rozpoznania przynależności oraz oceny zachowania się poza szkołą w miejscach publicznych. Rygor ten był obligatoryjny bez żadnych ustępstw i usprawiedliwienia, a sankcje były surowe, lub surowe i kosztowne. W porównaniu z młodzieżą szkolną lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, było to wychowanie niemal spartańskie, ale owocne, kształcące charakter, osobowość i postawę społeczno-obywatelską, patriotyczną. Współczesna młodzież nie napawa optymizmem, widać to po zachowaniu się w miejscach publicznych, w zakładach pracy, w szkołach i uczelniach, ba nawet w rodzinach i osiedlach, niestety brudnych, niszczonech bezmyślnie lub złośliwie, brak szacunku dla rodziców i ludzi starszych. Wprawdzie działają poza szkołą i uczelnią różne organizacje szkolne, ale ich oddziaływanie nie ma nic wspólnego z patriotyzmem narodowym, a wychowanie ogranicza się w efekcie do strony polityczno-zawodowej, niestety z nikłymi rezultatami.

W szkołach przedwojennych także były organizacje szkolne. Kilka z nich posiadało te same nazwy co dzisiaj, ale mimo to, nie mają one żadnego odniesienia do dawnych. Harcerstwo było organizacją elitarną pod względem moralnym, nie politycznym jak dzisiaj. Harcerzem mógł być tylko ten uczeń /uczennica/, który nie miał ocen niedostatecznych, bardzo dobre sprawowanie, a wśród starszej młodzieży nie pił napojów alkoholowych lub alkoholizowanych, nie palił tytoniu. Tym samym wymaganiom podlegali nauczyciele i wychowawcy, opiekunowie harcerstwa. Kryteria te zostały zaprzepaszczone i kto wie, czy kiedykolwiek wrócą, dla dobra społecznego i obywatelskiego.

Osobiście do Związku Harcerstwa Polskiego szczęścia nie miałem. Pierwsza wyprawa zastępu, jeszcze w Szkole przy Gedyminowskiej, w podchodach miała osiągnąć las oddalony o 5 km od miasta i rozbić

biwak. Marsz z podchodami sytysfakcjonował i powiódł się znakomicie, mimo że byliśmy obładowani jak juczne wielbłądy i zmęczeni. Nagle rozszalała się wichura, spadł ulewny deszcz, któremu towarzyszyły liczne wyładowania atmosferyczne. Z pośpiechem pozbywaliśmy się metalowych przedmiotów, by jak nas uczono, zapobiec ściągnięciu pioruna. Nie zdążyliśmy ustawić namiotów więc przemokliśmy do przysłowiowej nitki. Próby rozniecenia ognia również nie powiodły się, bo suszu nie było, a to co mieliśmy w zasięgu nie dało się rozniecić. Zapadła decyzja powrotu, w konsekwencji kilkudniowa absencja z powodu kataru i różnych komplikacji. Niestety rodzice zakazali mi dalszych wędrówek, a to spowodowało moje wystąpienie z harcerstwa. Podczas nauki w gimnazjum, w klasie I, usiłowałem ponownie wstąpić do ZHP. Była zima mroźna i śnieżna. Wyruszyliśmy z drużyną na całodzienny biwak, znowu nie mogliśmy rozniecić ognia i zagrzać kawy na rozgrzewkę. Skończyło się jak za pierwszym razem.

W szkołach były także inne organizacje, jak PCK /Polski Czerwony Krzyż/, LMiK /Liga Morska i Kolonialna/, PBK /Polski Biały Krzyż/, LOPP /Liga Obrony Powietrznej Państwa/. Byłem członkiem PCK, LMiK i LOPP. Składka, chyba roczna, wynosiła 1 zł od członka. Najwięcej korzyści odniosłem z PCK. Składały się na to umiejętności niesienia pierwszej pomocy, opatrywania ran, złamań itp. Atrakcyjną była także LOPP. Oprócz znajomości zagrożenia powietrznego oraz zwiedzania lotniska i samolotów, odbywały się zajęcia z maską gazową, a imponujące mi było założenie, zdejmowanie i ponowne zakładanie maski w bunkrze ćwiczebnym wypełnionym gazem łzawiącym po wystrzeleniu nawet trzech naboju wypełnionych gazem. Trzeba było dużej wprawy i szybkości, aby nie poddać się silnemu łzawieniu. W drugim i trzecim roku nauki obowiązywało w szkołach średnich tzw. przysposobienie wojskowe. Rodzeństwo i ja mieliśmy zatem drelichowe mundury oraz furażerkę ze znaczkami i orzełkiem. Obok zajęć teoretycznych, była musztra, czołganie się, zajęcia z plecakiem na czas, a także poznawanie broni długiej, składanie, rozkładanie, czyszczenie i td. Te zajęcia cieszyły się dużym zainteresowaniem, nigdy nie nużyły, były zawsze oczekiwane owe dwa dni w tygodniu przez dwie godziny. Rozwijały one również sprawność fizyczną. Szkoły średnie posiadały boiska sportowe funkcjonalnie urządzone, sale gimnastyczne, zimą lodowiska. Tylko szkoła nr 5 na Gedyminowskiej nie posiadała sali, ani boiska. Przez trzy lata szkolne musieliśmy ćwiczyć na boisku rekreacyjnym szkoły, a zimą wychodziliśmy na Zamek, gdzie urządzone było lodowisko miejskie z nagłośnieniem /muzyką/ oraz oświetlone latarniami. W dzielnicy Wygon był stadion

wyłącznie do użytku dorosłych zawodników i klubów sportowych. Ponadto miasto dysponowało innymi jeszcze urządzeniami i obiektami kulturalnymi: Ognisko Kolejowe z salą teatralną, w której byliśmy częstymi gośćmi, trzy kina: Edison, Nirwano, Maleńkie. Kino Nirwano uległo spaleniu, chodziłem oglądać pogorzeliiska. Zlokalizowane było na ulicy ściśle zabudowanej, więc akcja ratunkowa była szczególnie utrudniona. Na tym miejscu zbudowano nowe kino, ale nazwy w tej chwili nie pamiętam. ^(Ewa) Najwykwintniej urządzone było kino Edison. Właściciel kina miał całą twarz w bliznach, wskutek przeżycia pożaru kina w innej miejscowości. Pożary zdarzały się w owych czasach, ponieważ taśma filmowa była produkowana z materiałów łatwopalnych, dzisiaj przeciwnie. Wystrój wnętrza tego kina był wspaniały. W holu mnóstwo miejsc siedzących wykładanych czerwonym aksamitem. Biletarzy chodzili ubrani w czerwone liberie ze złotymi wyłogami i lampasami, mając czako na głowie. Ponieważ nasz kuzyn-łokator Adam Żemojtel, z racji wykonywanego stanowiska w Urzędzie Skarbowym, dysponował bezpłatnymi biletami, często je mi odstępował, na skutek czego zaliczałem się do stałych bywalców kina. Pamiętam całą serię filmów z Tarzanem, Huragan, ba/nawet Doktor pięknych pań i inne nie zawsze dozwolone dla młodzieży, ale jako stały bywalec byłem zawsze usadowiony w miejscu niekrępującym i mało widocznym, za co biletarowi wysupływałem resztki babcinych 50 groszówek. Wśród obiektów o charakterze kulturalnym były trzy biblioteki. Niezależnie od szkolnych, tam można było wypożyczać nieco ciekawsze książki, a wypożyczając dodać sobie dwa lata więcej do wieku, upoważniającego wypożyczenie pozycji dozwolonej dla starszej młodzieży. W dzisiejszych czasach wychowanie przebiega bez dozoru i nadzoru społecznego poza rodzicami, a ci często sami nie zawsze są przygotowani do wychowania innych. Lida posiadała własną prasę lokalną: Ziemia Lidzka, Gazeta Lidzka oraz mutację Kuriera Wileńskiego. Nie wiem dlaczego w naszym domu nie spotykałem lokalnej prasy. *Widzianeks/*

Z obiektów użyteczności publicznej miasto posiadało: dwie elektrownie, w tym jedna kolejowa obsługująca obiekty własne oraz najbliższe ulice, wodociągi dwa, w tym jeden kolejowy, KKO /Komunalną Kasę Oszczędności, Ludowy Bank Spółdzielczy, Wileński Prywatny Bank Handlowy S.A. Oddział Dewizowy w Lidzie, Poczta Główną w nowoczesnym budynku z oszklonym dachem i podjazdem asfaltowym- na owe czasy wielka nowość oraz trzy urzędy pocztowe w kilku rejonach miasta. Był także szpital miejski i 5 przychodni tzw. Kasy Chor-ych, ale najczęściej każda rodzina "miała" własnego lekarza prywatnego, bo tak jak dziś społeczna służba zdrowia nie cieszyła się uznaniem.

Miasto dysponowała także lecznicą dla zwierząt, której klientami bywały nasze zwierzęta domowe.

Lida nie miała wielkich parków, tylko skromny skwer, nie było także kąpieliska ani basenów /poza łaźnią miejską?/. Funkcję kąpieliska spełniały dla młodzieży i starszych trochę dzieci, doły, czyli glinianki pozostałe z wyeksploatowanych pokładów gliny na miejscu starych cegielni poza miastem, ale najczęściej rzeczka Lidzieja, zwana zdrobniale Lidziejką, bo była najbliższa i przepływała skrajem miasta z północy na południe, szczególnie zaś starego koryta zakola, pozostałe po uregulowaniu rzeki.

Oknem na świat był duży i dobrze urządzonego dworzec kolejowy. Dobrze, bo posiadał poczekalnię I klasy z wygodnymi miękkimi siedzeniami, ogromnymi palmami bardzo zdobiacymi salę oraz z wykwinnym bufetem, dla podróżnych z biletami klasy I. O ile dobrze przypominam, na kolejach państwowych przed 1939 r., pasażerowie mogli korzystać /podróżować/ z wagonów trzech klas. Linie kolejowe rozchodziły się w czterech, na przeciwległych biegunach stron świata, kierunkach: Wilno, Baranowicze, Mołodeczno, Warszawa przez Mosty, Wołkowysk. Koleje były wówczas bardzo drogie. Bilet do Wilna klasy II na odległość 100 km kosztował 4 zł, tyle co cztery kilogramy cukru, a za 5 zł można było kupić buty skórzane na gumowej podeszwie dla chłopca lub dziewczynki w wieku kilkunastu lat. Były to buty czeskie lub produkowane na licencji czeskiej firmy "Bata." Komunikacja kolejowa była wówczas najdostępniejsza. Dworzec autobusowy mieścił się opodal skwerku, w pobliżu kościoła farnego. Linie autobusowe należały do spółki prywatnej, zatem ich koszt był wyższy niż przejazd pociągiem. Kilkakrotnie podróżowałem sam, a konduktor wysadzał mnie w miejscu przeznaczenia, bo byłem bardzo młodym wówczas pasażerem. Autobusy kursowały, jak mi wiadomo, do Nowogródka, Grodna i innych miasteczek pozbawionych szerokotorowej linii kolejowej. Była także w powieci kolejka wąskotorowa, pasażerska, którą nie raz dojeżdżałem do Nowojelni /ośrodek wypoczynkowy i sanatoryjny/. By pozostać w zgodzie z prawdą, nie jechałem w roli kuracjusza, lecz do krewnych i znajomych na wakacje letnie.

Jak każde miasto powiatowe, Lida była siedzibą starostwa, prawie vis a vis kościoła farnego. W budynku tym bywałem, ponieważ tam pracował mój ojciec. Starostą był tuż przed wojną Stanisław Gąssowski, były inspektor szkolny, u którego swego czasu nasza klasa piąta z ul. Gedyminowskiej, pod opieką wychowawczyni pielęła ogródek pana inspektora, na dalekiej ulicy Suwalskiej. Otrzymaliśmy wtedy bardzo smakowite i obfite śniadanko, a z naszej pracy pan

inspektor był bardzo zadowolony. Przypominam, że praca ta została wykonana w ramach lekcji przyrody, by odróżnić rośliny uprawne od podłych chwastów. Bezpośrednim opiekunem naszej pracy społecznej i nauczycielką przyrody była p. Nosowiczówna, prawdopodobnie przekonana, iż w tym niewielkim miasteczku dzieci szkolne za mało interesowały się rolą i ogródkami warzywnymi.

Zwierzchnikiem mego ojca na co dzień był wicestarosta inż. Jerzy Zawadzki, bardzo miły i gościnnie pan, który w przypadku mojej wizyty w biurze Starostwa chętnie rozmawiał ze mną ilekroć tam bywałem. Wprawdzie nie tak często, lecz w ważnych przypadkach, kiedy na przykład potrzebowałem pilnie trochę groszy. Obok urzędu mieścił się w skrzydle budynku Wydział Powiatowy, dalej Wydział Drogowy. Zarząd Miejski, czyli Magistrat, dysponował własnym budynkiem-ratuszem. Najważniejszy fotel magistracki zajmował burmistrz miasta Lidy Józef Zadurski, prywatnie ojciec koleżanki gimnazjalnej.

Nad spokojem mieszkańców i nad porządkiem miasta, również nawet pod względem czystości, panowały szeregi Policji Państwowej rozmieszczone między Powiatową Komendą Policji i tylko jednym posterunkiem na 25 tys. mieszkańców. Prokuratorzy urzędowali w Prokuraturze, byli też adwokaci, Sąd Grodzki i Zamiejscowy Wydział Wileńskiego Sądu Okręgowego, a dla aresztowanych więzienie śledcze przy ulicy Syrokomli, zaś dla skazanych więzienie pamiętające carskie czasy przy ul. 3-Maja, z drewnianymi podłogami i mnóstwem insektów. W wieku 15 i pół lat, podczas okupacji sowieckiej dane mi było rozpocząć odsiadkę a konto zaocznie przypisanego mi wyroku na lat 5.

Najciekawsze wspomnienia miasta, to liczne imprezy, obchody, kiermasze, odpusty, loterie fantowe na cele dobroczynne. Co roku zjeżdżał z Warszawy wielki cyrk Staniewskich ze zwierzyńcem, sławy europejskiej. Najpierw ciekawił dziatwę wjazd wagonów cyrkowych na dziedziniec Zamku Gedymina po dosyć stromym stoku. Wagony były ciągnięte traktorami, a mimo to musiały być z tyłu pchane przez słonie. Na głowy zakładano słoniom poduszki specjalnie przystosowane do tego celu. Asystowała tym zabiegom młodzież z pobliskiej szkoły i inni gapie. Atrakcją były przedstawienia cyrkowe na bardzo wysokim poziomie artystycznym, tresura zwierząt itp. numery cyrkowe, którym nie dorównują dzisiejsze przedstawienia. W przerwach można było popatrzeć z bliska na zwierzęta egzotyczne ułożone w wagonach cyrkowych. Zmieniane programy, uzupełniane innymi występami, zmuszały do kilkurazowych odwiedzeń i wydatków.

Na zamku odbywały się uroczystości państwowe, wiece, pochody i defilady nie raz kończyły się na zamkowym placu, podobnie jak proce-

sje Bożego Ciała. Skromniejsze imprezy odbywały się na "ryнку" koło kościoła farnego. Spośród ciekawszych: targi na "Kaziuka" z obwarzankami z miasteczka Smorgonie, sławnego na cały świat. Nie ze względu na wyjątkowo smaczne obwarzanki, lecz z "Akademii Smorgońskiej" znanej z hodowli i tresury niedźwiedzi. Encyklopedie niemal całego świata nie gardzą hasłem "Smorgonie." Na tymże rynku, na loterii zorganizowanej w celach dobroczynnych wygrałem onegdaj autentyczną gęś, z którą paradowałem szczęśliwy i dumny do domu.

Do większych atrakcji zaliczam wizyty w 5 pułku lotniczym, który spraszał społeczeństwo miasta na uroczystości związane ze świętem lotnictwa. Ciekawe imprezy, pokazy lotnicze, wspaniała orkiestra, defilada, to dla młodego chłopca przeżycie zawsze atrakcyjne i niezwykłe. Niegdyś na białym koniu defiladę przyjmował sam generał Rydz-Śmigły - Marszałek Polski. Przy sprzyjającej pogodzie odbywały się loty nad miastem za niezbyt skromną opłatą 5 zł. Nie korzystałem, ale cel został osiągnięty innym razem, całkowicie za darmo.

Moje miasto to nie tylko ulice, budynki, instytucje, imprezy, to przede wszystkim kochani ludzie kresowi z otwartym sercem, gościnni, prawdziwi patrioci, wierni obywatele ojczyzny. Kiedy spotykamy się po latach, traktujemy siebie jak członków rodziny. Wracamy myślami ku naszej Ziemi Ojczystej, wspomagamy się, niesiemy pomoc i pocieszenie. Pamiętamy tych co o Nią walczyli i za Nią oddali życie.

wyrazem tego niech będą słowa Modlitwy Pielgrzyma-Adama Mickiewicza z Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego:
" Panie Boże Wszechmogący! Dzieci Narodu wojennego wznoszą ku Tobie, ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algeru, i z Francji ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie! i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! Zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam, modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed Ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej, pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie, nie nasza wola, ale Twoja. Amen."

"W jaki sposób się to stało,
Jeśli Bogu tak się zdało,
Możemy wam opowiedzieć,
Skoro chcecie o tym wiedzieć."

Gall Anonim

RODOWODY RODZINNE

Społeczność Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej charakteryzowała się ludnością z dawien dawna osiadłą, czy to w miastach, czy na wsi. Z dziada pradziada rody tkwiły w swoich majątkach, zaściankach zwanych okolica, folwarkach, tudzież na mniejszych gospodarstwach we wsiach, przysiółkach i koloniach. Ludności napływowej bywało niewiele, ze względu na brak przemysłu, a w starych fabryczkach, np. w Lidzie, stanowiska pracy "dziedziczył" ojciec po dziadku, syn po ojcu. Znali się tedy niemal wszyscy, także samo z dziada pradziada, w gminie, w powiecie, w miasteczku lub w dzielnicy miasta.

Nikt więc nie przywiązywał wagi do historii rodowej. "Noszenie się" w szlacheństwie poczytywane być mogło za pretensjonalne. Zresztą jak pisał Adolf Dygasiński, "Praca oraz rzetelna cnota mają nieśkończenie wyższą wartość aniżeli konserwatywne herby i genealogiczne wywody, kto kogo rodzi." Podobnie traktowano ów problem w mojej rodzinie.

Gwoli wszystkim racjom, tudzież skromności, trzeba oddać co się komu należy. Wiadomo, że w szufladach leżały stare dokumenty i jakaś pieczęć rodowa, że od czasu do czasu ktoś zbaczał w dyskusjach na temat szlacheństwa, szczególnie podczas odwiedzin różnych pociotków lub bliżej spokrewnionych rodzin. Starzy snuli swoje wspomnienia, jak ja próbuję to robić. Dzieci natomiast z mniejszym zainteresowaniem chwytają luźne określenia i lokowały je /lub nie lokowały, w swojej pamięci.

Genealogia nie stanowiła nigdy odrębnego tematu w gronie rodzinnym. Rodzice nie zaprzęтали tym głowy swoim dzieciom. Wystarczyło, że znali dziadków, bliższych i dalszych kuzynów, odwiedzali się wzajemnie, podziwiali dorobek materialny przede wszystkim ze względu na położenie ich siedziby, wystrój domu, inne charakterystyczne dlań cechy. Czasem ktoś spokrewniony próbował dotrzeć wstecz do któregoś pokolenia, a wtedy napotykał na trudności nie do pokonania. Pogubiło się to i owo w pamięci, zawieruszyło się w papierach.

Zupełnie niewiele wiedziałem o ojcu i jego przodkach, chociaż prawie co roku, zjeżdżała z Warszawy jego rodzina.

Dopiero w wieku dojrzałym udało mi się dotrzeć do szerszego grona rodzinnego.

RODOWÓD PO MIECZU

Ojciec Stefan Stanisławski urodził się 2 lipca 1896 r. w Przyłęgu, gm. Sobolew, w dawnej Ziemi Sandomierskiej, współcześnie zaliczonego do woj. warszawskiego, na południowym jego krańcu. Zmarł w 1965 roku. Był najmłodszym dzieckiem w licznej rodzinie kowala Jana Stanisławskiego i matki Marii. Musiał dziad Jan mieć się rzemiosła /być może po pradziadku/, ponieważ ze skromnego gospodarstwa nie byłby w stanie wyżywić ośmioro dzieci: czterech córek i tyluż synów- rodzeństwa mojego ojca.

- Małgorzata - zamężna Wiktorowiczowa z Kosewa pod Nowym Dworem Mazowieckim. Miała dwóch synów Bolesława i Bronisława oraz dwie córki Stanisławę i Marię, zmarła.
- Paulina - zamężna Andrzejewska z Warszawy, z ul. Marii Kazimierzy, zmarła w latach 50-tych. Miała trzech synów: Józefa, z niego córka Stanisława, synowie: Eugeniusz w Warszawie, Józef- lekarz, obecnie w Kuwejcie.
Stefana i Zygmunta, oraz trzy córki:
Janinę z synem Siedlikowskim Stanisławem w Warszawie na Żeraniu,
Helenę,
Lodkę w Krynicy Zdroju, gdzie z mężem prowadzi zakład dentystyczny.
- Marianna - zamężna Zajac w Przyłęgu, zmarła w Otwocku w latach 70-tych. Miała trzech synów:
Franciszka - w okolicach Stargardu Szczecińskiego,
Jana, (?) *Zmarł w 1987r.*
Edwarda w Łaskarzewie, obuwnika, oraz trzy córki:
Helenę i Janinę,
Irenę- zamężną Waćkowska w Otwocku, z niej dzieci: Leszek w Białobrzegach Radomskich, Andrzej i Wiesław w Otwocku, Wanda zam. Opala w Otwocku i Urszula zam. Kaliszuk w Warszawie, łącznie 6 wnucząt z tych dzieci.
- Helena - zamężna Papiernik w USA z dziećmi i wnukami, zmarła.
- Albin - z dziećmi: Ignacy, Janina, Stefania, -zmarł.
- Bronisław - krawiec w Warszawie, ul. Ruda Dolna 9, później w Nasielsku, a zmarł w Piechowicach k. Jeleniej Góry, sterilis.
- Ignacy - inżynier gorzelnictwa w Winnicy na Podolu, wcielonej Traktatem Ryskim w 1920 r, dnia 21 marca, do Rosji Sowieckiej, tam został niewinnie stracony w r. 1937, po wojnie 1945 r zrehabilitowany. Jego żona z d. Statkiewicz _

Ignacy miał córkę Halinę i syna Witolda-lekarza pułkownika, którzy po wojnie wrócili do Polski. Halina - z córką i wnuczką mieszkają w Lublinie, Witold z żoną Ludmiłą /także lekarką/ i córką Wandą, oraz wnuczka Zofia, w Poznaniu. Ludmiła jest z pochodzenia Rosjanką.

W prostej linii męskiej zostało tylko dwóch żyjących potomków Stanisławskich: Witold w Poznaniu w wieku lat 76 i Jan-autor nin. pamiętników, w wieku lat 64. Z ich śmiercią wygasa rodzina Stanisławskich, ponieważ nie mają własnych potomków rodzaju męskiego /dot. 1988 r./

Podobnie nie można cofnąć się do początków wieku XIX. Brak dokumentów i innych źródeł przekazu, nie pozwala ustalić innych linii genealogicznych, równoległe do dziadka Jana Stanisławskiego, wychodzących z dziadka rodzeństwa.

Domniemywać można, że dziad Jan miał rodzeństwo. Wynika to z wypisów heraldycznych sporządzonych przez Ryszarda Stanisławskiego, historyka sztuki i kustosa muzeum m. Łodzi, który udowadniał mojemu bratu stryjecznemu Witoldowi z Poznania pokrewieństwo z nim oraz ciągłość rodu Stanisławskich od XV wieku. Zadawszy sobie trudu skonfrontowania wypisów z Herbarzem Polskim Kaspra Niesieckiego wydanym przez Jana Nepomucena Bobrowicza w 10 tomach, w Lipsku, wydawnictwo Breitkopfa i Wertela R. 1840, stwierdziłem zgodność tychże wypisów dokonanych przez wspomnianego Ryszarda Stanisławskiego do r. 1814. Do innych źródeł późniejszych i do nowszych opracowań heraldycznych nie dane mi było dotrzeć, które by wypełniły lukę od 1814 do 1890 r. i potwierdziły, również w tej części, ustalenia nieznanego mi osobście Ryszarda S. z m. Łodzi.

Wypisał On co następuje:

" Genealogia Domu starożytnego Pilawów na Stanisławicach Stanisławskich na Rusi, Podolskim i innych wizytuach dobrze osiadłych, bierze swój początek od Żyrośława Rycerza, który zaraz z młodych lat krew i życie za obronę Ojczyzny poświęcił; Ten z Bolesławem Krzywoustym w ostatniej Halickiej z Rusią potyczce w r. 1133 Rycerskich Dzieł założył pierwiastki, a z Bolesławem Kędzierzawem trojakiem na nieprzyjaciółach otrzymał zwycięstwo, jako świadczy Kromer i Bielski r. 1155. Rzczony Żyrośław, w krwawe zasługi zalecony, w których rekompense, liczne wziął dobra, za świadectwem Paprockiego i Okolskiego, jednego tylko syna Alexandra koło roku 1200, swego sukcesora zostawił, żył ten koło roku 1200, któremu wkrótce Elegium przypisał Okolski: /Vir Bello et amore datus/: Ale i to niemniejsza sława, że się stał Ojcem wielu przezacnych Familii w Polsce; z ośmiu albowiem synów

których spłodził, każdy ojcowskie dobra rozebrawszy, od onych się pisać zaczął, które potem Imię i następcy ich dziedziczyli. Od tego Alexandra directe Pilawitowie pochodzą: z Moskarzewa Moskarzewscy, z Kamieniecka Kamienieccy, z Potoka Potoccy, z Tworowa Tworowscy, z Stanisławic Stanisławscy, z Borowa Borowscy, z Stokowa Stokowscy, z Buczacza Buczaccy, inni zaś od tych rozplenieni Liebo familia Stanisławskich od wieku 12, w tym wieku być zaczęła, atoli dla trudności od owego zebrania, porządkiem krwi, związku i dokumentów autentycznych dopiero od w.14-go ciągle aż do teraz żyjących osób umieszcza się Prowidencyje:

1414 R. Dorosław na Stanisławicach w Radomskim Powiecie będących osiadłych Pilawitów Stanisławski spłodził syna 1-go Macieja /Probatur Paprocki w Herbarzu swoim folio 296-Niesiecki, T.IV, folio 185/.

Piotr na Stanisławicach Stanisławski syn Dorosława zostawił 1-go syna Jana-/Probatur Niesiecki w T.IV, folio 184/.

1493 R. Jan na Stanisławicach Stanisławski ożeniony z Beatą Wilkowską, siostrą Leonarda i Mikołaja Wilkowskich. Z tą miał synów dwóch: Kacpera i Feliksa-/Probatur Actis Castron Radomiensibus/

1527 R. Kacper na Stanisławicach Stanisławski Stolnik Sandomierski, Rotmistrz Królewski pojął za żonę z Niezaczyc Niezacką, z tą spłodził syna 1-go także Kacpera. Wspomniany Stolnik po przepędzonym wieku młodym przy Dworze Cesarskim wróciwszy do Polski Zygmunt I Król szanując go sobie uczynił go Rotmistrem, w wielu potyczkach z nieprzyjacielem dał dowód męstwa swego, o czem pisze Paprocki.

Feliks Stanisławski dzielny rycerz z okazji z Tatarami miłość swoją ku Ojczyźnie krwią i śmiercią na placu zapieczętował - zmarł sterilis.

1551 R. Kacper na Stanisławicach Stanisławski, syn Kacpera Stolnika Sandomierskiego, Podczaszy Sanocki był czterożenny, 1^o z Krasicką od tej syna 1-go Balcera majęwszy, 2^o z Milanowską z tej synów trzech Michała, Marcina, i Kacpera, a córek dwie Jordanova i Fararejowa majęwszy, 3^o z Raczkówną-sterilis, 4^o z Kozicką syn jeden Adam był spłodzon. /Probatur Documento formationis 1559 in C-stro Cracoviensis fici 2-go ante Natefretatis S.:Joannis Baptistae/.

1580 R. Michał Stanisławski syn Kacpera z Milanowskiej urodzony, Podkomorzy Podolski i Rotmistrz Wojsk JKM na dunajowie cum attinentus Dziedzic 2-ech żenny: 1^o z Elżbietą Herbutówną Kasztelanką Halicką, z tą miał syna 1-go Samuela - sterilem ,

i córkę Annę zakonnice w Wieluniu, 2^o- z Jadwigą Danielewiczówną; syn Adam i córka Barbara zakonnice w Samborze.

Kacper Stanisławski syn Kacpera z Milanowskiej urodzony, podkomorzy Sanocki 2-ch żemny: 1^o z Anną Decyanówną miał 2-ch synów Michała i Zygmunta i córek cztery: Annę za Mikołajem Lanckorońskim, Eufrozinę zakonnice, Zofię i Elżbietę; 2 voto z Fredrówną zostawił córkę Teofilę panną.

Adam Stanisławski syn Kacpera Podczaszego Sanockiego z Kozickiej urodzony, Sędzia Wojskowy, Mąż Rycerski.

1623 R. Adam Stanisławski syn Michała Podkomorzego urodzony mąż Rycerski czego dał dowód pod Chocimem Kasztelan Halicki ożeniony z Agnieszką Krożelewską, z tą miał syna Michała i córkę Konstancję 1^o voto Koniecpolską, 2^o voto Grudzińską-sterilis-
/Probatum Locum: in Castro cum menensasafi V-ta pt Frun. S. Stanislaus Opis: 1610 factis Zygmunt Stanisławski syn Kacpera z Decyanówny xx Opat Orłowski Sekretarz Królewski.

Michał Stanisławski syn Kacpera z Decyanówny Kasztelan Kamieniecki 1639 r. z Maryanną Czarytówną miał syna Kacpera i córkę Eufrozinę.

1661 R. Michał Jan Stanisławski najpierw Chorąży Halicki, potem Kasztelan Sanocki, na koniec wojewoda Kijowski Dóbr Dunajgradu Szałowa, Maciejowa etc etc cum atte: Dziedzic 2-ch żemny, 1^o- z Krystyną de Berków Szyszkowską miał synów 2-ch Franciszka i Piotra, i córkę Annę. Probat.: Locum: Nonationis in Castro Cracoviensis Sawałka post annerum cum: 1665 et alias Fraussa: Tenże wojewoda Kijowski miał za sobą 2^o voto Annę Potocką Wojewodziankę Braclawską- z tej sterilis.

Kacper Stanisławski młodo zmarł. Eufrozyna Stanisławska 1^o voto za Piotrem Potockim starostą śmiałym, 2^o voto za Jerzym Michałem x-ciem Czartoryskim Wojewodą Sandomierskim.

1681 R. Franciszek Stanisławski ożeniony z Katarzyną Czartoryską zostawił syna jednego Michała.

Piotr Stanisławski-sterilis.

Anna Stanisławska córka Michała Wojewody Kijowskiego siostra Franciszka i Piotra Stanisławskich 1^o voto Warszycza, 2^o voto Oleśnicka, 3^o voto Zbąska-sterilis.

1725 R. Michał Stanisławski syn Franciszka, urodzony z Czartoryskiej miał za sobą Helenę Godziętkowską, części warownej w Sieradzkim Dziedziczką, z tą dwóch synów Andrzeja i Józefa.

1764 R. Andrzej Stanisławski 2-ch żemny, 1^o z Katarzyną Podlecką,

z tą synów dwóch Macieja i Wojciecha, 2^o z Teofilą Gnoińską, z tą córkę jedną za Maciejem Kołnowskim.

Józef Stanisławski Stolnik Drobiecki dwuzenny, 1^o z Maryanną Koczańską, z tą synów 2-ech Antoniego i Franciszka, córkę Domicellę za Antonim Kołakowskim, 2^o z Madaleńską- z tą miał syna jednego Maxymiliana i córek dwie Barbarę za Ordęgą i Franciszkę za Andrzejem Milewskim.

1778 R. Maciej Stanisławski z Esterą Głoskowską miał synów 3-ch: Józefa, Andrzeja i Wojciecha i córek dwie Maryannę i Salomeę.

Wojciech Stanisławski dwuzenny: 1^o z Agnieszką Stokowską żył bezpotomnie, 2^o z Maryanną Niemojewska miał syna Tomasza.

Antoni Stanisławski z Julianną Lempicką zostawił synów 4-ch: Jana, Heliodora, Jakóba i Ignacego i córkę Zofię.

Franciszek Stanisławski zmarł bezpotomnie.

Maxymilian Stanisławski z Anną Klichowską miał córkę Maryannę.

1794 R. Józef Stanisławski dwuzenny, 1^o z Rozalią Rafalską żył bezpotomnie, 2^o z Joanną Kronkowską, z tą synów trzech: Aleksander, Ignacy, Roman.

Andrzej Stanisławski był porucznikiem w wojsku i na wyspie San Domingo zmarł bezpotomnie.

Wojciech Stanisławski z Balbiną Wyżykowską pozostawił synów dwóch Józefa i Feliksa, córki dwie: Emilię i Maryannę.

Tomasz Stanisławski zmarł bezpotomnie.

Jan Heliodor i Jakób Stanisławscy zmarli bezpotomnie.

Ignacy Stanisławski z Romaną Truszkowską zostawił syna Kazimierza i córkę Józefę. Zofia zmarła bezpotomnie.

1814 R. Aleksander Stanisławski s. Józefa z Kronkowskiej z Hieronimą Rokossowską miał syna Władysława zmarłego w dzieciństwie i Maryannę Zuzannę za Krzysztofem Fiedlerem.

Ignacy Stanisławski s. Józefa z Kronkowskiej w młodości zmarł

Roman Stanisławski s. Józefa z Kronkowskiej z Anielą Bogusławską zmarł bezpotomnie.

Józef Stanisławski s. Wojciecha z Wyżykowskiej z Grabską Justyną miał synów Bronisława zmarłego bezpotomnie, Edmunda ożenionego z Górzyńską Ludomirą miał córkę Aleksandrę.

Feliks Stanisławski s. Wojciecha z Wyżykowskiej w małości zmarł.

Emilia Stanisławska i Maryanna córki Wojciecha z Wyżykowskiej wyszły za mąż za Kobierzyckiego i Rudnickiego.

Kazimierz Stanisławski s. Ignacego z Truszkowskiej ożeniony z Laurą Wasiłowską miał synów: Adama, Ignacego, Kazimierza i dwie córki: Helenę i Marię.

Ogólnie rzecz traktując warto zaakcentować, iż urzędy i dostojności dworskie, a także szlachectwo, zrodziły się w krajach nadwiślańskich w końcu pierwszego tysiąclecia. Za autorem Herbarza Polskiego- ks. Kaspra Niesieckiego, zagadnienie rozkłada się w czasie na określone przezeń okresy:

I. 964 - 1139, lat 175 "Popiel był rex regnum et dux ducum, królów królem i książęciem książąt, to jest: miał pod swem berłem w państwie swoim, królów, kneziów czyli kniaziów, księdzów czyli książąt, wojewodów, naczelnych różnych ziem, powiatów, gmin, a za zgodą powszechną mianował ducem, to jest: wojewodą Ziemowita. Byli to wszystko dostojnicy, wysokie urzęda, na których czele stał Król Popiel, jako pierwszy, jako monarcha. Do wszystkich urzędów, do urzędników przez króla mianowanych, należał bezwątpienia starosta /gubernator/. Najniższą władzą kmiet, wiec kmiecy, czyli rada kmieca, jako najwyższa gminna władza, z Królestwem dziedzicznym znikła.

Dwór wszakże Popiela, Ziemowita i jego blizkich następców nie miał jeszcze tej wystawy jaką pozyskał z czasem, nie był jeszcze takim tłumem urzędu i dostojników otoczony, jak z czasem, kiedy Królestwa Polskiego, i obszerność urosła, i pewniejsza jedność ześrodkowała się i spoiła. Nowochrzczeniec Mieczysław, pewnie tej dworskiej wystawie dał znamienite rozwinięcie, a potężny Bolesław Wielki przekazał do najwyższego stopnia pośnięty przepych, swoim następcom.

Dzieje wprzód znają Lechitów, niż ich potomków z Lechitów pochodzących zlehciców, czyli ślachtę, szlachtę. Miano szlachty pochodzi od Lechitów. W krajach nadwiślańskich aż ku Odrze, przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, Kmiecie czyli lud pospolity wolny, zarówno z Lechitami praw obywatelskich używał. Gdyby nie było innych o tem zapewniających okoliczności, samo wyniesienie kmiecej rodziny Piastów na tron, byłoby dostatecznym do przeświadczenia o tej prawdzie zdaniem. Kmiecie posiadali części ziemi, równe, niedzielne, obciążone obowiązkiem ku włóści, służebne: między nimi nie było bogaczy, była równość. Lechici posiadali różnej obszerności ziemie, uległe dzieleniu się dziedziców, wolne: w żadnym czasie nie brakowało u nich, obok bogaczy, biednych hołyszów, nie było równości. Stosunki między temi szczepami obywatelskimi, bardzo były rozmaite: pokrewnili się mieszanemi małżeństwami, kmiecie w Lechitów przechodzili, bratali się słowem na jednymże polu, ale razem o pierwszeństwo dobijali. Nierzadka bywała zwada i krew bratnia przelana. A lubo Kmiecie niekiedy byli górą, z temwszystkiem Lechici snadniej brali przewagę, imie ich głośnem sie stawało i mieli już niemałą, gdy chrześcijaństwo rozkrzewione i cywilizacja zachodnia, nowych im do wyniesienia się dostarczyła środków.

Wszakże to potrzebowało czasu i nie stało się bez krwawego boju. Bolesław wielki musiał koić wymagania kmieci, powściągać i w harmonii utrzymywać oba szczepy. Lecz po wygnaniu Ryxy 1036, rozogniła się wojna domowa między obywatelami. Kmiecie usiłowali osiągnąć panowanie, lechitów w poddaństwo obrócić. Kazimierz restaurator był między zwaśnionymi pośrednikiem, zwyciężył upornych, a odtąd kmiecie wyższe obywatelstwo stracili, wyższych dostojności dostąpić nie mogli. Tłąła więc w poniżonych żalność, gdy się objawiło nowe niechęci źródło. Zlechcice nie tylko ich za coś niższego poczytywali, ale za lud służebny, któremu więcej córek swych w małżeństwo dawać nie chcieli. Obrażeni wieloletnią koleją, za Bolesława Śmiałego 1078 zerwali się: a pochwyciwszy w małżeństwa zlechciców córki, które chętnie ich za małżonków przyjęły, obwarowali się w obronnych zamkach, których straż powierzoną mieli i z bronią w rękę, a wypraw wojennych wracającym zlechcicom czoło stawili, na lat kilka wojnę rozpalając domową. Obstawiał za nimi Bolesław Śmiały, a gdy ich los do ostatka się zachwiał, w tedy i on z kraju ustąpić musiał, przekazując zwyciężonemu ludowi, w dalekie pokolenia czułą swego imienia pamięć. Zwyciężonym odjęto straż zamków, rozbrojono ich, a przystęp do urzędów i posług publicznych, coraz szczelniej przed nimi zamknięty: oni za poddanych poczytani a ich ostatnie powstanie, niewolnictwa poburzeniem nazwane. Niezaraz jednak do zupełnego rozesobnienia przyszło. Przeciągały braterstwo, powiązane z dawną rodziną pokrewieństwa. Za Władysława Hermana, z kmiecego ludu do niższych urzędów powoływani byli. Choć nadszedł czas koło roku 1160, w którym podobąło się biskupowi Krakowskiemu, w imię zlechciców, wydawanie ich córek za kmieci, kazi-rodnem małżeństwem nazywać: wszakże kmieć równie z zlechcicem był ziemianinem terrigena, długo praw cywilnych zażywał, ze zlechcicem na jednejże ławie zasiadał. Lecz zlechciców sprawa długo bardzo niejasna była i nieustatkowana. Wzieli wszyscy miano potomków lechickich, z lechciców, ślachty: ale przewodzili między nimi jedynie możni, i wspólnie z potomkami Krzywoustego Lechją czyli Polskę rozrywali. Byli to nobiles, wspólną sprawę czyniący z seniorami sąsiedniemi zachodu. Gościnni bardzo, bo skoro między nimi, im równy dostojny osiadł cudzoziemiec, do współnictwa obywatelskiego przypuścili go chętnie. Nie tak łatwi byli dla niższych plemienia swego bojowników: milites. Gościnnie dopuszczali z cudzoziemskimi swobodami, cudzoziemcom osiadać po wsiach i po miastach, a opuszczali w zatracenie starodawne ludu wedle prawa Polskiego swobody.

II. 1139 - 1400, lat 260. "Za potomków Krzywoustego, gdy Polska popadła w coraz liczniejsze podziały na księstwa, nastąpiło dworskiego urzędu z różnych powodów, pomnożenie, rozkrzewienie i rozpowszechnienie niezmierne. Zjawiły się nowe stanowiska dla tworzenia nowych dostojenstw. Nieodrzeczy przebiec szereg tych dostojności i urzędów. Chorąży, stolnik, cześnik i podczaszy, skarbnik i podskarbi, łowczy i podłowczy, koniuszy i podkoniuszy, miecznik-noszący przed królem miecz, komorzy i podkomorzy zawiadujący komorą i skarbem książęcym. Marszałek ukazuje się od 1271 r., marszałek nadworny od 1364 r., sędzia nadworny 1243, podsędek 1287, prokurator 1206, kanclerz i podkanclerzy etc..."

"We dwieście lat po odniesionem nad ludem zwycięstwie /ok.1300/, i potem jeszcze między tymi co szczyt obywatelstwa posiadli, a tymi co się przy podrzędnem obywatelstwie utrzymali, nie było jednostajności. Były tamto pany, z ojca na synów i w dalekie potomki Pany, comites: to jest, sami jedynie dostojni, wysokie godności trzymający, których głowa równej była wartości, jak głowa biskupa, przed wszystkimi zacniejsi nobiles. Niższego rzędu tłum, viri communes, milites, ile dopuszczeni do posług obywatelskich lub na polu boju, byli ich towarzyszami, wiercami, zwiercami, swircałkami, włodikami, nazywani, a tych głowa lewie połowę wartości pierwszych dochodzić mogła. Niżej jeszcze stali, z kmieci do ślacheckiej godności przypuszczani. Liczyli się do bojowników, milites, ale niezaraz mogli prawa obywatelskie pozyskać. Zostawiony był im czas kilku pokoleń odkrewniania się od stanu kmiecego, z którego wyniesieni zostali, nimby się mogli z czystą krwią szlachecką zrównać.

Ale między samemi panami, nie każdy był w stanie zbrojne poczty równie liczne wieść do boju; nie każdy mógł swe chorągwie i znaki rozwinąć, do którychby się drugiego rzędu zwiercy, śwircałki czepiali. Ci co na to zdobyć się mogli, zapotrzebowali rodziny swej znamion, aby też same na pieczęciach mieścić. Przystroili się słowem herbem, klejnotem szlactwa swego. A w tej mierze, rzucili się w naśladownictwo cudzoziemskie, tak, iż jeśli wprost cudzoziemskich nie przyswoili sobie znaków, to swoje jakie mogli mieć z przodków, na cudzoziemskie przedzierzgnęli, aby się herbami stały. Naśladowali ich bojownicy inni, milites, bo pieczęci potrzebowali. Rozpowszechniało się klejnotne szlactwo. Pańskie rodziny nie zmieniały raz ustalonych swoich znamion: a przynajmniej rzadko a i to uroczyście. Co zaś do niższych, ich znaków, towarzyszy, każdy brał, jakie się mu podobało. Żaden przepis tego nie wzbraniał, zmiana owszem

była zwyczajem, bo trzeba było ustawy zastrzegającej aby synowie za życia ojca pieczęci swych herbów niezmieniali. Po zgonie ojca upodobaniu swemu zadość uczynić było im wolno.

W takim stanie jeszcze nieustatkowana była sprawa lechickich potomków, gdy się kłuć poczęło spojenie rozerwanych części Lechji, naostatek do zlewka dążących. Łokietek zarówno wszystkich powołał do boju i do rady, do obrony wskrzeszonego Królestwa i utrzymanie jego jedności /1319-1331/. Potomki lechickie pojęły to dobrze, a duch braterstwa od wieków znany, nie był już płonnym wyrazem, tworzył stan szlachecki, biorący nazwę stanu rycerskiego, ordo equestris, /Ritterschaft/; zacierał odwieczne różnice. Postęp tego pojęcia i z tąd wynikających konieczności, tak był żywy, że Kazimierz Wielki w Wielkiej Polsce, już nieznalazł różnicy tacy za zabójstwo: wszystkiego stanu rycerskiego głowa, już była jednej ceny. Zarazem w Małej Polsce, w Kujawach, Mazowszu, też równość i jednostajność wnet nastąpiła.

A gdy 1359. na Wołoszczyźnie w lasach Płoniny, ostatnie niebezpieczeństwo niepomyślnej groziło wyprawie, wywoływała szlachta, że jawi się chwila paniczów, iść naprzód, kiedy chcą być na dworze i u króla pierwszemi panami, comites, hrabiami. Od owego dnia, pany i panicze zaprzestali odróżniać się tym tytułem: a kiedy w lat sześćdziesiąt, 1420. Jagiełło skłaniał się na żądanie żony, wynieść na hrabstwo piasierba swego Jana Granowskiego z Pilcy Pileckiego; chcąc dla niego ziemskie hrabstwo utworzyć, nalegał na biskupa Krakowskiego podówczas kanclerza aby do gotowego aktu pieczęć przyłożyć, ten odmówił, nie chcąc dopuścić tak szkodliwej rzeczy, równości uwłaczającej.

Szlachta w stan rycerski zawiązana, poczęła swój obręb określać i odosabniać. Z razu 1347. wywody swe na wywodach rodowości oparła; wnet potem, gdy klejnot herbowy blasku dodawał, przepis 1412. 1418. wywodów herbowych zażądał. Było to korzystne jakiś czas dla panów i paniczów, bo się w ich rodzinach wcześniej herby zagnieździły aniżeli u reszty szlachty; lecz z czasem, niebyło szlachcica coby nie mógł w antenatach, szeregu herbów ukazać. Szlachcic rodził się ze szlachcica, uszlachcał małżonkę. Kondycja przeto matki nie czyniła ujmy szlachectwu potomków, tylko ich pozbawiała wstępnego po kądzieli herbów wyvodu. Poczęła zatem szlachta więcej niż dotąd unikać, nietylko małżeństw mieszanych, ale mieszania się, i bratania z nie-szlachtą. Dotąd jeszcze niebyło zdrożnością dla szlachty, zając się jakim bądź zatrudnieniem choćby wyszynkiem po karczmach. Następnie staje się to nieprzyzwoitem, a nie inny im handel przystoi, tylko ten który bezpośrednio z rolniczych i gospodarstwa wiejskiego wynikał trudów: bo szlachectwa znamieniem nie co innego, tylko rola,

oręż. Jeszcze w spotkaniu między uboższą szlachtą a kmięciami niewygasłe były, starodawne braterstwo i zażyłość: przepisy ustawy 1419. 1420. zalecają jej, aby się nie wdawała z ludem, grożąc, że nieznamą sprawiedliwości, jeśli się jej działa krzywda, gdy na jednej z kmięciem usiądą ławie. Używający kmięć prawa cywilnego, dotąd jako ziemianin, terrigena, mógł nieszlachectwo szlachcicowi zarzucić: ustawa 1420. wzbronila mu tego nadal. Jeszcze jednak, i czas jakiś potem, kmięć za ziemianina poczytywany. Ale kiedy ziemstwa szlacheckie udojrzały się a stan rycerski potężne ciało przybierał, kiedy na ostatek wyszedł 1496., że mieszczenie nie szlachta ziem posiadać nie mogą, które jedynie posiadłością stanu rycerskiego być mają; wtedy kmięć koniecznie przestał być w ich obliczu ziemianinem; ziemię uprawiał, nieposiadał. Gdy tak z jednej strony krańce sobie szlachta zakreślała, w ciele stanu swego podnosiła hasło równości. Co więc było w obyczaju głównych wielkich rodzin, to nie wszystka szlachta przyswaja. Każdy nietylko że klejnotem herbu zaszczycił i panem uczynił, ale prócz imienia, prócz przypadkowych przydomków, każdy przybierał sobie nazwisko i w rodzinie swej ustalał. Ci co wprzód dokładali do imienia chrzesnego z jakiej byli posiadłości własnej, z jakiej włości, w której posiadłość mieli, albo z jakiego miejsca gdzie byli zasiedzieli; ci zamiast łacińskiego de polskiego ze, zakończeniem na ski tegoż dodatku, zamieniając go w przymiotnik dzierżawny, tworzyli nazwisko i wyrażali niem czego byli posiadaczami. Zamiast jak wprzód pisano: z Czarnkowa, z Obor, z Zamościa, z Potoku, z Szydłowa, z Oleśnicy: pisać poczęli: Czarnkowski, Oborski, Zamojski, Potocki, etc. Nazwiska herbom dane, ułatwiały razem jednym wyrazem przy imieniu chrześnym czy osobistem i przy imieniu rodzinnem czyli nazwisku, wymienić oraz klejnot szlachecki. To było dla wszystkich równie. Jedyny dziedzicowy tytuł czyli zaszczyt szlachcica, nobilis, odróżniał każdego równie od nieszlachty, od plebejów, a zapewniała w stanie rycerskim równość. To było urodzenie: bene natus. Nikt w równości stanu rycerskiego, poniżonym być niemógł, nikt się wynosić, że coś wyższego poczytywać, nikt jakim innem dziedzicznym odróżnieniem odznaczać: bo wszelki dziedziczny, nad szlachectwo przyswojony zaszczyt uwłaczał by równości. Zasada ta już doszła była do tego stopnia, że możliwym panom wielce stawała się niedogodną: bo silna czynność ludu szlacheckiego, poniewierała i zacierała ich znikome odróżniania się. Dawno im już przestało służyć miano grafa, comitis; potem, z publicznych narad wyrzucona baronów nazwa, rychlej jeszcze wzgardzie podana, samym panom w porównaniu z zagranicznymi tytułami za lichą się wydawała, nie widzieli bowiem z baronów żadnego panującego:

tylko panującym podległych. W krajowym przecie obrębie. nie było dla nich czego się chwycić, aby swe rodziny dziedziczne odróżnić. Niedosć jednak im było, że osobiście dodatkiem i zaszczytami stali, pragnęli oddziału. Gdy się tedy nienadawała sposobność jawnego, urzędowego odróżniania, z cicha przynajmniej, prywatnie rodziny szukały środków: albo jakieś zagubione i zapomniane tytuły odgrzebać i odżywić, albo nowe pogańbywać lub potworzyć. Usiłowały dla swego imienia, majoraty zakładać lub na jaki sposób nadzwyczajne dobrami rozporządzenia czynić. Tych ostatnich Zygmunt Stary niedopuszczył. Tarnowskich majorat 1519. zniósł. W tymże czasie wymyślona wyłączność Lubianiecka Godziemców nieutrzymała się. Ale z cicha, przez różne rodziny przybieranym albo przyskiwanym hrabskim tytułom trudno było zapobiedz. Czarnkowsy^{cy} powoływali się na przestarzałe comesa /pana/ uczczenie. Latolscy na Łabiszynie twierdzili, że Łabiszyn jest hrabstwem. Inni przypominali sobie przynajmniej, że parę wieków wprzód, między ich przodkami, znajdowali się comites /pany,panicze/. Inni nowe tytuły hrabiów darem obcych mocarzy nabywali. Rafał Leszczyński, w służbie Cesarza Fryderyka III. będący, otrzymał 1476. od niego hrabstwo na Lesznie: jak gdyby Cesarz miał prawo ziemiami Polskimi rozporządzać, kiedy przed sześćdziesiąt laty Jagiełło tego dla Pileckiego nie mógł. Łukasz Górka 1518. Stanisław Ostroróg, Jan Tarnowski za Zygmunta Starego, dla swych rodzin hrabstwo dziedziczne cesarstwa, comites sacri romani imperii przyjęli. Pięknie było że Kościelecki podobne cesarskie hrabstwo, a Szydłowiecki, księztwa udzielenie, odrzucili. Ależ Odrowąż samowolnie hrabią się mianował z powodu że księżniczkę Mazowiecką poślubił.

Dorywcze to, posobnione odróżnianie się, mało obrażało potężnego ducha szlacheckiego, a niezad^{wo}niało życzeń możliwych. Mniemali dopięć czegoś powszechniejszego gdy się w stutysięcznej szlachcie 1537. pode Lwowem rozkaz wiązał, Kokoszą wojną zwany. Tam ponowili żądania i napierali na Starego Zygmunta, aby z nich wyższy od szlacheckiego stan utworzył, coby rozpustę szlachecką powściągał. wszakże groźna ludu szlacheckiego postawa i Zygmunta rozsądek wstrzymały zamach. Wnet ukazały się wprawdzie nowe niezwykle dobrami rozporządzenia: Paniowskie Zbożnych, Krzemienowickie Kietlińskich, inne Odrowążów, Karśnickich, takowe 1537.-1540. nietrwale uzyskały: ale od tej pory, chęć odróżniania się czas jakiś osłabła. Równość i nieodróżnianie się w stanie rycerskim zapewnione i ustalone zostały, więcej żadnem natręctwem niezagrożone. // Przypisy: Za Zygmunta Augusta Maxymilian II. Cesarz, udzielać miał hrabstwo Krasińskiemu- o czym milczy Niesiecki T.V.p. 365-366-. Rozdrażewscy, w blizkim czasie, między latami 1560.a 1640., pozyskiwali potwierdzenie hrabstwa swego: u trzech Papieżów, trzech

Cesarzów i czterech Królów Polskich; u Papieży: Piusa V, umarł 1572, Grzegorza XIII + 1585, Klemensa VIII + 1644; u Cesarzów: Ferdynanda I. + 1564, Maxymiliana II. + 1576, Rudolfa II. + 1612; u Królów Polskich: Zygmunta Augusta + 1572, Henryka + 1574, Batorego + 1587, Zygmunta III. + 1632. //

Jedynie tedy osobiste zasługi osobiście zasłużone krajowe zaszczyty mogły z braci szlachty jednych nad drugimi podnosić; zaszczytu znak jedynie tylko w czasie pełnienia obowiązku trzymany, mógł być ozdobą. Wreszcie żadnego odróżnienia, ni munduru, ni jakiego stroju osobnego, ni ozdoby mogącej być ciągle noszonej. Szable przy boku, klejnotny sygnet na palcu, wszystkich równemi czyniły. Nic też obcego nie powinno było równości w stanie rycerskim nadwerężyć."

"Co się działo na Litwie, to za Jagiellonów nie ze wszystkim jeszcze do Polski należało. Tam były kniazie, pany; szlachta nareszcie; która szlacheckich Polskich prerogatyw nieposiadała; otrzymać one kiedyś spodziewała się, bo obietnice miała. Zapowiedziane jej to było 1413. w Horodle, wtedy, kiedy pany ze szlachty polskiej, swemi herbami, kniaziów i panów Litewskich obdarzyli. Zagnieździły się tedy i rozplądzały po Litwie i Rusi nazwy herbów Polskich, na wzór których wyradzały się nowe własnego wymysłu. Ale to szło z góry. Możliwe rodziny rozwijały klejnotu szlacheckiego blask. Radziwiłłowiczów, czyli Radziwiłłów potężna posiadłościami i znaczeniem rodzina, aby się zrównać z kniaziami, w 1515. i 1518., pozyskała tytuły cudzoziemskie książąt rzeszy Niemieckiej, które im Cesarz udzielił. Litwa mająca licznych kniaziów których za książąt poczytywała, nie mogła zaprzeczać nabywcom tytułu Fürst, książęcego. Nieznany jej był tytuł Grafa, wszakże gdy w Polsce się zagnieździł pokątnie, co mogła Litwa rzec przeciwko, kiedy koło 1550. Chodkiewicz począł się pisać grafem na Szklowie i Myszy; jak mogła niedozwalać tej nowości innym? To Polski wcale nietyczyło.

Zygmunt August mógł w Litwie to, czego w Polsce nie mógł: bo go Litwa za dziedzica uznawała. Chcąc tedy Unią zjednać i Litwę do coaegnacji z Polską zbliżyć, 1564. stworzył w niej dla szlachty sejmiki, a dla sejmików szlachtę tworzył. Przyznawał szlachectwo posiadającym ziemie chrześcijanom obrządku łacińskiego, obrządku greckiego uniatom schizmatikom i machometanom co w Litwie zamieszkali. Przyznawał go pojedynczym i z pod służebności pańskiej i kniaziowskiej wyzwał; przyznawał gminom całym na Polisiu i herby im nadawał. Gmina Lubycza w Bełżkim, przyległa Litwie i Rusi, stanęła z tym, że wszystkie jej rodziny są kniaziowskie, książęce, gdyż z dawna dawien, nieinaczej

się między sobą czciły. Wydał jej stosownie do żądania Zygmunt August przywilej kniaziostwa powszechnego; a jakżeby mógł uznania odmówić, gdy mnogo było kniaziów po Litwie i Rusi i kiedy rozmaitej innej drużynie kniaziostwa nieprzeczo.

w Polsce, ni książąt, ni księstw niebyło. W senacie siedziało kilku biskupów, księstwa rzeczywiste posiadających: Warmiński Warmią, Krakowski Siewierskie: ci, nie wazyli się z tem publicznie przed stanami występować. Z ziem szlachta książęca miana pozmiatała. Ani Mazowsze nie utrzymało go, straciwszy książąt 1525. stało się województwem. Książę Pruskie Królewieckie z tytułem swoim, jedno w senacie zasiadło, a to tak niemiłe było stanowi rycerskiemu, że się braci szlachty Pruskiej wyrzekali, jako poddanych senatora obrażającego stan rycerski.

Panowie rad Litewskich, pisując do panów rad Polskich, senatorom i sanatorskiego rzędu dostojnikom, dla czci miano kniaziów dawali. Zabawnie się to szlachcie wydawało, wywodząc nazwę kniazia, z puszczy i kniejów Litewskich wyszłą. Gdy nareszcie nadeszła chwila Unji, jeden z najtwardszych do zgryzienia orzechów, było zatarcie kniaziostwa, a zaszczepienie równości szlacheckiej w Litwie i na Rusi. W tym uroczystym razie, znaleźli się czynni pośrednicy w latach 1564. 1569. skłaniający mnogich kniaziów do zrzeczenia się i zaniechania tytułów, a szlachtę do wyrozumiałości, aby uczyniła małe koncesye i zostawiła wolność każdemu cieszenia się kniaziostwem, pod warunkiem aby to w żaden sposób, równości szlacheckiej niedergowało. Pracowali nad tem Ostroróg, Alexander Czartoryski, Tęczyński i wielu panów ze strony Litwy i Polski. W tym czasie w recessie Warszawskim 1564. przyłączenia Litwy, wymienieni są jako kniazie dla których służyła koncesya, Radziwiłłowie, Czartoryski, Zbarazscy i Łukomscy. W Unji samej 1569. zastrzeżono, że w tym sposobie, zachowane są i dozwolone kniaziowskie rodzinom tytuły, Litwy i województw Kijowskiego, Wołyńskiego i Braclawskiego, a po imieniu, kniaziom, Ostrogskim, Czartoryskim, Sanguszkom, Wiśniowieckim, a hrabiom Tęczyńskim i Oleśnickim. Wszakże dobrze jest zwrócić na to uwagę, że hrabstwa Tęczyńskich i Oleśnickich nie były w Litwie, ani w województwach Ruskich tylko w Koronie. To się stało za Zygmunta Augusta.

Pod panowaniem Batorego, zmieniły się zawady do wyłączności. Batory nie miał do nich wstrętu i podobały się nieco Zamojskiemu. Radziwiłłowie utworzyli sobie 1579. ordynacye, to jest majoraty, na Ołyce i Nieświeżu, Mirze i Klecku; Jan Zamojski 1589. na Zamościu; Ostrogscy 1618. na Ostrogu i Dubnie; a margrabiowie Myszkowscy koło

1600. na Pińczowie. Piękny był do tego powód, to jest utrzymania twierdzy i siły zbrojnej na obronę Rzeczypospolitej, lub szkoły dla rozkrzewienia nauk. Co w ówczas zrobiono, pozostało: więcej tego być nie miało, jako z równością stanu szlacheckiego niezgodne.

Zygmunt Myszkowski jeżdżąc do Włoch zaprzyjaźnił się z księciem Mantuy Gonzagą od niego do margrabstwa i Gonzega imienia dopuszczony, takowego z nim pokumania się potwierdzenie od Papieża Klemensa VIII wyjednał, na tem prawie oparty, margrabstwo i ordynacją Pińczowską erygował.

Za krańcami Rzeczypospolitej szukali tytułów i zaszczytów: Jerzy Mniszek wydał 1603. córkę za cara Moskwy; Jan Radziwiłł poślubił 1613. córkę margrabiów Brandenburskich; Wiśniowieccy krewnili się z Mohylami panującymi w Mołdawii. -Mikołaj Folej i Zamojski odrzucili od Filipa II Króla Hiszpańskiego i III orderu i tytuły."=

" Nieobrażało stan rycerski, że się senat bracią starszą mienił, a szlachtę młodszą bracią nazywał. Znosił cierpliwie gdy pany od siebie zagonową i drobną szlachtę, w potocznym użyciu odróżniali; niebrała ona za uwłaczanie sobie, gdy ją szaraczkami od jej stroju lub sukmany zwano: ale oburzone tem, co się na dworze Władysława IV działo, gniewna na kanclerza, który wielu miał nieprzyjaciół, takim lekceważeniem swych zasad równości do żywego podrażniona, wzięła się powściągnąć dalszy tego postęp i temu co działo się głowę zetrzeć. Ustawą tedy 1638. zakazała starać się o podobne tytuły, . zakazała one przyjmować: Ustawą z 1641. wzbronienie ponowiła, a nie inaczej się czcić tylko terminem bracia rozrodzeni, przepisała. Tytułów zaś dziedzicznych, choć Unją Lubelską dopuszczonych nawet w ziemstwie i grodztwie wymieniać, pod odpowiedzialnością wzbroniła."

" Szlachta zaś, nieprzystając, na surowych ponawianych zakazach, ponawiając 1673.; rzuciła zakazę infamji na tych, coby przez używanie cudzoziemskich tytułów, ozdób, herbów lub pieczęci, równość z szlachecką obrażali ; i tacy przed trybunałem są odpowiedzialni. Ucichła wreszcie w wewnętrznym stanie rycerskiego kole zatarga, przed groźnymi wypadkami, które się zwały na Rzeczpospolitą: pięciu obcych nieprzyjaciół wtargnienie, pod hasłem Kozackim, powstanie ludu, stawiały ją nad przepaścią zguby."

"Było też potrzebą stanu rycerskiego i z innej strony krańce sobie zakreślić. Zbyteczna gościnność i łatwość wchodzenia w jego koło, mianowicie cudzoziemcom, stawały się niedogodne jego duchowi wyłączości. Nie tyle w tej mierze troszczyć poczęło uszlachcanie, co mieszanie się ze stanem rycerskim szlachty cudzoziemskiej. Przed

Jagiellonami jeszcze zastrzegła sobie szlachta, aby do urzędów sami tylko krajowcy indigenae, na miejscu urodzeni powoływani byli. Za Jagiellonów lubo toż samo uręczane bywało, zjawiały się wszakże utyskiwania, że cudzoziemiec miał sobie do urzędów drogę otwartą. Kiedy Polska na księstwa rozerwaną była, cudzoziemcem nieraz wydał się ziemianin jednej ziemi, ziemianinowi innej; za Jagiellonów tedy w dopięciu urzędów i dostojności Litwini z Polakiem byli sobie cudzoziemcami. Myśl zlewku jedności stanu rycerskiego zacierała te miejscowe wyłączości. Od Unji Lubelskiej Polak w Litwie, a Litwin w Polsce, nie był więcej cudzoziemcem. Jedna prowincya Pruska strzegła wyłączości miejscowej swojej: a lubo Prusak w Polsce i Litwie, nie był cudzoziemcem, szedł bez przeszkody do wszelkich dostojności: w Prusiech, szlachcic Polski i Litewski do końca nie mógł osiąść miejscowego tej prowincyi urzędu, bez wzięcia indigeneatu, gdyż był dla niej cudzoziemcem.

Z dawna uszlachcania, nobilitacye i nadawanie obywatelstwa indygeneatów, nie było królom zaprzeczane. Tem prawem majestatu, nie tylko pojedynczym osobom takowe udzielali, ale i mogli przepisać prawo osiągnięcia szlachectwa, jakto 1535. Zygmunt Stary dla doktorów uniwersytetu Krakowskiego uczynił, a co rozciągnięte zostało do uniwersytetów: Królewieckiego i Wileńskiego 1676. Stanowił jakosmy wspomnieli szlachtę i przywilejował Zygmunt August w Litwie i na Rusi. Wreszcie królom rzadko uszlachcaniem trudnić się przyszło, mało kto do nich się udał, mając pospolicie łatwości miejscowe: a w tej potrzebie w jakiej się Zygmunt August znalazł, żaden z poprzedników nie był.

Z dawna pospolitsze było uszlachcanie i indygenowanie miejscowe, jak to sobie Prusy do końca dochowały. Każdy mógł do imienia swego lub do herbu przypuszczać. Był to rodzaj przysposobienia, adoptio, od wieków w użyciu będącej. Tak na sejmie Horodelskim 1413. Litwę Polska do herbów swych przypuszczała. Tak różni panowie, wtórując niejako łatwości Zygmunta Augusta, za powodem może Zamojskiego do swych herbów nizkie zasłużone rodziny przybierali i uszlachcały, Hetmani uczuli się być możni zasłużonym w boju szlachectwo udzielać. Wreszcie, w każdej ziemi szlachta, niezaprzeczała sobie prawa, na sposób prowincyi Pruskiej, wedle swego upodobania uszlachcać. Książętom biskupom, nikt nie zaprzeczał prawa uszlachcania w ich księstwach i tej szlachty niezapierano się, nie była cudzoziemska. W Litwie, do ostatka, skoro w jakim powiecie dwónastu szlachty kogo do szlachectwa przypuściło, taki w stan rycerski wchodził. W Litwie nowo-chrzczęncy, chrztem uszlachceni byli i Statut 1588.

to prawo im zapewniał. Były to miejscowe zwyczaje, przeciw którym nie było sposobu.

Wszakże za Zygmunta Augusta mianowicie, objawiająca się powódź uszlachcania i indygenowania, zastanowiła baczność stanu rycerskiego. Na Sejmie 1578. niezaprzecząc wprowadzić prawa hetmanom, uchwalili że uszlachcania i indygenowania jedynie na sejmie i w wojsku udzielane być mogą. A że były już różne uszlachcania zapisane w aktach, więc 1607. nakazano pod nieważnością, wszelkie uszlachcania i indygenaty do akt wciągać, w konstytucjach one ogłaszać. Następnie ponawiane przepisy wymagały dla decyzji sejmu zalecań, szlachty, senatorów, posłów ziemskich, ministrów, hetmanów. Tymi rozporządzeniami, pozbawiono króla możności uszlachcania; ale nie zapobieżono zwyczajom miejscowym, bo któż co mógł przeciw nim.

Ustawa 1607., wymagająca do uszlachcania konstytucji wzbronila poniekąd partykularnych uszlachcań; zapowiedziała nawet utratę szlachectwa tym, co by do swych herbów bez wiedzy sejmu nieszlachtę przypuszczał. Nowo uszlachcony, novus homo, pospolicie był starodawnym mianem mówiąc "śwircząką". A gdyby kto przyswoił sobie szlachectwo, wdarł się doń nieprawnie, traci własność ziemską jakaby posiadał, zabrane mu będzie jure caduco i przypadnie temu kto nań proces przewiedzie."

"Zabójstwo fałszywego szlachcica bezkarnie uchodzi. Bracia rozrodzeni w równości bez różnicy mieli otwarte do wszystkiego prawo. Dobrze urodzony a posiadacz, bene natus et possessionatus mógł być zarówno posłem, urzędnikiem jakim bądź, wojewodą, królem."

- Tak więc dla przykładu, wykaz herbownych rodzin przypuszczonych do szlachectwa był dość obfity:

GRYP /czyli Swoboda/ wspólny 68 rodzinom- z czasów przedchrześcijańskich

KOŚCIESZA /albo Strzegomia/ wspólny 85 rodzinom, za Bolesława Śmiałego, 1072.

Radwan-wspólny 95 rodzinom, za Bolesława Śmiałego 1072.

ROLA /agricola/ wspólny 73 rodzinom,

SULIMA - wspólny 58 rodzinom,

SZELIGA - wspólny 45 rodzinom, za Leszka Czarnego , 1296.

POBOG-czyli Pobodze albo Poboże, wspólny 93 rodzinom, od czasów Bolesława Chrobrego, 1040.

LELIWA - wspólny 133 rodzinom, za Władysława Hermana, koło 1080.

PILAWA - za Kędzierzawego, 1166.

POGONIA czyli POGON- wspólny

SLEPOWRON- wspólny 108 rodzinom, za Leszka Białego , 1224. "

Jak Popiel w Polsce, tak na Litwie kroniki historyczne XIII wieku wymieniają Mendoga, jako pierwszego rex regnum et dux ducum, króla królów i księcia książąt. w dobie wystąpienia na widownię dziejową, Litwa składała się z wielkiej liczby drobnych monarchii, zaś władza monarchiczna powstała dopiero po chrzcie Mendoga / vide prof. Henryk Lowmiański: Studia nad dziejami wielkiego Księstwa Litewskiego, wyd. Uniwersytetu AM, Poznań 1983/.

Litwini, jako narodowość, ukształtowali się w XII w. na podstawie związków plemiennych ludów bałtyckich / Bałtowie, Galindowie, Prusowie/, auksztockich i żmudzkich, a następnie zasymilowali pokrewne sobie plemiona, m. in. Jaćwingów. Do tego okresu egzystowało mnóstwo księstw, stanowiących własność kniaziów, np.: Trojnat /Treniota/, Trojden, Lengewin, Dowmont -śmiertelny wróg Mendoga, Gierdeń, Żwinbud, Dowjat, Dowsprunk, Midoh, Wilikaił, Erdwił, Wykynt, Kintibut, Wonibut, Butowit, Wiżeik, Wiszimunt, Mindohot, i wielu, wielu innych.

MENDOG /Myndowe, Mindoh/ z Auksztoty, / ? - 1263/; wielki książę litewski; król litewski /1226 - 1236/; zjednoczył państewka plemienne i ziemie litewskie; przyłączył Ruś Czarną; 1251 przyjął chrzest; 1253 otrzymał od Papieża Innocentego IV koronę; prowadził walki z Krzyżakami.

VITENES /witenes/, / 1293 - 1315 /; w. książę litewski; najeżdżał Polskę, Inflanty i ziemie Zakonu Krzyżackiego.

GIEDYMIN / ? - 1341/; w. książę litewski; 1316. przyłączył do Litwy Podlasie, Polesie, Mińsk, Witebsk, a w walce z Krzyżakami Żmudź; ugruntował potęgę państwa litewskiego; był założycielem dynastii Gedyminowiczów.

OLGIERD / ? - 1377/; w. książę litewski od 1345 ; syn Giedymina; ojciec Władysława Jagiełły; rozszerzył znacznie granice państwa litewskiego /Smoleńsk, Twer, Starodub /; pokonał Tatarów 1362./ ; zajął Podole i Kijowszczyznę; walczył z Krzyżakami; Moskwą oraz Polską o Ruś Halicką.

KIEJSTUT /1297- 1382/; w. książę Trocki od 1345 do 1377; panował na Litwie razem ze swym bratem Olgierdem; ojciec Witolda; obrońca tradycji pogańskiej Litwy; walczył z Krzyżakami; wystąpił przeciw Jagielle, synowi i następcy Olgierda; zabity w niewoli u Jagiełły. Bracia Kiejstuta i Olgierda-księżęta:

Jawnuta Giedyminowicz - otrzymał Zaslów i nim rządził,

Narymunt

- władał Pińskiem i Połockiem,

Koriat - władał Nowogródkiem.

WITOLD / 1350 - 1430 /; w. książę litewski od 1392 ; syn Kiejstuta; brat stryjeczny Władysława Jagiełły; 1398 - 1401 władca niezależny od Jagiełły; 1389 pokonany nad Worskłą przez Tatarów; prowadził wojny z księstwami ruskimi i Krzyżakami; scentralizował państwo litewskie.

JAGIEŁŁO /1348 - 1434/; w. książę litewski 1377 - 1392; syn wielkiego księcia Olgierda; na Królestwo Polskie obrany 1386; założyciel Polskiej dynastii Jagiellonów; 1385 zawarł układ w Krewie, w którym Jagiełło zobowiązał się m.in. do wcielenia Litwy do Polski; 1386-poślubił Królową Jadwigę i został ukoronowany; 1387- przeprowadził chrzest Litwy; prowadził wojny z Krzyżakami; 1410 dowodził w bitwie pod Grunwaldem; rozszerzył przywileje stanu szlacheckiego.

KAZIMIERZ II-Jagiellończyk /1427 - 1492/; syn Władysława Jagiełły; w. książę litewski; Królem Polski obrany 1447; pokonał opozycję możnowładców; 1454 nadał szlachcie przywileje nieszawskie, czyli rozciągnięcie na wszystkie ziemie polskie przywilejów nadanych dla szlachty wielkopolskiej w Ciekwicy, zapewniające niepowoływanie pospolitego ruszenia i nienakładanie nowych podatków bez zgody sejmików; prowadził 1454 - 1466 z Krzyżakami wojnę 13-letnią, w czasie której odzyskał Pomorze Gdańskie; przez małżeństwo z Elżbietą Habsburg uzyskał dla potomków prawa do tronu czeskiego i węgierskiego.

ALEXANDER II - Jagiellończyk /1461 - 1506/; syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki; w.książę litewski; księżęciem mianowany 1492; na Królestwo Polskie obrany 1501; szlachta za czasów jego panowania uzyskała podstawowe prerogatywy dla sejmu-Konstytucja Nihil Novi 1505.

ZYGMUNT I STARY /1467 - 1548/; syn Kazimierza Jagiellończyka; wielki książę litewski; księżęciem mianowany 1506; na Królestwo Polskie obrany 1507; zawarł sojusz z Habsburgami 1515; przeprowadził sekularyzację /usunięcie wpływów/ Zakonu Krzyżackiego; przyjął hołd Albrechta Hohenzollerna 1525; wcielił Mazowsze do Korony; za jego panowania nastąpił rozkwit gospodarczy i kulturalny Polski-początek Złotego Wieku.

ZYGMUNT II AUGUST /1520 - 1572/; syn Zygmunta Starego i Bony; wielki książę litewski; księciem mianowany 1529; Król Polski od 1548; formalnie zaś był Królem Polskim od 1529; poparł program reform egzekucji praw i dóbr; 1569 doprowadził do zawarcia Unii Polsko-Litewskiej w Lublinie; 1561 zhołdował Inflanty; walczył z Moskwą.

"Od tychże Wielkich Książąt Litewskich rozrodzone potomstwo, wielom Książęcym Familiom początkiem było; z których jedne jeszcze i po dziś dzień, w najwyższych w tej ojczyźnie krzesłach cnót swoich lustrą, dzień pospolitemu dobru niecą; wszakże niektóre z nich, insze sobie znaki rycerskie, za ojczyste klejnoty poprzybierali; jako to Książęta Wiśniowieccy, Zbarascy, Rożyńscy itd. Drugie zaś jeszcze się i teraz, tąż Pogonią, z przodków swoich razem ze krwią wziętą, zaszczycają. Są zaś te: ks.Czartoryscy, ks.Kopylscy, ks.Koreccy, ks.Koryatowiczowie, ks.Koszyrscy, ks.Kowelscy, ks.Sanguszkowie, ks.Słuccy, ks.Zasławscy w Litwie, luboć niektóre z nich już dawno zeszyły: o czem na swem miejscu." /Kasper Niesiecki S.J. Herbarz Polski wyd. przez Jana Nepomucena Bobrowicza w Lipsku, wyd. Breitkopfa i Härtela-1840., T.I, s.9-12/.

RODOWÓD PO KADZIELI

Ziemia rodzinna mojej matki Zofii Wismont leżała w strefie pogranicza, pomiędzy plemionami Bałtów i Słowian, ściślej biorąc: między Auksztotą a Dregowiczami, chociaż ci ostatni posiadali swą lokalizację aż nad Prypecią. Na mapie historycznej w.X /vide atlas historyczny Cz. Nanke i in., Warszawa 1967/ poza kolorem oznaczającym plemiona Słowiańszczyzny wschodniej, po stronie południowej biegu Niemna, aż do końca jego południowych dopływów, nie figuruje żadna nazwa. Stan ten potwierdza koncepcję badawczą prof. UAM Henryka Łowmiańskiego, iż poza Niemnem rozciągała się wielka strefa puszczy i kniejów, która była inwigilowana raz przez Litwinów, innym razem przez Rusinów, naprzemian, często na przestrzeni dziejów. Stąd właśnie na południe od Niemna spotykało się osiedla, później także miasta, zasiedlone częściowo przez ludność narodowości litewskiej. Zatem Lida i Ziemia Lidzka, zarówno ze względu na fizjografię, jak i litewskie pochodzenie nazwy Lida, zawsze znajdowały się w granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zresztą któż wie skąd przybyli pierwsi osadnicy.

Wspomniany badacz H.Łowmiański, a także wielu badaczy niemieckich bezspornie stwierdzili, iż w chwili ukazania się w IX i X w. pierwszych wiadomości historycznych, plemię Litwinów, mające dotąd swe siedziby nad Dnieprem i Berezyną, pod naporem Słowian w VI wieku, postępowo wzdłuż Niemna, przy czym dwa plemiona Litewskie przybrały nazwy od swego położenia: nad niższym biegiem rzeki Niemen-Żmudź, /tzn.kraj niższy/, nad wyższym biegiem rzeki Auksztota /tzn.kraj wyższy/. Wiadomo także, że w XIII w. Niemen był granicą pomiędzy województwami: wileńskim i nowogródzkim. Niesiecki w Herbarzu

Polskim, T.I, s.134 stwierdza m.in. "Wileńskie tedy województwo, najpierwsze między Litewskimi, ma w sobie cztery powiaty: Oszmiański, Lidzki, Wiłkomirski, Braclawski. Z tych Rycerstwo Wileńskie w Wilnie, Oszmiańskie w Oszmianie, Lidzkie w Lidzie, Wiłkomirskie w Wiłkomierzu, Braclawskie w Braclawiu, sejmikować zwykły, kędy każdy z powiatów po dwóch posłów na sejm obierają, że wszystkich dziesięciu bywa." Także Kronika Halicko-Wołyńska donosi, że Wojsiek Mendogowicz, nawrócony na chrześcijaństwo, wniósł sobie klasztor nad Niemnem między Litwą a Ziemią Nowogródzką, a właśnie Niemen oddzielał woj. nowogródzkie od woj. wileńskiego.

Bezspornym faktem jest, że matka moja nosiła nazwisko o brzmieniu litewskim. Wismont - jak Limont, Wismunt z 1469.z rodu Ruszlisa, Wiszimunt Marta- żona króla Mendoga a siostra jej zamężna Dowmont, Wisimont, bojar, za Kazimierza Jagiellończyka powiększył liczbę folwarków otrzymując na własność ziemie chłopów, którzy byli niesuamiennymi płatnikami króla w połowie XVI wieku. /vide prof.H.Łowmiański: Studia nad dziejami wielkiego Księstwa Litewskiego, Poznań 1983, UAM, strony: 202, 224, 314, 438/.

Trudno ustalić rodowód matki Zofii Wismont, ponieważ oryginalny dokument z odciskiem herbowej pieczęci Pogoni i Slepowrona pochodzi dopiero z 1863 roku /vide aneks/.

Tekst ten w tłumaczeniu na język polski brzmi następująco:

" Świadectwo. Wileńskiej Gubernii od Lidzkiego Powiatowego Marszałka Szlachty w tym, że ród Wismontów zatwierdzony w szlacheństwie dekretem Tymczasowego Urzędu Heroldi, w konsekwencji został zaliczony do Wileńskiego Szlacheckiego Zebrania Delegatów z dnia 27 lutego 1845 roku pod Nr 1260, i że w przedstawionym w 1863 roku szlacheckim spisie o rodzinach rodu Wismontów pozostali umieszczeni:

Antoni s. Ignacego, żona jego Antonina;

Zmarłego Józefa, s. Antoniego, żona Wincenta, synowie: Józef, Henryk,
Antoni i córka Waleria,

Michał s. Antoniego, żona jego Honorata, synowie:

1. Nikodem, żona jego Nikodema-Rozalia, syn Fadiej,
córki: Karolina, Franciszka, Petronela, i

2. Kazimierz-Michał s. Franciszka, żona jego Emilia,
Ksemen, s. Franciszka, żona jego Zofia, córki Kamila i Antonina,
Kazimierz, s. Franciszka, żona jego Julia, syn Bronisław i córka
Stefania,

Rafał s. Józefa, żona jego Malwina Wismont,

oraz Feliks i Ksawera, pierworodne dzieci od pierwszej brata żony

Michała s. Franciszka Wismonta.

Wiarygodność powyższego podpisem moim z przyłożeniem herbowej pieczęci potwierdzam, z tym że za wykorzystany na to świadectwo i podanie czerpalny papier wszystkiego jeden rubel dwadzieścia kopiejek przyjęto celem odesłania po przynależności. Miasto Lida, w grudniu, 30 dnia 1863 roku. Marszałek Szlachty /-/ J. Butkiewicz." Z lewej strony odcisk pieczęci herbowej, z prawej stempel Rosji carskiej z napisem:widnažitielstwo Lidskaho Ujezdnoho Policejskaho Uprawlenia. Wpis: 22 lipca 1900. Nr.96.podpis- Emilia,c. Rafała, Wismont."

Dokument, przytoczony wyżej, stanowi świadectwo macierzystej krwi, sięgającego siódmego pokolenia, rodu Wismontów. Słabą stroną tego dokumentu jest to, że obejmuje on okres od ok.1845., w nawiązaniu do wileńskiego Szlacheckiego Zebrania Delegatów.

Wzmianka wcześniejsza o rodzie Wismontów znajduje się w T.X. cytowanego wcześniej Herbarza Polskiego, w którym zamieszczony został, cytuję:...." Dodatek do Herbarza Polskiego, obejmujący dalsze rodowodowe wiadomości niektórych rodziny w tem dziele umieszczonych, i wszystkie szlacheckie familie, przez tegoż /w.m.Niesieckiego/ nie umieszczone a przez późniejszych heraldyków wspomniane, jako też te których szlachectwo według wierzytelnych dokumentów, żadnej niepodpada wątpliwości."....Na str. 478, T.X. figuruje również ród Wismontów, pomiędzy innymi rodami, w układzie alfabetycznym:..."Wisłowski, Wismont, Wisnarzewski..."

W dokumencie rodzinnym, o którym poprzednio, nie został wyjaśniony własnoręczny podpis z datą i nr, Emilii, c. Rafała, Wismont; 22 czerwca 1900. Nr 96.

Ciąg dalszy rodowodu, w dobie współczesnej, nie nastęrcza trudności, jako że, dokumenty rodzinne i przekazy ustne, zawierają niewątpliwe informacje:

Rafał, s.Józefa, Wismont / ? - ? /; żona jego Malwina z domu Bołtuciówna, mieli dwoje dzieci:

Jan, s.Rafała, Wismont;

Emilia, c.Rafała, Wismont;

Pradziad Rafał Wismont, s.Józefa, wywodził się z rodowego zaścianka- okolicy Wismonty. Kiedy syn Jan wydorósł, Rafał Wismont przeprowadził się do okolicy Dolina, położonej 8 km za Lidą, w kierunku Szczuczyna, pozostawiając dziedziczne Wismonty synowi.

Jan, s.Rafała, Wismont /1872 - 1900/, ożeniony z Izabelą Bogdanowiczówną, wywodzącą się z okolicy Dąbrowica, gdzieś nad Niemnem, na skraju Puszczy Zaniemeńskiej, miał dwoje dzieci:

Zofia, zamężna Stanisławska /moja matka- ur. 1897 zm. 1957/,
Antoni wismont /1898 - 1902/, zmarł w Lidzie w wieku 3 lat, już
osierocony po śmierci ojca Jana /1900/, jako ostatni potomek
męski rodu wismontów w tej linii genealogicznej.

Wyżej wspomniana Zofia z d. wismont Stanisławska miała pięcioro
dzieci:

Romuald Stefan /1922 - ? /; zginął w Sowietach po roku 1942, naj-
pierw więziony w Lidzie, miał wówczas 18 lat życia, później w Bia-
łymstoku gdzie został skazany na 10 lat więzienia, następnie w Brze-
ściu n/Bugiem, skąd został wywieziony w głąb Rosji na Daleki Wschód
i tam, pracując w kopalni ponad swoje siły o chłódzie i głodzie,
zmarł na tyfus.

Irena Felicja /1923 - 1946/; zmarła i została pochowana w Drezdenku
opodał swojej matki Zofii, dokąd zostali wywiezieni z rodzinnej
Lidy. Przyczyną zgonu w wieku zaledwie 23 lat życia była ciężka
choroba spowodowana ciężką zimą i bardzo trudnymi warunkami życia
przed wysiedleniem. Mogła być uratowana, lecz w szpitalu wojskowym
sowieckim w Gorzowie Wielkopolskim odmówiono dla niej penicyliny.

Jan Czesław /1924 - - /; autor niniejszych wspomnień.

Dwóch chłopców bliźniaków; imion nie pamiętam, nie dochowały się
żadne dokumenty zgonu; zmarli w kilka tygodni po urodzeniu, jeden
po drugim w krótkim odstępie czasu.

O innych potomkach Wismontów w linii męskiej niczego mi nie wia-
domo. W Lidzie po sąsiedzku mieszkał Bronisław Wismont, s. Kazimierza
z Wismontów pierwszej linii. Miał dwóch dorosłych synów Aleksa i Wil-
helma, bezżennych. Wyszli z Lidy w 1945 r. zamieszkali: jeden
w Gdańsku, drugi gdzieś na Zachodnich Kresach Polski; ich dalsze
losy nie są mi znane, a prawdopodobnie zmarli bezpotomnie.

Znałem również kuzynkę Wismont w wieku starszą od mojej matki
Zofii. Była dentystką i prowadziła gabinet stomatologiczny również
w Liceum Ogólnokształcącym w Lidzie, do którego uczęszczałem i ko-
rzystałem także z jej usług. Wiadomo mi od spotkanych obecnie kole-
żanek mojej siostry Ireny, że w/w Emilia Wismont mieszkała po woj-
nie na Dolnym Śląsku i tam zmarła bezpotomnie w stanie bezżennym.
Domniemywać mogę, że to Jej podpis pod datą 1900 r. figurował na
wspomnianym a cytowanym poprzednio dokumencie "rodowym."

Z czasopisma "Ziemia Lidzka" /vide aneks/ Nr 11 z 1937 r. s. 125
wynika, że Kazimierz Wismont - ojciec w/w Aleksa i Wihelma, a kuzyn
mojej matki po ojcu Janie i dziadku Rafale Wismontach, z dziada pra-
dziada wywodzi się ze Żmudzi, zaś w czasach króla Aleksandra Jagiel-
łończyka osiadł w Lidzie Wismont, zaś później w 1668 roku Aleksan-
der

Wismont s. Wojciecha, od którego rozmnóżył się ród Wismontów Lidzkich. Historia owa została spisana w tym miesięczniku na stronach 125-127 /vide aneks/.

Dalsi krewni i powinowaci wywodzą się z żeńskiej linii, jako żony Wismontów i ich potomkowie:

Malwina, żona Rafała s. Józefa Wismonta - mego pradziada, wywodziła się ze szlacheckiego rodu Bołtuciów, zamieszkujących w dawnej Ziemi Wileńskiej i Ziemi Nowogródzkiej. Miała Malwina liczne rodzeństwo. Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego tak pisze o rodzie Bołtuciów: " O tych ani Paprocki ani Okolski nie pisał. Michał Bołtuć z wileńskim województwem pisał się na elekcyą Augusta II. Wielądek w heraldyce pisze, jako czytał: iż na Zjeździe walnym województw, ziem i powiatów Wielkiego Księstwa Litewskiego pod Olknikami a.d. 1700. Michał Bołtuć z woj. wileńskiego, Kazimierz Bołtuć z Oszmiańskiego pisali się. Joachim Bołtuć w r. 1764 podpisał akt konfederacyi generalnej Wielkiego Księstwa Litewskiego w Wilnie. Jan Tadeusz Bołtuć, starosta Piekarski, tamże pisał się oraz na elekcyą Stanisława Augusta Króla z wojewodztwem Nowogródzkiem." -tyle herbarz Niesieckiego.

Nie dane mi było dotrzeć do innych heraldyk, by ustalić kolejne losy Bołtuciów. Nie jest mi zatem wiadomo, z której linii Bołtuciów wywodzi się moja prababka Malwina, żona Rafała Wismonta. Jak okazało się nie był to jedyny związek Bołtuciów z Wismontami. Ale idźmy dalej linią rodową Bołtuciów. Z pomocą płk Witolda Bołtucia, z przekazów rodzinnych wiadomo, że niejaki Maciej Bołtuć i jego żona Aniela mieli czworo dzieci: Antoniego-sterilis, Tadeusza -księdza, córkę o nieznanym nam imieniu oraz Edwarda Bołtucia z żoną Antoniną. Z owej jedynej gałęzi rodowej Edwarda były dwie córki, z których wspomnianą już Malwiną Bołtuć wyszła za mąż za Rafała Wismonta, druga c. Józefa za Raubo /bezdzienna/, zaś trzecia córka Albertyna Bołtuć zamężna z Adolfem, także Bołtuciem, ale pewno z innej gałęzi Bołtuciów- dała początek rodowi temu po dzień dzisiejszy. Jedyny syn wymienionego wyżej Macieja- Aleksander Bołtuć, z nieznaną nam małżonką stworzył drugą gałąź tego rodu. Z tej nitki był Tomasz Bołtuć ożeniony z Franciszką Dorniak, a mieli też czterech, synów: Stanisława ożenionego z Czesławą Harasimowicz, Odoną z Katarzyną, Wacława z Ewą, Mieczysławem który wywędrował do Kanady, a o jego dalszych losach, jak i o losach pozostałych braci, synów Tomasza, nic więcej nie wiemy. Tomasz był zaprzyjaźniony z moimi rodzicami. Pamiętam jego wizyty w naszym domu, a pamięć o sobie zaskarbił gawędziarstwem, rubasznym humorem, ochotą na

wyśmienite trunki.

Z Albertyny i Adolfa Bołtuciów było czworo dzieci: córka za Tubielewiczem Władysława miała też czworo dzieci- Cypriana bliżej nieznanego, a trzy córki osobiście mi znajome i odwiedzane w Gdańsku po II wojnie światowej. Obecnie Irena za Szaderem jest w USA, Danuta za Lutkiewiczem, a Krystyna za Turzańskim- także w USA. /vide aneks- fotografie/.

Druga z Albertyny i Adolfa Bołtuciów córka Zofia za Kozłowskim mieszkała stale w wołkowysku i tam zmarła /sterilis/. Bywała gościem w naszym domu, a znana mi bliżej z opieki jakiej doznałem podczas mojej trudnej wędrówki z więzienia Brzeskiego do rodziców w Lidzie.

Spośród dwóch synów Albertyny i Adolfa /obojsza Bołtuciów/, jeden Kazimierz mieszkał w Gudach /wileńskie/, ożeniony z Jadwigą Jodko, a mieli aż pięcioro dzieci:

- Janinę za mulicą -sterilis,
- Czesława ożenionego z Karoliną Wismont, córką Jana i Józefy, niestety nie znanej nam obecnie linii rodowej tych Wismontów,
- Wacława-sterilis,
- Stanisława ożenionego z Zofią Cimachowską,
- Edwarda ożenionego z Danutą ?, z nią dwóch synów ?, a potem ze Stefanią-sterilis.

Franciszek Bołtuć z Albertyny i Adolfa, ożeniony z Anną Jurgielewicą był nam najbliższy, bo jak przed wojną, tak po dziś dzień w mojej spuściźnie rodzinnej, zachowaliśmy żywe kontakty wzorem naszych rodziców Bołtuciów i Stanisławskich. Ta "nitka" Bołtuciów zasługuje na uwagę także dlatego, że rozrasta się jak żadna dotąd.

Franciszek, zwany przeze mnie oraz przez moje rodzeństwo "dziadźka" był tak życzliwy dzieciom, że pozostawił w mojej pamięci najlepsze wspomnienia, o czym we właściwym miejscu.

Franciszek Bołtuć wcześniej owdowiał, a potem całkowicie poświęcił się dla swojej matki Albertyny, która w podeszłym wieku stała się niewidoma i obłożnie chora. Mieszkali we wsi Bołtucie ok. 10 km od Lidy w kierunku na Kirianowce-Iwje. Posiadali folwark ok. 70 hektarów, z tego 5 ha lasu. Pamiętam babkę Albertynę, kiedy bywałem w Bołtuciach na wakacjach, która wypytywała mnie o rodziców, o rodzeństwo, z wielkim z jej strony zainteresowaniem. Błądząc dłonią po mojej twarzy odczytywała to samo, co inni dostrzegali wzrokiem, a tak jak "dziadzia" była tolerancyjna i hojna dla dzieci.

wieś Bołtucie zamieszkiwała szlachta zaściankowa, albo jak ją powszechnie nazywano na Litwie- "szlachta okoliczna." Wspomniana już

uprzednio "Ziemia Lidzka" /miesięcznik/, w artykułach pt. "Lida i powiat Lidzki z przed stu laty" autorstwa Mirona Bronisława Narbutta, tak oto pisze o tejże szlachcie: "...gromadną jest w Lidzkim powiecie, w parafiach-Lijszyskiej, Raduńskiej, Lidzkiej, Nackiej i Zabłockiej, oraz i innych, są okolice po kilkadziesiąt, niekiedy, domów jak długie wsie, zamieszkałe przez samą szlachtę, czasem nawet jednego nazwiska, jak na przykład: Jodków, Czaplów, Wilkańców, Gierwielañców, BOŁTUCIÓW, Songinów, Poniatowskich i innych."

Franciszek Bołtuć miał dwoje dzieci:

-Walerię, zamężną Zienkiewicz, zamieszkałych obecnie w Wołkowysku, gdzie przedtem jeszcze opiekowali się starą ciocią Zofią Kozłowską, o której wyżej. Pozostała Wala na Wschodzie pod aktualną okupacją sowiecką, by chronić mienie. Ma córkę Teresę-kilkunastoletnią-wychowywaną po polsku i chrześcijańsku, chociaż z trudem i stałą bojaźnią przed represjami. Swoje i rodzinne przekonania muszą ukrywać, by nie skierować na siebie podejrzeń i prześladowań.

Chętnie bym Ją odwiedził, jak czyni to jej brat rodzony Witold, ale niestety władze sowieckie nie udzielają wizy krewnym i powinowatym, poza ścisłą rodziną /rodzice, rodzeństwo/, a do niedawna nawet nie zezwalano na wyjazd do ZSRR, chyba że zaszła potrzeba odwiedzenia ciężko chorej osoby z grona ścisłej rodziny.

-Witolda, pułkownika w stanie spoczynku, ożenionego z Bronisławą Chmielówną, zamieszkałych początkowo w Łuku, a obecnie w Lublinie. Witold ma czterech dzielnych synów /"budrysów"/, dzięki którym ród Bołtuciów rozrasta się, a rodzicom przydają sytyfakcji i zadowolenia. Każdy z nich posiada wyższe wykształcenie, właściwą naszym czasem postawę patriotyczną z dziada pradziada, kolidującą z oficjalnie głoszoną postawą komunisty Polski podporządkowanej sowietom. Synowie są pracownicy, solidni i także sobie wzięli żony.

1/ Zbigniew ożeniony z Wiesławą Karczmarzyk, ma troje dzieci: Ursulę, Macieja i Andrzeja,

2/ Henryk ożeniony z Krystyną Bujnik ma: Tomasza, Katarzynę oraz Łukasza,

3/ Romuald ożeniony z Iwoną Ziółkowską ma Michała i Pawła,

4/ Marian, ożeniony najpóźniej, z Barbarą Krasuską, wywodzącą się z rodziny "Nieświeskiej", spodziewa się potomka, kto wie czy tylko jednego.

Bołtuciowie mają już w tej linii sześciu potomków płci męskiej, a napewno nie powiedzieli jeszcze "ostatniego słowa." Wszyscy mieszkają w Lublinie, są bardzo rodzinni jak ich rodzice i krewni, odziedziczyli co mogli najlepsze po swoich rodzicach i "Polskość."

Pozostała jeszcze rodzina spokrewniona z wismontami przez moją babkę Izabelę z d. Bogdanowicz, I voto Wismont, II voto Wilniewczyc.

Babka Izabela zmarła mroźną zimą 1939 roku w Lidzie, w mieszkaniu swojej córki Anny z Wilniewczyców Kirdzik po mężu, na skutek ostrego zapalenia płuc, która to choroba w owym czasie była prawie nieuleczalna. Jej mąż /drugi/ Maciej Wilniewczyc zmarł na przełomie 1943/1944 roku także w Lidzie. Ich dzieci: starszy Józef Wilniewczyc i wspomniana wyżej Anna z Wilniewczyców Kirdzik, wyjechali po zakończeniu II wojny światowej, w roku 1945 roku, na Ziemię Zachodnią /tzw. Odzyskane/ i zamieszkali: On w Gdańsku z żoną Jadwigą z d. Błażelonis i synem Zbigniewem, a Anna z mężem Janem Kirdzikiem, który przez pięć lat pozostawał w Rumunii, jako internowany żołnierz Września, i synem Jerzym zamieszkali w Strzelcach Krajeńskich koło Gorzowa Wielkopolskiego, także na kresach zachodnich Polski. Zaraz po przesiedleniu urodził się im syn Wiesław, zamieszkały dotąd przy matce. Anna oprócz syna Jerzego miała także córkę Irenę Kirdzik, urodzoną w 1932 roku. Po uzyskaniu kwalifikacji nauczycielskich wyszła za mąż za Wiesława Kiewrę, także kresowiaka ze wschodu, pracownika stoczni szczecińskiej, z którym miała córkę Renatę, ta zaś wyszła za mąż w Szczecinie i także ma córkę.

Wspomniany wyżej Zbigniew, s. Józefa Wilniewczyca ożenił się w Gdańsku z Alicją/?/, z którą posiada dwoje dzieci w wieku szkolnym: Małgorzatę i Piotra.

Ród Wilniewczyców prawdopodobnie ma potomków z linii pokrewnej, lecz szczegóły nie są mi znane.-

Dnia 20 sierpnia roku pańskiego 1931^{1/} Rodzice doprowadzili mnie do Męskiej Szkoły Powszechnej nr 1, przy ul. Szkolnej 60, na przeciwnym krańcu miasta. Perspektywy zdawały się być niepokojące małego uczniaka. Wczesne wstawanie i codzienne obowiązki miały odtąd przeważać nad swobodą i niezawisłością dziecięcą.

Po uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego i pierwszym spotkaniu z wychowawczynią, rodzice rozeszli się, a wylęknione niedorostki płci męskiej zostały zdane na własne siły. Wychowawczyni- pani Dąbrowska- usiłowała przez następną godzinę ośmielić wystraszoną czeredę i wciągnąć do rozmowy, zaś potem do swobodnego wypowiedzania się. Trzeba było widzieć rzędy ostrzyżonych "na zero" łebków, otępiejących i wystraszonych. Co poniektórzy zaczęli zupełnie "po ludzku" reagować wreszcie na zabiegi Pani, a w końcu dali się wciągnąć do żywej nawet rozmowy. Trzeba nam wiedzieć, że dzisiejsze dzieci oraz młodzież, w porównaniu do tej z czasów przedwojennych, są bardziej obyte i rozwinięte z przyczyn nam zrozumiałych i nie wymagających rozpraw naukowych.

Z perspektywy lat okazało się, że p. Dąbrowska, jak wszyscy nauczyciele /których znałem/, reprezentowała nieprzeciętny talent pedagogiczny. Poza sukcesami wychowawczymi nauczyła najbardziej "zaniedbanych" poprawnego wystawiania się już w pierwszym półroczu. Najoporniejszy spośród pierwszoklasistów przestał wreszcie mówić: "tak cicha co czuć jak muchi bzykajon."

Szkoła,^{2/} w której spędziłem pierwsze trzy lata nauki, mieściła się w nowoczesnym dwukondygnacyjnym budynku w kształcie litery "U". Lewe skrzydło zajmowała Szk. Powsz. Męska nr 1, prawe Szk. Powsz. Nr 2 Żeńska. W części łączącej oba skrzydła znajdowały się: sala gimnastyczna, jadalnia, prysznic i toalety, pracownia robót ręcznych dla obu szkół, ponadto pomieszczenia gospodarcze i kotłownia. Po zewnętrznej części obu skrzydeł urządzono boiska sportowe do lekkiej atletyki oraz gier sportowych, zaś między skrzydłami ogród kwiatowy. Pobrzeża posesji szkolnej przeznaczone były na trawniki i alejki spacerowe, a między nimi działki przyrodnicze dla potrzeb lekcji przyrody.

1/ Według Rozporządzenia Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publ. rok szkolny trwał od 20.VIII. do 15.VI. Od 1935 r. od 3.IX-21.VI.

Obowiązek szkolny w latach 1932 do 1939 roku obejmował dzieci

7-mioletnie /po 1945 także obowiązywał dzieci siedmioletnie/.

Rozpoczęciem naukę mając 6 lat i 7 m-cy życia.

2/ vide aneks

Całość ogrodzona wysokim parkanem z płaskich prętów metalowych na podmurówce stanowiła przeszkodę trudną do pokonania, jak doświadczali nie raz niesforni uczniowie.

Do tej szkoły uczęszczało moje rodzeństwo. Brat Romuald już był uczniem klasy III, zaś siostra Irena do klasy II. Brat następnego roku przeszedł do prywatnego gimnazjum ogólnokształcącego, ośmioletniego, ks.ks.Pijarów przy ul. Suwalskiej 68. Po reorganizacji szkolnictwa średniego /4klasy gimnazjum i 2 klasy liceum/ brat rozpoczął i ukończył tuż przed wojną Gimnazjum Kupieckie prywatne ks. ks. Pijarów. Tam też uczęszczała siostra Irena po ukończeniu sześciu klas Szkoły Powszechnej Nr 2 /żeńskiej/.

Trzy lata nauki szybko minęły. Nie miałem trudności w nauce, a otrzymywane oceny odpowiadały moim wiadomościom i umiejętnościom. Niczym szczególnym nie wyróżniałem się, chociaż według ocen byłem klasyfikowany na oceny bardzo dobre.

We wczesnych latach szkolnych pobyt na lekcjach w szkole i nauka własna w domu zajmowały mi tylko część dnia. Wolny czas, jak dotąd, spędzałem na zabawach domowych i wykonaniu określonych czynności stałych, zgodnie z przydziałem prac domowych dla każdego dziecka.

Mniej czasu poświęcał wspólnym zabawom brat Romek, a siostra Irena stroniła jak zwykle od męskiej części rodzeństwa. Od klasy pierwszej pomnożyło się grono kolegów szkolnych, moich rówieśników, którzy zamieszkiwali w bliskiej odległości, a z którymi wędrowaliśmy do szkoły i w drodze powrotnej do domu.

Sympatyzowałem z Lonkiem Auchimem, wysokim i szczupłym brunetem, który mieszkał stosunkowo daleko, bo opodal prochowni, gdzie kończyła się już ulica Grażyny. Jego starszy brat budował dla nas miniaturowe wozy drabiniaste, z prawdziwie skonstruowanymi kołami. Miały one szprychy drewniane i obręcze metalowe, miały hołoble. Można je było rozciągać, gdy zwoziliśmy miniaturowy budulec, siano lub snopy trawy powiązanej jak prawdziwe zboże do skleconej ze starych desek stodółki. Tak musiała nam imponować praca rolnika, że wszystkie narzędzia, choć miniaturowe i różnorodne plony, traktowaliśmy nabyt poważnie. Zaś szczytem marzeń był udział w prawdziwej zwózce plonów, na prawdziwych wozach ciągnionych przez prawdziwe konie w gospodarstwie dziadka Macieja lub w gospodarstwie innych znajomych. Najprzyjemniejsze podróże odbywaliśmy na wysokiej furze siana lub zboża, skąd rozciągał się widok na wszystkie strony. Równie ciekawie imponowała nam praca przy zrzucaniu snopów lub staczanie się z fury wraz ze stertą siana. Jego zapach odurzał niesamowicie.

Potem zaś najwspanialsza zabawa przy ugniataniu siana w sąsiekach.

Wspólnie z gromadą kolegów graliśmy w pikiera, zoškę, w dwa ognie, w palanta i inne gry zespołowe dziś zapomniane. Taczaliśmy po podworzu fajerki lub obręcze z kół rowerowych po prostu dłonią, przy pomocy patyka albo kawałka drutu odpowiednio ukształtowanego. Pełno było przy tym krzyku i wrzasku, bowiem każdej grze obok innych walorów towarzyszyło wzajemne współzawodnictwo.

Latem w dni upalne chętnie wychodziliśmy na łąki pachnące wilgotną trawą. w zakolach starej Lidziejki skakaliśmy doń z pni pozostałych po ścięciu nadbrzeżnych drzew, potem nurkowaliśmy głową zanurzając się w toń przepastną i głęboką, jaka pozostała z wyłobienia dna rzeki przez wartką ongiś wodę rzeki naszej, która przygarniała nas przez cały okres dzieciństwa. Tak nauczyliśmy się pływać, nie zdając sobie sprawy jak i kiedy. W przerwach organizowaliśmy skoki, biegi, gonitwy z piłką lub innymi rekwizytami, w chowanego między zaroślami drzew i krzewów olszyny, dla zabawy, lecz także na rozgrzewkę. Rzadko kiedy pokazywały się tam dziewczęta.

Zdarzały się także niezwykle przygody. Wracając onegdaj z pływania w towarzystwie brata zachciało nam się zmierzyć głębokość rowu melioracyjnego na skraju naszej łąki. Z obu suchych patyków, jakimi obaj dysponowaliśmy, mój okazał się nadmiernie wyschnięty i kruchy. Wylądowałem zatem w ślad za łamiącym się patykiem głową w błoto, a właściwie w bryję, która nie zdążyła jeszcze osiąść po świeżym wykopie. Ugrzązłem rękami w rowie i tylko trzepanie nogami świadczyło, że żyję. Starszy brat wykazał się wtedy refleksem i odwagą, bo wyciągnął mnie, czyli coś na kształt błotnego czarnego potwora. Nadbiegający melioranci dopiero po chwili rozpoznali we mnie człowieka, a zdawało się im, że bratu trafiła się większa ryba. Po opłukaniu się w rzece wróciłem szybko do własnych kolorów. Sprawa ta długo pozostawała w tajemnicy przed rodzicami.

Zimą budowaliśmy ze śniegu domy i zamki lodowe, stawialiśmy przeogromne bałwany, dekorując je wszelkimi możliwymi rekwizytami wynoszonymi z zakamarków domowych. Żłobiliśmy nie raz lochy i fortece atakowane później przez dwie rywalizujące grupy. Bywaliśmy często na tzw. jamach opodal cementarza, czyli wyrobiskach po byłej żwirowni. Po stromych zboczach wykopów urządzaliśmy tory saneczkowe lub zjazdy ze skoczniami narciarskimi, w skali odpowiedniej do naszego wieku, jako że nie były to prawdziwe góry. Nieraz po zlodowaciających stokach zjeżdżaliśmy na spodniach, potem zaś na łyżwach onczas bardzo prymitywnych, wykonanych z polana olchy lub innego drewna, z czasem obciążniętych po krawędzi drutem dla lepszego ślizgu.

Pierwsze narty wykonaliśmy z bratem z klepek rozeschniętej beczki od kapusty, a tak zmyślnie, że czuby były prawdziwie zawinięte techniką moczenia w wodzie i wyginania w odpowiednio skonstruowanych szczękach. Sposob ten wyczytaliśmy z "Piomyka", w kąciku "Robimy to sami." Z kijkami było najprościej, bo leszczyna rosła pod naszym płotem, a witki do plecienia kółek uzyskiwaliśmy z cienkich korzeni.

W naszych stronach bywały zimy mroźne i śnieżne. Któregoś roku opady śniegu były szczególnie duże, tak że od ulicy do domu musiał być wykopany głęboki tunel, w którym skrywały się osoby dorosłe, a cóż dopiero dzieci. Tamtej zimy spotkała mnie znowu niezwykła przygoda. Po obu stronach tunelu śnieg zasypał ogród i całe obejście aż po korony drzew. Z czasem śnieg na tyle stwardniał, że mogliśmy jeździć na przełaj po całej posesji. Jeżdżąc w te i w te nagle zniknąłem w ciemnej czeluści, zanim zdołałem wydobyć głosu. Była to stara studnia, zasypana gruzem i śmieciami do głębokości ok. 5 metrów. Mego wołania nikt nie słyszał, a do studni także nie dochodziły żadne odgłosy. Po chwili koledzy zorientowali się, że moja nieobecność nie wynikała z zabawy i po śladach moich nart trafili do "przerębli." Sami nie mogliśmy nic zdziarać, tak długiej drabiny nikt z nas nie posiadał, więc zwołani ludzie dorosli wyciągnęli mnie w wiadrze spuszczonej na odpowiednio długiej linie, a właściwie konopnym powrozie, który czasem służył do prowadzenia krowy. Nie odniosłem żadnych obrażeń, ponieważ studnia zbudowana była z okrągłaków, ułożonych w kształcie sześcianu, a wyslizganych przez wieloletnie użytkowanie. Musiało to być dawno, bo czynnej studni nie pamiętam i nie pamiętali zarówno brat, jak i siostra.

Rodzice teraz pozwalali nam wychodzić poza podwórze, wszak byliśmy samodzielni na tyle, by chodzić do szkoły, po zakupy i dla innych sprawunków. Po odrobieniu lekcji poznawaliśmy nowe okolice, szczególnie zaś te, które intrygowały swoim wyglądem lub niespodziankami opowiadanych przez dorosłych w długie wieczory zimowe. Ciekawość naszą wzbudzał wygon /pastwisko/, kończące się moczarami wiodącymi ku rzece. Było to duże grzęzawisko, czarne jak smoła, na którym tu i ówdzie zieleniły się rozległe kępy świeżej zieleni, wabiącej bydło pasące się na pastwisku. Moczary były poprzecinane żółtymi żyłami piasku, jakoby ścieżkami prowadzącymi ku rzece. Tymi żyłami płynęła latem i zimą woda źródłana, nigdy nie zamarzająca, a tak przeraźliwie chłodna, że nawet podczas letnich upałów kostniały w niej stopy zanurzone zaledwie po kostki, a ręce cierpły przy łapaniu cierników. Strumyki płynęły wartko. Do dziś zostały mi zagadką. "Żyły" miały szerokość dwóch stóp, a dno strumyków

było twarde jak skała. Pomiędzy żyłami była topiel, ponieważ nierozważnie stąpawszy za żyłę można było zanurzyć się od razu po szyję i głębiej nie sięgając dna. Spacerów po żyłach wymagały nie lada zręczności i odwagi, a utrata równowagi groziła utonięciem. W bagnie tym topiły się krowy i konie, znęcone zieloną trawą, gdy zapuszczały się dalej od brzegów mokradeł. Pamiętam naszą krowę Mućkę, która została uratowana przez czterech sąsiadów przy pomocy łądźki i powozów. Na ten temat krążył wśród ludzi starych zabobon, że tak wygląda piekło, zaś płytkie strumyki i zielone kępy traw są diabelską przynętą dla grzeszników.

Wszystko co jest zakazane miało smak wyjątkowy, kusiło i nęciło. Mimo zakazów przepadaliliśmy za wodą. Skromne łąchy Lidziejki już nam przestały imponować. Basenów kąpielowych podówczas nie bywało w miasteczkach prowincjonalnych. Chodziliśmy więc chętnie, później docieraliśmy rowerami, do glinianek za miastem, które pozostawały po wyeksploatowanych pokładach gliny do produkcji cegły. Największą atrakcją było spuszczenie na wodę długich kłoców / sosen przygotowanych do wywózki / i pływanie na nich ze skrzyżowanymi nogami pod spodem kłoca. Obracały się czasem razem z nami, wynurzając się co raz głową z wody. Niekiedy obserwowaliśmy stada ryb, które nie dawały się złapać na prowizoryczną wędkę i widoczny w przezroczystej toni robak, stanowiący zanętę.

Kiedy indziej za przykładem starszych młodzieńców kroczyliśmy Lidziejką w miejscach płytszych, by spod kamieni wyłapywać kiełbiki celując w nie widelcem uwiązany do tyczki. W zakolach starej Lidziejki koszykiem wiklinowym łapaliśmy karasie i inne trafiające się ryby, po dobrze zmaczonej uprzednio wodzie. Ryba własnoręcznie złowiona była nie lada przysmakiem, zaś czynność łapania przyjemnym przeżyciem, szczególnie wtedy gdy odbywało się to przy licznej konkurencji kolegów.

Do bliżej zaprzyjaźnionych zaliczałem przede wszystkim swojego rówieśnika Nikołajewa, wyznania prawosławnego. Byłem dla niego jedynym kolegą, a jego rodzice tylko ze mną pozwalali mu przebywać. Po lewej stronie ulicy Grażyny, w kierunku prochowni i lotniska idąc, dzieliły nas cztery zabudowania: najbliższego sąsiada Franciszka Wismonta s. Kazimierza, potem działka z domem niejakiego Nosewicza, który miał znaną w okolicy i słynącą z piękności córkę Janinę, dalej posesja Aleksandra Wismonta aktualnie stanowiąca własność niejakiego Kozłowskiego, który prowadził przybytek, nie przynoszący chluby naszej ulicy, a stary Wismont gdyby wiedział to musiałby przewrócić się w grobie. To ten sam co wywiódł ze Żmudzi wismontów.

kalany przez Kozłowskiego dom prapradziada Wismonta był przedmiotem wielu petycji najbliższych sąsiadów, a nawet i tych dalej zamieszkanych. Często zajeżdżające dorożki pod budą nie podobały się starszym matronom, a największym zgorszeniem były zamieszkałe tam damy, które w czasie przemarszu wojsk lotniczych do kościoła parafialnego i w drodze powrotnej do koszar, wylegały gromadnie przed dom siejąc zgorszenie. Prześcigały się bowiem w sposobach roznegliżowania, wabiąc lotników rozchyłonymi szlafrokami. Wobec owych dam w strojach niedbanych, prowadzący oddziały nakazywał komendą; na prawo patrzy na lewo patrzy, zależnie od tego w którym kierunku szli- do kościoła, czy z kościoła. O ile sobie przypominam, to w końcu opinia publiczna zwyciężyła, jako że nie przypominam istnienia tego przybytku w późniejszych latach szkolnych. Stary dom, starego protoplasty Wismontów, kolejno został sprzedany, tym razem w "dobre" ręce.

Za tym domem, były murowane zabudowania Bronisława Wismonta- kolejnego kuzyna mojej matki, który miał dwóch synów; Alek i Wilhelm po śmierci ojca wyjechali w 1945 r. na Ziemię Odzyskaną. Alek miał zakład fotograficzny w Gdańsku, zaś Wiluś przebywał gdzieś nad Odrą. Kiedy spotkał mnie z moją żoną Jadwigą na stacji kolejowej w Zielonej Górze, a był to "czysty przypadek", donośnym głosem zawołał z radością: "tyż milioner, na waszych działkach, znaczy się na naszych polach, nabudowali mnóstwo kamienic. Ziemia Twoja to i kamienice wasze-"zwrocił się w tej chwili ku małżonce. Doprawdy to był czysty przypadek. Ludzie przyglądali się głośnemu rozmówcy i jego słuchaczom, a co żona przeżyła do dziś nie wiem. Czasem tylko z rozbawieniem opowiada to spotkanie moim kuzynom, którzy czasem zjadą do Warszawy w odwiedziny. Tak dla wesołości warto i o tym wspomnieć.

wracając do tematu, następna posiadłość należała właśnie do Nikołajewów, ponieważ były dwa domy i dwóch braci właścicieli. Z zażywopłotu leszczynowego, jak u nas, wyłaniały się dwa okazałe chociaż drewniane domy z pięknym zdobionym szalunkiem. Ten z mansardą, stojący szczytem do ulicy, zamieszkiwał mój kolega. Ojciec był inżynierem, matka nie pracowała, podobnie jak w innych tego pokroju rodzinach. Wspólnie z nimi mieszkał dziadek-generał carskiej Rosji. Nigdy nie mówiono, nigdy też nie słyszałem o motywach wyboru Polski na jego pobyt stały. W domu mówiono między sobą po rosyjsku, pięknym arystokratycznym językiem. Tylko raz jeszcze słyszałem ten akcent już po wojnie, w Trzebieczu, z ust tamtejszego wójta pochodzącego z kreśców nazwiskiem ? ba, może sobie kiedyś przypomnę.

Równie poprawnie posługiwali się językiem polskim. Dziadek był hojny

dla wnuka i jego kolegi. Otwierał kasę pancerną, pokazywał nam znaczki pocztowe carskiej Rosji, stosując przy tym zasadę chronologii wydawniczej. Z każdej serii darowywał nam po dwa lub po trzy egzemplarze znaczków niekasowanych. Jednocześnie objaśniał poszczególne serie oraz unikalne egzemplarze, aż obejrzeliśmy cały pokaźny zbiór. Instruował o zasadach nabywania i gromadzenia znaczków, sposobach przechowywania w klaserach, zaszczepiając w nas żyzkę kolekcjonerstwa. Odtąd poza zbiorem otrzymanym od generała, gromadziłem w klaserach i w zeszytach całe serie znaczków polskich. Trafiające się znaczki innych krajów przekazywałem w szkole nauczycielowi religii z przeznaczeniem na akcję społeczną wykupywania murzynów z niewoli w dalekiej Afryce. Moje zbiory zostały skradzione w Lublinie w 1945 roku w mieszkaniu gościnnego Andrzeja Kuczyńskiego, gdzie przebywało sporo przypadkowych ludzi, dla których udzielał schronienia. Miałem stosunkowo pokaźny zbiór znaczków kasowanych, które przynosił mi mój ojciec ze Starostwa, gdzie przed wojną pracował.

Najbliższym sąsiadem przez płot od strony miasta był Utkiewicz. Stary człowiek mieszkał w dużym domu własnym, gdzie mieściły się trzy rodziny. On sam z żoną staruszką, potem jego córka z mężem Alfonsem-mistrzem drogowym i córką Janiną, moją rówieśniczką i koleżanką, a w trzecim mieszkaniu druga córka zamężna z Fidelisem, funkcjonariuszem tajnej policji państwowej i ich małym synkiem. Z inicjatywy Jasi płataliśmy staruszkowi drobne, niezbyt ziośliwe figle, sądząc że staruszek odzwyczai się od rozmaitych dziwactw. Jedno z nich polegało na obwiązywaniu drzwi wejściowych łańcuchami, skoblanami i kłódkami, przy czym sam wychodził oknem a skrzydło okienne po prostu przymykał, bez żadnego zamknięcia. Jasia wówczas wchodziła do środka, przestawiała to i owo w inne miejsca, a staruszek był pewien plądrowania domniemając, że ktoś posiada od łańcuchów zapasowe lub dorobione klucze. Ot facecja na wysokich obcasach-mawiał.

Posiadał młodego ogierka, niewielkiego wzrostu, o którego bardzo dbał. Temu konikowi pasącemu się za rzeką nosił wodę do picia ze studni aż na pastwisko, przeprawiając się wbród przez rzekę. Był przekonany, że woda ze studni jest lepsza, gotowana. Po prostu w studni biło kilka źródełek. Dzieciaki miały co oglądać, gdy stary musiał się do pasa rozebrać, by przejść przez rzekę z wiadrem wody dla konia.

Kolejnym dziwactwem było przekładanie darni na miedzy ze swojej strony na naszą. Czynność tę wciąż powtarzał, ilekroć jego domownicy przekładali ową darń na właściwe miejsce. Jako sąsiedzi traktowaliśmy te zakusy z przymrużeniem oka. Żyliśmy w zupełnej zgodzie,

czego jednym z dowodów była wspólnie wybudowana studnia na granicy naszych posesji. Przy owej studni tradycyjnie każdego roku odbywano się polewanie w poniedziałek wielkanocny, czyli dyngus. Jako kilkunastoletni chłopiec chętnie uczestniczyłem i inspirowałem gremialne polewanie się z sąsiadami.

Za siedzibą Utkiewiczów były dwa mniejsze domki zamieszkałe przez biedne rodziny z mnóstwem mały dzieci, a następna parcela z dużym domem i ogrodnictwem ciągnącym się ku rzece należała do Szłomy Rubinsztajna. Poza ogrodnictwem Szłoma prowadził sklep spożywczy. Miał liczną rodzinę, czterech chłopców w różnym wieku i dwie córki. Jeden z nich Icek brał udział w naszych zabawach zespołowych, chyba że któryś mu dokuczał, wtedy nie pokazywał się przez jakiś czas. Na święto "kuczek" robiliśmy im kawały. Czarną żywą wronę z uwiązanymi skrzydłami, by nie uciekła, wpuszczaliśmy do budki, w której stary Szłoma odprawiał modły. Wyrośnięte zaś chłopaki, jakimś starym zwyczajem, rozbierali w nocy jego wóz konny, przenosili poszczególne części na dach jego domu, tam składali kompletnie wraz z czterema kołami, zaś rano przychodzili zaoferować swoje usługi odpłatnie. I tak co roku powtarzał się ów obyczaj.

Za posesją Szłomy był wygon, o którym wcześniej wspominałem. Był to teren neutralny, na którym spotykali się wszyscy niezależnie od wieku, pici, wyznania. Chodzi mianowicie o amatorów gier zespołowych. Nigdzie więcej nie było odpowiedniejszych warunków, a do boisk szkolnych i stadionu sportowego było zbyt daleko, by wykorzystywać stosunkowo krótki czas wolny między zajęciami szkolnymi i obowiązkami domowymi. Tam poznawało się wielu młodych ludzi z całej dzielnicy i okolic.

Za wygonem kolejna parcela należała do Buzara, starszego pana z wypielęgnowaną brodą, dobrego znajomego moich rodziców, gdzie czasem bywały także dzieci. Córka Buzara - nauczycielka języka polskiego - uczyła moją siostrę w Gimnazjum Kupieckim.

Jeszcze mijaliśmy dwie posesje, za którymi przecinała ulicę linia kolejowa wiodąca do wodociągu kolejowego, tzw. wodokaczki, która była niedostępna dla postronnych, mimo dużego zaciekawienia tym obiektem ze strony dzieci i młodzieży.

Po przeciwnej stronie naszego domu, przez ulicę, mieszkali Kuleszowie. On był maszynistą kolejowym dobrze sytuowanym, jego żona była wiele starszą siostrą Władka Konona, kolegi brata. Mieli syna na tyle młodego, że nas nie interesował i córkę Helenę w wieku mojej siostry, jednak nie nadającą się charakterem do usposo-

bienia mojej siostry, zawsze poważnej. W drugim skrzydle tego domu mieszkała rosjanka z nadto urodziwą córką Tamarą o wielkich błękitnych oczach jak niezabudki i wielkiej czuprynie blond włosów. Przeciętnie grała na gitarze i śpiewała, siadając wieczorami na ławeczce przed domem. Była wiekiem starsza i nas nie interesowała.

Obok domu Kuleszów przebiegała wąska i krótka uliczka prostopadła do ul. Grażyny, przy której w trzech małych domkach mieszkali kolejno. W jednym z nich mieszkał późniejszy mój kolega, wiele starszy Antek Siemaszko, z którym w okresie okupacji niemieckiej pracowaliśmy na kolei. Ostatni raz po długiej przerwie spotkałem go pod Lidą latem 1944 roku. Wracając z oddziałem partyzanckim AK ze zgrupowania w puszczy Rudnickiej pod Wilnem, natknąłem się na Antka, który dopiero szedł w lasy. Spotkanie nasze odbyło się w czasie krótkiego postoju na skraju wsi. Antek za stodołą pokazał mi swój nagan dużej kalibru, nieco przerdzewiały. Namówiliśmy go by zaprezentował swoje umiejętności strzeleckie, co do których mieliśmy wątpliwości wtedy po wystrzale opadła lufa, a całe zdarzenie skwitowaliśmy gromkim śmiechem, on także. Niewielka strata, bo na wschodnie tereny Polski wkraczały wojska sowieckie za wycofującymi się w nieładzie wojskami niemieckimi, a ze znacznym wyprzedzeniem frontu niektóre oddziały sowieckie penetrowały tereny kilkadziesiąt kilometrów od Lidy. Antek Siemaszko, jak dowiedziałem się po wojnie, wkrótce po tamtym spotkaniu, ożenił się z moją sąsiadką Jasią, potem w ramach repatriacji znaleźli się w Olsztynie. Wspominałem Antka również dlatego, że to on nauczył nas sporządzać maskę z opróżnionego arbuza. Wycięte w arбуzie oczodoły, jama nosowa i jama ustna z zębami, przedstawiały trupią czaszkę, a z zapaloną wewnątrz świeczką, przystawioną na maska do okien, budziła popłoch dziewcząt i chłopców, czasem nawet dorosłych. Otrzymałem za to tęgie lanie od ojca. Dzisiaj już nie pamiętam, czy ten środek wychowawczy poskutkował.

Vis a vis naszej posesji, trochę na wskos, przez ulicę, mieliśmy dość duży plac, aż po ulicę Cmentarną. Uprawialiśmy na nim zboże lub ziemniaki, a wzdłuż miedzę wydeptano ścieżkę, którą kolejarze, a potem także ja sam, przechodziliśmy na skróty do pracy. Dzisiaj ten plac i inne nasze pola przylegające do ulicy Grażyny, zostały zabudowane kamienicami, o których na dworcu w Zielonej Górze tak głośno rozprawiał Wilhelm Wismont.

Dalej w kierunku lotniska, było jeszcze ok. dziesięć domów, w których miałem swoich bliższych lub mniej znanych kolegów: Tadeusza Czywilisa-obecnie w Gorzowie wlkp., Zygmunta Terpiłowskiego, Henryk

Bakiana i innych, z którymi uczyłem się, pracowałem na kolei w czasie obu okupacji, przebywałem wspólnie lub spotykałem w partyzantce.

W przeciwnym kierunku od domu Kuleszów, ku miastu, było także sporo zabudowań. Pierwsze, o którym powinienem wspomnieć, to były zabudowania z dużym sadem ciągnącym się wzdłuż ulicy Cmentarnej, należące do Kononów. Tam właśnie drukowaliśmy gazetkę "Biały Orzeł", o której będzie mowa w następnych rozdziałach wspomnień.

Kolejny dom, bogato prezentujący się, należał do Łochacza, który prowadził konkurencyjny sklep z pieczywem naprzeciwko Szlomki. Połową tego domu wynajmowała p. Zalewska z synem Edwardem, który zginął w partyzantce. Przedtem, już w okresie okupacji niemieckiej, był moim serdecznym, starszym kolegą. Spędziłem u niego wiele wieczorów, ciekawych i pożytecznych. W gronie jego dorosłych znajomych byłem najmłodszym uczestnikiem. Chłonałem treści ciekawych dyskusji na różne tematy: lektury, kina, czasopism i literatury. Przysłuchiwałem się dysputom politycznym. Słuchaliśmy wiele dobrej i ciekawej muzyki z płyt. Brałem udział w prywatkach urządzanych w gronie jego przyjaciół i koleżanek. Poznałem wielu ciekawych ludzi. Sądzę, że te spotkania w jakiś sposób wpływały na wcześniejszą dojrzałość psychiczną. Sam także byłem lubiany, o czym świadczy wiele zdjęć ofiarowanych mi przez Edka oraz zdjęcie p. Zalewskiej dedykowane mojej matce. Obie panie, przez nasze kontakty synowskie, zawarły głęboką przyjaźń, którą przerwała dopiero śmierć p. Zalewskiej po stracie swojego jedyne go syna, żołnierza i patrioty. Nie wspominam o jego ojcu, który zmarł bardzo wcześnie, gdy Edek miał niewiele lat życia.

Na ul. Grażyny miałem jeszcze sporo kolegów za torem do "wodokaczki". Czesław Pujdak, syn znajomego mojej mamy, który swego czasu zabiegał o rękę mamy. Heniek Żurawski, mieszkający tuż za cmentarzem, a po przeciwnej stronie znajomy szkolny Henryk Runc, Popiel-syn oficera Powiatowej Komisji Uzupełnień, Czesław Taraszkiewicz-kolega z gimnazjum, Jozek Pujdak. Z nim kojarzy się zdarzenie, którego byłem świadkiem, jako ministrant w kościele farnym. Ojciec Józka był działaczem parafii i współpracował z dziekanem ks. Hipolitem Bojaruńcem. Ksiądz polecał mu przeprowadzenie kolejnej zbiórki pieniężnej, tym razem po domach parafian. Pujdak odmówił. Ksiądz proboszcz zastraszył go, że nie udzieli mu błogosławieństwa. Na to Pujdak z białoruska oświadczył "dzierży sabie." Córka Pujdaka była wychowawczynią ochronki kościelnej, organizowała przedstawienia dziecięce /dochodowe/, w których kilka razy uczestniczyłem.

Uroczyście obchodzono we wszystkich rodzinach święta Bożego Narodzenia. w naszym domu przygotowania do świąt trwały parę godzin. Dzieci także przygotowywały się na swój sposób, dociekliwie wypytując o swoje obowiązki. Szkoła także sygnalizowała zbliżenie się święta wprowadzając na lekcjach pracy ręcznej wykonywanie ozdób choinkowych. Dokonywaliśmy zatem zakupu potrzebnych materiałów, przygotowywaliśmy własne materiały wybierając odpowiednie gałązki sromy, orzechy laskowe i włoskie, szyszki sosnowe i jodłowe. Własnoręcznie wykonywaliśmy śniegowe dziadki z waty, balony z kolorowej bibułki, koszyczki na orzeszki i cukierki, gwiazdki z folii i ze słomki. Ojciec zabiegał o dostarczenie dużego dmuchanego kija, które musiano sięgać do sufitu. w miarę dorastania zajmowaliśmy się także rozmieszczaniem i mocowaniem uchwyty ze świec.

Mama zajmowała się wypiekami różnych ciast i ciasteczek, babeczek i tortów, w ilości zabezpieczającej uczestników domowych i gości, którzy zapowiadali swój przyjazd. W przededniu wigilii staraliśmy się przygotować tradycyjnie dwanaście potraw, bo tylu było Apostołów Świętych. Przed zastawieniem stołu świątecznego ojciec ścieląc obrus starannie siano pod biały obrus, spod którego po wigilii nosił część siana do obory dla krów. Czasem towarzyszyliśmy ojcu przy obrządku, ciekawi czy faktycznie zwierzęta przemówią głosami, które informowały stare legendy. Z kolei mama rozstawiała poszczególne potrawy, a na środku umieszczała ozdobną tackę z opłatkiem wianuszkowym. Na świątecznym stole zawsze ustawiano dodatkowe nakrycia według prastarego zwyczaju stosowanego do dziś.

Jak wszystkie dzieci na świecie, wciskaliśmy nosy w chłodne okienko, by ujrzeć pierwszą gwiazdkę, zwiastującą początek wieczerzy wigilijnej. Ten, kto pierwszy zgłosił gwiazdkę, a na tę okoliczność został sprawdzony, miał przywilej zapalić własnoręcznie pierwszą świeczkę choinkową.

Pod choinką, wśród zielonych gałęzi świerkowych, składali gościnnym gościom prezenty dla wszystkich uczestników wieczerzy.

Wyglądzone dzieciaki po przełamaniu się opłatkiem i wysłuchaniu życzeń, rzucały się na jadło. Mama pilnowała, by dzieci konsumowały najpierw dania gorące. Bywały uszka w barszczu lub kołduny, rzekomo najlepiej w Lidzie robione, jak wspominał o tym Melchior Wańkowicz w "Tędy i owędy.": " Nijakiego oszukaństwa tu nie ma, moja żona z Lidy, widać w posagu spryt do kołdunów mi wniosła. Potem zabieraliśmy się do ryb, zrobionych na kilka sposobów. Wieczerzę przerywaliśmy śpiewaniem kolęd, zaczynając obowiązki

od kolędy "Wśród nocnej ciszy..." Słuchaliśmy wspomnień i opowiadań o wieczorach wigilijnych spędzanych w różnych okolicznościach poza domem rodzinnym, w wojsku i na wojnie. Dzielono się wiadomościami o obyczajach i zwyczajach świątecznych w innych krajach i wśród ludzi innych narodowości, na zesłaniu dala od kraju i rodziny, a także opowiadano legendy i podania ludowe. Był zwyczaj, że wigilia trwała do czasu pójścia na pasterkę. Kiedy więc nacieszyliśmy się własnym stołem i choinką, bieглиśmy do babki Izabeli z powinszowaniami, innym razem do ciotek i wujków, z czasem do bliżej zaprzyjaźnionych rodzin lub kolegów.

w wieku szkolnym obowiązkowo braliśmy udział w pasterce. Początkowo przyjeżdżała zamówiona uprzednio dorożka /sanie/, która odwoziła rodzinę, a po pasterce zawiozła do domu. Potem chodziliśmy pieszo w ruziskrzoną gwiazdami noc, kiedy pod nogami skrzypiało a mróz szczypał policzki i nosy. Po wyjściu z kościoła spotykaliśmy znajomym, kolegom i koleżankom składaliśmy sobie wzajemnie życzenia świąteczne i gromadnie zdążaliśmy ku domowi, dzieląc się wrażeniami o własnych choinkach, o tym jak w tym roku urządzony był żłobek w kościele, naznaczaliśmy sobie spotkania świąteczne.

Spośród świąt kościelnych, atrakcyjne były również Zielone Świątki. Dzieci miały sporo uciechy, siląc się na własną inwencję w umajeniu brzoźkami ganku, wysypaniu ścieżki żółtym piaskiem i kawałkami pociętego ajeru. Na tę okoliczność mama zadbała o ciasta, szczególnie mazurki, które lubiliśmy bardzo.

Święta wielkanocne miały szczególną oprawę i dłuższe przygotowania. Po okresie Wielkiego Postu, ostatni tydzień zarówno w domu jak i w kościele był pracowity. Przed kulminacyjnym momentem Świąt nakładały się rozmaite zajęcia, podzielone między domowników: sprzątanie, zakupy, przyrządzanie potraw, dekorowanie pokoju stołowego i samego stołu świątecznego. Gorączkowej bieganiu towarzyszyła jak zwykle w każde święta dzieciarnia. Nie obywało się bez szturchańców, napomnień i uwag czynionych podniesionym głosem, by były bardziej skuteczne.

Ranitko w Wielką Niedzielę bieглиśmy ze "święconką" do kościoła parafialnego, a po poświęceniu ścigaliśmy się, by jak najwcześniej dotrzeć do domu. Na wsi był zwyczaj, że gospodarze pędzili co koń wyskoczy ze święconką, a pierwszemu który zdążył do własnej wsi miało się w nadchodzących pracach polowych szczęście.

Kiedy byliśmy maluchami, a rodzicom wiodło się lepiej, gości było dużo, przywożony był ksiądz proboszcz nipolit Bojaruniec, który

z całą ceremonią pokropił stół i domowników, podzielił się święconym jajkiem, złożył życzenia, pomodlił się, a obdarowany wracał do siebie, lub odwiedzał kolejno zapraszających.

wreszcie zasiadaliśmy uszczęśliwieni i spragnieni po długotrwałym poście do świątecznego stołu. Czegoż tam nie bywało. Na najpierszym miejscu stał baranek z chorągiewką /ale nie cukrowy, tylko porcelanowy/ w czworokątnym naczyniu, gdzie uprzednio wysiane ziarno wzrosło zieloną runią. Na białutkim obrusie uwieńczonym widłakiem i gałązkami bukszpanu kolorowo było od jądła wszelakiego. W środku, tuż przy święconce okazałe prezentował się umajony baranek. Dokoła ustawione były różne pieczone mięsa, galaretka z nóżek, różne specjały. Nawet nie brakło kapusty "własnego deptania" z kolącą oczu żurawiną czerwoną i plasterkami marchewki. Natarczywie pachniały pęta gorącej białej kiebasy, a nozdrza łechtał świeżo przyrządzony chrzan, doprawiony znanym domowym sposobem. Bywało niegdyś, że na półmisku znalazł się pieczony prosiak z jajkiem malowanym w pyszczku. Po brzegach stołu różnaitość ciast, konfitur, owoców porudniowych i innych przysmaków. Obowiązkowo były strojone baby wielkanocne i mazurki, własnoręcznie przyrządzone przez matkę.

Najadłszy się dowoli dzieci wybiegały na podwórze z pisankami, by w gronie dzieci sąsiednich domów, stukać się jajkami "czyje mocniejsze" lub taczać je z pochyłości, starając się dotknąć pisanek leżących poniżej. Ucelowanie, było zdobyczą trafiającego.

Równie ciekawy co sam Dzień Zmartwychwstania był okres Wielkiego Postu, tydzień przed świętem. Jako ministrant, w kościele farnym przebywałem często, nawet nocą pełniłem adorację Najświętszego Sakramentu przy Grobie, obok warty honorowej wystawianej przez żołnierzy 77 pp. Żołnierze w pełnym rynsztunku z karabinem prezentowali broń. Sam Grób urządzony był artystycznie w grocie z imitowanych skał, a przyćmione światła stwarzały atmosferę podniosłości.

Rozprowadzane warty żołnierskie przez oficera, kwaterowały za kościołem w pawilonie przeznaczonym na różne imprezy towarzyszące kościelnym uroczystościom, przedstawienia religijne, zebrania różnych kółek i organizacji kościelnych. Przebywałem tam w przerwach między okresami adoracji, prowadząc rozmowy, przyglądając się przygotowaniom poszczególnych wart, oglądając broń za zezwoleniem żołnierza. Przymierzaliśmy z kolegą hełmy i elementy ekwipunku.

Poniedziałek Wielkanocny rozpoczynał się nabożeństwem w kościele. Potem następowało ogólne polewanie. Dyngus miał stare tradycje oraz wyszukane sposoby od delikatnego polewania wodą kolońską aż do bezmyślnego lania, gdziekolwiek i na kogokolwiek, także czymkolwiek.

Czymkolwiek oznaczało: butelkę, kubek, kubełek, wreszcie wiadro. w wieku dorastającego młodzieńca, dyngus odbywał się najczęściej pod studnią, gdzie nie brakowało wody, towarzystwa także, w pierwszym rzędzie z drugiej strony studni- sąsiadów. Oblewanie miało charakter zabawy tradycyjnej i nigdy nie przeszło w stan złości lub odwetu. Trwało nieraz do południa, kiedy to zjawiali się nowi amatorzy dyngusa. Suchej nitki nie mogło zostać na uczestniku.

Zdarzały się jednak wpadki nieprzewidziane. Brat mój, czyhający na mnie w pokoju stołowym pod drzwiami z naczyniem litrowym, nie dostrzegł przychodzącego z wizytą dziadka Macieja Wilniewczyca i zamiast na mnie, lunął litr wody na krzaczastą brodę dziadka. Ten obraził się i zrazu nie pozwolił nawet przeprosić się, a Romek otrzymał naganę od matki. To był dyngus. Jako człowiek dorosły laliśmy się w korytarzu i w mieszkaniach z sąsiadami w Drezdenku, nie szczędząc ich i naszych gości, którzy aktywnie uczestniczyli w dyngusie, by tradycji stało się zadość.

Były jednak czasy, kiedy sytuacja i przygnębienie ogólne czyniły święta smutnymi, a obchody ograniczały się li tylko do spełnienia powinności religijnej w wąskim gronie rodzinnym.

Szybko mijały lata szkolne. Po ukończeniu klasy III w szkole na wygonie zostałem przeniesiony do Szkoły Powszechnej Nr 5 leżącej w rejonie szkolnym, obejmującym młodzież w wieku szkolnym zamieszkałą w dzielnicy Wismonty oraz w dzielnicach; Wyzwolenia, Mostowszczyzna i Śródmieścia południowego. Szkoła zlokalizowana była przy ul. Gedyminowskiej 10, okalającej wzgórze zamkowe. Mieściła się w starym dwupiętrowym budynku z czerwonej cegły. W tej szkole koedukacyjnej były tylko klasy IV - VII, niektóre równoległe z powodu dużej liczby dzieci. Wewnątrz podłogi z desek, ciasne korytarze, stosunkowo mały dziedziniec rekreacyjny piaszczysty, w rogu którego znajdowały się szalety, prymitywne, bez spłuczek. Szkoła nie posiadała sali gimnastycznej, pracowni prac ręcznych, poza jedynym gabinetem fizyko-geograficznym /dziwne zestawienie/, żadnych innych specjalistycznych pracowni nie było.

Jak wspominałem wąska uliczka Gedyminowska otaczała wzgórze, miała wylot w ulicę Mackiewicza, drugi w ul. Zamkową, którą wiodła droga do ^{ul.} Grażyny i mego domu. Latem jednak na skróty przez łąkę nad rzeką wiodła krótsza droga do domu, ścieżką wychodzącą na pierwszy most w ul. Grażyny.

Na stoku wzgórza zamkowego od strony szkoły, górowały nad nią dwie stare rozłożyste jodły, splecione wzajemnie swymi konarami.

Legenda głosiła, że pod ich postacią zaklęte zostały księżniczka i książę. Księciem owym miał być Litawor, ojciec Gedymina, a księżniczką Grażyna, o której Adam Mickiewicz w poemacie pt. Grażyna tak pisał: "Była naonczas księżęciu zamężną

Córa na Lidzie możnego dziedzica,

Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica

Zwana Grażyną, czyli piękną księżną."

W obrębie murów zamkowych odbywaliśmy latem lekcje gimnastyki oraz gry sportowe, zaś w okresie zimowym korzystaliśmy z miejskiego lodowiska. Każda lekcja była okrojona w czasie, ponieważ dojście oraz powrót do szkoły trwał niezmiennie ok. 15 minut.

Z okresu nauki w szkole na Gedyminowskiej od klasy IV do VI A, zachowałem wiele wspomnień o nauczycielach, którzy ukształtowali mój stosunek do nauki i zaszczytli gorące uczucia patriotyzmu, uniżenia ojczyzny-Polski, gotowość służenia Jej, niesienia ofiary z gotowością wyrzeczenia się osobistych interesów na rzecz społecznych przedsięwzięć. Kierownikiem szkoły był Ferdynand Orkusz, ogólnie szanowany i lubiany przez uczniów. Z jego synem Słuczaniem uczęszczałem wspólnie do tej samej klasy. Spośród grona nauczycielskiego najmilej wspominam polonistę i wychowawcę *Zygmunta* Lisieckiego. Znakomity pedagog prowadził lekcje bardzo interesująco, nie ograniczając się do podręcznika. Często wykorzystywał inne źródła, na podstawie których omawiał wielce dla Polski zasłużone postacie historii dawnej i współczesnej. Kreślił nam wielkich przywódców i bohaterów życiorysy, ich działalność w zmaganiach o niepodległość Polski. Dla przykładu: Narbutta, Syrokomli, Lisa-Kuli, Emilii Plater, a nade wszystko wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego. Za "Dziadka" mogliśmy dać się pokrajać w kawałki. Później wiele razy wracałem wspomnieniami do owych bohaterów, zastanawiałem się nad skomplikowaną historią Polski i losami narodu polskiego na przestrzeni dziejów. Dostrzegłem podobieństwo dwóch wielkich ludzi tej epoki historycznej: Józefa Piłsudskiego i Charles de Gaulle'a. Dla nich obu, jak w ciągu stuleci istnienia narodów Polski i Francji, armia zawsze była zwierciadłem, w którym odbijała się dusza i los państwa. De Gaulle, jak Piłsudski, o 20 lat wcześniej nie mógł się nigdy pogodzić z kołtuństwem i sobkostwem grup parlamentarnych, chaosem i reżymem partyjnym w ciągłej walce o dominację i realizację własnych programów. Obaj nie mogli pogodzić się z rządami powoływanymi przez poszczególne frakcje polityczne, które złożone były z ludzi bezdusznych, pozbawionych indywidualności, a zamkniętych w ryzach klasowo-partyjnych ideologii i własnych interesów.

Po zwycięstwie Józefa Piłsudskiego w 1920 r. Państwo Polskie znowu stanęło na nogach, jedność była przywrócona, nadzieja wskrzeszona, a Polska znowu odnalazła swe miejsce w Europie i świecie. Ale znowu pojawiły się partie polityczne, na arenie życia publicznego, prawie pod tymi samymi nazwami, z tymi samymi co dawniej iluzjami i tą samą klientelą. Każdy z liderów partyjnych przedstawiał rzeczy tak, jak gdyby doprawdy nic ani nikt nie reprezentował Kraju, oprócz skłóconych partii, które siały w nim niezgodę. Naród Polski znowu mógł odnieść zwycięstwo jedynie dzięki autorytetowi władzy. Józef Piłsudski w obliczu szkodliwości ze strony różnych odłamów ideologiczno-politycznych, nie chciał im służyć za szyld, ani za figuranta i ośzedł niczym nie skalany. Potem wrócił do władzy drogą zamachu stanu, kiedy już kraj staczał się w przepaść, zbudowaną przez zwaśnione partie. Piłsudski nie mógł się pogodzić z komunizmem, przenikającym z zachodniej granicy, drogą propagandy bolszewickiej, a reprezentowanym między innymi przez Różę Luksemburg, który zmierzał do społeczeństwa bezklasowego, rezygnując całkowicie z patriotyzmu narodowego na rzecz internacjonalizmu; z narodowej przynależności państwowej wraz ze spuścizną historyczną, na rzecz świata bez granic państwowych, ale jak dziś się okazuje pod wspólną flagą czerwoną rosyjskiego imperium komunistycznego. Jak wykazuje historia lat po drugiej wojnie światowej, Naród Polski nie dał się zwieść tej propagandzie, chociaż jest w nim wielu odszczepieńców szukających w tej machinie wygodnych gniazd i dla której to propagandy bolszewickiej rządy partyjne uwiły w Polsce powojennej gniazda dywersji antynarodowej. Któż wie, czy w przyszłości nie spotka ich ten sam los, co przywódców i działaczy Komunistycznej Partii Polskiej zwabionych do Rosji Stalina i tam straconych. Liczba ich jest ogromna, a wykaz "zrehabilitowanych", niestety pośmiertnie, zajmuje całą książkę czterystastronicową, bo przy okazji powieszono i rozstrzelano wielu Polaków, których traktat Ryski zastał na terenach Rosji Sowieckiej, gdzie mieli własne majątki dziedziczone z dziada pradziada. A iluż Polaków zginęło tam w latach 1939-1958. Ręka kata sowieckiego działała jeszcze bezkarnie przez 13 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, kiedy to ZSRR dyktując warunki polityczne i ustrojowe, w ramach "przyjaźni polsko-radzieckiej", likwidował resztki więzionych bohaterów Polskich Sił Zbrojnych i Armii Krajowej.

Z klasy VI A w Szkole na Gedyminowskiej zachowało się jedno zdjęcie zrobione z okazji zakończenia roku szkolnego i pożegnania tej szkoły. Jest na nim nasz wychowawca Zygmunt Lisiecki. Nie wiele

pamiętam nazwisk. Z prawej od góry: Czuczman Czesław-dziś inżynier w Gdańsku, Rudziński, Runc, po następnych trzech: Zbigniew Nowak-syn uzdolnionego nauczyciela rysunków, Orkusz-syn kierownika szkoły, Popiel-syn oficera, po obu stronach wychowawcy rodzeństwo Grabowscy. Uss na dole drugi od prawej. Ja na dole drugi od lewej.

Jedną z większych atrakcji domowych były przyjazdy gości lub kuzynostwa z odległych stron, także z Warszawy. Szczególnie w okresie letnich wakacji przyjeżdżali z Warszawy Andrzejewscy z rodziny mojego ojca. Ich dzieci: Stacha, Gienek i Józek byli mniej więcej w naszym wieku, tym łatwiej nawiązaliśmy kontakt i dzieliliśmy się zainteresowaniami. Dane mi było rewizytować ich w Warszawie dopiero po wojnie w 1945 roku, a później z moją małżonką w roku 1951.

Nas interesowała stolica, więc chłonęliśmy ich opowiadania, przeżycia szkolne i relacje na temat spędzania wolnego czasu. Oni prezentowali najnowsze piosenki /szlagiery/, a potem wspólnie śpiewaliśmy na ganku posługując się dwiema trąbami od gramofonu. Ich z kolei nęciły uroki pól, łąk, praca przy sprzątaniu zboża z naszych pól, siana z łąk, zabawy i krótkie wycieczki po okolicy, wyjazdy do lasu na jagody lub na grzyby, jeżeli przypadło im być u nas w miesiącu sierpniu. Do dziś zachowały się wspólne fotografie z owych odwiedzin. Po 1945 r Stacha wyszła za mąż za hrabiego i mieszkała na ul. Francuskiej, na Saskiej Kępie. Bywałem tam, ale nie odpowiadała mi jaśniepańska atmosfera. Nie wiem nawet co z nimi stało się w latach późniejszych. Wiem, że Gienek ożenił się, miał dzieci, ale po zmianie adresu straciłem z nim kontakt. Natomiast po wojnie Józek studiował medycynę, ukończył studia i wyjechał wraz z żoną lekarką do Kuwejtu, skąd już nie powrócił do kraju. Andrzej Andrzejewski w czasie okupacji poległ lub zmarł, ciocia Jadzia zmarła po wojnie w Warszawie, a dorosłych wnuków próbowałem odwiedzać, lecz skończyło się na krótkiej wizycie. Po prostu nie mieliśmy z nimi wspólnych zainteresowań rodzinnych.

Do najczęstszych i najchętniej witanych gości należeli Bołtucio wie z Bołtuciów. Wspominałem o nich w "rodowodach." Witold swego czasu mieszkał w naszym domu w Lidzie, kiedy uczęszczał do gimnazjum, jeszcze starego typu. Oni przyjeżdżając na "targi" lub dla dokonania zakupów, względnie dla załatwienia różnych spraw urzędowych w Starostwie, u nas zatrzymywali się, u nas pozostawiali konie z bryczką latem, lub saniami zimą. Niezależnie od tego odwiedzali nas w okresie świąt, z okazji imienin rodziców oraz umówionych spotkań rodzinnych w szerszym gronie Bołtuciów lub Wismontów.

wuj Franciszek zwany "dziadziem", jakiego zapamiętałem, był poważny, zawsze spokojny i opanowany, mówił niewiele. Tolerował dzieci, nawet je lubił. Wobec własnych, witka i wali, był wymagający. Oni wszyscy cieszyli się z naszych wizyt. Przypominam swój pobyt pewnej zimy, przejażdżki sankami, szczególnie zaś ukontentowany bywałem nocną jazdą na pasterkę do kościoła w Kirianowcach. Drogą około 5 km para zaprzężonych koni pędziła po śnieżnej bieli, a grudy śniegu spod kopyt końskich przelatywały obok nas i nad nami, czasem padały na twarz, okutaną szalem i wysokim kołnierzem kożucha. Janczary zawieszane na końskich szyjach i u uprzęży głośno dźwięczały, tym głośniej gdy ścigały się z innymi zaprzęgami. Panował ówczesnie zwyczaj, by pierwszym zdążyć do wsi po pasterce. Tak pięknej nocy zimowej, choć mroźnej, gdy roje gwiazd odbijały się blaskiem w iskrzących się zaspach, nigdy więcej i nigdzie więcej nie dało mi się zobaczyć i przeżyć.

Pamiętam dobrze swoje pobyty w Bołtuciach w okresie ferii letnich. Towarzyszyłem domownikom w wielu zajęciach domowych i gospodarskich. Chodziłem z Witkiem pasać konie na daleki wygon ciągnący się kilometrami. Prowadziliśmy je na dobę całą, zostawialiśmy tam, by następnego dnia wracać na wygon, a stamtąd konno na oklep jechać do zagrody. Pewnego razu wystraszony pode mną koń, a właściwie klacz, z biegu nagle zatrzymała się tuż przed wrotami, zamiast lekko przeskoczyć, a ja szczupakiem wylądowałem po drugiej stronie ogrodzenia. Mimo że droga była wybrukowana, nic mi się nie stało.

Na własną rękę z bratem Romualdem penetrowaliśmy zakamarki domowe, a przede wszystkim strych. Stały na strychu dwie okute skrzynie, w których oglądaliśmy stare suknie, szale, długie rękawiczki damskie, kapelusze, wachlarze, jakieś inne drobiazgi i rekwizyty chyba balowe, jakieś stare książki. Pod jedną z desek wymacaliśmy dwa karabiny ukryte w paździerzach. Paździerz - to odpady z włókna lnu lub konopi pozostałe po międleniu. Z takimi rekwizytami mogliśmy bawić się bez znużenia.

Przez półokrągłe okienka na strychu, wystawialiśmy długą tyczkę z gwoździem w kierunku jabłoni, skąd ściągaliśmy najpiękniejsze i najdorodniejsze okazy jabłek lub gruszek. Czyniliśmy tak dlatego, że wielki sad był dzierżawiony Żydowi, który słynął z chciwości, była to więc nasza reakcja na jego skąpstwo. Podobnie uwiązaliśmy konie u płotu odgradzającego sad od dziedzińca, by ocierając grzbiety o zwisające nisko gałęzie strząsały jabłka na naszą stronę. Żydek podnosił wtedy gwałt, a biadolenie rozlegało się po całej okolicy.

Czasem żydek arendujący sad owocowy przychodził do kuchni i pod oknem, trzymając księgę modlił się głośno, przeplatając swoją modlitwę rozmową z gospodarzem. Wzbudzał w nas ciekawość i wątpliwość swym postępowaniem. Czasem najmował chłopców do zrywania wiśni z drzew, przy czym pilnie obserwował czy nie za wiele owoców zjadają. Sam był stróżem sadu dniem i nocą, bo spał w szałasie zrobionym ze słomy. Dzieci nie znosił i unikał wszelkich rozmów.

Kiedyś wybrałem się z witekiem do lasu po drewno opałowe. Obok klaczy zaprzężonej do długiego wozu wesoło biegał źrebak. Kiedy byliśmy gotowi do drogi powrotnej, witek zabawiał się źrebakiem i łechtał go sięgając ręką do podbrzusza. Nagle źrebię obiema tylnymi nogami wierzgnęło, trafiając Witka w brzuch. Witek upadł na ziemię, a na ustach ukazała się ślina. Strasznie się przestraszyłem, nie wiedząc co począć. Po chwili jednak odzyskał świadomość i wrociliśmy do domu.

Chodziłem po wsi, ciekawy innych dzieci w moim wieku i życia wiejskiego. Wstydzilem się, gdy wiejskie dzieci, a nawet gospodarze nazywali mnie paniczem? We wsi przeważnie mieszkali gospodarze o nazwisku Bołtuć, lecz żadnego pokrewieństwa między nimi nie było. Przychodzili biedniejsi na przednówku do wuja Franciszka pożyczając zboże lub mąkę na chleb, by później dług odrabiać pracą na polu przy żniwach, sianokosach lub wykopkach ziemniaków. Ciekawym życia tych Bołtuciów korzystałem z zaproszenia i wchodziłem do wiejskiej izby. Tak ją zapamiętałem. W jednym narożniku stał piec z trzonem kuchennym i wnęką do pieczenia chleba. Pod oknami stały długie drewniane ławy, a przy jednej z nich długi stół przy którym jadano. Na belkowanych ścianach wisiały obrazy świętych oraz wysuszone palmy wielkanocne. Na parapetach niewielkich okien ustawiano rośliny kwitnące lub ozdobne w drewnianych donicach. U pułapu nieraz zwisały suszone zioła lub ozdobne wiechy, chyba z ostatnich dożynek. Czasem kołysała się pleciona kołyska z niemowlęciem, zawieszona na długich sznurach u powały. W wielu domostwach stały krosna, na których tkano białe płótna lniane lub samodziałowe dywaniki w ciekawe wzory ludowe.

W wieku lat 9-10 ojciec mnie wysyłał czasem autobusem prywatnym, należącym do spółki żydowskiej, a kierowca wysadzał mnie przy drogowskazie "Bołtucie." Stamtąd po przejściu kilkuset metrów, mijając gospodarstwo niejakiego Wrony, potem meldowałem się u dziadzi. Z wala chodziliśmy przeważnie do lasu na jagody czarne, poziomki lub borówki. Ona zwykle zacierala, a my objadaliśmy się do woli. Czasem wycinaliśmy z nią tatarak na smakowite konfitury.

Życie rodzinne toczyło się głównie w lewej części domu, w ogromnej kuchni i przyległej wnęce, gdzie leżała obłożnie chora matka wuja Albertyna. Z sieni po prawej stronie wchodziło się do dużej izby z białą drewnianą podłogą i meblami typowymi dla tzw. salonu. Stało tam łóżko gościnne, na którym sypiałem, czasem ze słuchawkami na uszach z kryształkowego detektora. Światła elektrycznego na wsi nie było ani u nich, ani u gospodarza Lipskiego, właściciela majątku, nazywanego często hrabią. Młody Stanisław Lipski z pięknym wąsem młodzieńczym, od młodości nie golonym, elegancko ubrany często odwiedzał Boitucia. Z Witkiem uczęszczali swego czasu do gimnazjum w Lidzie. Miał on równie elegancką i ładną siostrę Kasię, która bywała u wali. Wydawało mi się, że darzyli się wzajemną sympatią nie tylko z walą, lecz także z Witkiem. Teraz temu zaprzecza. Na jednym ze zdjęć /aneks/ Kasia, wala i mój brat Romek siedzą na ławce przy kołowrotku. Na innym zdjęciu są konie pod gałęziami jabłoni. Z wielu innych zdjęć łatwo rozpoznać naszych kuzynów. Powinienem nadmienić, iż po wojnie, będąc przypadkiem w Grajewie, spotkałem na targu Staszka Lipskiego.

Czasem gościliśmy w Lidzie Tomasza Boitucia /aneks/, brata Franciszka. On także mieszkał w okolicy, chyba nad rzeką Dzitwą, a może nad Niemnem? Wydaje mi się, że był miynarzem własnego obiektu. Przyjeżdżał zwykle latem bryczką zaprzęzoną w parę pięknych koni. Bywał z całą swoją rodziną, to jest z żoną, którą nazywano po prostu Tomaszową, czterema synami: Stanisławem, Odonem, Wacławem oraz Mieczysławem. Przywozili same specjały: raki i ryby, a dzieciom rozmaite prezenty. Miód był wspaniały, ciasta wysmienite. Uciechy było co niemiara, bo raki szczypały, a wielkie szczupaki kłuły zębami. Wiuny /piskorze/ cienkie i długie dziwiły nas swą żywotnością. Oczyszczone i pokrajane na kawałki, podskakiwały jeszcze na patelni w tłuszczu.

Wujo Tomasz miał wypielęgnowane siwe wąsiki, a na głowie siwego przystrzyżonego jeża. Był tęgim gawędziarzem i nie stronił od wykwintnych miódów pitnych, nalewek i innych trunków. Po ich wyjeździe, podczas odprowadzania przez naszych rodziców, we troje z siostrą i bratem zabawialiśmy się w gości. Romek "był" Tomaszem, Irena "Tomaszową", ja zaś którymś z synów Tomasza. "Dosiadaliśmy" stołu, jedliśmy, a my obaj z bratem piliśmy do siebie zdrowie, wypróżniając pozostawione kieliszki. Było nam tak wesoło, że przwracaliśmy się tracąc równowagę, a zmożeni zasypialiśmy twardym snem. Nazajutrz po rodzinnej rozmowie otrzymaliśmy lanie ku pamięci.

Ponadto w naszej pamięci pozostały wznoszone wówczas toasty, wiwaty, zasłyszane przyśpiewki i piosenki.

Mile wspominałem wakacje szkolne spędzone daleko od domu we wsi Dombrowica, miejscu urodzenia mojej babki Izabeli. Dom mieszkalny i zabudowania gospodarcze wraz z przyległymi gruntami położone były na wyżynie, dokoła której rozciągały się lasy. Tylko z jednej strony u podnoża skarpy ciągnął się pas łąk, tam też była studnia, z której wodę wnoszono na górę nosidłami, niewygodną wijącą się ścieżką. Bydło i konie do wodopoju pędzono okrężną drogą, gdy wracały z pastwiska. Położenie gospodarstwa miało tylko jedną zaletę choć niepraktyczną - z góry wabiła oczy rozległa panorama głębokiej doliny z wijącym się strumieniem.

Potomkowie babki - Bogdanowicze - prowadzili stadninę koni, które sprzedawano dla wojska na podstawie umowy. Niektóre egzemplarze uzyskiwały wysoką cenę ok. paru tysięcy złotych. W Dombrowicy byłem raz jeden w okresie ferii zimowych. Miałem jedyny raz okazję oglądać ujeżdżanie dorosłych zwierząt. Rozpocynało się to od nakładania uzdy. Trudniejsze było siodłanie konia, a jeszcze bardziej trudne i niebezpieczne było dosiadanie wierzchem. Stąd właśnie czyniono to zimą, bo upadek na miękki śnieg nie czynił dosiadającemu fizycznych dolegliwości.

Inaczej postępowano z ujeżdżaniem koni przeznaczonych do zaprzęgu. Po wstępnych zabiegach, jak poprzednio, zaprzęgano konia do szerokich a niewywrotnych saní, a okręciwszy kilkakrotnie lejce na obu rękach puszczano konia w śnieżną dal. Wyczyniając rozmaite podskoki, skręty, galopował tak długo aż ustał ze zmęczenia, stawał się łagodniejszy i dawał się pokierować. Miałem okazję jechać saniami przy powtórnym zaprzęgu następnego dnia i przeżyć jeszcze dostatecznie mocnych wrażeń i emocji.

Przebyłem jeszcze jedną daleką wyprawę do Puszczy Zanie-meńskiej na zaproszenie kuzynów mamy - Zemojtelów; z tych właśnie wywodził się Adamek co mścił się na naszej kotce i ją unicestwił. Jechało się tam wozem chiopskim cały dzień od wczesnego ranka do zmierzchu, przebywszy około 50 km. Była to uciążliwa podróż, zważywszy że wóz podskakiwał na wyboistej nawierzchni, a często trzeba było zsiadać z wozu i przejść kawał drogi dla wypoczynku. Jeden z ostatnich odcinków drogi przebiegał traktem "napoleońskim" po bagnach, wóz skakał jak po tarce, bo droga ułożona była z długich pni sosnowych. Opadające liście, gałęzie i kora, latami wcale nie wyrównywały powierzchni. wreszcie dotarliśmy na ogromną polanę leśną, na której stał drewniany dom i zabudowania gospodarcze.

Gruntów uprawnych było niewiele. Gospodarstwo utrzymywało się z lasu, to znaczy ze sprzedaży drewna opałowego i drewna budowlanego, a niezbyt duże dochody uzyskiwano z połowu ryb w Niemnie, ze sprzedaży suszonych grzybów oraz jagód. Życie wiedli bardzo oszczędne. Ojciec Adama krzesał ogień do fajki skałką na wysuszoną hubę lub spaloną szmatę w odpowiednim pojemniczku. Widziałem też, że czasem dzielił zapałkę na dwie części, gdy trzeba było rozniecić ogień pod kuchnią.

Gwoli usatysfakcjonowania się wspomnę jeszcze o podróżach odbywanych naszym samochodem z całą rodziną w komplecie, przeważnie do Minojtów nad rzeką Dzitwą, gdzie niejaki Wojtulewicz, dobry znajomy i przyjaciel ojca, prowadził pensjonat i znaną w okolicy restaurację. Była tam wygodna piaszczysta plaża, możliwość przenocowania i stołowania się. Wojtulewicz po wojnie prowadził ekskluzywną restaurację i nocny lokal w Gorzowie Wlkp. przez kilka lat, zaś potem na skutek domiarów podatkowych, w ramach likwidowania prywatnego handlu i usług w socjaliźmie, stracił cały majątek i wyjechał w nieznane.

Innym razem byliśmy samochodem w Nowojelni nad rzeką Mołczadź, gdzie pracowała kuzynka ciotki Hanki męża, Marysia Bogdanowiczówna. Posiadała wygodne mieszkanie w pensjonacie uzdrowskim, gdzie innym razem korzystałem z gościny i noclegu, a dojeżdżałem tam pociągami z Lidy w kierunku na Baranowicze. Również moja siostra Irene była u niej, raz w Nowojelni zaś potem w Byteniu nad rzeką Szczarą, dokąd była przeniesiona do innego sanatorium. Dziś/śiaj mieliśmy możliwość dwukrotnie ją odwiedzać w Pile, gdzie zamieszkuje wraz z mężem Eugeniuszem Grzelakiem. Okazują wielką gościnność jak kiedyś przed wojną na naszych Kresach.

Kilkakrotnie latem, kiedy byłem uczniem klasy VI, a później uczniem gimnazjum, odwiedzałem kuzyna matki mojej, który miał posiadłość nad Niemnem między Ogrodnikami a Brzozówką. Na lewym, malowniczym brzegu Niemna, porośniętym lasem, między szeroką błękitną wstęgą rzeki a zielonymi łąkami, zbudował sobie wspaniały wielki dom na wzgórzu, gdzie kwaterował letników w szeregu pokojach urządzonych na poddaszu. Stokiem zalesionego wzgórza schodziło się wprost na piaszczystą plażę. Ziemię wykupił z parcelacji majątku, a powiększył posiadłość, kiedy po śmierci swego brata, ożenił się z bratową łącząc gospodarstwo wielkości 40 hektarów łącznie. Spłacał do banku każdego roku dość pokaźną kwotę. W jego pięknym domu mieszkał również drugi brat-organista z kościoła przy sławnej hucie szklanej "Niemen" braci Stolle. W dużym salonie organista urządzał

koncerty dla gości, dysponując fortepianem wysokiej klasy. Tak pięknego zakątka trudno zapomnieć. W zakolach wijącej się rzeki rosły białe lilie wodne, a w przezroczystej wodzie stada ryb cieszyły oko wypoczywającego. Bywałem tam także z koleżanką Elą Żytniakówną i kolegami szkolnymi; pływaliliśmy w tej wspaniałej krynicy. Często wani byliśmy równie wspaniałym miodem i innymi smakołykami.

Wracając do huty warto podkreślić, iż jej artystyczne wyroby trafiały na rynki europejskie, amerykańskie i azjatyckie, m.in. do Turcji, Iraku, Syrii, Ameryki-Buenos Aires, Panamy, Stanów Zjednoczonych i Afryki /Zanzibar, Angola i innych/. Urnę szklaną na pochowanie serca Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego na cmentarz wileński w Rosie wykonano w tej hucie szkła. Zatrudnionych tam było 750 robotników, między innymi pracował w hucie ojciec kolegi Tadeusza - Klemens Czywilis. Wyprowadzili się stamtąd, gdy wypadkowi uległ jego syn, a brat Tadeusza Zbigniew Czywilis, któremu jako małemu dziecku lokomotywa wąskotorówki ucięła obie nogi poniżej kolan. Zbigniew był radiotechnikiem, mieszkał we Wrocławiu po wojnie, a zmarł tam ok. 1983 roku. Huta ta istniała od 1891 roku i znana była w Polsce i za granicami kraju.

Kiedy przyszli sowieci po raz drugi do Polski, w 1939 roku, kuzyn został wywieziony, jego dom przewieziono do Bielicy na drugą stronę Niemna, złożono spowrotem i urządzono w nim szkołę dla całej okolicy. Zabrano mu to, co własną pracą i ciężkim trudem zdobył, zaczynając od zera, od zaciągniętego długu bankowego. Taka jest komunistyczna sprawiedliwość, hojna dla nierobów i krzykaczy, bezwzględna dla pracowitych i uczciwych ludzi. Za czasów okupacji niemieckiej budynek ten służył IV batalionowi 77 pp Armii Krajowej pod dowództwem ppor "Ragnera"- Czesława Zajączkowskiego, na potrzeby partyzanckiej podchorążówki i szpitala partyzanckiego. Kuzyn-właściciel budynku i wspaniałego gospodarstwa zniszczonego w całości przez sowietów, nigdy z tego zesłania nie wrócił, tak jak wielu innych Polaków, tak samo jak za carów rosyjskich i tak jak wielu oficerów i żołnierzy Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych, zamordowanych w obozach, w kopalniach i tajgach Syberii, w latach 1939 do 1958 roku.

- 65 - "Ode dnia do dnia, od chwili
do chwili,
żyliśmy życiu mądrym na wspaniałe...
godziny marły, a myśmy liczyli
szczęście na wieczność... o tak !

GIMNAZJALNE WSPOMINKI /K. Makuszyński/

Po ukończeniu klasy VI szkoły powszechnej zdałem egzamin wstępny do Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Hetmana Karola Chodkiewicza, które mieściło się przy ul. Szkolnej 62 w Lidzie, opodal Szkoły Powszechnej, w której rozpoczynałem kiedyś naukę. Znowu droga do szkoły znacznie się wydłużyła. Tym razem odkryliśmy przejście na skróty po przekątnej.

W tym czasie, 1937. roku, brat Romuald rozpoczął klasę III, a siostra Irena klasę II w Prywatnym Gimnazjum Kupieckim ks. ks. Pijarów, przy ul. Suwalskiej 68.

Nauka była odtąd dość kosztowna. W Gimnazjum Kupieckim ojciec wnosił każdego miesiąca po zł 25,- od dziecka /ucznia/. Natomiast w Gimnazjum Państwowym za mnie obowiązywało czesne w wys. zł 20,- i tylko przez pierwsze półrocze, bo potem byłem zwolniony zgodnie z warunkiem uzyskiwania dobrych ocen. Odtąd czesne wnoszono jeden raz w roku w każdej kolejnej klasie. Prócz czesnego na wysokość kosztów nauki w szkołach średnich wpływały skiadki na różne organizacje szkolne, np.: PCK, LMK- /Liga morska i Kolonialna/, LOPP- /Liga Obrony Powietrznej Państwa/, na Komitet Rodzicielski, ZHP- /Związek Harcerstwa Polskiego/. Nie znaczy to, że trzeba było należeć do wszystkich organizacji, jednak każdy uczeń miał ambicję należenia przynajmniej do dwóch organizacji. Do kosztów kształcenia dochodziły wydatki na zakup podręczników - ok. 1 do 4 złotych za egzemplarz, tudzież bruliony, zeszyty i inne przybory szkolne, w Kupieckim również przybory kreślarskie dość drogie.

Osobiście należałem do PCK i LOPP, nie mówiąc o obowiązkowym Przysposobieniu Wojskowym, a z tym związany zakup munduru, furażerki itp.

Obiektywnie stwierdzam, że nie była to zwykła formalność. Poprzez PCK zdobyłem szereg umiejętności i wiadomości w zakresie tzw. pierwszej pomocy, znajomości podstawowych leków, ziół leczniczych, prostych zabiegów przy złamaniach kończyn, tamowania krwawień itp. itd.

Zajęcia w ramach LOPP budziły większe emocje. Łączyły się z pobytem na lotnisku i w koszarach 77 pp. Wśród zagadnień teoretycznych były m.in.: zasady obrony przed atakiem z powietrza, zabezpieczenie przed gazami bojowymi, budowa i konstrukcja schronów przeciwlotniczych i in. W ramach ćwiczeń praktycznych najciekawsze były zajęcia w bunkrach betonowych, gdzie po wystrzeleniu kilku naboju z gazem łzawiącym należało wymieniać filtr maski gazowej. Niejeden musiał solidnie popłakać, gdy nie opanował sposobu szybkiej wymiany filtra. Obiektywnie trzeba stwierdzić, że oprócz obrony przeciwgazowej, wszystkie inne ćwiczenia i umiejętności przydały się w życiu, głównie podczas okupacji.

Państwowe Liceum i Gimnazjum Ogólnokształcące Koedukacyjne mieściło się w nowoczesnym gmachu dwupiętrowym, zbudowanym w kształcie czworoboku zamkniętego, wewnątrz którego okazałe przetrwał się ogród kwiatowy. Na parterze i na pozostałych kondygnacjach ciągnęły się wzdłuż budynku szerokie korytarze rekreacyjne, zaczynające się i kończące na przestronnych westybulach. Ciąg komunikacyjny między dwoma skrzydłami budynku na parterze przerywała sala gimnastyczna oraz jej zaplecze, pracownie robót ręcznych z drewna, metalu, szkła, sala widowiskowo-kinowa. Na parterze w skrzydłach mieściły się: kancelaria, gabinet dyrektora, biblioteka i czytelnia, pokój profesorski. W suterynach zlokalizowane były szatnie i ubiorkownie. W drugim skrzydle były zlokalizowane gabinety przedmiotowe: biologiczny z hodowlą zwierząt /oryz, żółwie, rybki/, geograficzny, fizyko-chemiczny, muzyczny.

Pierwsze piętro zajmowało gimnazjum czteroklasowe o podwójnych ciągach równoległych: klasy A z językiem obcym niemieckim i klasy B z językiem obcym francuskim. Na drugim piętrze mieściły się po dwie klasy liceum, typu humanistyczno-przyrodniczego i matematyczno-fizycznego. W budynku wolno stojącym było ogrodnictwo i kotłownia, w której zimą przebywał oswojony bocian. Od wiosny do jesieni przechadzał się swobodnie po rozległym obejściu. Bocian był atrakcją szkoły i pupilem uczniów dbających o dostawę bocianich smaczków.

W klasie I A wychowawczynią była nauczycielka języka polskiego i łaciny Mostowiczówna, siostra znanego pisarza Dołęgi-Mostowicza, autora poczytnych i ekranizowanych dzieł: "Profesor Wilczur", "Znachor", "Kariera Nikodema Dyzmy." Niskiego wzrostu o nieproporcjonalnie szerokich biodrach, rozpoznawana z daleka dzięki swojej charakterystycznej sylwetce. Jako nauczycielka /profesorka/ gromadziła w sobie wiele pozytywnych cech i zalet zawodowych. Cierpliwa i wyrozumiała, zawsze pogodna i uśmiechnięta, dobry pedagog i wychowawca. Dbała bardzo o zaszczerpienie wśród młodzieży i rozwijanie kultury literackiej, organizowała dla uczniów spotkania literackie. Zawsze wykorzystywała przyjazdy swego brata i prowadziła z nim spotkania autorskie. Odbywały się również koncerty poetyckie, muzyczne i wokalne w wykonaniu artystów i aktorów z Wilna oraz Warszawy. Niewątpliwie z ważnych przyczyn musiała opuścić Lidę, wyjeżdżając do brata pisarza. W jej miejsce przybył Zygmunt Ostrowski, absolwent Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, obejmując od nowego roku szkolnego /w klasie II/ wychowawstwo oraz naukę języka polskiego.

Był to poważny pan, po czterdziestce, szpakowaty, co widać na fotografii /aneks/. Później był nauczycielem łaciny prof. Sadowicz, uczący tego przedmiotu również w klasach starszych gimnazjum. Jego smukła sylwetka, z pochyloną ku przodowi głową o przyprószonej siwiźnie, wzbudzała lęk. Na jego twarzy nigdy uśmiech nie gościł. Był bardzo wymagający i konsekwentny. Postrach gimnazjum. Trudno było na jego klasówkach korzystać ze ściągawek, a jeszcze trudniej korzystać z podpowiadania. W jego przypadku nie sprawdza się aforizm Sztaudyngera, "Szkoła podobna jest do teatru- tu i tam bez podpowiadania daleko nie ząjdiesz." Pogodną parę profesorską stanowili Kleidienstowie. Pani Józefa nauczała geografii z wielkim znawstwem przedmiotu. Nie tylko tej geografii podręcznikowej, lecz z własnych obserwacji i przeżyć, ponieważ zwiedziła kraje Europy, a także bywała na innych kontynentach. Była jednocześnie aktywną działaczką regionalną, pełniąc społeczną funkcję wiceprzewodniczącej Oddziału Lidzkiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Pan Kleidienst był nauczycielem języka niemieckiego. Nieduży grubasek w binoklach, stale opadających, był pogodny i uśmiechnięty jak jego żona. Oboje pochodzili z Pomorza, tam też po wojnie miałem przyjemność spotkać ją przypadkowo, gdy oprowadzała wycieczkę licealną po kościele w Kościerzynie. Poznałem ją, zanim ujrzałem twarz, po charakterystycznym płaszczu w duże czarne i białe kraty. W 1947 r. byłem także nauczycielem. Pozwoliłem sobie przypomnieć się zajmując krótką rozmowę, na jaką pozwoliła chwila przerwy po wyjściu z obiektu zwiedzania. Oboje w dalszym ciągu pracowali w gimnazjum ogólnokształcącym, w Wejherowie.

Nauczycielem biologii był prof. Rutkowski, starszy pan w okularach, z amatorstwa myśliwy, nazywany przez uczniów "kuksa."

Przydomek ten zawdzięczał drobnemu kalectwu, bo miał ustrzelony palec środkowy u prawej dłoni. Zawsze był roztargniony, ale skrupulatny i konsekwentny. Niech by któryś z dyżurnych zaniedbał obowiązek utrzymywania klatek z ptakami, żółwiami, węzami, świnkami morskimi lub akwariów z rybami, w czystości, lub nie nakarmił zwierząt, wtedy nie mógł liczyć na wyrozumiałość. Obowiązki dyżurnych, zmieniających się po dwoje co tydzień, były kłopotliwe. Oto w drodze do szkoły, wcześniej rano, musieli kupować wątróbkę, sałatę zieloną lub inne "specjały" w taniej jatce i na straganach targowych, odpowiednio je porcjować i podawać zwierzętom przed rozpoczęciem nauki, zaś resztę zabezpieczyć na późniejszy posiłek. Prof. Rutkowski dawał się uczniom zwodzić na tematy uboczne, nie

wiele mające związku z przedmiotem nauczania. Dawał się ponieść wspomnieniom z wielkich polowań i samotnych zasadzkach na grubego zwierza. Istotnie opowiadania jego były ciekawe, wzbogacone prawdziwymi przeżyciami i emocjami, dającymi znać o sobie, ileś tam lat wstecz mające miejsce. Zorientowawszy się, że wyłudzone od niego sporo czasu lekcyjnego, nadrabiał czas wypytywaniem, wystawianiem ocen niedostatecznych, które nazywał "zołzy." Spacerował wtedy wzdłuż klasy między ławkami, a co bardziej opieszających z odpowiedzią muskał dłonią w poprzek głowy, uczniakom zadając strachu.

Nauczycielem matematyki był prof. Kaliciński. Jego syn, podobnie jak syn Rutkowskiego, uczył się w naszym gimnazjum, a Leopold Rutkowski wspólnie ze mną w jednej klasie. Prof. Kaliciński był wymagający jak wszyscy, cierpliwie wykładał swój przedmiot, chociaż czasem ponosiły go nerwy, gdy delikwent bywał otępiały, nie dochodziły doń żadne dowody, wswody, tłumaczenia i groźby.

Rysunków i robót ręcznych nauczał Stanisław Nowak, któremu wiele zawdzięczam wiadomości i umiejętności w zakresie poprawnego opanowania perspektywy, kolorystyki, rozkładania cieni, nabycia umiejętności majsterkowania w drewnie, metalu, szkłe. Niski, chudy rzec można, skromny i nadzwyczaj pracowity oraz cierpliwy, potrafiający zaciekawić i nauczyć.

Historię wykładał dyr. Kazimierz Mętlewicz /aneks-fotografia/, starannie realizując program faktów historycznych, bez zaangażowania emocjonalnego, jak to miało miejsce w szkole powszechnej. Stawiał bowiem na fakty, a z nich wyciągał wnioski. Twierdził, iż nauka nie znosi emocji, bo wiedzie na manowce i przesłania rzeczywisty obraz danej epoki.

Jeżeli dobrze przypominam, śpiewu nauczała prof. Wyderko, która osobiście, bez użycia instrumentu podawała właściwy ton, brzmienie danej nuty, trójdźwięku, gamy, głosem drgającym jak struna, złośliwi twierdzili - zerdzewiała. Miała wyostrzony słuch muzyczny wykorzystując tę umiejętność do wylawiania kandydatów do chóru szkolnego. Mnie również spotkał ten los, chociaż próbowałem śpiewać falsetto. Pani profesor nie dała się zwieść. Onegdaj wracając z popołudniowych zajęć, wstąpiłem po drodze do gimnazjum kupieckiego po brata, gdzie odbywał próby do przedstawienia jasełek. Przypadkiem zetknąłem się z rektorem ks. Klemensem Czabanowskim, któremu kilka razy służyłem do Mszy Św. w charakterze ministranta, a ksiądz oddał mnie w ręce organisty, który po próbie głosu zdecydował o wciągnięciu do zespołu. Nie było to po mojej myśli,

ponieważ powinna była wyrazić zgodę dyrekcja mojego gimnazjum, jednak uległem. Brat z Władkiem Kononem grali rolę rycerzy, a ja w roli pastuszka pod wodzą bacy-organisty z tamtejszego kościoła. W roli pastuszków mało było kwestii mówionych, natomiast niemal wszystkie dialogi były śpiewane, stąd wybór możliwie najlepszych głosów. Jasełka były przedstawieniem reżyserowanym i wystawianym przez fachowców. Stroje sprowadzono z teatru w Wilnie, zaangażowano część osób dorosłych, grających role: Piłata, trzech króli oraz kilka innych ról męskich i żeńskich. Przedstawienie prezentowało stosunkowo wysoki poziom i wystawione było dwukrotnie dla społeczeństwa m. Lidy. Przedstawienia miały pochlebne recenzje prasowe. Przyniosły pokaźny zysk na kwotę zł 600,- z przeznaczeniem na cele dobroczynne. Z przedstawienia pozostało zdjęcie /vide aneks/.

Wracając do spraw życia gimnazjalnego trzeba stwierdzić, że najznakomitszą postacią spośród ciała profesorskiego był katecheta ks. Bajkiewicz. Wyrazem jego dużych wymagań był obowiązek pisania wypracowań na wybrane zagadnienia religii, dyskutowane na lekcjach. Udało mi się kiedyś uzyskać ocenę "dobry", jedną z kilku tej wysokości ocen, jakie ksiądz przyznał spośród wypracowań na ten temat w czterech równoległych klasach II i III-ich. Ks. Bajkiewicz zawsze miał "pogodę" na twarzy, chociaż traktował swój przedmiot bardzo rzeczowo, był wymagający i konsekwentny, przy czym lubiany i szanowany przez młodzież. Obowiązkiem każdego ucznia było służenie do Mszy Św. według listy alfabetycznej. Nie miałem w tym trudności, jako że przeszedłem ten etap, będąc ministrantem w farnym kościele, podczas nauki w powszechniaku. Każdy uczeń miał książeczkę z nutami i tekstem łacińskim Mszy Św. Gregoriańskiej, a obowiązkowo trzeba było brać udział codziennie we Mszy Św. o godz. 7 rano przed nauką, w kościele ks.ks. Pijarów /po drodze do szkoły/. Wszyscy uczniowie i uczennice wspólnie śpiewali teksty łacińskie.

Gimnazjum organizowało, oprócz wewnętrznych imprez szkolnych, wycieczki tematyczne. Ks. Bajkiewicz także organizował wycieczkę do Ostrej Bramy w Wilnie /vide fotografie w aneksie/. Obok tematyki religijnej zwiedziliśmy miasto i braliśmy udział w przejeździe statkiem spacerowym po rzece Wilji /vide aneks/. Działo się to roku 1938 w gronie kilku klas gimnazjalnych. Byliśmy jednymi z pierwszych widzów zwiedzających wykopaliska w podziemiach kościoła i pod ulicami, gdzie podczas choroby -epidemii- cholery, wrzucano zwłoki zmarłych do lochów, gdyż nie nadążano z pogrzebami w wieku XVII. Staliśmy na stosach szkieletów. Pozostały w pamięci obrazki

grozy: szkielet osoby dorosłej splatał przy sobie dwa szkielety dziecięce. Ponadto w podziemiach katedry zwiedzaliśmy sarkofagi i odkryte trumny, w których zachowały się jedwabne błękitne i purpurowe szaty, przyprószone pyłem wieków. Tu i ówdzie spotykało się insygnia władzy, pierścienie i ozdoby ze szczerego kruszca, nie tknięte zębem czasu. O tyle większe wrażenia odniosłem, iż wielu z nas pierwszy raz w życiu spotkało się z wykopaliskami.

Inne wycieczki w pobliższe miejscowości i okolice m. Lidy miały charakter krajoznawczy lub poznawczy /przyroda-biologia/. Spośród innych form wychowania szkolnego, miały miejsce wieczorki towarzyskie, gdzie przy muzyce uczono tańców zbiorowych /polonez, kujawiak, krakowiak/ oraz tańców współczesnych, uczono oglądy towarzyskiej. Mając po temu dobre zadatki, koleżanki chętnie ze mną tańczyły. Bardziej ośmielone niż ja, koleżanki z klasy III-starsze, same inicjowały zaproszenie do tańca. Wtedy poznałem kilka, z którymi wyjeżdżaliśmy gromadą nad rzekę Dzitwę, m. in. kol. Irenę Wronówną, z którą sympatyzowałem.

Liczne kontakty koleżeńskie, spotkania, wycieczki, umiałem dzielić z obowiązkiem nauki i zajęciami domowymi. Częściej niż dotąd, w wolnych chwilach popołudnia, odwiedzałem koleżanki i kolegów w Śródmieściu, na Słobódce, wyzwoleniu, na Wileńskiej, w domach wojskowych 77 pp i koszarach lotniczych 5 p.lotniczego.

Dobrego kolegę odwiedzałem na terenie 5pl, dokąd bez przepustki mogłem się z nim zabrać autokarem, który odwoził dzieci do szkół i zabierał z powrotem do domów wojskowych przy lotnisku. Jego ojciec ppik Patek był dowódcą/pułku lotniczego, dzięki czemu oprowadzał nas sam lub na jego polecenie czynili to podoficerowie. Zawdzięczam mu to, że zwiedziłem wszystkie typy ówczesnych samolotów: myśliwce "Karaś", bombowiec "Łoś", ponadto samoloty RWD, awionetki, hangary naprawcze. Onegdaj sam pułkownik przewiózł nas samolotem nad miastem. Była to moja pierwsza podróż i pierwsze niezapomniane przeżycie. Odwiedzałem kolegów i koleżanki gimnazjalne z klasy. Na tym zdjęciu /vide aneks/ jest kolega z tej samej pierwszej ławki szkolnej od okna-kol. Józek Urbanowicz, przezywany "Gacek" z powodu odstających uszu. Za mną z powszechniaka dotarło przezwisko szkolne "ślimak." Chyba z powodu niskiego wzrostu. Jest na zdjęciu kol. Czesław Zachwatowicz- przyjaciel, który za nami siedział w ławce drugiej z synem lekarza-Kazubowskim. Wiele z moich kolegów i koleżanek szkolnych z gimnazjum mieszka obecnie w Warszawie. Wspomniany Zachwatowicz na Nowolipiu-inżynier, Tadeusz Kupis-siedzący w pierwszej ławce, w rządzie środkowym, obecnie docent

doktor na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, zamieszkały na osiedlu Inflancka, Zbigniew Hryckiewicz z tej samej klasy-inżynier-zamieszkały na Żoliborzu przy ul. Wojska Polskiego. Wielu innych spotkałem w Warszawie, mam ich adresy i poznałem ich dzieje, zanim znaleźli się w różnych miastach Polski po wyjeździe z Kresów Wschodnich. Mieszkają w Szczecinie, w Gdańsku, Krakowie, Włocławku. Część z nich poległa w akcjach bojowych Armii Krajowej na Nowogródczyźnie, /wszystkie nazwiska są wyszczególnione na fotografii- vide aneks/. Wielu rozproszyło się po świecie, niektórzy spotykani obecnie zasłynęli bojowością i odwagą i uhonorowani zostali orderem Virtuti Militari, nadanym im przez Dowództwo Londyńskie, jak: Tadeusz Bieńkiewicz, Zbigniew Hryckiewicz, którzy na ul. Syrokomli w Lidzie odbili z więzienia 83 Polaków /w tym też swoich kolegów gimnazjalnych/ skazanych przez Niemców na karę śmierci. Osobiście za skromny udział w ruchu oporu i w partyzantce Armii Krajowej na Nowogródczyźnie otrzymałem z Londynu Krzyż Armii Krajowej oraz trzykrotnie Medal Wojska.

Z przykrością trzeba oddać prawdę sprawiedliwości, że kol. Henryk Runc z ul. Legionowej w Lidzie, uległ za swym ojcem propagandzie sowieckiej, stając się białorusinem. Jego zaś ojciec, przed wojną zatrudniony na kolei, na dobrze płatnym stanowisku dorobił się w Lidzie pięknego dużego domu, ale w gazecie białoruskiej pisał, co sam czytałem, że "za Polaków chleba nie jeł i w łachmaci chadził " ?. Inny kolega ze starszej klasy Jerzy Ripper, syn majora, rzekomo żyd pochodzenia austriackiego, został szefem siatki agentów hitlerowskich-Gestapo i SD-ciężko ranny w zamachu AK, wywieziony do Niemiec na leczenie, prawdopodobnie był widziany w Olsztynie już po wojnie pod zmienionym nazwiskiem, a tak jak agent i denuncjator Komendanta Głównego Armii Krajowej gen. Grota-Roweckiego, - Keppler - był widziany po wojnie w kraju, lecz hołubiony, mimo oskarżenia po wojnie, przez nasze komunistyczne organy Milicji i Urzędu Bezpieczeństwa, bo mimo wskazania ich władzom, nie dosięgła ich ręka sprawiedliwości i kara za zdradę Ojczyzny.

Wracając do czasów gimnazjalnych pragnę dodać, że w naszej rodzinie, po sprzedaniu samochodu dla ludzkiej straży pożarnej w 1938 roku, nie było żadnego środka lokomocji. Zatem ojciec mój zafundował bratu balonówkę /rower męski/ warszawskiej firmy "Kamiński", czerwoną, na drewnianych felgach /ostatnia nowość/ płacąc niebagatelną kwotę na ówczesne czasy zł 150,-. Siostra zaś otrzymała rower damski firmy "Niemen", płacąc aż 165 zł. Krowa wówczas

kosztowała ok. 100 zł. Był to zatem znaczący wydatek. Dotąd w naszym domu był zwyczaj zarobienia we własnym zakresie określonej kwoty na zakup jakiegoś luksusu. Kiedy po ukończeniu pierwszej klasy gimnazjum poprosiłem rodziców o zegarek ręczny, musiałem połowę kosztów zdobyć własną pracą. Z pomocą kolegi Patka, obaj dostaliśmy pracę dorywczą w ogrodnictwie wojskowym przy lotnisku. On także musiał dorobić trochę pieniędzy na zakup jakiegoś drobiazgu. W okresie wakacji pracowaliśmy w pocie czoła przy pielęgnowaniu pomidorów, zarabiając za dniówkę po 80 groszy, plus jedzenie z wojskowego kotła. Przez tydzień zarobiłem wówczas 5,60 zł, rodzice dopłacili mi 5 zł i takim sposobem stałem się posiadaczem piaskiego, prostokątnego zegarka ręcznego za zł 10,-. Kiedy brat prosił o kupno aparatu fotograficznego marki "Kodak", połowę wartości wypracowałem, podejmując odpłatną pracę. Siowem nic za nic.

Tymczasem kupując rowery za środki uzyskane ze sprzedaży samochodu ojciec dokonał wyjątku w obowiązujących dotąd zasadach. Zagwarantował mi zatem używalność obu rowerów. Ale w praktyce różnie z tym bywało, szczególnie w/g przysłowia "a największy w tym ambarras, kiedy dwoje chciało naraz." Miałem największe szanse korzystania z "damki", którą mogłem dotrzeć do kolegów i koleżanek zamieszkałych w innych rejonach miasta. Prawdę mówiąc damka odpowiadała mi bardziej, bo prezentowała się okazale.

Siostra Irena często oddawała mi swój rower, szczególnie wtedy, gdy byłem umówiony z koleżeństwem na wycieczki poza miasto, nad rzekę Dzitwę, nad rzekę Niemen, do sąsiednich miasteczek i wsi. Sama także jako harcerka brała udział w krótkotrwałych wycieczkach rowerowych pod opieką profesorki Zofii Wolnik lub prof. Buzarowej. Z tego okresu pozostało mi mnóstwo fotografii, z wycieczek również.

Ostatnie wakacje przed wybuchem II wojny światowej przypadły na okres pięknej słonecznej pogody. Trudno powiedzieć dlaczego, ale moje rodzeństwo i ja wiele tego lata podróżowaliśmy, będąc gośćmi w domu. Byliśmy doroślejsi, bardziej samodzielni, mieliśmy ugruntowane zasady postępowania, nawykowo przestrzegaliśmy wszelkich form towarzyskich i grzecznościowych, rodzice nie mieli z nami kłopotów, darzyli nas zaufaniem. Te walory utorowały nam drogę do większej samodzielności.

Ostatnią przygodę przeżyłem na lotnisku, będąc gościem kolegi Patka. Przyglądaliśmy się lotom, startom i lądowaniom awionetek. Były to małe samoloty, niewiele większe od auta. Obsługa lotu przytrzymywała skrzydła. Właśnie wtedy, jeden z żołnierzy zagapił się, siedząc okrakiem na ogonie wystartował i szczęśliwie lądował. Otrzymał 7 dni paki i trafił do szkoły lotniczej.

II/1239/2KW

" Tchórzem, prawdziwym tchórzem
jest tylko ten, kto lęka się
własnych wspomnień."

-Elias Canetti-

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W s t ę p

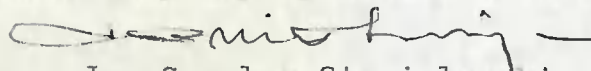
Przede mną plik starych dokumentów i poźółkie fotografie rodzinne, wydobyte z różnych zakamarków, zebrane niemałym trudem. Przeleżały lata całe, a nawet wieki. Przetrwały one wojny i powstania, różne ustroje społeczne i polityczne, zmiany granic państwowych i przesiedlenia, słowem i ciężkie czasy, i kaprysy natury. Przetrwały mimo rozproszenia się ich właścicieli po świecie. Wprawdzie niewiele pamiątek rodzinnych ocalało, ale te resztki, ułożone w porządku chronologicznym wiernie zobrazują następstwo zjawisk i zdarzeń oraz niejedną gehenną losów ludzkich.

Minął szmat czasu. Odwzśli ci, z którymi byłem złączony więzami krwi, dalsi krewni i powinowaci, przyjaciele i znajomi, dość często znani mi tylko z fotografii lub z dokumentów, znani mi z opowiadań i wiadomości przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Rysy moich bliskich znanych z autopsji jeszcze się nie zatęrzyły. Pamiętam ich zalety i słabości, zamierzenia i osiągnięcia, dorobek życia. Pamiętam wiele zdarzeń przeżytych w dzieciństwie, tradycje i obyczaje, a we wspomnieni-ach przesuwają się obrazy stron ojczystych i domu rodzinnego.

Wiele wartości przemąja bezpowrotnie, a miłość do ziemi rodzinnej pozostała na zawsze. Wracam tedy "do tych łąk zielonych, do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem." Miłość ta każe mi prześledzić swoje życie, sięgnąć w przeszłość i opisać wspomnienia: co przeżyłem, widziałem na własne oczy, słyszałem na własne uszy, wyczytałem w dokumentach.

./.


Jan Czesław Stanisławski

ADRES: ul. Klaudyny 16 m.29
01-684 W A R S Z A W A

Ps.: wspomnienia liczące ogółem 322 strony maszynopisu oraz Kronikę Ziemi Lidzkiej - 186 stron maszynopisu przeznaczyłem dla swych dzieci i wnuczat.

" Wojna nigdy nie kończy się
dla tych co walczyli."
Malaparte

W O J N A

W piątek dnia 1 września 1939 roku na pogodnym niebie, od godziny 5 rano pojawiły się nad miastem samoloty niemieckie. Najpierw zbombardowały lotnisko 5 pułku lotniczego w Lidzie, wracając jeszcze kilkakrotnie w ciągu całego dnia, potem zaś penetrowały inne cele wojskowe i strategiczne, a także cele cywilne. Krążyły nad miastem coraz to nowe eskadry, zrzucając bomby na torowiska kolejowe, elektrownie, wodociągi, bez większego sukcesu. Być może przypadkowo rzucone bomby spadły również na miasto burząc kilkanaście domów przy ulicy Szerokiej i Kolejowej, a także na ul. Wyzwolenia. Większych strat w ludziach, jak i obiektach bombardowanych nie odnotowano.

Pierwszych lekko rannych z lotniska odwożono do szpitali miejskich, a wśród nich w pierwszym bombardowaniu został lekko ranny w głowę ojciec Tadeusza-Klemens Czywilis, tokarz specjalista pracujący w warsztatach lotniczych. Poza większym strachem nie odniósł obrażeń, tylko był draśnięty naskórek czoła. Spośród kilkunastu lekko rannych nie było przypadków ciężkich, nie było także zabitych.

Tak rozpoczęła się w Lidzie II wojna światowa.

Czy musiało dojść do agresji niemieckiej na Polskę, a w konsekwencji do wybuchu II wojny światowej ?

Wszystkie próby analizowania tego problemu w okresie powojennym przez teoretyków politycznych i wojskowych ograniczały się do różnych koncepcji, a w przypadku polityków komunizujących wręcz do filozoficznych rozważań- co by było, gdyby było ? Oczywiście winę przypisywali ci ostatni polityce wewnętrznej i zagranicznej Polski przedwrześniowej. Jej izolacji politycznej i wrogości wobec ZSRR. Żaden pakt z ZSRR nie uratowałby tej sytuacji, tak jak później, to jest w 1941 roku, kiedy Rosja Sowiecka była słabsza od Polski pod każdym względem. W żadnym wypadku sojusze z nią nie zatrzymałyby agresji i nie wpłynęły na zmianę sytuacji wojskowej i politycznej w Europie. Zresztą, jak wykazuje historia, od wielu wieków Rosja carska, czy komunistyczna, gdy była bardzo słaba gospodarczo, politycznie i wojskowo, zawsze wchodziła w układy z państwami silnymi przeciwko Polsce. Ostatni układ Stalin-Ribbentrop z 1939 r. jest

tego wymownym dowodem. Tak byli zafascynowani komuniści sowieccy ich agresją na bezbronne Kresy wschodnie, zagarnięciem Ziemi Wileńskiej, Nowogródzkiej, Polesia, Wołynia i Podola, że zapomnieli o własnej słabości, sądząc że nowy i kolejny rozbiór Polski będzie ich chronił po wieczne czasy.

W pamiętnikach powojennych, których autorami bywali politycy i dowódcy dużej miary /choćby Winston Churchill/, tylko Charles de Gaulle trafił do sedna rzeczy, mając odwagę jako Francuz winę całą przypisać właśnie Francji, szczególnie zaś rządowi francuskiemu, który z pobłażliwością traktował ryzykowne poczynania Hitlera podczas zdobywania przezeń popularności i dochodzenia do władzy. W pamiętnikach swoich, odwołując się do braku reakcji Francji na wprowadzenie w Niemczech obowiązkowej służby wojskowej, wbrew postanowieniom Traktatu wersalskiego, pisał: " Hitler wiedząc już teraz, jakiej może się spodziewać reakcji ze strony Francji, rozpoczął serię faktów dokonanych. Już w 1935 r., w związku z plebiscytem w Zagłębiu Saary, stworzył tak groźną atmosferę, że rząd francuski wycofał się, zanim partia została rozegrana, i że potem mieszkańcy Saary pociągnięci, a zarazem i zastraszeni germańską gwałtownością głosowali masowo za Trzecią Rzeszą.... Nagle 7 marca 1936 roku armia niemiecka przekroczyła Ren /również wbrew Traktatowi wersalskiemu/. Francja mogła natychmiast zająć te terytoria ze ściśle prawnego punktu widzenia, z chwilą pogwałcenia przez Rzeszę zaciągniętych zobowiązań. Gdyby wojska francuskie ruszyły na przód i przekroczyły w 1936 r. granice Niemiec, hitlerowcy musieliby zrezygnować, ich führer zostałby skompromitowany jako awanturnik i prawdopodobnie wiele rzeczy tego świata wyglądałoby inaczej." Zeznania złożone w tej kwestii przez generałów niemieckich w Norymberdze /na procesie hitlerowców po wojnie/ i ich pamiętniki stwierdzają to jednoznacznie. Hitler bluffował na horendalną, rzadko spotykaną w historii skalę i nikt mu w tym nie przeszkadzał. W liście skierowanym do swego przyjaciela Jeana Auburtina de Gaulle pisał wtedy: " Należało działać z zaskoczenia, brutalnie i szybko." "Gdybyśmy wypełnili swój obowiązek, pokój byłby uratowany, a Hitler skompromitowany nie doszedł by ani teraz, ani potem do władzy. Faszyzm jako taki, w najbliższych latach nie mógłby zapanować w Europie."

Spośród wydarzeń poprzedzających tragiczny dla nas wrzesień pamiętam entuzjastyczne wkroczenie polskiego wojska na Zaolzie, ultimatum dla Litwy i gorącą mobilizacyjną. Brat odstawił rower

własny do punktu poboru, otrzymując za rekwizycję pokwitowanie z wyceną na zł 80,-, które mógł odebrać w gotówce, ale przez opieszałość nie zdążył. Pokwitowanie do dziś znajduje się w rozmaitych papierkach i dokumentach z tamtych lat. Damka nie podlegała rekwizycji i przetrwała wojnę.

Do wojska powołany został Jan Kirdzik- mąż mojej ciotki Hanki. W stopniu podoficera zameldował się na punkt poboru, który znajdował się za wsią Nowopródce ok. 2 km od miasta. Chodziliśmy go odwiedzać zanim jeszcze wybuchła wojna. Wrócił dopiero po 5 latach, z Rumunii gdzie był internowany, a potem pracował przymusowo jako robotnik w gospodarstwie rolnym.

Przywykliśmy po kilku dniach do nalotów, zapowiadanych przez radio i syreny fabryczne. Ze schronu, wykopanego za domem na polecenie władz, nikt z rodziny nie chciał korzystać. Służył raczej dla zabawy. Matka w ogóle nie zamierzała przerywać swoich czynności domowych. My biegliśmy na łąki i stojąc między drzewami obserwowaliśmy srebrne sylwetki samolotów, o których mówiono, że zostały przez Niemców zabrane Czechosłowacji. Obok naszego domu, w odległości nie więcej jak 60 m, wojsko polskie ustawiło działo przeciwlotnicze, zamaskowane leszczyną, które seriami atakowało przelatujące nad miastem samoloty. Tylko raz jeden trafiony samolot z czarną smugą dymu spadł w okolicy wsi Minojty ok. 10 km od Lidy. Innym razem znajdujący się pod ostrzałem samolot sugerował trafienie, a po wstrzymaniu ognia znów poszybował w górę. Bombowce niemieckie latały na dużej wysokości, tak że pociski naszych dział przeciwlotniczych nie sięgały tego pułapu, a rozrywały się tuż pod nimi, widoczne dla oka.

Z dnia na dzień coraz trudniej było zachować początkowy optymizm, szczególnie wtedy, gdy nie przychodziła pomoc sojuszników Francji i Anglii, a wejście wojsk sowieckich zamknęło społeczeństwu polskiemu Lidy pierwszy etap wojny.

Kilka dni wcześniej ze smutkiem i goryczą obserwowaliśmy wymarsz wojska, odlot Łosi i Karasi, ewakuację ostatnich służb wojskowych i cywilnych. Przez kilka dni miasto pozostawało bez żadnej władzy. Sklepikarze żydowscy nie przyjmowali banknotów, prócz srebrnego bilonu, ukrywali artykuły spożywcze, więc trudno było cokolwiek kupić na bieżące potrzeby, nie mówiąc o zapasach na okres zimy. Rozpoczął się handel zamienny, towar za towar; za dolary, srebro, złoto lub wyroby z kruszcu, można było pokryjому to i owo kupić.

W dniach bezprawia chodziliśmy z bratem i kolegami do prochowni, którą wojsko pozostawiło otwartą dla ludności. Zaopatrywaliśmy się

w magazynach prochowni, oblężonych przez tłum odważniejszych mieszkańców miasta. Zdobyliśmy kilka pudeł wojskowej kawy z cukrem, prasowanej w kostki, co naszej rodzinie wystarczyło na rok czasu. Brat zdobył kożuszek kawaleryjski biały, narty i dwa płaszcze sukienne koloru khaki. Zdobyliśmy uzbrojenie w postaci dwóch karabinów kawaleryjskich typu Mauser oraz skrzynkę granatów obronnych i zaczepnych, a także sporą ilość amunicji do karabinów. Znosiliśmy tę zdobycz przez kilka dni do domu, chodząc okrężną drogą przez łąki, by nie zwrócić na siebie uwagi, zwłaszcza że docierające pogłoski o zbliżaniu się bolszewików, ośmieliły tutaj komunistów do wystawienia patroli cywilnych nieuzbrojonych. Penetrowały one okolice koszar lotniczych i 77 pp, a także prochownię. Z łatwością radziliśmy sobie wobec takiej akcji patrolowej. Patrole odbierały bowiem łupy od ludzi, którzy postępowali zbyt jawnie.

Na łąkach, skryci wśród wysokich olch i krzewów, przeprowadziliśmy strzelanie ostre. Mieliśmy trochę doświadczenia z PW /Przysposobienie Wojskowe/, któremu podlegaliśmy podczas nauki w gimnazjach. Ostry nabój wystrzelony z odległości ok. 12 m przebijał pień olchy o średnicy ok. 20 cm i zagłębiał się na parę centymetrów w następne drzewo, rosnące w jednej linii. Wydiubany pocisk karabinowy oglądaliśmy z zaciekawieniem, podziwiając jego przekształconą sylwetkę po przejściu takiej przeszkody. Oszczędzając mundurki szkolne, ubieraliśmy się w drelichowe mundury PW z emblematami na rogach kołnierzka. Ćwiczenia te bardzo nam się przydały w przyszłości. Broń, amunicję i granaty, schowaliśmy dyskretnie, tak że nikt z domowników i kolegów naszych nie znał kryjówek.

Paczki kawy z cukrem, zabezpieczone prawidłowo przed wilgocią, zostały również dobrze ukryte. Schowki "spożywcze" znali wszyscy domownicy, by w razie potrzeby, pod ewentualną a nieprzewidzianą nieobecność kogokolwiek, każdy mógł wydobyć ile potrzeba na dziś. Utargowaliśmy różnym sposobem zapas soli, wystarczający na rok, zapas cukru, mąki pszennej, kasz, tłuszczu, nadto zapalek, nafty na wypadek wyłączenia prądu elektrycznego. Posiadając krowę, trzodę chlewną i drób, a także warzywa, jarzyny i ziemniaki, byliśmy w stanie stawić czoła wojnie, zwłaszcza że nikt nie przewidywał 5-letnich zmagień w skali światowej.

Ojciec, znany w mieście z racji pracy w Starostwie Powiatowym, znany prawdopodobnie "mniejszości" politycznej jako były legionista walczący o Lidę w 5 pp legionów przeciwko bolszewikom, tudzież warszawiak, wyjechał na wieś do krewnych mamy, by przetrwać początki okupacji i rozejrzeć się, co dalej?

Z dniem wybuchu wojny Lida pozostała miastem bezbronnym, ponieważ zgodnie z rozkazem MOB główne siły wojska stacjonującego dotąd w Lidzie, zostały skierowane na zaplanowane rejony i pozycje obronne. Na miejscu pozostały bazy techniczne /5 pl/ i bazy zaopatrzenia /77 pp/. Rozmieszczenie oddziałów wojskowych na Wschodzie nie miało żadnego znaczenia strategicznego, ponieważ nieprzyjaciel nacierał od strony granicy zachodniej.

Mobilizacja 23/24 sierpnia 1939 r. objęła 5 pułk lotniczy, z którego wydzielono trzy eskadry:

- 55 Samodzielną Eskadrę Bombową, przemianowaną w stanie wojennym z eskadry liniowej, która rozlokowała się na lotnisku alarmowym Lesiszczce /68 km na płd-wschód od Lidy/. Potem w dn.31.VIII.1939 na rozkaz d-cy kpt.Józefa Skibińskiego eskadra odleciała kluczami na nowe lotnisko Marynin /3km na płd-wsch.od m.Radzyń/. Poza dowództwem eskadry /6 osób/, pilotów obserwatorów było 11, pilotów było 16 w tym bliski sąsiad nasz sierż.pilot Stanisław Pietniunas; strzelców samolotowych 12. W okresie od 1 do 10.IX.39 załogi 55 Samodzielnej Eskadry Bombowej wykonały 40 zadań bojowych, zrzuciły na oddziały nieprzyjaciela ok.14 ton bomb, zestrzeliły dwa samoloty niemieckie. Poległo 11, w tym d-ca eskadry.Godło SEB-Tygrys Stan: 10 samolotów PZL-23B"Karas", zniszczone 6, ewakuacja 4.
- 51 Eskadra Rozpoznawcza-Godło: Orzeł w locie ze śmigłem w szponach Mobilizowała się na lotnisku macierzystym w Lidzie, osiągając zdolność bojową w dniu 25.VIII. Następnego dnia pod d-cą por. obs.Witolda Ratyńskiego odjechała transportem kolejowym pod Ostrów Maz. Rzut powietrzny 10 "Karasi" i 1 RWD-6 odleciał 31.VIII. na polowe lotnisko Rynek /14 km na płu-zach. od m.Ostrów Maz./.. w dowództwie było 6 osób, d-ca kpt.pil.Leopold Hrabkiewicz; Obserwatorów pilotów 12, pilotów 12, strzelców samolotowych 13.

W dniach od 1 do 18.IX. załogi Eskadry Rozpoznawczej wykonały: 22 zadania bojowe, zrzuciły ok. 4 tony bomb na zgrupowania pancerno-motorowe npla. Poległych 4. Ewakuowano 1 samolot, reszta zniszczona. Część personelu w m.Bajkowce koło Tarnopola zostało rozbrojonych i internowanych przez Sowiecką Armię, reszta dotarła samochodami do granicy i w dn.18.IX. znalazła się na Węgrzech.

- 56 Eskadra Obserwacyjna. Godło: "Niedźwiadek" w kolorze brunatnym z niebieską krawatką na tle białego krzyża. Eskadra mobilizowała się na lotnisku macierzystym w Lidzie w dniach 24 i 25.VIII.1939. w dniu 26.VIII. rzut kołowy eskadry odjechał na lotnisko alarmowe w m.Czechowice /6 km na półn od Lidy/, a następnego dnia na lotnisko polowe mrowła/8 km na półn-zach. od Kzeszowa/.Dowódcą eskadry był kpt.obs. Marian Sukniewicz, d-ca I/56 Plutonu por.obs.Mieczysław Gorzeński, II/56 Plutonu kpt.obs.Lugenusz Arciuszkiewicz, szef mechaników st.majster wojsk. Franciszek Siczkowski, szef adm.sierż. Stefan Walicki. obserwatorów pil. było 7, pilotów 12, w tym kuzyn mojej matki Czesław Wisłomski-sierż.pilot. W dniach od 1 do 17.IX. załogi 56 Eskadry Obserwacyjnej wykonały 71 zadań bojowych, w tym 2 nad terenem Słowacji/zajętej przez Niemców/ oraz ok. 15 lotów łącznościowych. Poległo "0", rannych 2, zagin.2.

Stan: 7 samolotów R-XIIID, uzupełnienie 7, zniszczone 9, ewakuowano 5. Dnia 16.IX. zgodnie z rozkazem d-cy odleciały do Czerniowiec w Rumunii, rzut kołowy także przekroczył granicę polsko-rumuńską.

Losy 77 pp /Pułku Strzelców Kowieńskich/ pod dowództwem ppłk dypl. Augustyna Nowosielskiego potoczyły się w zależności od ruchu innych jednostek wchodzących w skład 19 dywizji /wileńskiej Dywizji Piechoty pod d-dztwem gen bryg. Józefa Kwaciszewskiego/, to jest 85 pp Nowowilejskiego, 86 pp Mołodeczniańskiego, 19 pal i 19 dac. w dniu wybuchu wojny ani jedna jednostka tej Armii /Prusy/ nie znajdowała się w miejscu swej koncentracji. 77 pp wyładował się z transportu kolejowego na linii Koluszki-Piotrków Tryb. Rozlokował się ostatecznie w odległości 5 km od Piotrkowa w kier. Wolborza, mając obok siebie 86 pp osłaniający Piotrków od strony południowej. Zamiast uderzenia trzema wielkimi jednostkami na Niemców, na co waczelne Dowództwo w Warszawie nie wyraziło zgody, kazało wojskom okopać się na płaskim terenie nie osłoniętym, a w ten sposób zostało odsłonięte skrzydło łączące wojska Armii "Łódź" z Armią "Prusy", w którą to lukę wdzierały się wojska pancerne i zmotoryzowane npla na teren oczyszczany morderczymi wyprawami Luftwaffe. Skutek był oczywisty; wojska nasze poniosły znaczne straty, uległy rozproszeniu. Mimo to bitwa toczyła się ze zmiennym szczęściem. Polacy także zadali nplowi ciężkie straty, lecz przy nieporównywalnie większej przewadze pod względem liczbowym i technicznym npla, gen.bryg.Józef Kwaciszewski dostał się do niewoli niemieckiej, zgrupowanie Armii "Prusy" rozpadło się, a rozproszone oddziały polskie nie tworzyły już organicznej całości.

77 pp wzmocniony I batalionem 86 pp i IV dywizjonem p a l, jako zgrupowanie ppłk Nowosielskiego, miał przesunąć się w nocy z 4/5 września do lasu Lubień, aż na wysokość Rozprzy nad rz. Luciążą, w celu uderzenia wraz z wileńską Brygadą Kawalerii w bok i na tyły angażującej się na Piotrków masy pancерnej npla. Ruch innych wojsk polskich, jak np 29 Dywizji Piechoty z Armii "Prusy", miały na celu być głęboko na południe wyciągniętym ramieniem zagradzającym nieprzyjacielowi drogę do żywotnych centrów Kraju. Niestety plany te nie powiodły się. Gen.dyw. Dąb-Biernacki wydał rozkaz do ogólnego wycofywania się wojsk za wisłę pod osłoną WBK, która nie uległa rozproszeniu, a podobnie jak cała 13 Dywizja Piechoty, pozostawały w rękach swoich dowódców.

77 pp także wycofywał się kompaniami nie tworząc organicznej całości. Poszczególne oddziały starały się nawiązywać kontakt z nieprzyjacielem, angażując go do lokalnych potyczek, niepokoić jednostki npla w marszu, przechodząc do działań partyzanckich na tyłach nieprzyjaciela. Jeden z takich oddziałów, tj. drużyna I komp. 77 pp pod d-żstwem kpr. podch. Władysława Dowgierda, został zaskoczony grupą oficerów niemieckich jadących samochodem. Na rozkaz "Hände hoch" żołnierze podnieśli ręce do góry, lecz gdy pchor. podeszedł do nich, kilku uskoczyło do rowu i rozpoczęło ogień z pistoletów. Wiązka granatów, którą cisnął jeden z żołnierzy rozerwała niemieckiego generała na strzępy. Był to generał Retig.

W odwrocie do lasów w rejonie Koźia/piotrkowskie/ po obu stronach Pilicy manewrowała grupa ppłk Nowosielskiego, kierując się na Sulejów, Końskie i dalej w kierunku wschodnim. Jednostki te kierowały się do Chełma i Krasnegostawu, gdzie miała nastąpić reorganizacja Armii "Prusy." Dnia 13 września przekroczyły koryto Wisły. W lasach na zachód od krasnegostawu, 25 września zebrała się liczna grupa, tzw. grupa czterech pułkowników /grupa płk Leona Koca, płk.art. Władysława Filipkowskiego, płk. Nowosielskiego-77 pp, ppłk Jana Korkiewicza. W dniu 27.IX. nad całością tych wojsk liczących cztery pułki dowództwo objął płk dypl. Tadeusz Zieleniewski, który zamierzał zwar tą masą manewrować na południe do osiągnięcia podnóży Karpat. Próba przebicia się przez 27 dywizję niemiecką nie powiodła się. Skierowała się zatem do lasów na wschód od Janowa Lubelskiego, po drodze biorąc ok. 300 jeńców niemieckich, a ostatecznie zatrzymana przez cztery korpusy niemieckie, złożyła broń na ręce oddziałów sowieckich, które internowały żołnierzy w głąb Rosji. Niektóre oddziały dotarły do gór, przeszły granicę, poddając się internowaniu wojskom rumuńskim, dzieląc los żołnierzy 5 pułku lotniczego.

"Nad miecz i łańcuchy
Straszniejszy, który
na duchu zabija"
Król Duch

O K U P A C J A S O W I E C K A

W dniu 17 września 1939 roku wkroczyło do Lidy wojska sowieckie z jednym czołgiem na czele od wsi Nowopródce. Byliśmy zaskoczeni i zdeprymowani. Wszystko wskazywało, że byli oni na to przygotowani. Wojsko sowieckie przedstawiało sobą nieciekawy obraz. Nie byli w stanie wojny, nie brali udziału w walkach, a mimo to żołnierze i oficerowie przydreptali nieogoleni. Mieli na sobie szynele dołem postrzępione, brezentowe kamasze z wydartą podeszwą, od których pachniało dziegciem na odległość. Zapach ten długo będzie nam towarzyszył. Brezentowymi pasami przepasani byli i na brezentowych także pasach mieli zawieszane karabiny. Na nich czasem sznurkiem uwiązany był bagnet. Oto obraz Armii. Ludzie mówili: "idzie w butach a boso go znać."

Na powitanie wyszła z miasta garstka komunistów, przeważnie żydów, z czerwonymi kokardkami w klapach marynarek lub czerwonymi opaskami na rękawie. -Nasza prasa w roku 1945 i później pisała "o entuzjastycznym witaniu Sowieców przez społeczeństwo Kresów." Ludność polska ukradkiem przyglądała się owej rewolucyjnej czerwonej armii.

W naszym domu zabrano do dyspozycji duży pokój stołowy, w którym kwaterowało przez parę dni trzech oficerów. Byli jak inni nieogoleni i brudni. Wcale nie zrażali się tym, nie mieli też przyborów toaletowych ze sobą. Takie wojsko nie mogło wywrzeć dobrego wrażenia nawet wobec najzagorzalszych sojuszników politycznych. Obserwowaliśmy ich zawiedzione oczekiwania.

Przez kilka najbliższych dni był spokój, pozorny. Część ludności świadoma była odwetu za rok 1919 i 1920, kiedy bolszewicy zostali przepędzeni spod Lidy. Inni oczekiwali "rozkułaczania". Tylko biedota biernie przyglądała się następstwom w miarę upływu czasu.

Program ich działania pozostawał wielką niewiadomą, ale z dnia na dzień, kiedy czynownicy NKWD wyprowadzali z domów ludzi, rozjaśnił ich zamiary wobec ludności polskiej, bez względu na wiek, zasobność materialną, nawet bez względu na płeć i kto wie jakie jeszcze sądy, zapatrywania. Wiadomo było po owych aresztowaniach, że NKWD korzysta skwapliwie z donosów i ocen przez nikogo nie sprawdzanych i nie konfrontowanych. Wszystko odbywało się na podstawie wykazów imiennych, przygotowanych jak okazało się przez tutejszych komunistów, często przez ludzi odgrywających się za sąsiedzkie nieporozumienia, czasem w ogóle z powodów nijakich, niepotwierdzonych.

Przegrana kampania wrześniowa z Niemcami, którym aktywnie pomógł Związek Sowiecki wkraczając na Kresy wschodnie oraz internując wielu żołnierzy, spowodowała utratę niepodległości Polski. Wojska sowieckie zgodnie z partem Ribbentrop-Mołotow zajęły prawie połowę obszaru Polski. Województwo Nowogródzkie znalazło się obok pozostałych województw wschodnich pod okupacją sowiecką. Szok spowodowany utratą niepodległości mija, gdyż należało ponownie, jak za czasów niewoli carskiej, bronić się nie tylko przed rusyfikacją, ale również przed likwidacją fizyczną. Wróg działał metodami znacznie perfidniejszymi niż carat. Siłą i terrorem psychicznym stara się zastraszyć społeczeństwo polskie. Sztucznie podsycił nienawiść klasową, religijną i narodową. Warto wspomnieć o świadomym i celowym dopuszczeniu do rabunku wszystkich majątków ziemskich, przy tym nawet do rozboju w pierwszych tygodniach "władzy robotniczej." NKWD już w miesiącu wrześniu zaczyna przeprowadzać pierwsze aresztowania oficerów i podoficerów zawodowych, urzędników państwowych, polskich nauczycieli, właścicieli ziemskich, którzy uniknęli pogromu. Aresztowanych trzyma się w więzieniach jako wrogów władzy robotniczej i wrogów klasowych, by po wielogodzinnych przesłuchaniach po kilkanaście razy dziennie, zaimać duchowo, a tych co to przetrzymali wysyłać na "białe niedźwiedzie." Zimą z 1939/40 następuje wywożenie rodzin polskich w głąb Rosji, głównie na "daleki wschód", gdzie jest potrzebna bezpłatna siła robocza w kopalniach, przy wyrębie lasów i tajgi, albo na daleką północ do połowu ryb morskich. Wywozi się przede wszystkim rodziny inteligenckie, rodziny wojskowych i urzędników, duchownych rzymsko-katolickiego wyznania, osadników wojennych, a nawet gajowych, sołtysów, bo ci także uważani są za urzędników. Warunki "podróżowania" nie różnią się od tych, które stosował okupant hitlerowski Niemiec. W wagonach towarowych, stłoczeni ludzie wraz z małymi dziećmi, ogrzać się mogli wyłącznie własnym ciepłem, własnego ciała. Nierzadkie były wypadki zamarznienia niemowląt i małych kilkuletnich dzieci. w drodze nie korzystali z sanitariatów, a wodę wydzielano w czasie dłuższych postojów po wiadrze na jeden wagon.

Z czasem NKWD doprowadziło do takiego stanu, że w każdej wsi, w każdym osiedlu i dzielnicy, mieli oni swoich donosicieli. W znacznej części ludność żydowska poszła także na współpracę z okupantem. Tylko Żydzi zamożni, fabrykanci, musieli jak Polacy chronić się lub uciekać przez zieloną granicę.

Pomimo takich represji ocalałe społeczeństwo polskie nie załamało się. Jedni, głównie młodzi, starają się przedostać na Litwę, wtedy jeszcze suwerenną jako państwo. Stamtąd z kolei starali się wyemi-

do Francji w szeregi formujących się oddziałów polskiego wojska, pozostali na Kresach także organizują się, tworząc spontaniczne grupy konspiracyjne. Piszącemu znany jest fakt zorganizowania tajnej grupy młodzieży w Gimnazjum Ogólnokształcącym, stawiającej za cel konsolidację narodowościową i podnoszenia na duchu społeczeństwa polskiego. Były to inicjatywy własne, nie inspirowane z zewnątrz. O nich później.

Inne formy prześladowania okupant stosował do ludności wiejskiej. Początki kolektywizacji rolnictwa spowodowały rozkułaczanie rolników polskich średnio i bardziej zamożnych. Odbierano im ziemię, często zabudowania gospodarcze i domy z przeznaczeniem na kołchoz, a właściciele prawnych wywożono na Sybir. Władza sowiecka nie interesowała się, jakim trudem i pracą rolnik polski dopracowywał się własnego gospodarstwa oraz jak układały się stosunki międzyludzkie w danej wsi. Jedynym kryterium uznawania za kułaka było posiadanie ziemi.

Byliśmy w kontakcie z macierzystymi szkołami, nie zaniehbując sporadycznych spotkań z wychowawcami, natomiast po tygodniu szkoły średnie wznowiły zajęcia. Na skutek specyficznych warunków, jakie zaistniały w rodzinach, zdarzało się sporo jednodniowych lub dłuższych absencji. Z tego tytułu Dyrekcja Gimnazjum nie wyciągała konsekwencji wobec uczniów lub ich rodziców. Przez pierwsze dni od wkroczenia Sowietów wszystkie szkoły przerwały zajęcia szkolne, aby je wznowić z własnej inicjatywy. Część profesorów wyjechała poza granice województwa, pozostali pełnili nadal swoje obowiązki. Nie są mi znane fakty przeprowadzenia rozmów z poszczególnymi dyrekcjami szkół, domniemywać zaś mogę, że władze sowieckie nie pozostawiły szkół samym sobie. Potwierdzenie tych przypuszczeń nastąpiło niebawem. Na jednej z pierwszych lekcji zakomunikowano uczniom, że do szkół powszechnie wprowadza się język wykładowy rosyjski. Pierwsza z lekcji w języku rosyjskim została przeprowadzona z fizyki przez profesora, który z dawna posiadał jego znajomość. W głowach uczniów powstał chaos. Rozumieliśmy co któreś słowo, nie mając zrozumienia wobec całości wykładu. Do dziś jedno z tych nazw pamiętam "pierpiendikularny" /prostopały/. Spora część naszej klasy II gimnazjalnej zdecydowała się zrezygnować z nauki. Zanim to nastąpiło próbowaliśmy podnieść protest uczniowski. Osobiście pisałem i rozpowszechniałem ulotki o wszczęciu masowego protestu. W odpowiednim czasie zostało mi to "zaliczone." Bieg wypadków został przyśpieszony innymi zdarzeniami, związanymi ze szkołą.

Był wtorek, 17 października 1939 roku. Młodzież gimnazjalną naszej szkoły, chyba także innych szkół, przyprowadzili wychowawcy na duży plac położony pomiędzy torem kolejowym wiodącym w kierunku Wilna a ul. Szpitalną gdzie znajdował się Szpital Powiatowy. Na tym placu ustawiono w wielkim czworoboku sporo setek uczniów, którzy mieli uczestniczyć w wiecu na cześć rewolucji październikowej. Z prowizorycznie zbudowanej mównicy, w kształcie przypominającym "myśliwską ambonę", kilku działaczy politycznych i przedstawicieli władz miasta wygłosiło referaty i mowy /czytane z kartek/. Każdy mówca kończył swoje przemówienie kilkoma hasłami, na które oczekiwano spontanicznych okrzyków z tłumu. Chętnych wielu nie było.

Po kilku komendach ustawiono młodzież czwórkami. Uformowany pochód maszerował przed ową trybuną. Tego dnia ziąb był okropny. Padał drobny deszcz ze śniegiem. Postawiliśmy kołnierze przy szkolnych płaszczach, czapki nasunęliśmy na czoło, a ręce głęboko schowaliśmy w kieszenie płaszczy. Kroczyliśmy, każdy uczeń własnym rytmem, skuleni z zimna, pochyleni ku przodowi. Na rzucone z trybuny hasło w języku rosyjskim /niech żyje rewolucja/ tylko nieliczne głosy odpowiedziały, a właściwie odkrzyknęły-hurra.

Po tym wydarzeniu rozstałem się ze szkołą. Opowiadano, że dyr. gimnazjum prof. Mętlewicz był wzywany do NKWD, zaś inni twierdzili że został aresztowany. Do dziś nie wiem, jak skończyła się ta heca.

Właściwym powodem wystąpienia ze szkoły był po prostu strach przed ewentualną odpowiedzialnością za pisanie i rozpowszechnianie ulotek, tekstem nawołujących do odmowy posłuszeństwa, żądania nauki w języku polskim. Naiwni sądziliśmy, że potraktują nas jako tzw. mniejszość narodową z pełnymi przywilejami, jak głosiły hasła rozpowszechniane na lekcjach. ZSRR miał być państwem różnych narodowości, z zachowaniem mowy, tradycji, kultury. Były to hasła propagandowe bez żadnego pokrycia.

Mojemu bratu i siostrze nauka została przerwana, ponieważ Gimnazjum Kupieckie zostało zlikwidowane, głównie dlatego że prowadzili je ks.ks.Pijarzy. Młodzież klas młodszych skierowano do szkoły dziesięcioletniej lub do szkół zawodowych. Siostra została w domu, natomiast brat jako absolwent bez dalszych perspektyw zatrudnienia np. w reklamie i handlu, zapisał się na kursy techniczne dla absolwentów dziesięcioletki. Kursy te były zlokalizowane w budynku byłej szkoły powszechnej nr 5 na ul.Gedyminowskiej.

Ojciec mój w tym czasie podróżował między miastem a wsią, zastanawiając się nad przyszłością. Był przekonany, że nikomu nie naraził się piastując stanowisko kier. wydziału czy referatu.

Najwięcej wątpliwości rodziło się na tle Legionów, w których walczył o Lidę z bolszewikami, będąc żołnierzem 5 pułku piechoty Legionów, a wraz z nim przebył w paru latach drogę pod Kijów; nad Wisłą. Zadawał sobie pytanie, wciąż to samo, natarczywie, czy ktoś z mieszkańców o tym jeszcze pamięta. Czy ten ktoś jest nadal Polakiem, czy ten ktoś okaże się konfidentem ???

Tymczasem skończyły się nam pieniądze, kurczyły się zapasy, natomiast trzeba wykarmić i utrzymać pięcioosobową rodzinę. Postanowiono więc wynająć pokój z kuchnią /kiedyś zwane służbówką/ takiemu najemcy, który zapewni rodzinie stały dopływ gotówki. Najlepszym gwarantem okazał się szewc /nazwiska nie przypominam/. Okazało się, że poza znajomością swego rzemiosła, człowiek ten ma kontakty bardzo na owe czasy przydatne. Dzięki niemu wielu ludzi zostało przemyconych do tzw. Generalnej Gubernii pod rządami Hitlera. Własne rzemiosło ustawił również pod tym kątem. Pod podeszwy obuwia potrafił umieszczać sporą ilość banknotów waluty zagranicznej dla kandydatów wybierających się ku zielonej granicy. W okolicach Grajewa działał fachowo zorganizowany przerzut ludzi w obie strony.

Żydzi najczęściej kierowali się na wschód pod opiekuńcze skrzydła Sowietów, gdzie rządził znany żydek Łazar Kaganowicz, Ławrentij Beria- postać szczególnie niebezpieczna dla Polaków /vide w encyklopediach hasło beriowszczyzna/ i wielu wielu innych, na różnych stopniach piedestału komunistycznego i różnych szczeblach maszyny prześladowczej.

Na zachód zdążali byli wojskowi, urzędnicy, osadnicy i legionisi, również te żydki co mogły liczyć na poparcie wielkiego kapitału międzynarodowego.

Tą drogą na Zachód wyruszył w końcu mój ojciec do rodziny w Warszawie, uprzednio często zastanawiając się, nie tyle o własny los, co o los rodziny, która ponosi jednakowe konsekwencje co skazany na zsyłkę. Święta Bożego Narodzenia spędził już w Warszawie, o czym tą samą drogą przemytu ludzkiego, donosił nam w listach z Warszawy.

Wszystko to było jeszcze w sferze planowania, kiedy wspólnie musieliśmy sprzątnąć plody rolne /ziemiaki/ z pola, warzywa z ogrodu i owoce z sadu. Pokryjomu ubić wieprzaka z pomocą dorosłego mężczyzny i zakonserwować wyroby. Pozałatwiać wiele spraw, przy których obecność ojca była nieodzowna.

Tak przygotowani życiowo wkraczaliśmy w nowy etap życia rodzinnego, podejmując wszystkie męskie obowiązki i powinności w gospodarstwie. Czas pokaże czy sprościliśmy tym wymaganiom.

Życie teraz toczyło się nieco inaczej. Sowieci wprowadzili swoje wzory postępowania, swój kalendarz. Był to pięciodniowy tydzień pracy i wolne soboty, nie pamiętam jak je nazywano. Nie związani przymusem pracy żyliśmy "po staremu." w niedzielę był dzień odpoczynku, dzień świąteczny. Jak niegdyś chodziliśmy do kościoła na nabożeństwa niedzielne i świąteczne. Tłok w kościele był wielki, ponieważ kościół księży Pijarów zamieniono na magazyn. Były dziedziniec tego kościoła przeznaczony został na potańcówki, które sowieci urządzali w "subotniki"- dni wolne od pracy, a także w dni rocznicowe: 1-maja, rocznice rewolucji październikowej. Nigdy tego miejsca Polacy nie kalali zabawą. wprowadzili swobodę w zawieraniu aktu małżeństwa, rozwody, które można było dowolnie zawierać i rozwiązywać w urzędzie zwanym potocznie - zags. Polacy również nie korzystali z tych "udogodnień."

Walęszając się w wolnym czasie po mieście przyglądaliśmy się życiu miasta i jego mieszkańców, zachowywaniu się naszych okupantów. Żony oficerów sowieckich, urzędników i innych osobistości z milicji i NKWD, odwiedzały często targowisko, na którym Polacy wyprzedawali różne przedmioty, odzież, bieliznę, urządzenia wszelakie, aby zdobyć trochę grosza / ruble, czerwienice / na życie i wiązanie przysłowiowego końca z końcem. wesołość wzbudzała ich zachłanność na te rzeczy, których nie widywali u siebie i z których nie umieli korzystać. Kobiety owych dostojników ubierały jedwabne halki i koszule nocne z koronkami na owe potańcówki i zabawy ludowe, sądząc że to są suknie balowe. Nie mogły zrozumieć, jak można w takich wykwintnych szatach wchodzić do łóżka. Wspólnie z bratem postanowiliśmy spieniężyć zbędne przedmioty, by zasilić domową kasę. Wygrzebane ze starych rupieci zegarki kieszonkowe /buksiaki/ miały wielu amatorów. w końcu sprzedaliśmy za niebagatelną kwotę rubli, oficerom sowieckim. Trzeba było je w kieszeni ciągle obracać, by przystawiając im do ucha dowieść że chodzą. Potem znikaliśmy w tłumie po odebraniu gotówki, obserwując ich reakcję. W podobny sposób upchnęliśmy inne "durnostojki" nieprzydatne w domu.

Zebrawszy trochę gotówki wyruszyłem biednie ubrany do Wilna pociągiem towarowym. miałem zamiar kupić tam i przywieźć worek soli, tyle co potrafię udźwignąć. kiedy dokonałem transakcji zakupu i przydzwiganiem pud soli /16 kg/ na stację, zająłem miejsce w wagonie towarowym. Usiadłem na worku czekając na odjazd pociągu. Po peronie krążyła milicja w mandurach rozpytując i rewidując podróżnych. Moja odpowiedź, że wracam do odnalezionych rodziców z bagażem osobistym, była wiarygodna. Musiałem mieć bardzo prze-

konywujące spojrzenie, skoro nie poddano rewizji mojego bagażu. Prawdziwym handlarzom ruscy często pomagali wrzucać walizy do wagonu. Zanim ów wdrapał się po wysokim schodku do środka, inni milicjanci odebrali walizy z przeciwnej strony i znikali z bagażem. Skarżących się na złodziejstwo karcono za pomówienie władzy ludowej i zabierano na komisariat. Kto natrętnie dochodził krzywdy, ten stracił wiele więcej, bo często pozbawiony został wolności. Doraźne sądy, działające "od ręki", skazywały niewinnych ludzi najmniej na rok. Wywożono ich włąb Rosji, gdzie było wielkie zapotrzebowanie na darmowych robotników, za przysiówiową miskę płynu, który nazywano zupą. Widziałem młodych ludzi /Polaków/ bawiących się przy rozładunku drewna nieokorowanego, przy czym jeden z nich trafił kawałkiem kory drugiego w głowę. Został skazany doraźnie na karę dwóch lat więzienia za chuligaństwo, wywieziony, a więcej o nim nie słyszano. Nie pomogły tłumaczenia ich własne oraz świadków zdarzenia.

Onegdaj sam ryzykowałem na kilkuletni wyrok i zsyłkę. Spacerując po mieście z kolegą Tadkiem Czywilisem oglądaliśmy wystawy sklepowe. Przy jednej z nich kpiliśmy wesoło z "pasmanterii" do mundurów sowieckich. Czyniliśmy to zbyt głośno i za wesoło. Po chwili zostaliśmy chwyceni pod ręce i zaciągnięci do NKWD. Każdy oddzielnie, w innym pomieszczeniu, czekaliśmy kilka godzin na rozprawę. Przechodzący przez to pomieszczenie znajomy żydek, syn sąsiada Szlomy Rubinszteina, rozpoznał mnie w półmroku, zapytał co tu robię, by wracając po chwili uwolnić mnie, polecając szybki powrót do domu. Czekało mnie kilka lat roboczych łagierów. Odtąd przestałem ryzykować, hamując młodzieńczy zapał do rozróbek, na wzór szkolnych kawałów.

Zacieśniały się wokół nas kleszcze reżimu. Coraz trudniej było poruszać się w godzinach pracy po mieście, coraz gorzej wychodziło się na handlu, coraz większe było ryzyko we wszelkich przedsięwzięciach, coraz częściej sprawdzano po domach sposób zdobywania środków do życia oraz motywy niepodejmowania pracy. Niepracującym nakazywano tzw. szarwark, a więc roboty na drogach, odśnieżanie ulic i torów kolejowych, inne prace porządkowe.

Coraz większa bieda zaglądała do domów. Wprawdzie mieliśmy ziarno z własnego pola, ale nie pozwalano go mieć na własne potrzeby. Groziła także rekwizycja. W tej sytuacji ziarnem skarmialiśmy trzodę, drób i bydło, a sami staraliśmy się chleb kupować w kooperatywie, jedynym sklepie dzielnicy u zbiegu ulic 17-Kwietnia i Legionowej /przemianowanych nazw ulic na ruski-nie pamiętam/. Kolejka za chlebem ustawiała się o północy. Na dworze było przenikliwie zimno.

Okolo godz. 9 lub pózniej dostarczano chleb. Nie wiêcej jak 100 osób moglo ewentualnie liczyæ na kupno jednego bochenka chleba, reszta odchodzila ziorzeczac. Dlugie kolejki przed sklepem byly ðle widziane przez sowietów. Po pewnym czasie, gdy inne ðrodki zakazu nie skutkowaly, nad ranem przyjezdziay ciêzarówki, by załadowaæ wyłapanych kolejkowiczów i wywiezæ na odleglość 20 km za miasto. Kazano im wracaæ pieszo, bo żadnej komunikacji nie bylo. Dla tego rodzaju represji nie szczedzono kosztów i czasu.

W konsumach dla dygnitarzy partyjnych i wojskowych, funkcjonariuszy NKWD, półki sklepowe obfitowaly w rózne towary spozywcze i przemyslowe, ale niedostepne dla ogolu mieszkanców, nawet dla szeregowych obywateli partyjnych i robotników, a co¿ dopiero dla Polaków.

Sytuacja ta zmuszala nas do szukania sposobów na produkcjê pieczywa, jako podstawowego pokarmu. W ukryciu mieliśmy zboże u babki Izabeli na starych żarnach, wykorzystywanych do mielenia zboża na ðrutę dla trzody i bydla. Jedliemy ten chleb dziêkujac Bogu, "że nie chodzimy głodni. Byly jeszcze do chleba warzywa, owoce, mleko od własnej krowy, a czasem kawalek miêsa lub wędliny. Te ostatnie rarytasy musiały byæ porcjowane, aby starczylo do następnego "świnobicia."

Dla efektywnego wykorzystania czasu wolnego podjąłem naukę na tajnych kompletach. Lekcje prywatnych udzielali nauczyciele i profesrowie. Usilowaliśmy zdobywaæ żywność dla nauczycieli, w formie wynagrodzenia za ich trud i ryzyko. W ten sposób na przyśpieszonym programie uzyskałem małą maturę.

Z początkiem zimy, kiedy nie docieraly do miasta żadne dostawy zboża, sowietci zorganizowali akcjê: chleb dla raboczych. Jezdziły rózne ekipy po wioskach i rekwirowaly wszelkie zapasy znajdujące się u rolników, nie baczac na to, iż słuzyły one jako zabezpieczenie jada dla trzody i bydla. Niestety ich gospodarke cechowala doraźność, wyrażana często słowami: "jakoś to budżet." Dobierali się takze do mieszkanców miasta, ktorzy posiadali działki uprawne. Do nas również. Ale władze sowieckie nie grzeszily umiejętnością gospodarowania i administrowania. Uprawiając własne pole mogliśmy zaniżać wysokość zbiorów do kilkunastu kwintali na hektar, wzorując się na wydajności rolnictwa kołchozowego i sowchozowego. Zboże, przekraczające normę, ukrywaliśmy skrzętnie w dobrze zabezpieczonym na zimę własnym schronie przeciwlotniczym, nie rzucającym się nikomu w oczy. Wyglądał on jak podruźna kupa piachu. W ten sposób zabezpieczyliśmy karmę dla bydla do nowych zbiorów.

Zmuszony byłem żyæ w/g hasla "kto nie robotajet, nie kuszajet."

Musiąłem zatem podjąć pracę. Po pierwsze by nie być nagabywanym do robót doraźnych na rzecz miasta, po drugie by zapewnić możliwość zakupu chleba i innych produktów. W każdym zakładzie pracy był urządzone kiosk spożywczy dla pracowników, z którego tylko raboczy mógł korzystać. Znając język rosyjski, dobrze w piśmie, gorzej w mowie, miałem szansę na niezłą posadę. Za pośrednictwem dobrych ludzi zaproponowano mi pracę w magazynie kolejowym na stanowisku pomocnika magazyniera. Kierownikiem magazynu był stary człowiek-białorusin z umiejętnością podpisywania dokumentów, natomiast w ogóle nie posiadał umiejętności czytania i pisania, słowem analfabeta. Byłem ojcu swojemu wdzięczny za to, że nauczył mnie alfabetu rosyjskiego, a potem czytania i pisania. Nie poszło to na marne.

Praca którą podjąłem była nisko opłacana, jednak przynosiła wiele ubocznych korzyści, w sposób całkowicie "uczciwy" w moim mniemaniu, stosowałem bowiem te same miary, jakie uwidaczniały faktury przychodu. Poza narzędziami i częściami zamiennymi liczonymi w sztukach, magazyn dysponował gwoździami, śrubami, farbami olejnymi i innymi towarami mierzonymi w kilogramach. Beczkę 200 litrową farby olejnej białej lub czerwonej /tylko taka dostarczana była do magazynu/fakturovano w ilości 200 kg. Ba, ale litr farby ważył ponad 1,3 kg, zatem w prostym rachunku superata szła na "legalną" wymianę towarową. Maszyniści kolejowi otrzymywali przydziałową normę farby do malowania wielu elementów lokomotyw, a przydział im nie wystarczał. Każdy kto pamięta owe czasy wie, że parowozy musiały być u sowietów malowane. Poza sierpem i młotem oraz czerwonymi gwiazdami, malowano obręcze kół, drągi poruszające koła i inne elementy. Według tamtejszego zwyczaju maszyniści kolejowi wyprasali dodatkową farbę, oferując za 1 kg farby 1 kg śledzi /unikat/. Szkło przywożono w skrzyniach i liczono każdy arkusz za metr kwadratowy. Wymierzyłem starannie arkusz szkła i radowałem się z nadwyżki, bo każdy arkusz to 1,48 m kw. Różnicę wykorzystałem na potrzeby domowe własne i znajomych, jako że podczas działań wojennych sporo szyb wyleciało. Zabrakło szkła na tzw. dubelty. Ramy wstawiane na okres zimy. Podobne historie były z blachą cynkową. Wszystko nam się zgadzało, nigdy nie było w magazynie braków, nie było też superaty. Były za to smaczne śledzie, w ogóle nie występujące w handlu, gwoździe bardzo poszukiwane szczególnie na wsi, bo za 1 kg gwoździ otrzymywało się 1,5 kg słoniny. Wprawdzie z gwoździami było trudniej bo kg = kg. Ale mój zapobiegliwy przełożony, w strachu przed mankiem, niedoborem magazynowym, dosypywał do gwoździ w skrzynkach ściłki drobne blachy i drutu, aby na wszelki wypadek nie zabrakło. Ja natomiast zmuszony byłem wycofać

określoną ilość gwoździ, by nie dopuścić do superaty. O ile drobne manko można było usprawiedliwić, to superata obciążała magazyniera bezspornie wskazując na jego nieuczciwość. Dbałem więc o siebie, a także o honor mojego przełożonego. Gdyby tylko życie ograniczało się do magazynu, sielanka mogła trwać nieskończenie.

Gdzieś w podświadomości tkwiły niepokoje i tęsknota za wolnością i wyzwoleniem narodowym. Obecne traktowaliśmy jako stan przejściowy. Nie można było określić kto, kiedy i gdzie zwycięży i odmieni przykrą, dokuczliwą, a unicestwiającą rzeczywistość. Odczucia osobiste nasilały się, kiedy w gronie zaprzyjaźnionych rozważaliśmy problem odzyskania niepodległości. Narastaly w nas: bezsilność i niemoc, ale także chęć służenia Polsce za wszelką cenę, dołączenia się do innych, by sprawa Narodu Polskiego stała się powszechna i ogólnoludzka. Być może traktowaliśmy nasze ambicje na wyrost, bo przecie sami niczego nie zdziałamy, ale zmierzaliśmy do rozgłosu problemu wolności, by Polacy pod okupacją uwierzyli w możliwość zwycięstwa sprawiedliwości i dobra nad złem. Taki charakter miały nasze spotkania, często ukryte pod postacią prywatek przy gramofonie.

Tam wyrosła idea służenia Polsce i Narodowi, a z czasem nabrała realnych kształtów. Dwaj Kononowie Władek i Michał, brat i ja, Surma i jeszcze kilku kolegów, postanowiliśmy redagować i wydawać gazetkę pt "Orzeł Biały." Teksty przygotowywaliśmy każdy oddzielnie, wyboru dokonywaliśmy wspólnie. Gazetka formatu A-5 była drukowana w szopie u Kononów w nakładzie 100 do 200 egz. przy pomocy zwykłej, ręcznej drukarki. Brat przygotowywał odpowiednie obrazki techniką linorytu. Kolportażem zajmowali się najmłodsi, ja i kilku innych. Rozprowadzaliśmy gazetkę wśród polskich robotników i młodzieży. Docierała ona do wszystkich okolicznych wiosek, aby rolnicy polscy trwali w swej polskości i nie zaniedbali patriotycznego wychowania dzieci. Raz jeden wybrałem się z "towarem" do Białegostoku i Grodna. Była niedziela. Podróż do Grodna miałem spokojną. Od dworca drugą ulicą Orzeszkowej dotarłem do miasta 35 kościołów katolickich. Wybrałem jeden z nich nad rzeką Niemem, na uboczu lecz opodal drogi przelotowej. W czasie kończącej się mszy Św. rozdawałem gazetkę ludziom wychodzącym. Nie spotkałem się z odmową przyjęcia gazetki. Wróciłem na dworzec kolejowy i po chwili wyruszyłem w dalszą drogę do Białegostoku. W pierwszym spotkanym kościele w centrum miasta trafiłem na nabożeństwo majowe i tym samym sposobem pozbyłem się drugiej paczki. Teraz bez trefnego towaru mogłem spokojnie kontynuować podróż powrotną do Lidy. Oczekując na pociąg z Białegostoku do Grodna zwróciłem na siebie uwagę funkcjonariuszy NKWD,

patrolujących perony. W tym momencie wjechała na peron "Luxtorpeda" odgradzając mnie od patrolu wojskowego. Zdążyłem odczytać napis Mińsk więc nie zastanawiając się dłużej wsiadłem, a po chwili ruszyła z miejsca szybko oddalając się z dworca. Nie bardzo wiedziałem, w którą stronę mnie wywozi; kierunek Mińsk napewno mi odpowiada. Okazało się po chwili, że kursuje na trasie Białystok, Wołkowysk, Baranowicze, Mińsk. Mając bilet do Lidy przez Grodno, nawet nie musiałem dopłacać do pośpiesznego. Wsiadłem w Wołkowysku i po kilkudziesięciu minutach miałem bezpośredni pociąg do Lidy. Organizacja nasza nie powtórzyła więcej tego sposobu kolportażu, ponieważ uznawała go za ryzykowny. Ograniczaliśmy się później do miasta Lidy, Wołkowska, miasteczek sąsiednich i okolicznych wsi.

Życie toczyło się naprzód. Byliśmy bardzo zajęci wydawaniem gazетки. Artykuły opatrywaliśmy swoimi pseudonimami. Mój był "adherent" co oznaczało - stronnik. Staraliśmy się drukować i wydawać gazetkę co dwa tygodnie. Była to praca męcząca, szczególnie druk wymagał siły fizycznej. Kolportaż przebiegał prawidłowo. Nie wiedziałem, jak radzą z kolportażem inni koledzy. Nie było dość czasu, aby kolportażowi poświęcić więcej uwagi. właściwie sam druk i przygotowania do druku uznawaliśmy za pracę bezpieczną, bez ryzyka. Natomiast sprawa kolportażu leżała wszystkim ciężarem na sercu, ale zlekceważono ją. Postawiono na indywidualną inwencję, a to okazało się ciężkim błędem naszej działalności.

Musiałem także wiele czasu poświęcić gospodarstwu domowemu, pomagać matce w cięższych zajęciach i wyręczać ją. Musieliśmy bywać w miejscach publicznych, tam gdzie tańczono i naczono się piwem. Ta forma była dobrze widziana przez sowietów, ta rozrywka była propagowana. Uczestnictwo w takich rozrywkach nie nasuwało podejrzania, że mogą się oni zajmować działalnością przeciw władzy sowieckiej. Telefonów nie było, a porozumiewać się i umawiać się musieliśmy często. W niedzielę było najłatwiej, bo oczekując na wychodzących z kościoła, można było z każdym przywitać się i zamienić kilka potrzebnych zdań, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

I tak to trwało. Od ojca z Warszawy przychodziły skąpe wiadomości tą samą drogą. Nie można było sobie pozwolić na ujawnienie faktu, że kogoś się ma za granicą. Wystarczające były, by nie troszczyć się o jego sprawy, o jego bezpieczeństwo. Na propozycję ojca, by któryś z chłopaków przedarł się przez zieloną granicę do Warszawy, nie skorzystaliśmy. Byliśmy tu potrzebni, przede wszystkim matce, na którą spadł obowiązek „trzymania” całego gospodarstwa i domu.

Był pogodny letni wieczór. Jeden z kolegów przyszedł z hiobową wiadomością o aresztowaniu jednego z naszych. Nie byliśmy pewni powodu aresztowania, wciąż nie kojarząc tego faktu z naszą działalnością. Kiedy zaś następnej nocy aresztowano braci Mononów przeżyliśmy ten fakt bardzo ciężko. Zamierzaliśmy uciekać na wieś do kuzynostwa, których mieliśmy sporo w bliższej i dalszej odległości od Lidy. Próbowaliśmy z bratem wierzyć w złożoną przysięgę wobec siebie, że w razie czego nie dokonamy zdrady. Ponadto żał nam było matki, którą zostawilibyśmy zdaną na własne siły, lub moglibyśmy ją narazić na skutki odpowiedzialności za dzieci. Na wszelki wypadek wywieźliśmy siostrę na wieś, a sami ułożyliśmy się spać w stodole na sianie, sądząc że może się uda, a gdyby matka była pociągana do odpowiedzialności, wówczas był jeszcze czas na ujawnienie się.

Było późno, kiedy z bratem usnęliśmy twardym snem. Nie słysząc wchodzących po drabinie, podświadomie wyczułem czując obecność, obudziłem się widząc świecącą latarkę i NKWDowca z wymierzonym pistoletem w rozbudzonego przezeń brata. Zeszliśmy po drabinie w ręce dwóch dalszych drabów. Prowadzono nas ku domowi. Czuliśmy na plecach dotknięcie bagnetów osadzonych na karabinach. Ujrzelśmy jaskrawo oświetlone wszystkie okna domu. Serce mi się ścisnęło, ból przeszedł przez całe ciało. Obraz domu tej nocy pozostał we mnie na zawsze, ze wszystkimi szczegółami. Jeszcze większy gniew i złość ogarnęła nas wchodzących do mieszkania i żalność, kiedy zobaczyłem szlochającą matkę wśród dalszych dwóch oprawców. Wiele w swoim życiu ucierpiała. We wczesnym dzieciństwie straciła swego ojca, małego dwuletniego brata, zaś całą młodość swoją przeżyła jako sierota, tracąc bardzo wiele z majątku ojcowskiego. Matka nie mogła wymówić jednego słowa, a z jej dużych oczu potokiem lały się łzy. Z oczu widziałem bezsilność i rozpacz. To straszne. Nie potrafię oddać tej atmosfery, żalu mojej matki, jej trwogi, rozpacz i bezsilności tamtej tragicznej nocy.

Żołdacy NKWD postawili nas pod ścianą, a matce polecili przygotować okrycia na drogę, ponieważ ciągle jeszcze byliśmy w bieliźnie. Dwóch trzymało nas pod bagnetami na karabinach, trzeci wyszedł za matką do drugiego pokoju, pozostali dwaj kontynuowali rewizję. Przetrzęsali szafy, szuflady, papiery i książki. Przejrzawszy, rzucałi na stos w środku pokoju. Nieład był okropny. Jak długo musiała potem porządkować mieszkanie? Oczywiście nie obciążającego nas nie znaleźli. Zabrali, a właściwie zrabowali aparat fotograficzny marki "Kodak" i jeszcze jakieś drobiazgi nie mające nic wspólnego ze sprawą. Nie przedstawiały zresztą większej wartości.

Ta gehenna trwała przez ponad dwie godziny. To był tylko jej początek. Ubraliśmy się w granatowe mundurki szkolne, pantofle "Bata", czapki gimnazjalne. Nic więcej nie pozwolono nam zabrać, ani chusteczek, ani przyborów toaletowych, ani ręczników.

Wstawał dzień, a właściwie świtało. W czerwcowe dni na Nowogród- czyźnie noce trwają krótko. Zmierzch zapada około godziny 23, zaś świta po godzinie 2, jeszcze nocą.

Wyprowadzono nas przed dom. Mieliśmy wtedy niewiele lat życia. Brat skończył lat 18, ja miałem 15 i pół roku życia. Za nami pozostaje rodzinny dom, przed nami niewiadoma. Eskorta pięcioosobowa pod bronią i dwóch chłopców, niemal dzieci.

Wstawał dzień, który przekreślał nasze plany i zamierzenia, i otwierał przed nami nowy okres nieznannej przyszłości. Wtedy nie zastanawialiśmy się nad takimi problemami. Pełno było w nas złości, a przez zaciśnięte zęby nie wydobył się żaden głos.

Ruszyliśmy w tym tragiczno-komicznym pochodzie, a co chwila oglądaliśmy się za siebie, mimo upomnień i ponaglania, mimo posturę chiwania bagnetami.

Widziałem tylko jaskrawo oświetlony dom na tle jaśniejącego nieba i matkę, kreślącą nas Krzyżem Świętym na drogę, swoim matczynym błogosławieństwem, zrozpaczoną i wylęknioną, zatroskaną o dalsze losy jej dzieci.

Wyszliśmy na ulicę w kierunku miasta. Komandzir z pistoletem w dłoni szedł przed nami, obok nas z obydwu stron kroczyło dwóch żołdaków, za każdym z nas szło pozostałych dwóch. Czułem przez cienkie sukno mundurka ostrze bagnetu na swoich plecach.

Spotykaliśmy po drodze kolejarzy wracających z pracy lub idących na służbę. Z politowaniem przyglądali się konduktowi. Tu i ówdzie wyglądały twarze starych ludzi przez otwierające się okna, mimo że było jeszcze bardzo wcześnie. Minęliśmy cmentarz, weszliśmy w ulicę Legionową, a potem skręciliśmy w lewo w ul. Syrokomli, gdzie znajdowało się jedno z dwóch więzień ludzkich.

Nie śpieszyło się nam, pragnęliśmy by ta droga trwała jak najdłużej. Chcieliśmy się nacieszyć porankiem czerwcowym, odetchnąć czystym orzeźwiającym powietrzem, nasłuchać się śpiewu rozbudzonych ptaków, obejrzeć w szczególnym skupieniu fragment naszego miasta, bo kto wie kiedy, i czy będziemy mogli, znowu je oglądać.

Przyprawiono nas do więziennej bramy żelaznej, która za chwilę zatrzasnęła się za nami, a echo trzasku furty więziennej ginęło w ciszy poranku.

"I ziemia cała stała się niewolnicą, a nie było takiej niewoli nigdy na świecie, ani przedtem, ani potem; oprócz w Rosji za dni naszych!"
/A. Mickiewicz - Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego/

W I Ę Z I E N I E

Za bramą więzienną drogi nasze rozeszły się na zawsze. Mnie szarpiąc i popychając wrzucono siłą do betonowego bunkra na parterze. Mimo czerwcowych upałów w celi panował przenikliwy chłód, a powietrze przesycone było stęchlizną. Uświadomiłem sobie tegoż poranku, że jest dzień 20 czerwca, po to tylko aby odliczać kolejne daty kalendarza.

Po upływie jakiegoś czasu, w czasie którego kłębiły się w głowie rozmaite myśli, sądy i przewpuszczenia, usłyszałem kroki spoza drzwi. Po chwili weszło dwóch oprawców, nie mówiąc i o nic nie pytając, ściągnięto mi pasek od spodni, sanurowadła z pantofli, zegarek z ręki, przeszukano kieszenie zabierając jeszcze chusteczkę do nosa. Bez słowa opuścili celę, jak zwykle trzaskając drzwiami.

Jedynym wyposażeniem celi była parasza /kibel/ oraz łóżko żelazne bez siatki. Na prętach ułożono trzy deski nieokorowane /tarcica nieobrzynana/, które służyły mi za krzesło i łóżko do spania.

Około południa usłyszałem szelest przy drzwiach. Otworzono kłapę w okienku drzwi i podano mi kubek gorącej wody, zwanego w więzieniu kipiatak. Przez trzy kolejne dni składano mi takie wizyty pod owym okienkiem, podając zawsze kipiatak, który był jedynym pożywieniem.

Rano drugiego dnia poczułem okropny głód. Uczucie głodu nasyczało się i ustępowało naprzemian. Była to moja pierwsza "głodówka", po "odstawieniu" mnie od normalnego żywienia. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że jest to działanie zamierzone, którego celem było złamanie ewentualnego oporu. Tym większy wzrastał we mnie upór, tym większa zatwardziałość i zaciekłość.

Głód okazał się silniejszy. Zacząłem odtupywać paznokciami korę z desek, rozgryzałem ją, żułem długo, by po wymieszaniu ze śliną połykać. Przynosiło mi ulgę owo pożywienie, chociaż na określony czas. Przeczekałem.

Trzeciego dnia, bardzo późnym wieczorem, doprowadzony zostałem w asyście dwóch funkcjonariuszy do gmachu NKWD /Narodny Komisariat Wnucyennych Dzieł, czyli coś w rodzaju UB-Urzędu Bezpieczeństwa, lub obecnego MSW-Ministerstwa Spraw Wewnętrznych/. Porównanie to przeprowadziłem nie tylko z racji samej nazwy.

NKWD mieściło się przy ul. Kolejowej w dużym budynku mieszkalnym

zarekwirowanym przez władze sowieckie od prawowitych użytkowników. "Znajomy" oficer NKWD, ten sam który dowodził w czasie aresztowania, rozpoczął kilkugodzinne śledztwo. Usiłował mi wmówić przynależność do organizacji kontrrewolucyjnej, mającej na celu obalenie władzy sowieckiej, działalność agitacyjną i propagandową na szkodę państwa i komunizmu. Sugerował mi powiązanie z elementem politycznym, wrogiem władzy sowieckiej. Metody swojego śledztwa wzbogacał rękoczynami, pogrózkami wobec matki i siostry. Zakończył obietnicą, że z "poślaczka" wszystko wyciśnie, radząc być posłusznym.

Nie padło wówczas żadne nazwisko, nie ujawniono żadnego faktu, nie wymuszono żadnego zeznania obciążającego kogokolwiek.

Wróciłem wyprasowany doszczętnie. Nadomiar w pełni przekonany, że "oni" nie dysponują faktami, nazwiskami obciążającymi kogokolwiek z nas. Utwierdziłem się w domysłach, iż żaden z kolegów dotąd aresztowanych nie "puścił pary z ust" a złożona przysięga została dotrzymana.

Jadłospis następnych dni spędzonych w celi więziennej został urozmaicony. Rano i wieczorem otrzymywałem kipyatki, natomiast na obiad otrzymywałem miskę grochówki, wprawdzie rozwodnionej ale na tyle pożywnej i treściwej, że nie odczuwałem takiego głodu jak poprzednio.

Od szóstego dnia pobytu, przesłuchania odbywały się najmniej dwa razy dziennie po kilka godzin. Udręką były przesłuchania przeprowadzane w stanie alkoholowego zamroczenia. Do argumentów-"środków" procesu śledczego dochodził nagan, zwany przez nas "bębenkowcem", którym "śledowatiel" zadawał ciosy w różne części ciała, obiecując bez przerwy: "ubju kak sobaku."

Sielanka ta trwała nadal, bez skutku, ale też bez żadnych widoków na przyszłość. Przebłyskiwała często myśl, że niczego z nas nie wyduszą, a z nią płochę nadzieje o zwolnieniu do domu.

Nie poddałem się nawet tak drastycznym formom, a fizycznie bardzo bolesnym, jakimi było bicie policyjną gumą w pięty. Skutki tego "śledztwa" odczuwałem jeszcze po roku kulejąc na prawą nogę.

Myśli o ewentualnym zwolnieniu z więzienia, nie raz oblekały się w przekonanie o zwycięstwie naszych chłopaków. Wciąż przychodziły przeciwne nastroje, dlaczego w ogóle zostaliśmy aresztowani, a wtedy smutek i trzeźwa kalkulacja zaprzeczały rzeczywistości.

Spośród trzech tygodni spędzonych w więzieniu przy ul. Syrokomli nie byłem w stanie obliczyć ilości śledztw i godzin. Nieustannie powtarzałem: nie wiem, nie znam, nie widziałem, nie słyszałem,

nic mi na ten temat nie wiadomo. Przesłuchanie przerywano, odprowadzono mnie do ciemnej klitki urządzonej z byłej śpiżarenki domowej, ale odpowiednio zabezpieczonej, aby po godzinie lub dwóch znów wrócić na dalsze śledztwo. Niekiedy wracałem do celi nad ranem. Rześkie powietrze budzącego się dnia stawiało mnie na nogi, dodawało otuchy do dalszej walki z prześladowcami. Znowu moje trzy deski, wrzątek podany w aluminiowym kubku, znowu rozwodniona grochówka.

Gdy ściemniło się odprowadzano mnie jak zwykle w asyście eskorty uzbrojonej po zęby na następne, kolejne śledztwo. Trwało tak 8 lub 9 dni. Któregoś wieczora, a właściwie późną nocą odprowadzono mnie do innej celi. Była dwakroć większa, a wyposażona tylko w jeden mebel - stół drewniany duży. Przez wysoko umieszczone dwa okna więzienne ukazało się słońce, a około południa rozświetliło całe ponure pomieszczenie. Okienka były bez szyb, co miało tę zaletę, że w celi korzystałem ze świeżego powietrza. Przez otwarte czeluście grubego muru przedostawały się do wnętrza celi muchy, daremnie poszukując okruchów chleba lub resztek pożywienia.

W dzień czas mi się dłużył. Pustkę i nudę wypełniałem spacerami, chodząc w kółko po obszernej celi, łapiąc muchy po ścianach lub na stole, tak dla zabawy, nie po to by je uśmiercać. Były one jedynymi towarzyszkami w mojej bezgranicznej samotności.

Przez wiele długich wieczorów, zanim wyprowadzono mnie na śledztwo, stałe o tej samej porze, maszerowałem ulicą wzdłuż murów więziennych oddział żołnierzy, nie widoczny z mojego punktu obserwacyjnego. Oddział ten zawsze śpiewał do marszu tę samą piosenkę o treści bardzo wymownej, pełnej nienawiści do Polaków i wszystkiego co było polskie: "pomniut psy atamany, pomniut polskije pany, konarmijskije naszi klinki". W ogóle mieli sowieci obsesję na słowo "pan". U nas mówi się "tufli", a u was "pantufli", co miało oznaczać pantofle. Na każdym kroku prezentowali swoje prostactwo. W okresie zimnym 1939/1940 roku do Lidy przywieźli "szałon" azjatów /cały skład po ciągu towarowego/, poborowych do armii. Mieli ich mundurować na naszych terenach, gdzie fabryki tekstylne przystosowali do produkcji na cele wojskowe. Azjaci ubrani byli niemal w jednakowe spodnie i bluzy, identyczne jak nasze pasiaste piżamy. Z zachowania ich można było wnioskować, że w życiu nie widzieli śniegu. Bawili się śniegiem, brali do ust, a dorożkarze wozili ich całymi "stadami" w okolicy dworca kolejowego. Wzbudzili sobą duże zainteresowanie a kto tylko mógł, przeważnie młodzież, biegli na stację oglądać. Ja również wybrałem się tam, mając na sobie płaszcz gimnazjalny z dwoma rzędami błyszczących guzików. Zostałem obstąpiony gromad

pociąganych acz nieszkodliwych ludzi, którzy łapali za guziki i ze zdziwieniem przyglądali się temu dziwnemu zjawisku. Na dworcu kolejowym klębiła się ciżba azjatów. W kilku miejscach ustawili się oni w długich kolejkach w oczekiwaniu, by kilku "gramotnych" bajcow - żołnierzy, uprosić o napisanie kilku zdań do swojej rodziny. Dziwili nas odpornością na zimową aurę, zwłaszcza że mieli na sobie tylko owe piżamy i tekstylne obuwie, coś w kształcie nocnych pantofli. Nie znali języka rosyjskiego i porozumiewali się ze sobą w nieznanym nam języku.

Nic już nie wskazywało na zakończenie mojej gehenny. Nocne przesłuchania były kontynuowane. Po powrocie do celi kładłem się na posadzkę betonową i zasypiałem twardo. Buty i czapka leżały tuż obok. Kiedy budziłem się na ranny kipiatak, marynarka spode mnie, czapka i buty były co rano zielone od pleśni. Ręką ścierałem pleśń, a w oczyszczone ubierałem się ponownie. Być może w tym więzieniu rodził się mój reumatyzm, który na stare lata daje znać o sobie.

Po upływie dwóch tygodni kuchnia więzienna zdawała się być bardziej urozmaicona. Na śniadanie i kolację dodawano do kipiatku po jednej kromce chleba, zaś na obiad podawano zupy nieco gęstsze. Najczęściej była to osławiona grochówka, a czasem także inne kasze. Mijało dwadzieścia dni odsiadki samotnej, gdy pewnego dnia dokwaterowano mi jakiegoś typa - kryminalistę. Wywnioskowałem z jego zachowania się, że był więzienną wtyczką, usiłującym wywiedzieć się czegoś o mojej działalności konspiracyjnej. Po tygodniu wywołany został z celi i więcej się nie pokazał. Następnego dnia dokwaterowano znowu jakiegoś typa. Czyżby znowu agent? Po paru "bezowocnych" dniach jego również zabrano, pozostawiając mnie samego. Przywykłem solo odsiadywać i tak już zostało do końca mego pobytu w więzieniu na Syrokomli. W tym czasie został zmieniony rozpoznający posiłki. Przez otwartą klapę zobaczyłem dobrze odpasionego więźnia. Wydawało się, że był żydem z "zachodu." Bardzo rozgarnięty, wystarczająco grzeczny, ku memu zdziwieniu czerpał zupę z samego dna, a zamiast kipiatku zacząłem otrzymywać zwykłą czarną kawę zbożową, która wydała mi się luksusem. To był wielki postęp w żywieniu.

Wciąż liczyłem dni pobytu, ale dni tygodnia zaczęły mi się mylić. Do moich okien nie docierał dźwięk dzwonów z kościoła farnego, który by zwiastował niedzielę w porze południowej. Stałem się otepiały i nie znajdowałem żadnych przeblysków nadziei, radości. Przesłuchania zostały teraz wyznaczane na godziny popołudniowe.

Któregoś dnia wieczorem, czekając w dyżurce na przesłuchanie

zostałem na chwilę sam. Natrętnie dzwoniący telefon odwołał bowiem dyżurnego do innego pokoju. Wykorzystałem tę sytuację i nie tracąc chwili, spośród ułożonych w pudełku ołówków zabrałem najkrótszy. To samo udało mi się zrobić ze skrawkiem papieru. Szybko ukryłem zdobywcę za koszulą. Udało się przemycić je do celi. Zrodziła się myśl nawiązania kontaktów za pośrednictwem przypadkowych ludzi, jakich spotyka się w drodze na śledztwo lub do więzienia.

W celi rozgryziłem drewno ołówka, a grafit ukryłem w dwóch różnych miejscach. Jeden kawałek w narożniku kołnierza przy mundurze, drugi w patce od kieszeni. Papier schowałem pod wkładkę buta. Zastanawiałem się długo, co napisać, jak to zredagować, do kogo adresować, by zapewnić szansę powodzenia dla korespondencji. Dalsze ryzyko, to do kogo trafi i czy znalazca zechce go doręczyć pod wskazany adres.

Ponad miesiąc siedzę na Syrokomli, śledztwo trwa i zdaje się trwać bez końca. Ciągłe te same pytania, te same odpowiedzi, próby chwytnia za słowo. Wreszcie dochodzi do konfrontacji. W obecności kilku NKWDzistów, w ich siedzibie dochodzi do spotkania z Władkiem Kononem. Znam go, bo jakże mogę się wyrzec znajomości, skoro od lat jesteśmy sąsiadami, ale żadnych bliższych kontaktów nie mogliśmy utrzymywać. On już chodzi na "panny", a ja jeszcze jestem prawie dzieckiem. Władysław, zmieniony bardziej niż ja, ze łzami w oczach powiedział: dłużej nie wytrzymałem, ostatnio siedziałem przez tydzień w ciemnej piwnicy po kolana w wodzie, skostniałem cały, a obiecano mi powtórkę - aż do skutku - przyznałem się i ty się przyznaj, może ocali nam zdrowie? Próbowałem go zapytać: do czego mam się przyznać? Nic nie wiem. Odpowiada: pomagając drukować. Próbowałem wymigać się niewiedzą: co drukowałem? - dla kogo? - po co? Na dalszą rozmowę nam nie zezwolono, wywlekli go ponieważ nie mógł się poruszyć o własnych siłach. Pozostałem sam ze "swoim" śledowatелеm, ponieważ inni także opuścili gabinet. Odprowadził mnie zaraz do swojej "komnaty" i na gorąco próbował wydusić coś więcej od tego co zeznał Władek. Trudno mu to przychodziło. Kiedy wreszcie wyładował się krzykiem, pogroźkami i szturchańcami, kiedy wleczenie mnie za włosy /długie, bo zdążyły bardzo wyrosnąć/ nie dawało rezultatu, wykorzystałem ostatnią szansę mówiąc spokojnie: coś tam pomagałem, lecz nie mogę nic szczegółowego podać. Przyznałem się zatem do drukowania /nieświadomego/. Na dziś mu to wystarczyło, bo także musiał być chyba zmęczony, a to co nastąpiło uważał za swój wielki sukces. Mnie do nikąd nie śpieszyło się, mogłem improwizować.

Nazajutrz w południe mój "żywiciel" oświadczył mi w tajemnicy, że na dniach zostaną przeniesiony do więzienia przy ul. 3-Maja. Ponieważ cele więzienne były przez całą noc oświetlone, nie zawsze łatwo było zasypiać. W nikłym blasku żarówki leżałem, rozmyślając o dalszych losach naszej sprawy i sposobie wykorzystania zdobytej kartki papieru i grafitu ołówkowego. Rano podzieliłem karteczkę na pół. Na obu skrawkach skreśliłem kilka zdań tej samej treści, a po złożeniu w miniaturową kopertę zaadresowałem na nazwisko i adres matki. W listach napisałem: "Mamo, na dniach przewiozą nas na 3-Maja. Staraj się wręczyć lub przekazać paczkę z mundurkiem Pw, płaszczem gimnazjalnym i narciarkami /butami/ oraz zimową czapką. Także dla Romka." Jeśli się uda podaj coś do zjedzenia. Bądź dobrej myśli. Czesiek." Miałem dwa imiona, na pierwsze Jan, na drugie Czesław, a w domu wołano na mnie tym drugim imieniem. Oficjalnie występowałem jako Jan. Jedną kartkę podałem swemu żywicielowi więziennemu bez słowa. Ukrył zaraz w kieszeni i kiwnął głową. Jego pomocnik roznoszący z nim kociąg z jedzeniem był w tym czasie zajęty otwieraniem kolejnych okienek w celach więziennych. Drugą kartkę włożyłem po prostu do kieszeni, abym mógł w każdym momencie oddać lub zrzucić.

Dwa dni później, wczesnym rankiem przewożono mnie karetką więzienną na ul. 3-Maja. Karetka była zdezelowana, siedziałem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, natomiast konwojent zajął miejsce na ławeczce od strony kabiny samochodowej. Przed skrętem w ul. 3-Maja samochód na chwilę zatrzymał się, by przepuścić pojazdy jadące główną ulicą. Mój konwojent wyglądał w tym czasie okienkiem do kabiny, obserwując powód zatrzymania się, a ja w tym czasie wypchnąłem kartkę przez szparę drzwi tylnych. Wierzyłem, że któraś z dwóch kartek trafi do adresata. Istotnie tak się stało, do dziś nie wiem która. Zanim umieszczono mnie w celi innego więzienia przeszedłem ponowną rewizję. Grafitów nie znaleziono, na szczęście. Była to cenna zdobycz rzadko spotykana w więzieniach sowieckich. Podczas rewizji strażnik więzienny przecierał sukno mundurka w palcach, mówiąc "charosze." "Ty nawierno pomieszczika syn." /pomieszczik-znaczy obszarnik/. Nie reagowałem na te insynuacje. Po rewizji i spisananiu personaliów wyprowadzono mnie do poczekalni, gdzie spędziłem w zamkniętej szczelnie klitce blisko godzinę lub dłużej. Osadzono mnie potem w celi na pierwszym piętrze razem z kilkunastoma więźniami za różne przewinienia, najczęściej o charakterze kryminalnym. Po zdawkowym przywitaniu wskazano mi miejsce pod ścianą. Spaliśmy stłoczeni na brudnej, od lat chyba nie mytej podłodze z desek. W szparach podłogi

pełno było zleżającego kurzu. Żywnienie nieco odbiegało od poprzedniego. Tym razem bez przywilejów. Rano i wieczór kubek czarnej gorzkiej kawy i porcja chleba na cały dzień ok. 250 g. Wagowo było niby sporo, lecz ilościowo nie wiele, ponieważ chleb był gliniasty. Obiad składał się jak we wszystkich więzieniach przedtem i potem z zupy. Nawet ich gatunki były urozmaicone: z brukwi, rybne, z kapusty, grochówka, wszystkie dostatecznie rzadkie. Ziemiaków nie miałem szczęścia spotkać. Panowała tam atmosfera dość wesoła, ponieważ większość osadzonych liczyła się ze zwolnieniem wcześniej lub później. Ktoś zdobył kawałek gazety ruskiej, z której dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny pomiędzy Rosją Sowiecką a Finlandią oraz że sowietci nie dają sobie rady z takim małym państwem, absolutnie nie przygotowanym do wojny, mającym niewielką armię. To ostatnie stwierdzenie wynikało z komunikatu wojennego. Wyczytaliśmy owo między wierszami. Zaraz ktoś dowcipny zmienił tekst modnej wówczas wśród sowietów piosenki wojskowej: "try tankista, try wesołych druha, ekipaż maszyny bajewoj." Kiedy po skrzypiącej podłodze korytarza słychać było kroki strażnika zagląającego przez "judasza" do drzwi poszczególnych cel więzionych, więźniowie gromko zaśpiewali: Dwa tankista itd. Otwierały się z trzaskiem drzwi celi, a strażnik wołał: "pieć nie lzia, w obszczim paczemu wy pajocie dwa a nie try." Odpowiadali - bo treci pogib na finlandzkom froncie. Krew go zalala po same uszy, zatrzaskała drzwi i sygnął pod naszym adresem wiązanek niecenzuralnych epitetów i słów. Nie godzi się ich przytaczać.

Jak wspomniałem, w tym więzieniu było bardzo brudno. Pełno było insektów. Pchły, wszy i pluskwy żyły sobie gromadnie, dokuczały nawet w nocy, nie bacząc na światło elektryczne, które sączyło się z lichej żarówki wiszącej pod samym sufitem. Pierwszej nocy pobytu przeszedłem straszną lekcję. Obudziłem się okropnie pogryziony przez pluskwy. Kiedy zdjąłem gwałtownie koszulę, aż roilo się od czerwonych punktów. Wytrząsałem to wszystko i usiłowałem chodakiem wytłuc, ale nie nadążyłem bo część szybko ukrywała się w szparach podłogi i tak samo brudnych ścian. Tam po raz pierwszy w życiu opanowały mnie także wszy, szczególnie głowę, która blisko dwóch miesięcy nie widziała fr-yszjera. Porządek dnia w więzieniu był wzbogacony o dodatkową czynność. Wszyscy gremialnie i o jednym czasie zdejmowali ze siebie odzież, przeszukiwali ją likwidując insekty, które w nocy zagnieżdżyły się w bieliźnie i odzieży. Czynność ta zajmowała więźniom około dwóch godzin każdego dnia. Po kilku dniach, potem zaś stale, poświęcaliśmy tym zajęciom przedpołudnie i późne popołudnie.

W dalszym ciągu kilka razy w tygodniu wyprowadzano mnie na przesłuchanie do NKWD. Tym razem droga znacznie się wydłużyła, dzięki czemu korzystałem ze spaceru na świeżym powietrzu. Konwojowany byłem przez dwóch strażników. Wydało się, że byłem również kolporterem naszej gazetki "Orzeł Biały". W dalszym ciągu usiłowano zdobyć wiadomości wiążące nas z innymi osobami, usiłowano poznać kierunki kolportażu i siatkę konspiracyjną. Muszę stwierdzić, że nikt z naszej organizacji nie ujawnił dalszych nazwisk. Znane były tylko te, do których dotarł wywiad sowiecki. Stąd ciągle śledztwo, powtarzanie tych samych zeznań, aby z nich wykuskać coś więcej drogą porównywania zeznań. Trzymaliśmy się jednej wersji, mimo że odtąd ani razu nie zdołaliśmy się skontaktować z kolegami sprawy.

Razu jednego wywołano mnie z nazwiska. Strażnik dyżurujący /korytarzowy/ wywleknął mnie ciągnąc i szarpiąc za długie włosy i oddał do dyspozycji innego. W jakimś pomieszczeniu skromnie umeblowanym w małym stoł i jedno krzesło oczekiwałem chwilę, po czym wniesiono kartonowe pudło, a jego zawartość została wysypana. Była to paczka od mamy. Był w niej płaszcz gimnazjalny, o który prosiłem, i zezwolono mi zabrać ze sobą do celi, ponieważ nie miałem na czym spać. Dotąd sypiałem na marynarce. Wręczono mi także cienki mały koc wełniany, którym mogłem odtąd przykrywać się. Pozwolono mi zabrać jedną parę ciepłej bielizny, buty narciarskie i czapkę futrzaną z nausznikami. Wręczono mi mundur PW wraz ze spodniami także drellichowymi, ale pod warunkiem przebrania się i oddania mundurka sukiennego. Spodziewając się paczki i odzieży, wyprułem kawałki grafitu już wcześniej, przechowując je w szparze drewnianej ściany. Muszę nadmienić, że z owym sukiennym mundurkiem i takimiż spodniami pożegnałem się na zawsze. Pozostała mi tylko czapka gimnazjalna, nie odebrana, bo pozostawiona w celi. Na końcu wizyty strażnik wyjął kiełbasę, boczek i słoninę. Ociągając się, podzielili się ze mną sprawiedliwie po połowie. Rad byłem z jednego pęta kiełbasy, połowy boczku i połowy kawałka słoniny. Kazał pokwitować wszystkie rzeczy, wyprowadził mnie z pomieszczenia i oddał w ręce strażnika.

Powrót mój do celi przyjęty został z ożywionym zainteresowaniem. Urządziliśmy wspólną ucztę, dzieląc się ze wszystkimi, bo taki zwyczaj obowiązywał wszystkich więźniów. Resztki pozostawione właścicielowi wystarczyły na kilka dni do chleba. Cieszyłem się przede wszystkim z koca, zabierającego mało miejsca, a ciepłego, z płaszczem na którym odtąd spałem przez cały rok, z drellichowego mundura, którego nie miały się wszy, z czapki i butów. Ukradkiem obmacywałem odzież, sprawdzając czy nie zostały tam ukryte jakieś przedmioty.

Moje przeczucia potwierdziły się niebawem. Wymacałem w poduszce wykładającą ramiona w płaszczu książeczkę do nabożeństwa. Pozostawiłem w ukrytym miejscu, ponieważ nie dysponowaliśmy igłą i nicią by zaszyć ją tam spowrotem. Ponadto odkryłem list od matki, w której informowała, że siostra wróciła do domu i wspólnie radzą sobie z gospodarzeniem. Ich jedynym zmartwieniem jest troska o nasze zdrowie i naszą przyszłość. Modlą się o nasze wyzwolenie i szczęśliwy powrót do domu.

Zapomniałem przed chwilą wspomnieć, iż strażnik korytarzowy ponownie przeglądał moje rzeczy przed wpuszczeniem do celi. Poczęstował się również kiebasą, boczkiem i słoniną, jak "boh przykazał." Zadowolony byłem wiedząc o tym, że interwencje nie mają sensu. Każda wywołuje gniew i może być uznana za pomówienie, a wtedy grozi kacer o chlebie i wodzie. Pastwienie się nad bezbronnymi objawia się w życiu na każdym kroku, a już w więzieniu siła idzie zawsze przed prawem i wszędzie przed prawem.

Lato miało się ku końcowi. Wskazywały na to moje wędrówki do NKWD na przesłuchanie. Nic nie wskazywało na to, że sytuacja mogłaby się odmienić. Pogodziłem się ze swoim losem. Pozostawała sprawa utrzymania wersji dotychczas złożonych zeznań, co niewątpliwie mogło mieć wpływ na wysokość wyroku i dalsze losy. Szczególnie obawiałem się wywozki w głąb Rosji, skąd jak historia wskazywała powroty są wręcz niemożliwe.

Po kilku dniach kazano spakować się. W przejściu lekarz sowiecki zajrzał do oczu, do jamy ustnej i po stwierdzeniu "zdarow" wyprowadzony zostałem na dziedziniec więzienny, na którym ustawiano kilkunastu nieznanych mi więźniów w otoczeniu dziesięciu funkcjonariuszy NKWD. Tobołek miałem przewieszony przez ramię, dzięki roztropności mojej mamy, która w paczce przysłała mi woreczek ściągany długą tasiemką. Nadal wyprowadzano kolejnych więźniów i ustawiano kolejną grupę pod opieką dalszych dziesięciu NKWdzistów.

Po przeliczeniu i sprawdzeniu nazwisk dwójkami ładowano na samochody ciężarowe kryte plandeką. Odjechałem z pierwszą grupą na stację kolejową. Samochód dotarł bocznymi przejściami na daleki koniec peronu, gdzie oczekiwały na więźniów dwa wagony-pulmany tzw. więźniarki. Wagon miał opancerzone drzwi wejściowe, okna i wejście do każdego przedziału były zakratowane gęstą siatką z grubego drutu. Trafiałem do drugiego przedziału od drzwi wejściowych. W przedziale było po czterech więźniów rozdzielonych funkcjonariuszami NKWD. W przedziale panował półmrok, zadaniem funkcjonariuszy było unie-

możliwienie porozumiewania się, wyglądania oknem, wstawania. Po upływie ok. 30 min. wagony zostały doczepione do pociągu pośpiesznego. Pociąg ruszył w nieznanym dla nas kierunku. Siedząc z dala od okien nie mogliśmy dojrzeć nazw mijanych po drodze stacji kolejowych. Także w czasie postoju na większych stacjach kolejowych nie udało się ustalić kierunku jazdy. Kilku strażników bez przerwy przechadzało się korytarzem w obu kierunkach sprawdzając poszczególne przedziały. Chyba dlatego, że nie mieliśmy kajdanek na rękach. Próby zajęcia ich rozmową także nie powiodły się, wręcz zabroniono rozmawiać w ogóle.

Jechaliśmy około 5 godzin. Pociąg wreszcie zatrzymał się na dużej stacji. Zgiełk dochodzący do wnętrza wagonu i przedłużający się postój wskazywały na kres naszej podróży, przynajmniej tym pociągiem. Istotnie weszło do wagonów kilku oficerów i rozpoczęto "wyładunek" żywego towaru. Ludzi wysadza się lub sami wychodzą. Nas goniono po dwóch, by po kilku krokach sadzać na płyty chodnikowe peronu, chylić głowy jak najniżej, nie rozglądać się, a patrzeć tylko pod siebie. Dwa wagony były otoczone kordonem przez żołnierzy z karabinami uzbrojonymi w bagnety. Ze względu na ich kształt nazywaliśmy je widelcami. Ruch pasażerski był na peronach znaczny, więc tłoczących się pasażerów, którzy przechodzić musieli na inne perony do odjeżdżających pociągów, zwracano już z odległości kilkudziesięciu kroków. Być może pociąg nie zatrzymał się w odpowiednim miejscu. Z za kordonu nie widzieliśmy nawet nazwy stacji. Dopiero zapowiedź przez megafony o nadjeżdżającym pociągu uświadomiła nas, że przybyliśmy do Białegostoku. Po dość długim wyczekiwaniu, przy czym stroną niepokojącą się była obstawa owych 40 więźniów, podjechały ciężarówki. Wywieziono nas do więzienia w Białymstoku. Z późniejszych opowiadań więźniów, a potwierdzonych własną obserwacją nieco później dowiedziałem się, że kształt budynku odpowiada dużej literze T. Otóż w czasach zaborów car wybudował na wschodnich terenach polskich pięć gmachów więziennych odpowiadających następującym literom: T I-O P M A. W alfabecie rosyjskim znaczy więzienie /tjurma/. Każda litera zakończona była kropką. Kropka odpowiadała małemu budynkowi trupiarni, a jej położenie odpowiadało kropce po każdej literze.

Zakwaterowanie rozpoczęło się jak zwykle od sprawdzenia personaliów, rewizji osobistej, przy której kazano rozebrać się do naga. Wszystkie rzeczy wkładano do worka z odpowiednim numerem. W czasie, gdy wyprowadzono nas do łaźni więziennej, odzież nasza wraz z obuwiem oddana została do parowni, gdzie w wielkich kotłach poddana została działaniu gorącej pary pod znacznym ciśnieniem. Wytępiono tym sposobem insekty.

Była to moja pierwsza kąpiel po trzech miesiącach odsiadki. Ponieważ własne mydełka, jeżeli ktoś miał, zabrane zostały do przeglądu i zbadania czy czegoś one nie kryją, korzystaliśmy ze środków czystości tamtejszego więzienia. W beczce przy wejściu do pryszniców znajdowało się mydło w stanie pociętych, każdy musiał nabrać w dłoń odpowiednią ilość i tym zadowolić się podczas kąpieli. Było to mydło do prania odzieży lub bielizny, chociaż nigdy więcej z tego "dobrodziejstwa" nie dane było więźniom korzystać.

Na odpowiedni sygnał dzwonka-gongu "uruchomionego" przy pomocy młotka i ręki strażnika, wyszliśmy do parowni po odbiór swoich rzeczy. Ubrałem się, resztę w woreczku przewiesiłem przez ramię i ustawiłem się do wyjścia. Zabierano nas najczęściej pojedynczo. Mnie osadzono na pierwszym piętrze od strony ulicy. W pierwszym momencie cela wydała mi się nietypowa. Potem dopiero powiedziano mi, że siedzę w byłej kaplicy więziennej. Byłem w tym pomieszczeniu sto dwudziestym którymś więźniem. Sto dwadzieścia ileś rąk wyciągnęło się automatycznie na moje powitanie. Wszystkie twarze zwrócone ku mnie wyrażały gorącą serdeczność i zarazem współczucie. Z miejsca nie wiedząc kiedy zawiązała się między nami wszystkim serdeczną przyjaźń. Nie myliłem się, bo przecież była tam sama "arystokracja" inteligencji polskiej: profesorowie, lekarze, nauczyciele, księża, urzędnicy, byli oficerowie nie rozpoznani jeszcze, właściciele przedsiębiorstw i dyrektorowie różnych instytucji polskich, słowem elita starannie dobrana. Było też kilkunastu gimnazjalistów, licealistów i studentów. Jak nakazywał obyczaj, przedstawiłem się nazwiskiem, imieniem, pochodzeniem, wiekiem i na końcu oskarżeniem, na podstawie którego będę dzielił ich los. W kaplicy był wielki tłok, powitanie przez uścisk każdej dłoni trwało bardzo długo, bo przecież musiałem wysłuchać kilka słów, lub odwzajemnić się podziękowaniem za serdeczne przyjęcie i słowa pociechy. Tylko wnęka półkolista, gdzie poprzednio znajdował się ołtarz, świeciła pustką. Nikt nie chciał kłaść tego miejsca własnym legowiskiem. Wszyscy bowiem spaliśmy w szeregach wzdłuż sali, oddzieleni szereg od szeregu kilkoma stopami, by w nocy przejść do paraszy lub pełnić dyżur co parę godzin bijąc na tych przejściach pluskwy, które usiłowały przechodzić do innych szeregów. Tak było ciasno, że na komendę w nocy przewracaliśmy się na drugi bok. Na szczęście leżeliśmy nie na betonie, czy asfalcie, lecz na białej i o dziwo czystej wręcz podłodze z białych desek. Ponieważ było już po śniadaniu, więc ugoszczono mnie bardzo serdecznie, dzieląc się skromnym kawałkiem chleba suchego, acz życzliwego.

Po prezentacji i pozитaniu zostałem zaakceptowany i mile przyjęty do grona ludzi skrzywdzonych i upodlonych fizycznie ale silnych duchowo. Pierwszy dzień szybko minął na rozmowach inspirowanych przez starszych wiekiem i inteligentnych ludzi. Przechodziłem na ich życzenie z grupki do grupki, to profesorów, to księży, nauczycieli oraz niemal moich rówieśników uczniów lub studentów. Dzieliłem się swoimi przeżyciami, spostrzeżeniami i poglądami, zarówno z okresu ostatnich dni nauki pod okupacją sowiecką, jak i z pobytu w ludzkich więzieniach. Jeden z profesorów podał mi życiową maksymę, do której wiele razy zastosowałem się w życiu: "Lepiej mów za mało, niż gdybyś miał powiedzieć za wiele".

Ukradkiem z za krawędzi okien / w kaplicy były one ogromne nie zawieszane tzw. koszami / przyglądałem się domkom jednorodziennym, małym, wokół których toczyło się normalne życie mieszkańców. Spoglądałem na szpalery drzew, którymi wysadzona była droga-ulica. Cieszyły oko świegoczące ptaki, drob krzątający się w ogródkach przydomowych, słowem normalne, niczym nie znaczone powszednie życie. Mogłem spoglądać na szeroki pas nieba, szukać spadających gwiazd i pomarzyć o urokach tego świata, odebranego mi w tak miodym jeszcze wieku.

Po wspólnym odśpiewaniu wieczornej pieśni "wszystkie nasze dzienne sprawy, przyjm litośnie, Boże prawy..." cichutko i półgłosem, by nie słyszeli strażnicy, każdy z nas odmawiał pacierz, po czym ustawialiśmy się w szeregach, by ułożyć się na spoczynek. wśród prawdziwych przyjaciół, którzy okazali mi tyle serca, lekko mi było na duchu i zasypiałem z jakimś wewnętrznym spokojem, z jakąś nieokreśloną bliżej nadzieją.

Dzień dla więźniów zaczyna się wcześnie. O godz 6 rano dwóch strażników wyprowadzało nas w grupach po 30 osób do latryny na tym samym korytarzu. Było to stosunkowo obszerne pomieszczenie. Z jednej strony pod oknami zawieszonymi koszami stały 4 muszle, z których w pośpiechu musieli skorzystać wszyscy, były pisuary /tzw. "ściana piacza", Od strony bocznej przy ścianach zawieszane były koryta żelazne, a nad nimi około 12 kranów wyłącznie z zimną wodą. Cała trzydziestoosobowa grupa więźniów musiała zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, czasem przeprać koszulę w zimnej wodzie, zimną nawet lodowatą, w ciągu 20 minut. Potem strażnicy wyprowadzali wszystkich na korytarz licząc wychodzących, jak i wchodzący po chwili do celi. Liczono nas wszędzie i na każdym kroku, skrupulatnie i często. Gdzież można było umknąć? Obowiązek swój wykonywali nader starannie. Następnie wyprowadzano kolejną grupę, potem z innych cel mieszczących się na tej kondygnacji. Po powrocie cichutko odśpiewaliśmy pieśń:

"Kiedy ranne wstają zorze..." i każdy odmawiał swoją poranną modlitwę w skupieniu i zupełnej ciszy.

Od godz. 8 rano roznoszono śniadanie. Z okienka odbieraliśmy kubek czarnej gorzkiej kawy zbożowej i 250 g chleba na cały dzień, który należało zostawić do kolacji, ponieważ wieczorem otrzymywaliśmy tylko kawę. w Białostockim więzieniu niezmiennie otrzymywaliśmy zupełną rybą. By jak najekonomiczniej wykorzystać kromę gliniastego chleba, nauczyłem się sporządzać tzw. w więzieniu "blin." Wlewało się do miski aluminiowej trochę kawy, wkładało się dość kilka kawałków chleba, a łyżką także aluminiową, ucierało się ciasto. Taka prowizoryczna potrawa była sytniejsza od samego chleba. Zaś wspomniana wyżej zupa była nieokreślonej konsystencji. Spotykało się w niej tylko ości nierozgotowane. Zupa była gotowana na rybach dużej wielkości, o czym świadczyły duże ości i oczy rybnie wielkości dużej stosunkowo kulki. Z okazji świąt państwowych, bolszewickich, 1-Maja, rocznica Rewolucji, podawano zupy inne-grochówka, kasza perłowa, z brukwi lub rzadki kapuśniak. Ugotowane rybnie oczy były jedynym smakołykiem. Oko wielkości dorodnej wiśni, po ugotowaniu miało otoczkę przypominającą kolorem i smakiem ziarnko grochu, która była smaczna i treściwa. W środku znajdowała się żrenica, dawała się po ugotowaniu łuskać jak cebula, ale nie nadawała się do konsumpcji. Po wyschnięciu stanowiła okrągłą kulkę, twardą jak szkło, lecz nie tłuczącą się nawet pod nacikiem buta. Za świeża przekłuwano igłą lub kawałkiem wyostzonego drucika i niszono na nitkę uzyskaną z rozprutej skarpetki. W taki sposób więźniowie robili różańce, bransolety. Każdy łyżką wyszukiwał co większe ości kręgosłupa lub głowy rybnej, by za świeża rozgryzać na miazgę i jeść. Próch chleba i otoczki oczu rybnych, była to jedyna strawa treściwa. Jadłospis był niezmienny w ciągu ośmiu miesięcy, jakie spędziłem w białostockim więzieniu.

Czas między posiłkami wypełniały rozmowy i dyskusje, opowiadanie książek /przypominam Krzyżaków, W pustyni i w puszczy, wykłady z historii Polski i historii powszechnej, języka polskiego, fizyki, łaciny, języka niemieckiego. Prowadzono konwersację, uczono się słownictwa i gramatyki. Gdzie indziej, tzn w innym gronie /kółku/ omawiano technikę szczepiania drzew owocowych, pielęgnacji roślin, warzyw itp. Była to istna wieża Babel. Każdy mógł znaleźć dla siebie interesujący temat, ciekawą rozprawę. To wszystko zawdzięczaliśmy ludziom nauki, nauczycielom. Pożyteczne wypełnienie każdego dnia zapobiegało bezpłodnej bezczynności, podtrzymywało ducha, kształ-

cilo charaktery, wzbogacało zasób wiadomości i podtrzymywało uczucia patriotyzmu.

Mizerne porcje żywności i jałowa strawa wycieńczały słabszych fizycznie. Głodowy jadłospis więzienny nie stosowany był chyba w żadnym innym kraju na świecie, chyba z wyjątkiem obozów koncentracyjnych w hitlerowskich Niemczech.

Czytałem swego czasu książkę Hansa Leussa "Z więzienia pruskiego" w przekładzie Włodzimierza Trąpczyńskiego, wydaną w Warszawie w roku 1904, nakładem drukarni A.T.Jezierskiego Nowy Świat 47, która ocalała z pożogi wojennej i została przywieziona przez matkę w r 1945. W przedmowie autora na str. 5 czytamy: "Kim bowiem był Jan Leuss? Przede wszystkim człowiekiem, który sam przeszedł wszelkie katusze najcięższego, jakie istnieje w Niemczech, więzienia w Hannoverze a.d. 1895 r." W tekście książki "okropności" te wyglądały następująco, cytuję ze str.46: "w zasadzie otrzymują więźniowie jedną książkę na tydzień, oprócz tego zaś udzielane bywają na czas dłuższy podręczniki naukowe"... "Czytanie dozwolone jest tylko w godzinach obiadowych i w niedzielę." Więżniowie pracowali w warsztatach więziennych przy wyplataniu krzesel wikliną. Cytuję c.d. str.54.: "Rano kawa i kawałek chleba razowego, ważącego 500 g. Ci, którzy pracować byli zmuszeni ciężiej, otrzymywali dokładkę w ilości 300 g. Każdy więzień miał prawo do 10 g masła i do 1/20 l mleka. W południe prawie wyłącznie podawano zupy, głównie przygotowane z roślin strączkowych, z grochu zielonego i szablatego, z soczewicy itp. W drugim rzędzie szły zupy z ryżu, kaszy i osławiona we wszystkich kołach więziennych zupa rumfardzka, tj mieszanina grochu, kaszy i kartofli z domieszką octu... Sprawiedliwość wyznać każe, że zupy te, urozmaicano czasami zupami ze świeżych jarzyn, jak np. z buraków, kapusty, przyrządzane były dość smacznie... Dla każdego więźnia dodaje się do zupy 50 g tłuszczu. Dwa razy w tygodniu wydaje się 125 g mięsa... Podczas świąt uroczystych oraz w dniu narodzin cesarza, więźniowie otrzymują po 250 g mięsa, a po południu pół litra piwa brunatnego. Jeden raz w tygodniu po 1 śledziu i 100 g sera... Chorym, cierpiącym na żołądek, lekarz zapisuje lżejsze pożywienie na przeciąg dni 14-tu: po pół litra mleka. Ciężko chorym, w najbardziej rzadkich wypadkach ordynuje się lepszą strawę..Wielkim błędem i brakiem strawy więziennej jest niedostateczna ilość tłuszczów."-koniec cytatu. Porównanie najcięższego więzienia pruskiego z sowieckim więzieniem śledczym lub karnym nie wymaga żadnych komentarzy. Miałem okazję siedzieć krótko z więźniami kryminalnymi pracującymi, którzy jadali

to samo co my, tylko porcja chleba dzienna była podwójna i wynosiła 500 g. Czasem ktoś nowy przychodził, na miejsce innego wywożonego, chyba do Rosji lub innego więzienia, wówczas miewał jakieś specjalne mięsne, ale przecież nie mógł się ze wszystkimi podzielić.

Śledztwo moje trwało nadal. Kilka razy w tygodniu, w pierwszych dwóch miesiącach pobytu, wywoływano mnie z celi, wyprowadzano do siedniego budynku zamkniętym przejściem, w którym mieściły się pokoje przesłuchań. Miałem już nowego "śledowatiela", który od początku wałkował te same problemy. Czytał mnóstwo protokołów z poprzednich przesłuchań i własnymi metodami próbował uzupełniać pewne niedociągnięcia. Droga do budynku śledczego była dość długa i katorżnicza. Jeszcze mi włosów nie ścięto, wyglądałem więc jak "papas". Ze szkoda wielką dla mnie. Po drodze otwierano mnóstwo drzwi-krajków przy których klucznik każdego piętra i przejścia częstował mnie czymś po plecach, a moje długie włosy służyły im za pociąg. Miłobawem ta udręka skończyła się, bo przyszła moja kolejka do więzienia fryzjera, który oskubał tępą maszynką na zero.

Warunki oczekiwania na śledztwo były nadzwyczaj podłe, dotąd nie spotykane, wręcz skandaliczne i katorżnicze. Wzdłuż korytarza prowadzącego do śledczych pokoi, ustawione były szafki stojące, takie jakich używa się na szafki ubraniowe dla rzemieślników pracujących przy warsztatach. Można było w nich zmieścić się na stojąco z wystawianymi nogami. Nie można było kucnąć, a tym bardziej usiąść. Muszały do oczekiwania w pozycji stojącej. W zależności od tego czy śledczy już był, lub od tego czy skończył poprzednie śledztwo z innym więźniem, trzeba było czekać w tej szafce od ok. pół godziny, czasem do dwóch godzin. W tym drugim przypadku po otwarciu szafki wypadało ciało więźnia zemdlonego. Silnym amoniakiem stawiano go na nogi. Te metody także nie przynosiły dla nich oczekiwanych rezultatów.

Nasza sala więzienna-kaplica była usytuowana w izolacji od pozostałych cel więziennych, dlatego też nie zdołałem nawiązać kontaktów z innymi więźniami w poszukiwaniu brata i swoich kolegów, którzy niewątpliwie zostali wywiezieni z Lidy do Białegostoku. Pragnęłam tych kontaktów, ponieważ byłem na to fachowo przygotowany. Pobieżną znajomość alfabetu Morse'a została w tym szacownym gronie udoskonalona. Potrafiłem łyżką wystukiwać słowa, później całe zdania. Ale rury centralnego ogrzewania, jakie było w Białymstoku, nie miały na tym odcinku kontaktu z celami więziennymi. W ludzkich więzieniach były tylko piece opalane od strony korytarza- stwierdza

to tylko gwoli porównania. Metoda spuszczenia grypsów do okien cel niżej położonych także nie mogła być stosowana, ponieważ pod kaplicą były pomieszczenia rekreacyjne przeznaczone na przyjmowanie kolejnych "gości" tego przybytku, ale tylko tych co przeszli wstępne oględziny tuż przy bramie więziennej od ulicy i łaźnię z parówką.

Czas pobyt-u stosunkowo szybko mijał, dzięki współtowarzyszom niedoli, którzy w każdych warunkach, nawet bardzo ciężkich, zdołali znaleźć się sami i nieść pociechę dla innych.

Zbliżały się święta Bożego narodzenia. Dzień musiał być mroźny, skoro w naszej wielkiej celi mimo tłoku było chłodno, a każdy wdziewał co mógł najcieplejszego. Na wieczerną wigilijną oszczędzaliśmy chleb z dwóch dni. Przygotowałem blin z dwóch porcji chleba, a skórki od chleba miały zastąpić tradycyjny opiątek. Niecierpliwie czekaliśmy pierwszej gwiazdki na niebie. Każdy wpatrywał się na ciemny pas nieba. Podeszedłem bliżej okien, a właściwie precisnąłem się przez ciżbę. Jako jeden z najmłodszych miałem tę szansę, ciesząc się ogólną sympatią. Wzrok mój znowu skierował się ku owym domkom stojącym szeregiem wzdłuż przyległej ulicy. Wpatrywałem się nieprzyzwyczajenie w okna, obserwując wzmożony ruch. Nagle ujrzałem kogoś, kto zaświecił pierwszą świeczkę na choince. Blask płomienia odbił się wielokrotnie po bombkach i ozdobach choinkowych, za nim rozbłysły następne. Coś ścisnęło za serce, a oczy zaszklily się na chwilę. Spojrzałem na niebo i zobaczyłem ową pierwszą gwiazdkę, czy na pewno tę jedną jedyną? Nikt inny obserwujący niebo nie zareagował. Pozostawiono dla mnie tę szczęśliwe przeżycie. Objąłem wzrokiem salę, przemierzyłem ją z końca do końca i wyszeptalem. Jest gwiazdka na niebie, zwiastuje nam Boże Narodzenie. Spośród seniorów wystąpił ksiądz /oczywiście w cywilnym ubraniu/ i z miejsca dla nas świętego, po byłym oltarzu, przeżegnał wszystkich błogosławiąc nas i wszystkie cztery strony świata. Odmówił modlitwę i zaintonował cichutko: "Bóg się rodzi, moc truchleje..." Potem on pierwszy łamał się skórką chleba z kilkoma najstarszymi wiekiem więźniami, a skinąwszy na mnie jako najmłodszego, po chwili już uściskał i pobłogosławił. Zapanował wielki gwar, chociaż cichy, bo nie chcieliśmy budzić licha, które spacerowało po korytarzu i przez judasza obserwowało, co robią więźniowie. Każdy z każdym starali się przełamać symbolicznym opłatkiem. Na końcu tej podniosłej uroczystości przemówił do zebranych sędziwy profesor. Nie biadolili i nie złorzeczyli. Dziękował Dzieciątku Narodzonemu za siłę wytrwania, za możliwość uświęcenia

biednej lecz podniosłej chwili. Stało się nagle bardzo cicho. Każdy pograżył się we własnych rozmyślaniach. Skierowałem się ponownie ku oknu. Nie opanowałem swego wzruszenia. Mimowoli łzy posypały się po policzkach. Ukończyłem niedawno, bo 5 grudnia 16 rok życia, a mimo już doświadczonej dorosłości, stałem się znowu dzieckiem. Podszedł ku mnie ksiądz, bez słowa uścisnął i tak trwaliśmy chwilę w milczeniu. Potem po raz pierwszy wyjąłem książeczkę do nabożeństwa i modliłem się o zdrowie i pomyślność dla osierocołej matki i siostry, o wytrwałość dalszą dla siebie i brata, o wszystkich towarzyszy niedoli. Książeczka powędrowała między ludzi, krążyła długo po sali, bowiem wszyscy chcieli pomodlić się w ciszy i skupieniu.

W tym smutnym nastroju ułożyliśmy się do snu.

Zżyłem się bardzo z mieszkańcami tej wielkiej celi. Byłem mądrzejszy i wytrwalszy, uodporniony na prześladowania i trudy przesłuchiwań, na wszystkie niewygody, na zadawane cierpienia cielesne i duchowe, na bardzo skromne warunki bytowania.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia, tuż przed Nowym Rokiem, strażnik kazał mi spakować rzeczy /wieszczy/ i być gotowym do wyjścia. Żegnany byłem z troską i niepokojem. Odchodziłem w nieznane. Po ponownym zrewidowaniu mnie i moich rzeczy, wyprowadzono do łaźni, odzież oddano do parowania. Z przyjemnością wykąpałem się pod prysznicem z użyciem własnego mydła toaletowego, które otrzymałem w podarunku przy pożegnaniu. Po skończonej toalecie oczekiwałem na dalsze polecenia.

Zaprowadzono mnie na parter w lewym skrzydle więzienia i osadzono w dość dużej celi w kształcie prostokąta, przypominającą swoim kształtem izbę lekcyjną. Małe okna wychodziły na mur okalający posesję więzienną. Zostałem około 40 więźniów. Wzdłuż celi pod ścianami stały trzypiętrowe nary z desek, bez sienników, ale przestrzeni do spania było więcej. Pomiędzy narami ciągnął się ku oknu korytarz, którym bez przerwy w obie strony spacerowali więźniowie. Społeczność była bardzo zróżnicowana. Rozpoznawałem żydów, kryminalistów, ludzi inteligentnych. Nikt prawie nie zwrócił uwagi na nowego lokatora. Tu jednak rządziły inne prawa. Wprowadzali je wytrawni kryminaliści, którzy nie pierwszy raz odbywali kary więzienia, mieli jeszcze staż przedwojenny. Atmosfera była raczej przygnębiająca. Wystąpił wreszcie starszy celi- niewątpliwie były kryminalista- wyznaczając mi miejsce na posadzce asfaltowej, pod najniższą narą, opodal drzwi wejściowych. Twierdził, że część więźniów musi sypiać pod narami z braku "łóżek", a ja dysponuję i piaszczem i kocem.

W tej celi znacznie poszerzyłem zasób wiadomości i umiejętności praktycznych, inaczej mówiąc posiadam umiejętność radzenia sobie w warunkach więziennych.

Z ugniatanego chleba można było robić fajki, rozmaite figurki, różnymi sposobami można było uzyskać ogień itd. Tych umiejętności uczyli bywalcy więzień z różnych okresów, także z okresu przedwojennego. Z wyprutych nitek ze skarpetki można było skręcić grubszą nić. Nawlekano ją na guzik stalowy /kiedyś takie guziki bywały przy spodniach czasem przy innych częściach garderoby męskiej/, puszczało się tzw. bączka na dużych obrotach. Podkładając kawałek stłuczonej porcelany /np. z oprawki żarówki/ sypały się strumienie iskier, a padające na spaloną szmatę utrzymywały dostatecznie długo żar ognia, od którego przypalano papierosy, jeżeli ktoś takie posiadał, najczęściej nielegalnie. Gdy nie było szmaty spalonej w zapasie, strumienie iskier kierowano na strużki ze szczoteczki do zębów lub innej masy plastycznej, która pod wpływem bombardujących nieustannie iskier wybuchala płomieniem. Sztuką było wykorzystać wybuch płomienia dla spalania szmaty lub przypalenia papierosa. W ostateczności, kiedy zabrakło guzika, masy, nici, pozostawało jeszcze jedno wyjście, ostateczne. Więźniowie wyciągali druty z siatki łóżka, łączyli je na długość odpowiadającą wysokości celi, umieszczali w oprawce żarówki. Drugim końcem druta dotykali szarpnięciem kaloryfera lub metalowej rury obłożonej spaloną szmatą lub innym materiałem łatwopalnym lub łatwo zapalającym się, powodując łuk elektryczny. Powstałe napięcie powodowało ciemność w więzieniu i nie dało się zlokalizować. Kiedy przeprowadzano takie eksperymenty jeden z więźniów stawał plecami przy drzwiach celi zasłaniając "judasza", by przypadkiem strażnik nie zobaczył takich czy innych zabronionych czynności. Jeżeli zaś zaglądał w zasłoniętego judasza, był czas odskoczyć od drzwi, zlikwidować nielegalne urządzenia, zanim otworzył zamki i rygle. Można wątpić o tych eksperymentach, ale w potrzebie wszystko jest możliwe, tak samo, jak zastąpić drabinę piramidą gimnastyczną. Trzymający drut musiał oczywiście użyć jakiegoś kalosza lub buta gumowego, w przeciwnym razie mógł narazić się na porażenie prądem elektrycznym. W celach nie wolno było przechowywać ostrych narzędzi, a takie były niezbędne. Przy spodniach męskich po obu stronach były tzw. ściągacze, klamerki stalowe skracające lub wydłużające wszyte paski z tkaniny. Wyostrzona klamerka na posadzce asfaltowej była niczym brzytwa. Cięła tkaninę, strugała ołówki lub drewno itd. . Korzystając z temu podobnych prymitywnych narzędzi radzono sobie

doskonale. Potwierdziło się porzekadło, że potrzeba jest matką wynalazków.

W celach więziennych, mimo ciągłych rewizji, dysponowano artykułami przemycanymi różnym sposobem, chociaż w minimalnych ilościach. Ktoś miał resztki rozsypanego w kieszeniach cukru, inny przemycił papierosy z ustnikiem, rozsypany tytoń i wiele rozmaitych produktów lub rzeczy. Nawiązuję w tej chwili do metody produkowania tuszu czarnego wysokiej jakości, który był odporny na wodę, wilgoć, ścieranie.

Dla tak licznej zbiorowości więziennej musiała być i była opieka lekarska, bardzo prymitywna wprawdzie, ale była. Więźniowie w niektórych celach musieli spać na siatkach drucianych, bo nałóżkach brak było materaców w ogóle. Z czasem od siatki tworzyły się długo ropiejące rany, zwłaszcza wtedy gdy brak było płaszcza lub koca własnego. Zgłaszający się do opatrunku, na korytarzu otrzymywali tampon waty umaczonej zieloną gencjaną. Inni cierpieli na obstrukcję, otrzymywali więc łyżkę rycyny, którą obowiązani byli przełknąć zaraz po podaniu. Jednak bez trudności udawano tę czynność, a po powrocie do celi szybko pozbywano się rycyny wlewając np. do łyżki. Zanurzony w rycynie knot /z nici skarpetek/ podpalano, a na dnie miska lub miski aluminiowej zbierał się kopeć, czyli osad z sadzy, którą potem delikatnie zeszkrobywano na łyżkę. Dodając do osadu odrobinę cukru i wody, otrzymywało się czarny tusz wysokiej jakości. Służył on do tatuażu oraz do malowania kart do gry. Byłem właśnie w posiadaniu dużej talii kart tak sporządzonych. Najpierw postarałem się o koszulę podartą, ale o pięknym desenie np. w kolorową kratę, klej otrzymywało się po przetarciu "blina"-rozmiękczonego chleba przez gęstą szmatkę, zaś kartonikiem do malowania była tutka /gilza/ od papierosa. Przyklejona rozwinięta starannie tutka pomalowana została na czarno i na zielono /gencjana/ figurami i znakami karcianymi: piki, trefle, karo, kiery. Karty miały niewielki format, a cechowała je duża trwałość. Byłem także w posiadaniu szachów wykonanych z chleba. Ofiarował mi je jakiś profesor plastyk. Figury i pionki szachowe odzwierciedlały króla, królowe, giermków, rycerzy, jeźdźców itd. Szachy były dwukolorowe: koloru naturalnego chleba oraz czarne z dodatkiem sadzy do masy chlebowej. Szachownicę rysowaliśmy na podłodze asfaltowej. W ten sposób wypełnialiśmy beczczynność więzienną. Książek ani gazet nie udostępniano, zaś posiadanie ich groziło karcerem. Zdarzało się, że nie było gencjany, wówczas drugi kolor karciany otrzymywało się z proszku zdrapanej cegły. Opowiadano, że w sytuacji bez wyjścia więźniowie malowali karty na czerwono własną krwią. Nie widziałem. Posiadałem różaniec i bransoletki z oczu rybich i wiele drobiazgów.

Karty do gry miały różne zastosowanie. Przy brydżu, preferansie, ty-siącu, w woza, zajmowały czas kilku osobom. Nauczyłem się różnych gier, pasjansów, ba nawet wróżenia z kart, wszystko zaś po to, by nie dać się zwariować z bezczynności więziennej. Wróżenie z kart i stawianie pasjansów traktowałem z przymrużeniem oka, ale czasem pewne wróżby przypadkowo sprawdzały się, np wywróżyłem kiedyś kole-dze, bo tak wyczytałem w kartach, że za 6 miesięcy wyjdzie na wol-ność. I oczywiście sprawdziło się co do joty.

Były również ujemne skutki gier karcianych. Pograżeni nałogiem przegrywali niektórzy więźniowie odzież, nawet porcje chleba. Nie można było temu nałogowi przeciwdziałać, ponieważ społeczność wię-zienna rekrutowała się z wielu typów, zróżnicowana była kulturalnie i moralnie. Wśród nas byli także "specjaliści" od wyjaśniania snów. Śnił mi się wóz drabiniasty pełen ludzi, zaprzężony w dwie pary koni, a jeden z siedzących w tyle wozu ludzi trzymał piątego konia za uzdę. Biegłem za tym wozem trzymając się drążka przytrzymującego drabinę i usiłowałem wskoczyć. Niestety nie udało mi się i zostałem za wozem sam. Wyjaśniacz snów powiedział mi wówczas, że otrzymam wy-rok pięciu lat więzienia, ale nie dane mi będzie odsiedzieć wyroku. Przyjąłem to wyjaśnienie z niedowierzaniem, bo jak mógłbym po skaza-niu tak wysokim wyrokiem zostać uwolniony. Nie mieściło się to w mo-im pojęciu. Innym razem widziałem we śnie wielką figurę Matki Bożej na podeście, wśród pięknych kwiatów girlandami zwisających ku ziemi. U stóp Matki Bożej klęczało dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Prześliczne twarzyczki dziecięce wpatrzone były w Matkę Bożą, jasno słomiane kędziory układały się jak girlandy kwiatowe. Trzymały w rą-czkach kule z jasnej jak słońce słomy. Nagle buchnęły kule słomy ja-snym płomieniem, a mglisty blask płomieni szybko uniósł się w górę.

Tak wiele się zdarzyło, tak wiele nauczyłem się, tak wiele prze-żyłem w ciągu niespełna miesiąca w 40-osobowej celi.

Przesłuchiwanie śledcze odbywały się "starym" zwyczajem, jeden raz w tygodniu. Śledztwo nie posuwało się naprzód ani o krok. Ciągłe to samo, te same pytania, te same odpowiedzi. Wszystko już było za-kodowane w moich myślach.

Trudno wywnioskować, czym się kierowały więzienne władze sowiec-kie, kiedy znova zostałem przekwaterowany do innej celi. Tym razem trafiłem piętro wyżej, jak wywnioskowałem w tym samym pionie gmachu więziennego. Nie różniła się wielkością od poprzedniej; tylko zamiast nar drewnianych były żelazne łóżka bez materaców. Mnie przypadło spać w niej pod takim. O tyle było gorzej niż poprzednio, że przez siatkę spadały mi na głowę okruchy i różności, ale najgorzej, bo zda-

rzały się spadające pluskwy-ohyda. W nowej siedzibie element ludzki, jak w innych celach, był bardzo zróżnicowany. Spory był ruch żydów przychodzących i odchodzących, bogatych i biednych, z wielkimi tobołami i niewielkim bagażem. Mieli czym handlować, niestety nie było z kim. Żydzi przychodzili do więzienia na krótki okres czasu, dopóki wywiad sowiecki zdołał ustalić lub potwierdzić ich tożsamość i powody wejścia w kolizję z prawem. Najwięcej przyprawiano znad granicy niemiecko-sowieckiej. Przez "zieloną granicę" koło Grajewa odbywał się ruch dwustronny, o czym wcześniej wspominałem. O ile uciekający Polacy na zachód zmaszerowali byli omijać strażę sowiecką, żydzi sami dobrowolnie oddawali się w ręce strażników, będąc przekonani że w Rosji znajdą dla siebie nową ojczyznę i schronienie. Ponieważ ruch graniczny, wysoko opłacany złotem i dolarami na rzecz przewodników, odbywał się nieprzerwanie, przy stosunkowo dużej frekwencji uciekinierów, władze sowieckie były bardzo ostrożne. Wszystkich złapanych lub oddających się w ręce straży dobrowolnie, umieszczano w więzieniach. Po przeprowadzeniu wywiadu w każdej indywidualnej sprawie, co trwało kilka tygodni, żydzi byli wypuszczani na wolność. W ogóle stosunek Sowietów do żydów był poprawny. Nie sposób tego kwestionować, skoro żyd Beria Ławrentij pełnił w rządzie moskiewskim stanowisko Komisarza Spraw Wewnętrznych, a NKWD było mu w całości podporządkowane. Poprawny stosunek do żydów czasowo przetrzymywanych w więzieniach przejawiał się w tym, iż pozostawiano im cały bagaż, w tym także żywność, papierosy, kosztowności, pieniądze /dolary/, różne przedmioty i odzież osobistą. W celi natomiast było sporo młodych ludzi w wieku 18-30 lat, którzy rekrutowali się z tzw. półświatka przestępczego, wykazywali agresywność, niecierpliwość, skłonność do swady i rękoczynów. Chętnie handlowali kradzionymi towarami, żywnością, odzieżą lub kosztownościami. Dokonywali oni kradzieży nocą, kiedy siedzący na własnym tobole żyd przez ileś tam nocy, w końcu zsuwał się zmęczony na legowisko, stwarzając okazję młodym kryminalistom. Wór był plądrowany i okradany. Tej samej nocy żywność nadająca się do bezpośredniego spożycia zostawała rozdzielana między wszystkich więźniów z obowiązkiem skonsumowania pod groźbą, a na takie dictum żaden więzień uczciwy bał się odmówić. Próby rewizji i przetrząsania bagaży spowodowane skargami nie dawały rezultatu, ponieważ dowód przestępstwa był nocą skonsumowany. Inne towary, jak papierosy, pieniądze, zmyślnie ukrywali, to w koszach za oknem, bądź w innych trudnych do odgadnięcia miejscach. Mieli w tym doświadczenie i wprawę. Swego czasu słuchołem opowiadań młodego człowieka na ten temat-o tym później.

Przyczyny takiego stosunku części więźniów do żydów nie wynikał absolutnie z antagonizmu, czy też nawet nienawiści. Właściwie żydzi byli winni sami sobie. W więzieniach obowiązywały pewne utarte zwyczaje, niepisane prawa solidarności. Polegały one na tym, że w biedzie i potrzebie każdy dzielił się z każdym, walcząc z głodem i poniewierką. Każdy dysponujący zapasem dzielił się z pozostałymi choćby niewielką częścią zapasów, pozostawiając sobie większą część od tej, która podlegała podziałowi. Tymczasem żydzi nie byli skłonni dzielić się, jadałi ukradkiem po nocy, ale przecież nie uszło to uwadze zabiedzonych i głodnych. Zapach wędliny rozchodził się po celi, drażnił nozdrza wyголоdzonych ludzi, rozbudzał w nich zazdrość. Znając trochę obyczaje żydów wiedziałem, że w więzieniach nie stosowali rygorystycznych zasad co koszerne, co niekoszerne, zabronione przez Talmud. Pozostali więźniowie nie mieli tych problemów, bo do niezwyklej rzadkości należała możliwość konsumpcji wędlin lub innych przetworów mięsnych.

Do wykonania kart pozyskałem od żydka gilzy papierosowe drogą zupełnie legalną.

Położenie celi, w której aktualnie przebywałem, umożliwiało kontakty z więźniami przebywającymi w sąsiednich celach i to zarówno w kierunkach góra-dół, jak i w układzie poziomym. W tym pierwszym kontakty przeprowadzaliśmy za pomocą grypsów przekazywanych na sznurku /skręconej nici/. W poziomie za pomocą alfabetu Morse'a nadawanego stukaniem łyżką w rury centralnego ogrzewania. Trzecia metoda, stosowana rzadziej w układzie poziomym, polegała na przepychaniu zapisanego rulonika papieru małym otworkiem wydrażonym drutem wzdłuż fugi łączącej cegły muru. Otworkiem ten z obu stron był zapychany drobiną tynku po wykorzystaniu kontaktu. Z kolei "droga grypsów" umożliwiała nie tylko przesyłanie korespondencji, lecz także drobnych przedmiotów, jak np. zapalek, tytoniu, papierosów, guzików i klamek stalowych, a nawet kawałków rozbitego szkła, które zastępowało ostrze brzytwy do golenia. W tym miejscu pozwolę stwierdzić, że uzyskałem wielką wprawę w goleniu szkłem, a do golenia ustawiała się nieraz długa kolejka. Sam jeszcze nie miałem zarostu. Przygotowanie szkła do golenia także wymagało umiejętności. Precyzja łamania szkła polegała na tym, by pękające szkło pozostawiało ostrze pod dużym kątem. Nigdy nie zdarzyło się, abym kogokolwiek skaleczył. Jakość golenia była znacznie lepsza i dokładniejsza, niżby przy pomocy brzytwy. Darzono mnie za to nie tylko sympatią, lecz czasem kawałkiem chleba lub innego specjału. Bywaliśmy sobie nawzajem potrzebni.

Przy pomocy alfabetu telegraficznego Morse'a i kontaktami grypsów nie nawiązałem kontaktów ani z moim bratem, ani z innymi kolegami naszej "paczki". Rozmieszczeni musieli być w innym skrzydle gmachu więziennego.

Zima 1940/41 była sroga. W końcu stycznia chłód przenikał do celi. Każdy otulał się czym mógł, by nie zapaść na jakąś chorobę. Z praktyki więziennej wiadomo nam było, że w przypadku cięższej choroby chory skazany był na własne siły, kiedy zaś zaniemógł zabierano chorego. Nie było przypadku powrotu do celi.

Od dwóch tygodni nie wzywano mnie na śledztwo, nie zajmowano się moją osobą. Wnosiłem stąd, że zbliża się jakaś zmiana, oby nie na gorsze. Strach oblatywał na myśl ewentualnej zsyłki na daleki wschód, gdy za oknem szalały wichury i zamiecie śnieżne. Można sobie było wyobrazić jak wyglądałaby tej zimy "podróż" ku najzimniejszym strefom w sowieckiej "stranie." Zaraz kojarzyły się owe obawy z tekstem piosenki rosyjskiej sparafrasowanej do rzeczywistości prawdziwej: "ja drugiej takiej strony nie znajdu, gdzie tak ciężko dyszyt człowiek." Przewidywania moje, że coś nowego staje się na drodze mojego życia, sprawdziły się niebawem.

Zostałem wezwany w pierwszych dniach lutego na kolejne przesłuchanie. Odsiedziałem jak zwykle w szafce około trzech kwadransów, słyszałem duży ruch na szerokim korytarzu, pokrzykiwania na pędzonych w obu kierunkach ludzi i wtedy mnie strach obleciał. Przypuszczałem, że przygotowywany jest transport. Ale przecież nie wyszedłem ze wszystkimi rzeczami swoimi, dobytek mój pozostał w celi, więc może jeszcze nie przyszedł ów kres. Tak spekulując, łapałem powietrze jak ryba, dysząc ciężko wskutek podekscytowania. W szafce bowiem było duszno, bo przez kilka wywierconych otworków o średnicy ok. 1 cm nie wiele powietrza mogło się wymienić. Nagle usłyszałem otwieranie kłódki w "mojej" szafce, a po chwili strażnik prowadził mnie na pokoje. Tym razem do innego niż poprzednio.

Pokój był identyczny jak inne. Długi prostokąt. Przy drzwiach wieszak na odzież oficera śledczego, naprzeciwko drzwi okno, tuż pod nim fotel drewniany i biurko, za biurkiem krzesło dla "tiuremnik"/więźnia. Na biurku telefon, trochę szpargałów, kałamarz i pióra oraz ołówki. To wszystko. Lewa strona biurka całkowicie wolna. Czasem kładło się w tym miejscu narzędzia śledcze, jak nagan, pałka gumowa, coś w rodzaju kastetu, kajdanki. Oficer powiadomił mnie, że od dziś przejmuje śledztwo i sądzi, że sprawa szybko posunie się naprzód, wyjaśnimy do końca sprawę organizacji kontrrewolucyjnej. Wadszedł bowiem czas, kiedy nie stać "nas" na marnotrawstwo sił,

środków i "dzienieg" /pieniędzy/ na bezproduktywne utrzymywanie przestępców. Chciałem protestować, że zupa rybna kosztuje niewiele, ale aparat bezpieczeństwa istotnie mógłby być wykorzystany do produkcji. W czas ugryziłem się w język. Wysłuchałem się bowiem okropności na temat karcerów, do których zamykano niesfornych, opornych i złośliwych katorżników. Cieszyłem się w duchu z opanowania oraz że nie dane mi było doświadczyć tych okropności na sobie.

Odczytał w skrócie co mu wiadomo na mój temat. Jestem oskarżony za przestępstwa agitacji z art. 65, propagandy wrogiej z art. 66 oraz za działalność kontrrewolucyjną z art. 152 mającą na celu obalenie władzy ludowej. Agitacja była związana z ulotkami szkolnymi by protestować przeciwko wprowadzeniu języka wykładowego rosyjskiego w gimnazjum, propaganda - to drukowanie i rozpowszechnianie tekstów szkalujących ustroj komunistyczny i władzę sowiecką /sowieckuju właść/, działalność kontrrewolucyjna - to program organizacji kontrrewolucyjnej, której zadaniem było wciągnięcie szerokich kręgów społeczeństwa do organizacji, gromadzenie broni i amunicji oraz wywołanie powstania, którego zasadniczym celem było obalenie władzy radzieckiej.

Zaprotestowałem insynuacjom twierdząc, że nic mi nie było i nie jest wiadomo o organizacji, natomiast treść wydawanego informatora odnosiła się do środowiska uczniowskiego, które powinno było zachować narodowość polską, a jako mniejszości narodowej przysługiwało konstytucyjne prawo o wielonarodowości ZSRR, zachowanie w mowie, w nauce i kulturze języka polskiego, także jako przedmiotu w szkołach tutejszych.

Z kolei wysłuchałem wykładu, że w ZSRR nie ma republiki polskiej, zatem przestępstwem politycznym jest uzurpowanie sobie prawa narodowościowego. Każdy urodzony na terenach białorusi jest białorusinem. Zaś każdy rzekomy "inostraniec" /cudzoziemiec/ z chwilą objęcia władzy na terenach wschodnich byłej "Polszy"/Polski/ automatycznie stał się obywatelem radzieckiej Rosji i winien posłuszeństwo swojej ojczyźnie. Kto myśli inaczej, ten jest odszczepieńcem i za to musi ponieść karę. My zaś swoje myślenie zamieniliśmy w niegodziwe czyny na szkodę państwa radzieckiego /sowieckiej własti/. "My aźidajem" - /oczekujemy/, że wy podacie nazwiska "prowodyrów" /przywódców/, nazwiska członków bandy, punkty waszej organizacji w innych miastach i wsiach białoruskich.

wywnioskowałem z powyższego wykładu, że tak czy tak jesteśmy uznani przestępcami politycznymi, że ukrywamy nazwiska przywódców politycznych rekrutujących się spośród ludzi dorosłych, inteligencji kontrrewolucyjnej. Tak czy owak uznano nas za więźniów politycznych

niebezpiecznych dla władzy sowieckiej, zasiugujących nadługoletnie ciężkie roboty. "Jeszcze uwidia"- tymi słowami skończył, nacisnął dzwonek elektryczny i po chwili meldujący się strażnik odebrał mnie i odprowadził do celi. Długa była droga do celi. Z budynku śledczego trzeba było przejść korytarzem-łącznikiem do gmachu więzienia. Początek i koniec korytarza ogrodzony był wielką stalową kratą, klatki schodowe też były odgradzone kratą, z każdej klatki schodowej na korytarze też przejście zamykały kraty. Ile krat tyle otwieranych i zamykanych drzwi, tylu strażników, a każdy z nich dzierżył wielki klucz, a każdy klucz zostawiał swój ślad na ciele prowadzonego więźnia. Ostatnie uderzenie otrzymywałem od strażnika otwierającego i zamykającego celę. Zatem im częstsze wizyty śledcze, tym gorzej dla ciała i zdrowia.

Jak przewidywałem, któregoś dnia podczas śniadania, zgłosił się kKwDzista, kazał się w mgnieniu oka spakować, wyprowadził mnie na korytarz. Obejrzał, obmacał i powędrowaliśmy na ostatnie trzecie piętro tego gmachu. Szybko policzyłem, że otrzymam na śniadanie cztery klucze. Nie było trudno policzyć, ponieważ wewnątrz gmachu więziennego było widoczne od parteru po ostatnie piętro. Cele były bowiem rozmieszczone wzdłuż ścian. Strażnik krążył w koło korytarzem. Korytarze odgradzone były od klatki schodowej metalową barierą z prętów, środkiem była czeluść od samej góry do dołu budynku. Każda kondygnacja od kolejnej odgradzona była siatką stalową, aby czasem któryś z więźniów nie wyskoczył na sam parter i nie popeźnił samobójstwa. Schody wiodły zaś środkiem tej okratowanej zewsząd czeluści wzdłuż całego gmachu. Inne skrzydła gmachu były zbudowane i urządzone identycznie.

Po metalowych schodach wdrapaliśmy się z pierwszego na ostatnie piętro. Po drodze otwieranie i zamykanie okratowanych drzwi, wreszcie ostatnie piętro. Strażnik III piętra pokwitował odbiór więźnia, obmacał i przeszukał kieszenie, zajrzał do worka, który to worek po ośmiu miesiącach był szary jak święta ziemia, doprowadził w kąt korytarza, odryglował drzwi i wepchnął mnie do celi.

Znalazłem się niemal na środku celi. Pomieszczenie miało ok. 4 m długości i ok. 2,5 m szerokości, a okienko zasłonięte koszem znajdowało się pod sufitem w górnym lewym rogu. Cella ta znajdowała się w samym narożniku dwóch skrzydeł gmachu, co było widoczne przez wąską szperę, jako że kosze okienne były założone pochyło do ramy okiennej. w celi znajdowała się przy drzwiach w kącie parasza, a pod oknem w przeciwnym rogu stało metalowe różko bez siatki, ustawione pionowo, a przeznaczone jako wieszak na wierzchnią odzież i suszenie pranej bielizny. Na podłodze asfaltowej siedziało 17 chłopców w wie-

ku od 12 do 18 lat. Byłem osiemnastym lokatorem. Prekwencja była różna. Stan liczbowy często zmieniał się. Bywało nas w tej celi nawet 24. Na każdego przypadało więc od około 1,4 do ok. 1,9 m sześciennych powietrza. Dlatego też wszystkich zastałem w bieliźnie, tj w kalesonach i koszulach. w celi było ciepło i duszno, stąd taki ubiór. Chłopcy pochodzili z różnych stron, z miast i wsi. Jeden pochodził z Białegostoku, miał skończonych 18 lat i z "zawodu" był autentycznym złodziejem. Opowiadał o swoim nędznym życiu. Siedzibą jego na wolności była melina złodziejska w grotach /katakumbach/ przy kościele św. Rocha. Kościół stał na wzgórzu, a w pieczarach wzgórza były meliny złodziejskie. Specjalność-kieszonkowiec. Wiele opowiadał o środowisku kryminalistów mężczyzn i kobiet. Złodziejstwem zajmował się od dziecka, kiedy obumarli go oboje rodzice. w więzieniu zachowywał się przyzwoicie i poprawnie, był nawet chłopcem sympatycznym. Charakterystycznym typem był szesnastoletni, jak ja, syn polskiego oficera, chłopak inteligentny bardzo dobrze wychowany. Inni niczym się nie wyróżniali stąd też nie utkwili mi w pamięci. wszyscy natomiast mieli jednakowo wrogi stosunek do władzy sowieckiej. Trudno mi dzisiaj przypomnieć za co siedzieli w więzieniu. Mój rówieśnik miał tak delikatną karnację, jak dziewczynka, fizycznie był słaby więc z wielkim trudem znosił katorżnicze warunki i nędzne wyżywienie.

Najciekawszą postacią w tej celi był 12-letni chłopiec ze wsi mazurskiej, nie uświadamiał sobie za co siedzi, lekceważył władzę i rygory. Seplenił z mazurska i mówił gwarą mazurską. Na imię było mu Stach. Onegdaj, ubiegłego lata pod jesień, pasł spokojnie krowy na ściernisku, parę kilometrów od wsi. Pole przylegało do granicy państwowej między Niemcami a Sowiecami. Rozkoszując się trelami wygrywanymi na wierzbowej fujarce przeoczył fakt, że jedna z krów poszła sobie spokojnie za granicę. Nie było na granicy ni płota, ni rowu, tylko ścieżka wydeptana przez straż graniczną sowiecką. Pomiędzy posterunkami, prowizorycznymi barakami, wędrowały naprzeciw siebie patrole sowieckie. W momencie gdy przepędzana krowa cwałowała ku swemu stadu, chłopak zainteresował się wyschniętym korzeniem, bo z takich strugał kozikiem różne figurki, kucnął pod krzakami i w takiej sytuacji naszła go patrol sowiecka. Zarepetowała broń i z karabinami wycelowanymi ku chłopcu dopadła biedaka, który nic sobie z tego nie robił. Ręki w wierzch-zakrzyknięto. Związano chłopcu ręce z tyłu i odprowadzono na posterunek graniczny. Ponieważ nie posiadał żadnych dokumentów został zatrzymany i przy zmianie patroli odwieziony do miasteczka, stamtąd do NKWD w Białymstoku, a w końcu wylądował w więzieniu. Prawdopodobnie po interwencjach rodziców i roko-

waniach "międzynarodowych" został zwolniony po odsiedzeniu 8 miesięcy sowieckiego więzienia i odstawiony do granicy. Nic dodać, nic ująć - samo prawo sowieckie.

Ale zanim to nastąpiło Stasinek dawał nam koncerty śpiewając raz rzewne, innym razem skoczne piosenki ludowe. Cieszył się i popłakiwał z cicha. " Wysła za górceckę, wysła za górceckę, tam ułani jadom, po moim Jasinku, po moim kochanku, konika prowadzom. Prowadzom, prowadzom załobom okryty, oj pewnie Jasinek, oj, pewnie kochany, na wojnie zabzity." Śpiewał wiele innych piosenek swoją mazurską gwarą, śpiewał pięknym dziecięcym sopranem głośno i bardzo głośno. Często bywał upominany przez strażników więziennych, częściej jeszcze bez skutku. Pewnego razu Stasinek nie czuł się najlepiej i dostał rozstroju żołądka. Chłopcy nie pozwolili mu zatawiać się w paraszę, bo do wieczora nie wytrzymał w tym zaduchu. Kazano mu kołatać do drzwi, by został wyprowadzony do ubikacji. Wyjątkowo chyba, dyżur na korytarzu pełniła MKWDzistka -kobieta-trzeba wiedzieć, że w więzieniu przebywało wiele kobiet. "Otwósta dzwi, pušta mie do uborki" wołał Stasinek. Kilkakrotne wołania nie odniosły skutku. Wówczas Stasinek urwał kwadratowy kawałek koca, załatwił się doń, chwycił węzełek za cztery rogi, przeraźliwie głośno wali w drzwi. Otwósta-chce wom cuś powiedzieć. Otwarły się wreszcie drzwi, a Stasinek rąbnął węzełkiem spoza siebie na korytarz. Można było przypuszczać jak to wyglądało. Po kilkunastu minutach strażniczka wezwała prawdopodobnie pomoc-strażnika z drugiego piętra, z pomocą którego usiłowała wyciągnąć chłopca z celi. Stłoczyliśmy się wszyscy w przeciwległym kącie, chwając Staszka za sobą. Uzbrojeni w menażki, kubki, nie dawaliśmy się podejść. Wówczas strażnik zdjął skórzany pas żołnierski /polski/, machając końcem pasa z kłamrą w naszym kierunku usiłował Staszka chwycić za rękę. Wreszcie jednemu z nas udało się pas przechwycić. Zrobiła się konsternacja, a sytuacja stała się nagle poważna. Strażnikowi samemu nie wolno było wejść do celi, ponieważ mógł zostać rozbrojony, a skutki tego nie oczekiwane. Zamknięto wobec tego drzwi i wzywano pomocy. Zanim przyszła odsiecz, pas wojskowy piękny, polski, bo oni mieli tylko parciane, został szybko przez chłopaków pocięty na kawałeczki, a te wrzucono przez szparę w oknie do rynny. Jak wspominałem cela nasza usytuowana była w rogu dwóch skrzydeł gmachu więziennego. Chłopcy zeskokczyli z żelaznego łóżka, które posłużyło tym razem za podest ku oknu, skupiliśmy się w kącie sali jak przedtem, nadal uzbrojeni w menażki i kubki.

Po chwili w drzwiach celi pojawiło się kilku żołdaków, którzy

wkroczyli do celi, chwycili Stasinka za ręce i usiłowali go wyciągnąć na korytarz. My natomiast trzymaliśmy chłopca za nogi. Kiedy ich strona zaczęła przeważać, pozostali rozpoczęli bombardowanie ich mezażkami i kubkami. Broni już przy sobie nie mieli. Stasinek chwilę jeszcze zawisł w powietrzu w pozycji poziomej, następnie runął jak długi na posadzkę, bo żołdacy nagle wycofali się. Myśleliśmy o wygranej walce i radość wielka wstąpiła w nas. Tymczasem po niespełna 30 minutach w drzwiach stanęło kilkunastu rosyjskich drabów, uzbrojonych w pistolety i pałki gumowe. Nie szczędząc razów po kolei wyluszczyli wszystkich. Każdy z nas zainkasował ileś tam pałek i pożąanych sińców nieraz krwawych, Stasinek w bieliźnie został zamknięty na resztę dnia w przeraźliwie zimnej latrynie przy otwartych oknach. Zrewidowano nas wszystkich na korytarzu, przetrząsnięto całą celę i nasze rzeczy porozrzucane po całej celi, ale pasa nie znaleźli, ani w celi, ani pod oknem na podwórzu. Otrzymaliśmy głodówkę trzydniową o kubku gorącej wody i kromce chleba raz na dzień. Do karceru nikt nie poszedł. Nie wiem do dziś dlaczego? Czy karcery były przepełnione, czy o tym nie był powiadomiony naczelnik więzienia? Naszym zdaniem wina leżała także po ich stronie i być może sprawa została "między nami."

Stasinek znalazł w latrynie jakąś deskę, ułożył na kranach i przesiedział do wieczora śpiewając na cały głos swoje ulubione piosenki dla rozgrzewki. Przed godz. 20, kiedy wyprowadzano więźniów kolejno celami do latryny. Stasinek wrócił do nas przyjęty serdecznie i gorąco, a tak jak każdy z nas odliczył na sobie pięć pożąanych krwawych sińców od pałek gumowych.

Życie nadal potoczyło się normalnym więziennym trybem. Swoim stażem więziennym, najdłuższym, i różnymi umiejętnościami imponowałem chłopakom. Nauczyłem ich krzesania ognia, produkcji kart do gry, warcabów i szachów, robienia różańców i bransoletek, fajek z chleba i różnych figurek. Zupa rybna była niezmiennym posiłkiem w jadłospisie więziennym.

Zanim skończył się miesiąc luty rozdzielono nas i chyba żaden nie pozostał w tej celi. Żegnaliśmy się jak bracia serdecznie. Na pamiątkę otrzymałem od syna oficera piękne dwie koszulki letnie z kołnierzykiem, bo miał ich sporo, wzamian podarowałem mu bransoletki, warcaby z chleba i jakąś figurkę.

Przeniesiony zostałem do innej celi na tym samym korytarzu, ale od wewnętrznej strony dziedzińca, skąd nie padało do celi pełne dzienne światło. Kiedy wszedłem do nowej celi poznałem swego kolegę, a właściwie znajomego kolegę mojego brata Romka z tego samego Gimnazjum Kupieckiego i tej samej klasy. Siedzieliśmy za tę samą sprawę.

Wspólne rozważania z kol. Surmą wykazały, że NKWD nieświadomie zakwalifikowały naszych wspólnych kolegów do dwóch odrębnych spraw, do dwóch różnych organizacji "kontrrewolucyjnych". Przesłuchania, przy skąpych z naszej strony zeznaniach^{nie} doprowadziły do scalenia naszej działalności, co miało dodatni wpływ na wyroki jakie zapadną. Uświadomiliśmy sobie, że sprawa brata, moja, Kononów, Rokickiego i dwóch innych została potraktowana oddzielnie, natomiast sprawa Surmy i pozostałych dziesięciu kolegów uznana została za zupełnie inną organizację, a przecież wszyscy ci zajmowali się pisaniem artykułów, kolportażem, organizowaniem punktów przerzutu naszej prasy. Tylko druk czasopisma przypisany został nam i faktycznie nas obciążał.

Mieliśmy sporo czasu na dyskusję, ustalanie pewnych szczegółów, uświadomienie zakresu działania, o czym nie wiedzieliśmy wtedy, bo obowiązywał podział czynności i ograniczona informacja wewnętrzna, na wypadek wpadki. Uznaliśmy stosowane przez nas zasady konspiracji za wzorowo opracowane. Tego dokonaliśmy sami bez pomocy dorosłych. Tylko Michał Konon, obecnie przebywający w Anglii, liczył wtedy ok. 30 lat życia.

Daliśmy się wchłonąć w społeczność więzienną nowej celi, nie zdradzając starej a bliskiej znajomości. Nowa siedziba tej samej wielkości co poprzednia "gościła" przeciętnie od 20 do 25 chłopców. Tym razem ja byłem najmłodszy spośród pozostałych. Drugi natomiast miał lat 17, jako wyjątek w tym wieku, ale wyglądał mizerniej, był delikatny, słabo wysportowany i robił wrażenie chorego. Nie wdawaliśmy się w przyjaźnię, chociaż wspólnie żyliśmy problemami dnia codziennego. Osiemnastolatki nie miały powagi na twarzy ani w usposobieniu. Kiedy ponownie pokazała się strażniczka na dyżurze, płatali jej rozmaite figle. Symulując czyjeś zasiabnięcie wzywali głośno stukając pomocy, a kiedy drzwi się otwierały, a w nich stanęła "nasza krasawica", wyrosnięte chłopaki wychodzili nagusieńko podchodząc blisko niej, a ona bladła i czerwieniała na przemian. To był jej ostatni dyżur. Być może były na naszym piętrze cele kobiece, ale nie byliśmy tego pewni. Wiedzieliśmy skądinąd, że kobiety przebywały w tym więzieniu.

Minęło parę tygodni. Był koniec lutego. Jedzenie było podłe. Przekorkienko do podawania jedła, głośno wyrażaliśmy swą opinię na ten temat i inne problemy. A to, że strażnicy śmierzdzą dziećmi, że parciane pasy nie pasują do ich bluzek /nie mówiliśmy mundurów/, że co to za wojsko, jakie prostackie obyczaje, dlaczego nie rozumieją utartych powiedzeń w języku francuskim, niemieckim, łacińskim ?

Gdy strażnik posądzał o kłamstwo "czto ty wriosz" odpowiadaliśmy z łacińskiego "errare humanum est" lub "mea culpa", zaś rusek odzywał się "czewo ?" - co kwitowaliśmy gromkim śmiechem. Gdy straszył: "nu, pasiedisz ty" - odpowiadaliśmy "gloria victis." W odpowiedzi usłyszeliśmy: "czort z taboj" albo "czort z wami," a ja na takie dictum: heute mir, morgen dir - rozszłościł się na dobre, trzasnął drzwiami, szarpnął ryglami, że aż echo odpowiedziało kilkakrotnie z każdego korytarza. Kiedy innym razem rugał nas "po matuszkie"-słowami nie do powtórzenia - Surma, uczący się w Gimnazjum języka francuskiego odpowiadał: "fi done" -nieładnie, a rusek: "nu pasmotrim." /zobaczymy/ ni w pięć, ni w dziesięć. Głosc ich ogarniała, że smarkacze bezkarnie naigrawają się, mając ich za coś gorszego.

Pewnego razu podano nam na obiad po raz pierwszy gęstą kaszę /pęczak/. Bieliśmy już odnotować to, jako sukces i wynik naszego narzekania. Kiedy jednak sięgnęliśmy łyżką do ust okazało się, że jest tak słona, iż absolutnie nie nadaje się do zjedzenia. Ten i ów jeszcze próbował, ale nikt nie mógł jeść. Miski stały ustawione przez nas szeregiem pod drzwiami, my zaś koiataliśmy głośno do drzwi, żądając przybycia naczelnika więzienia. Próby sprowadzenia władzy nie powiodły się. Ponawiane prośby nie skutkowały. Głośne śpiewanie polskich piosenek wojskowych, także. Śpiew nasz rozlegał się po całym gmachu i dochodził do sąsiednich skrzydeł. Byliśmy podnieceni złością i gotowi na wszystko. Usłyszeliśmy podobny śpiew chóralny kobiet na naszym korytarzu, które nie wiedząc nic, solidaryzowały się z nami. Podnieceni na duchu jeszcze głośniej śpiewaliśmy piosenki wojskowe, a szczególnie legionowe. Wręcz wrzeszczeliśmy.

Nikt nie reagował, nikt do nas nie przychodził. Zdeprymowani brakiem reakcji z ich strony, uchwyciliśmy żelazne łóżko, identyczne jak w poprzedniej celi a służące tylko do wieszania i suszenia bielizny, po kilkunastu chłopców po każdej stronie i zaczęliśmy całą mocą walić w drzwi. Nie dawaliśmy za wygraną. Waliliśmy znowu. Kiedy już tynk odskoczył od framugi stalowej, nagle drzwi otworzyły się, a w nich gromada rosłych, wyborowych oprawców z bronią w ręku. Spośród nich, gdy uciszyło się, ukazał się mały, gruby, w binoklach, naczelnik więzienia, żyd, po prostu żyd. Zdradzały go specyficzne oczy i gesty. Przybył tylko po to, aby nas z celi wydostać. Jak zwykle cofnęliśmy się w przeciwną stronę i czekaliśmy uzbrojeni w miski ze słoną kaszą i kubki. Oszukał nas, bo kazał temu najmizerniejszemu podejść dwa kroki w przód i wyłożyć nasze żale, naszą skargę. Gdy ten ruszył się do przodu, przygotowani oprawcy momentalnie go chwycili i zabrali, a za nim zatrzęsnęły się drzwi celi. Żyd- oszust.

Kanalia. Tchórz. Okrzyki nasze goniły za umykającym naczelnikiem. Zabranego chłopak nie wracał. Po chwili strażnik wywołał Surmę, trochę później mnie. Mizerak wrócił niebawem do celi, i jak relacjonował później, ściskali mu szyję tak długo i mocno, że wreszcie wyduślił z siebie kto był organizatorem protestu, /Surma/, i kto był zapiewajką /ja/. Zabrano nas w bieliźnię, a spotkaliśmy się niebawem w karcercze. Karne cele, tzw. karcery, mieściły się w głębokich piwnicach budynków więziennych. Nie posiadały żadnych urządzeń i sprzętów. Były tylko gołe ściany. Karcer, w którym nas zamknięto, miał wymiary ok. 2,5 m x 1,8 m. Podłoga drewniana na środku była zapadnięta i wilgotna, małe okienko 30x30 cm nie było oszklone, po ścianach spływała woda, taka wilgoć panowała w tej celi. Zanim zaczęliśmy się zastanawiać, jak to będzie i jak się tu urządzimy, usłyszeliśmy wrzask strażnika i cichy głos kobiety. Po chwili kobieta zaczęła dosłownie "wyc" zapewne z bólu, gdy w dalszym ciągu jęki i wycie nie ustawały usłyszeliśmy chluśnięcie strumienia wody, a potem coraz to słabsze i cichsze odgłosy westchnień i jęków kobiety. Po tym zdarzeniu skóra cierpiała na myśl, że w temperaturze z-bliżonej do zera, można być oblanym wodą. Był to koniec lutego, więc zima nie ustępowała tego roku. byliśmy w bieliźnię. Za chwilę ciała nasze ostygły, a dreszcz przenikał od stóp do głowy. Rozpoczęliśmy marsz gęsiego w kółko, omijając wilgotny środek podłogi. O ściany nie można było się oprzeć, bo były zupełnie mokre. Chodziliśmy w kółko, raz w jedną stronę, potem w drugim kierunku. Trzymaliśmy ręce złożone na piersiach, ogrzewając klatkę piersiową, potem za sobą na plecach, ogrzewając plecy. Czasem rozmawialiśmy. W nocy, kiedy woda zniknęła z zapadniętej podłogi układaliśmy się na suchej podłodze na waleta. On trzymał swoją głowę na moim kolanie, ja z kolei na jego kolanie. Po ok. dwóch godzinach wilgoć a właściwie woda wracała w zagłębienie i musieliśmy wstawać do spaceru. W południe przyniesiono po jednej cienkiej kromce chleba i jednym kubku "kipiatku." /gorącej wody/. Tak karmiono nas przez osiem dni i nocy. Osiem dni i nocy krążyliśmy jak niedźwiedzie po klatce. W drugim dniu kazano nam podpisać protokół kary. Odmówiliśmy. Strażnik odrzekł: "niczewo, my sami podpiszem za was"- nic dodać, nic ująć. Tak może się dziać tylko w ustroju komunistycznym, sprzedajnym a bezwzględnym, gdzie człowiek nic nie znaczy, jest tylko siłą roboczą, nie powinien mieć swojego zdania, winien być bez reszty posłuszny. Władza za niego myśli, działa. On jest bezwolnym zerem. Dzisiaj nie wyobrażam sobie, jak mogłem te osiem dni i nocy przecho- dzić-przespacerować, jak młody organizm to zniósł, a jednak siła ducha pozwoliła przetrwać tę i wiele innych kar i upokorzeń.

Osiem dni przesiedzieliśmy w karcerze. Wyprowadzono nas na trzecie piętro i wydano tobołki. Cella nasza była pusta. Wymagała remontu po ostatniej awanturze. Nie wiedzieliśmy dokąd zabrano pozostałych chłopców. Mnie i Surmę także rozdzielono, nie zdążyliśmy się nawet pożegnać. Trafiłem piętro niżej do dużej celi, gdzie przebywało około 40 osób. Wśród dorosłych niewątpliwie czułem się inaczej niż z rówieśnikami. Jak to bywa w gromadzie, zaraz nawiązały się kontakty ludzi zbliżonych upodobaniami, zainteresowaniami. Tak było i tu. Zaraz następnego dnia wywołano mnie na śledztwo. Przesłuchujący, który już razu poprzedniego wygłosił mi wychowawczą mowę, teraz miał nowy aktualny problem do omówienia. Żganił za zachowanie, grożąc konsekwencjami przy ferowaniu wyroku. Wiedziałem, że to są bzdury. Karę odbyłem. Kazał mi niezmiennie opowiadać, w jaki sposób kolportowałem gazetkę w Białymstoku i w Grodnie. Tak, jak poprzednio, twierdziłem, że nie miałem odwagi wręczać ją ludziom nieznanym, więc porzuciłem paczki na przedmieściu, licząc na przypadek, że ktoś może się nimi zainteresować. Byłem świadom tego, że prawdziwie zeznając, mogłem wielce zaszkodzić księżom tych kościołów, Bogu ducha winnych. Uznałem wcześniej, że nie należy komplikować spraw. Śledczy nie ukrywał swoich wątpliwości co do moich zeznań, usiłując różnymi sposobami dowiedzieć się prawdy. On także miał czas i święcie wierzył, że prawda jak oliwa wypłynie na wierzch. Zapowiedział, że będziemy teraz częściej spotykać się, więc powinienem zastanowić się nad celowością ukrywania prawdy, zwłaszcza że miał niby dowody z zeznań innych oskarżonych.

Mając nieciekawą perspektywę na najbliższą przyszłość, postanowiłem odwzajemnić się śledczemu metodami działania, które wypróbowałem z powodzeniem w Lidzie.

Łatwo mi było w Białymstoku, gdzie ruch więzienny był dość duży, zdobyć próżne pudełko od zapałek. W okresach kilkudniowych między przesłuchaniami, gromadziłem wszy w pudełku szczelnie zakrytym, po to by je wykorzystać na śledztwie. Oficerowie śledczy mieli zwyczaj kłaść na biurko szynel wojskowy, czapkę, czasem szal. Podczas rozmowy często wstawał z za biurka, wyglądał oknem na podwórze więzienne, lub spacerował po swoim pokoju. Wykorzystując moment nieuwagi, przez szczelinę pudełka podsypywano żyjątko do piaszcza, do czapki, na szal. Przy następnej wizycie z satysfakcją obserwowałem, jak delikwent czoehra się po ciebie, drapie głowę. Prawdopodobnie zorientował się skąd biorą się insekty. Nie wiedział tylko komu je zawdzięcza, bo każdy z nich miał wielu patentów. Profilaktycznie sadzano więźniów zdala od biurka. Na to też była rada, że "posypywaliśmy" wszy i pluskwy po chodniku, które zawsze znalazły drogę do ciała.

nie mieli z nami lekkiego życia. Sposób na insekty stosowali prawie wszyscy więźniowie, a na szczęście nikt nie dał się złapać na gorącym uczynku. Wyszło nam to na dobre. Naczelnik więzienia zarządził łaźnię i parowę na odzież w okresach dwutygodniowych.

Więcej czasu poświęcałem teraz na rozmowy "telegraficzne" nie tracąc nadziei, że dowiem się gdzie przebywa brat i jak mu się wiedzie. Nabrałem przy ciągłych kontaktach dużej wprawy, więc chętnie służyłem innym.

Za oknem czuć było nadchodzącą wiosnę, a przy otwieranych drzwiach celi musnął czasem świeży powiew od okna. Nie przypominam, czy w marcu, czy też na początku kwietnia obchodziliśmy Święta Wielkanocy. Przypadek sprawił, że przybyła grupa więźniów, wprost z wolności. Kilku z nich przyniosło z sobą ugotowane jajka, jako zapas żywności na drogę. Nikt przecież nie przewidywał gdzie będzie, jak długa może być podróż. Każdy więc zabierał ze sobą tyle żywności, ile pozwolono zabrać. Dnie świąteczne obchodziliśmy bardzo skromnie, to nie Boże Narodzenie. Mało było inteligentów, a jeżeli nawet byli, nie zdradzali się swym pochodzeniem ze zrozumiałych względów. Śniadanie wielkanocne było skromne, bez przemówień, bez zbiorowej modlitwy. wzajemne życzenia były ciche, skromne, ale odrobinę jajka każdy w celi otrzymał. Był tradycyjny "blin", gorzka kawa. Ten i ów z nowo przybyłych mógł mieć jakieś dodatki, ale nie napraszano się wiedząc, że wśród nas nie ma ludzi zasobnych, z zapasami. Królowała bieda i niemoc, czasem rozpacz cechująca zwykle świeżo aresztowanych.

Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale w tej celi nie zagrzałem na dłuższą miarę. Ciągłe mnie gdzieś przenoszono. Tym razem w parę tygodni po Wielkanocy kazano się spałować. Nikt nie wywoływał mnie z celi. Sądziłem, że mogła zajść jakaś pomyłka. Nawet zastanawiałem się czy przygotowywać posłanie na zbliżającą się noc.

Późnym wieczorem wyprowadzono mnie na trzecie piętro. Tak bardzo pragnąłem celi w narożniku. O dziwo, pragnienie moje spełniło się. Zostałem tam kilku starych znajomych, ale większość nowych chłopców. Znowu byłem w swoim żywiole. Leżąc przed zaśnięciem słuchałem opowiadań znajomków i sam dzieliłem się własnymi przeżyciami od czasu, gdy opuściłem tę jedną z najlepszych cel. W zasypiających głowach rodziły się pomysły nowych figli i celowych działań uprzykrzających życie strażnikom, którzy w większości znęcali się nad więźniami. Nas traktowano ze szczególnym udręczeniem. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć motywów takiego stosunku. Pierwsze dni upłynęły spokojnie. Byliśmy grzeczni, w celi panowała względna cisza, nie śpiewaliśmy, wychodziliśmy grzecznie z paraszą rano i wieczorem do latryny.

Skoro dotychczasowe wysiłki skontaktowania się z bratem lub innymi kolegami drogą grypsow i telegrafu nie odniosły rezultatu, postanowiłem skorzystać z innych sposobów. W latrynie-ubikacji- na naszym piętrze, dokąd chodziliśmy dwa razy dziennie, a oprócz nas pozostali więźniowie trzeciego piętra, odkryłem sporych rozmiarów wnękę, gdzie był zlokalizowany węzeł wodociągowo-kanalizacyjny. Dostęp do tego węzła osłaniały metalowe drzwi, dające się otworzyć bez klucza. Wystarczyło końcami palców przekręcić trójkątny trzpień. Spróbowałem kontaktu z kinkolwisk, zamieszczając we wnęce kartkę. Na kartce komunikowałem, iż poszukuję brata Romualda z Lidy oraz wpisałem imiona pozostałych kolegów. Zaglądałem dwa razy dziennie do schowka. Któregoś dnia znalazłem związaną informację, że poszukiwani znajdują się w sąsiednim skrzydle gmachu więziennego. Były to zbyt szybkie wiadomości, aby próbować bliższego kontaktu.

W porozumieniu z kilkoma kolegami naszej celi, postanowiłem rankiem ukryć się w skrytce aż do wieczora, kiedy nasi ponownie przyjdą do ubikacji. Sprawa była dosyć ryzykowna. Mogłem być wzywany na śledztwo, strażnik mógł doliczyć się braku jednego więźnia, mogłem być odkryty w schowku w innych przypadkowych okolicznościach. Oczekałem do najbliższego śledztwa, wiedząc że mam to za sobą na okres przynajmniej jednego tygodnia. Namówiłem chłopaków, by wychodząc z celi bez przerwy wyprzedzać się wzajemnie, aby utrudnić strażnikowi dokładne liczenie. Przy powrocie rano muszą już bez mnie tak lawirować na korytarzu, by strażnik nie doliczył się braku jednego.

Zaryzykowałem. Przed opuszczeniem latryny, ukryłem się w schowku. wychodziłem zeń do każdej grupy odwiedzającej latrynę, rozmawiałem z różnymi ludźmi, aż trafiłem na tych, którzy podali mi numer i położenie celi, w której siedzi brat. Czas do wieczora musiałem przetrwać w schowku. W porze obiadowej, kiedy wszyscy zajęci są obiadem, wyszedłem rozprostować kości. Musiałem czuwać, ponieważ przy zmianie wartowników, oboje razem obchodzą wszystkie pomieszczenia. Wytrwałem do wieczora, spotkałem inne grupy co rano były przed nami, rozmawiałem, pytałem i udzielałem odpowiedzi tym, którzy z kolei mnie wypytywali o swoich znajomych. Doczekałem się wreszcie swojej grupy. Szczęśliwie z nimi wróciłem do celi, bardzo zmęczony ale szczęśliwy. Nawiązałem z bratem bezpośredni kontakt listowy. Wiedziałem już, że jest zdrow, że sprawy nie popchnięto do przodu, trzeba ograniczać zeznania do stanu pierwotnego i wytrwać. Droga listów była dość zawila, więc ograniczę się do stwierdzenia, że bezinteresowna pomoc łańcucha ludzi dobrej woli przyniosła pozytywne rezultaty zabiegów.

Więźniowie kalendarza nie mają. Gubią się dni tygodnia, czasem nawet trzeba zastanowić się ustalając miesiące. Instyktownie wyczuwają, jak upływa czas według pór roku. Na Kresach Wschodnich wyraźnie występowało sześć pór roku. Lato, jesień, szaruga jesienna, zima, roztopy wiosenne, wiosna. Co cierpliwi znaczyli kreskami na ścianie upływające dni, tygodnie, miesiące, w oczekiwaniu wolności, ale tylko cud mógł nas uwolnić.

Obserwowaliśmy przez nasze małe okienko, a właściwie przez szparę między oknem a koszem, wszystkie zmiany pogody. Coraz częściej niebo bywało błękitne, robiło się cieplej, nawet w murach więziennych. Każde podmuch cieplejszego rzeńskiego powietrza zwiastował wiosnę w całej pełni. Po raz pierwszy od ponad 70-miesięcy pobytu za kratami wyprowadzono nas na spacer. Jeden strażnik prowadził grupę gęsiego, drugi szedł za nami i bez przerwy nas liczył. Przy wyjściu z celi, potem na krętych schodach w kształcie ślimaka od trzeciego piętra aż do parteru, przy wyjściu z gmachu na dziedziniec i co pewien czas. Niezależnie od tych dwóch, trzeci strażnik stał na uboczu nie spuszczać z naszej grupy oka. Trudno nas było liczyć, ponieważ jeden zatrzymywał się coś tam niby poprawiając, drudzy wyprzedzali się, doganiali, zostawali i tak w ciągłym ruchu. Oni zaś uparcie nas liczyli, zawsze mieli przy tym wątpliwości. Wykorzystywaliśmy to, by ich podenerwować. Byli bardzo naiwni. Gdzież można było uciec, gdzie schować, po co więc to ciągle liczenie? Za pierwszym razem prowadzili nas wokół pustych o tej porze roku, okrągłych klombów, otoczonych strzyżonym ongiś, żywopłotem z rosnącego bukszpanu. Widząc ciągle liczenie zażartowałem z nich. Na jednym z okrążeń schowałem się niepostrzeżenie, na drugim wyszedłem, a oni wciąż liczyli. Nie zgadzała się zaklęta liczba 27 - tylu nas było. Po odpowiednio dawkowanej liczbie okrążeń wracaliśmy. My orzeźwieni, zadowoleni, oni zgnębieni i zmęczeni. Krótkie było nasze spotkanie z nastalą wiosną. Weszliśmy w mroczną serpentynę schodów zapasowych, chyba ewakuacyjnych, w takiej korytarze, znowu ciągle liczeni, wręcz do znudzenia.

Po dwóch tygodniach znowu odbył się nasz spacer. Tym razem zlikwidowane zostały klomby i zieleńce, a w to miejsce zbudowano trzy zagrody okrągłe. Osłonięte były płotem wysokości ponad 2 m. Między deskami nie było nawet maleńkiej szpary, przez którą można by było "podglądać" sąsiadów chodzących w kółko, jak koń w kieracie, a może szepnąć, porozmawiać? W naszym boksie znajdował się żołnierz NKWD. Był wiekiem zaawansowany, bez broni i pałki, w szarym zniszczonym szynelu i takiej furazerce. Nie interesował się nami, był jakiś przygnębiony. Nie reagował, kiedy zaczęliśmy rozmawiać cicho z sąsiadami

w drugim boksie. Jeden ze starszych kolegów poczęstował go papierosem, za co pokłonił się głęboko, nie zwracając uwagi na nasze rozmowy zabronione przez strażników.

To był mój drugi i ostatni spacer. Za parę dni przeniesiono mnie do celi na parterze w innym skrzydle gmachu, gdzie prawdopodobnie siedział mój brat. Cella wielkości poprzedniej klitki mieściła z trudem trzydziestu kilku dorosłych. Byli mi nieznani, obcy, nie skorzy do rozmowy, zawierania znajomości i zwierzeń. Ja również nie występowałem z taką inicjatywą. Byli bardzo przygnębieni, jak by znali swój dalszy los. Tylko jeden z nich przywitał mnie serdecznie. Pomógł mi nawiązać kontakty z sąsiednimi celami po rurach c.o. alfabetem Morse'a. Ustaliłem, że koledzy z naszej paczki oraz mój brat znajdują się jeszcze w Białymstoku, chociaż spodziewają się wywiezienia w bliżej nie sprecyzowanym kierunku.

Zaraz na drugi dzień wezwano mnie na śledztwo. Wyprowadzono na zewnętrzny dziedziniec, przylegający bezpośrednio do murów zewnętrznych od strony ulicy. Rzeczy moje pozostały oczywiście w celi. Stąd wnioskowałem, że będzie przesłuchanie. Z za muru dochodziły odgłosy ruchu ulicznego.

Po wojnie byłem służbowo w Białymstoku, chyba w 1970 roku. Poszedłem ze znajomym Tadeuszem G. obejrzeć gmach więzienny, w którym przesiadziałem osiem miesięcy. Mur przetrwał okupację niemiecką, ale był inny. Nasze władze PRL podwyższyły ten mur o półtora metra, na skutek czego, nie było widać z bliskiej odległości okien celi-kaplicy z której pozostały mi najmiłsze wspomnienia. Nie było w pobliżu więzienia owych domków, w których kiedyś widziałem palące się świeczki na choince.

Za bramą więzienną stała ciężarówka odkryta, a przy niej mój "znajomy" - śledczy. Kazano mi wskoczyć do niezbyt głębokiej skrzyni tego wozu, a za mną wiałował się strażnik z karabinem, nadzianym jak zwykle bagnetem. Siedziałem na podłodze w samym środku skrzyni. Obok na zewnętrznej burcie zajął miejsce strażnik z wycełowanym ku mnie bagnetem. Działo się to w początkach maja 1941 roku.

Nacisnąłem na głowę niebieską, ładnie prezentującą się czapkę gimnazjalną. Podszedł jeszcze śledczy i zapytał w którym kierunku mamy jechać. To nie żart. Już w śledztwie zapowiadał mi, że będę zmuszony wskazać miejsce gdzie wyrzuciłem gazetki przez nas drukowane i rozpowszechniane. Rozzejrzałem się dyplomatycznie, a nie znając miasta wskazałem na kierunek: Śródmieście. W taką pogodę, mimo niewygodnego wehikułu warto było pojeździć dowoli, nasycić się ciepłem

i wiosennym powietrzem pięknego słonecznego dnia, a potem mieć znowu długą, jak najdłuższą drogę powrotną. Byłbym skończonym głupcem nie wykorzystawszy okazji do dłuższej przejażdżki.

Przedemną otwarty świat otwierał swoje podwoje. Samochód podskakiwał na wyboistym bruku. Wjechaliśmy do miasta. Przechodnie przyglądali się mojej skromnej osobie pod strażą. Gdzieś w mieście samochód zatrzymał się, a śledczy oficer wysiadł z kabiny. Ludzie przystawali na chodniku, przyglądali się małemu blademu gimnazjaliście, wychudzonemu dzieciakowi. Śledczy pytał mnie o dalszą drogę. Odpowiedziałem wielce z siebie zadowolony, że dopiero od stacji kolejowej mogę przypomnieć drogę. Samochód znowu ruszył. Znowu podskakiwałem na pustej skrzyni. Przytrzymałem się rękami podłogi, aby nie przewrócić się podskakując. Zatrzymaliśmy się przed dworcem kolejowym. Znowu mnóstwo gapiów, a wśród nich spojrzenia przyjazne i niespokójne. Znowu rozmowa. Tym razem postawiłem warunek: pojedziemy dalej, jeżeli kupi mi dwie paczki papierosów. Spojrzał groźnie, wygrażając mi uniesioną ręką. Odszedł do kiosku. Sam nie paliłem, ale miałem ochotę zrobić tym przyjemność poznanemu więźniowi, który zajmował się mną jak rodzony ojciec. Widocznie śledczemu nie opłacało się powrót do więzienia, by niesforemnie wytłumaczyć bezzasadność żądania. Kiedy papierosy schowałem do kieszeni, ruszyliśmy we wskazanym kierunku, oddalając się zarówno od dworca, jak i od więzienia. Było dalej. Jechaliśmy prostą drogą ulicami Warszawską, Dojłidy na Zabłudów. Widząc ze skrzyni ostatnie już zabudowania ujechaliśmy jeszcze ok. jednego kilometra. Wtedy zauważyłem daleko od szosy mały domek i skromne zabudowania oraz wąską drogę ku temu gospodarstwu. Na zakręcie widoczna była spora kępa krzewów. "Kazałem" się zatrzymać. Powiedziałem, że w tej kępie pozostawiłem paczkę z gazetami. Śledczy wyszedł z kabiny samochodu. Przeszukał kępę, wertując znalezionym kijem sterty zeschniętych liści i traw z ostatniej zimy. Oczywiście nic nie znalazł. Oddalił się od szosy idąc w kierunku małego domku. Domniemywałem, że będzie wypytywał ludzi, czy przypadkiem nie znaleźli paczki. Istotnie tak było. Wrócił po ok. pół godziny czasu, bo sama droga zabrała mu z 15 minut. Nic mi nie mówił. Prawdopodobnie poznał się na oszustwie. Nie dawał mi w ogóle do zrozumienia, jak sprawę potraktował. Teraz on sam nie śpieszył się w drogę powrotną. Usiadł na skarpie rowu przydrożnego i spokojnie wypalił papierosa. Siedziałem w dalszym ciągu na skrzyni pod czujną opieką bojca. Słońce nie skąpiło wiosennych promieni. Wygrzewałem się, cieszyłem z tej jedynej okazji. Wracaliśmy za chwilę do więzienia.

Droga powrotna zdawała mi się bardzo krótka. Po chwili byłem już za bramą więzienną. Papierosów mnie nie odebrano, być może dlatego, że zarówno śledczy, jak i strażnik, zapomnieli. Witany byłem entuzjastycznie. Poczęstowałem palących, a resztę wraz z drugą paczką papierosów wręczyłem zdumionemu znajomemu.

Nazajutrz rano wezwany zostałem na kolejne przesłuchanie. Oficer śledczy odczytał protokół na okoliczność wczorajszej wizji lokalnej, stwierdzenie że niczego nie znaleziono i kazał protokół podpisać. Zaraz potem odesłał do celi, ale droga była długa, bo w szafce musiałem odczekać aż zgłosi się doprowadzający. Dziękowałem Bogu w samotności, że tak sprawnie i bez konsekwencji, przeżyłem kolejne dni mego młodego życia.

Po upływie tygodnia, kiedy uważałem sprawę moją za zakończoną, ponownie wezwany zostałem na przesłuchanie. W szafce przeczekałem odpowiedni czas. Trafiłem wreszcie do dużego gabinetu. „prowadzający strażnik wycofał się zrezygnownie. Ciemna boazeria z drewna, ogólny wystrój wnętrza sugerował, że jest to gabinet dyrektora więzienia. Zaskoczony byłem wielością funkcjonariuszy wysokich stopni. Kolejno oglądałem ich postacie i twarze, aż w głębokim fotelu ujrzałem najważniejszego. Wskazywały na to epolety, elegancki, może nawet wytworny mundur, lśniące buty, a przede wszystkim wpatrzony w tę postać sylwetki pozostałych. Z późniejszych rozmów między nimi wynioskowałem, że był to generał lejtnant NKGB /Narodnyj Komisariat Gosudarstwiennoj Bezopastnosti/, który był jednym z wysokich funkcjonariuszy Ławrentiewa Berii. NKGB właśnie w 1941 r. został wydzielony z NKWD, jako oddzielne ministerstwo bezpieczeństwa /vide Encyklopedia Polska wyd. 1959/. Kresowiakowi nie trudno było ustalić, że był to także żyd, podobnie jak Beria i inni wysocy funkcjonariusze. MBP potwierdza pod hasłem Beria, że ów komisarz został stracony w 1953 r. za tzw. wynaturzenia, wypaczenia i naruszenie praworządności socjalistycznej. My więźniowie nie znaliśmy "Beriowszczyzny" z nazwy, ale tę praworządność poznaliśmy na sobie, na własnym ciele, w karczerach, na przesłuchaniach, w udrękach duchowych i cierpieniach fizycznych. W encyklopediach później wydanych, np. Encyklopedii Popularnej PWN-1982, Encyklopedii Powszechnej PWN, 4-tomowej- 1983, tego hasła nie ma, czyżby władze PRL wstydziły się za czyny "sojuszników" z okresu 1939-1945, a nawet jeszcze później, bo przyjrzyjmy się do 1958 r, kiedy wrócił ostatni "Cichociemny" z zesłania, szczęśliwie, bo nie wszyscy Polacy z zesłania wrócili. Tak samo nie ma w nowych wydaniach encyklopedycznych hasła Katyń. w poprzedniej MBP napisano, że czyny "Katyńskiego" dokonali Niemcy. Nie potwierdzają tego nowe wydania EP. WSTYD.

Po obu stronach generała siedziało kilkunastu oficerów. Prawdopodobnie zreferowano im naszą sprawę, ponieważ niemal wszyscy zadawali mi pytania. Trzymałem się wersji, którą utrwalilem w pamięci przez 11 miesięcy śledztwa. Również generał zadawał mi pytania. Wszyscy oni próbowali dociec, jak liczna była nasza organizacja konspiracyjna, ile mieliśmy punktów kontaktowych poza miastem Lidą. Na te pytania, sugerujące coś innego, niż podawałem w zeznaniach, udzielałem odpowiedzi negatywne. Być może usiłowali złapać mnie za słowo. Trzymałem się wersji stałej. Groteska trwała około 1 godziny. Pozwolono mi wrócić do celi.

Miałem co opowiadać współtowarzyszom adreki. Mój przyjaciel pociągał dymek z papierosa i orzekł koniec mojego śledztwa. Mnie także zdawał się koniec śledztwa. Tak też było.

W końcu maja ponownie zostałem wezwany, nie czekałem w szafce na łaskawe przesłuchanie. Wprowadzony zostałem do innego niż zwykle pokoju. Czekał na mnie nieznany mi dotąd funkcjonariusz. Jego wygląd zdradzał człowieka inteligentnego, spokojnego usposobienia i takim się okazał w dalszej rozmowie. Był w wieku zaawansowanym. Pamiętał niewątpliwie carską Rosję i tam uzyskał wykształcenie, znamionujące jego postawę. Przywołał mnie do biurka i kazał usiąść naprzeciw siebie. Jakiś czas patrzyliśmy na siebie bez słowa. Powiadomił mnie oficjalnie o zakończeniu śledztwa. Nie ustosunkował się w ogóle do oceny naszego postępowania, do naszej organizacji i "występków."

Wstał pierwszy i mnie wstać kazał. wziął papier do ręki. Popatrzył na mnie jakimś dziwnym wzrokiem i wyrzekł dwa słowa: odczytam wyrok. Zapamiętałem tyle: zaocznym sądem w imieniu władzy sowieckiej oskarżony Jan Stefanowicz Stanisławski skazany został z art. 65, 66 i 132 za agitację, propagandę i działalność kontrrewolucyjną na 5 lat "rabczych łagierow w Archangielsku" bez wzwrasczenia damoj w ticzieniu 20 let". Poczem kazał usiąść i dodał od siebie: "budziesz rybu ławić." Kolejne pytanie: "czto skażesz?". Odpowiedziałem z przekorą - mało. Usłyszałem tylko jedną odpowiedź: "pasiedzisz, podumajesz i skażesz." Był to dziwny proces, bez prawa obrony, bez świadków, bez uczestnictwa oskarżonego, bez procesu sądowego.

Z telegraficznych informacji dowiedziałem się, że starszy Konon otrzymał 15 lat, mój brat Romuald 10 lat, młodszy Konon 10 lat, pozostali także po lat 10. Jedynie ja jako najmłodszy otrzymałem 5 lat. Wszyscy skazani na ciężkie roboty w głębi Rosji, i wszyscy bez prawa powrotu w rodzinne strony na lat 20. Wszyscy skazani zaocznie bez procesu sądowego i własnego uczestnictwa, obrony. Dowiedziałem się,

że wszyscy moi koledzy otrzymali wyroki wcześniej, i że zostali wywiezieni z więzienia na początku maja 1941 roku. Informowano mnie, że transporty więźniów z kresów kierowane są na punkt zborny w Brześciu n/Bugiem, skąd sformowane transporty kierowane są do odpowiednich łagrów w Rosji.

Za parę dni po odczytaniu wyroku, z grupą więźniów, z moim znajomym z ostatniej celi technikiem z Wilna, załadowano nas do wagonów więźniarek i wywieziono istotnie do Brześcia. Tam oczekiwaliśmy na transport, który periodicznie co miesiąc wysyłany był do Rosji.

W dniu 20 maja samochody ciężarowe ze stacji kolejowej w Brześciu zajechały na dziedziniec więzienny pilnie strzeżony z tzw. bocianich gniazd, wieżyczek usytuowanych w narożnikach murów więziennych. Budynek więzienia opodal rzeki Muchawiec miał cztery kondygnacje, nie licząc piwnic. Był nowym gmachem z czerwonej cegły zbudowanym tuż przed wybuchem wojny, na początku 1939 roku. Wyczytywani więźniowie ustawiali się grupami i zaraz byli odprowadzani do pomieszczeń więziennych. Trafiłem do grupy 37 więźniów. Odprowadzono nas do piwnicy. Pomieszczenie było małe, ale w dwóch szeregach miściliśmy się na narach do spania, zbudowanych z desek na podłożu krawędziaków. Budulec był świeży, pachniał tartakiem. Deski były luźno ułożone. W grupie byłem jedynym 16-letnim chłopcem. Jednego przyjaciela już miałem-był to ów technik z Wilna. Dołączył do nas "na wyczucie" cywilporucznik z Lidy, z 77 pułku piechoty. W więzieniu uchodził za cywila. Spaliśmy obok siebie. Nie rewidowano nas, bo i po co? Czynili to dosyć często w białostockim więzieniu...

Nasza cela była nietypowa. Przed wojną przeznaczona była na magazyn wapna, chlorku i kto wie czego jeszcze. Zresztą poza karcerami, wszystkie inne pomieszczenia miały charakter magazynów. W drzwiach nie było "judasza" /wizjera/, nie było klapy do podawania jedzenia, a zabezpieczenie znacznie odbiegało od rygli więziennych. Zamykano nas po prostu na kłódkę. Musiało być ciasno w tym gmachu, skoro wykorzystywano magazyny na cele więzienne.

Małe zakratowane okno usytuowane było na poziomie dziedzińca więziennego. Wzdłuż tegoż podmurowania był wydrążony wąski chodnik, nie wiem w jakim celu? Sądzę, by wiatr nie nawiwał śmieci do magazynów. A od strony dziedzińca chodnik obramowany był murem ceglany, tak że z okienka widać było poziomy skrawek nieba. Byliśmy po wyroku, więc nie indagowano nas i całe dni spędzaliśmy w celi na rozmowach, grze w karty /moje/ i szachy /moje/, które z innymi drobiazgami wędrowały wraz ze mną w woreczku. Towarzystwo okazało się bardzo sympatyczne, koleżeńskie, świadome wspólnego zesłania.

Upływał dzień za dniem, podobne do siebie jak dwie krople wody. Nic ciekawego nie działo się, a czas upływał nam na rozmowach, wspomnieniach. Nikt nie podejmował tematu przyszłości. Nikt nie dyskutował na temat jedzenia i warunków. Byliśmy ociążali, przygnębieni, a każdy chętnie by oddalił dzień zsyłki, gdyby to od niego zależało. Lato 1941 r. było upalne. Czuliśmy to nawet w piwnicznej celi.

Był chyba 19 dzień czerwca. Do celi wszedł lekarz i pielęgniarka. Badał powierzchownie każdego więźnia, czy nie był nosicielem choroby zakaźnej. Badanie polegało na obejrzeniu języka i jamy ustnej, oczu, skóry. Uznaliśmy to za zapowiedź wyjazdu.

Tego dnia wieczorem nie zapalono światła w naszej celi. Nie widzieliśmy blasku latarni na dziedzińcu. Zapanowała ciemność i cisza. Głucha cisza. Nie dochodziły żadne odgłosy z fabryki papieru, sąsiadującej z więzieniem za murem.

Zdziwienie nasze było jeszcze większe, kiedy rano nie podano nam śniadania, ani kapiatku, kiedy nikt z obsługi więziennej nie pojawił się w celi. Nawet nie dochodziły odgłosy wartowników. Nie mogliśmy wypróżnić paraszy, a na nasze stukanie do drzwi nikt z zewnątrz nie odpowiadał. Czyżby zamierzali wywieźć nas o głódzie i brudzie? Około południa wyprowadzono nas jednak do latryny, a potem rozniesiono do cel zupę na obiad. wieczorem tego dnia wyprowadzono nas ponownie, a "posiłek" ograniczył się do kubka kapiatku.

W dniu 21 czerwca nie żywiono nas, nie wyprowadzano do latryny, mimo upominania się. Cisza zaległa dokoła. Ten i ów miał w zapasie nieco chleba, więc solidarnie dzielili się ze wszystkimi. Znowu nie zapalały się światła, znowu była przeraźliwa cisza i pustka.

W nocy z 21 na 22 czerwca 1941 r. obudziła nas kanonada. Jedni mówili, że to napewno pierwsza burza z piorunami, inni w to wątpili bardzo, ale nie potrafili określić źródła tych odgłosów. Wreszcie tak było głośno, że wzajemnie nie słyszeliśmy się, a tuż obok więzienia z wyciem spadały...z doświadczenia rozpoznawaliśmy bomby lotnicze...jak w 1939 r. Nagle jeden z nas na skrawku nieba widocznym przez szczelinę między oknem a murem dojrzał samoloty. Niebo okryte zostało błękitnymi dymami, a powietrze stało się szare i ciężkie przy murku. Z wyższych pięter dochodziły nas głosy, że Brześć ostrzeliwany jest przez artylerię i bombardowany przez lotnictwo. Co to mogło oznaczać? Ćwiczenia, czy wojna? Jeśli wojna, to z kim? Nikt z nas nie miał dostępu do gazet, do radia, żadnych kontaktów z ludnością wolną. Ożywieni mimo wszystko, jakąś nieokreśloną radością, czekaliśmy kolejnych wydarzeń.

Jedna z bomb spadła tuż za murem więziennym na fabrykę papieru. Żar bchał wysoko i z wiatrem ogarnął budynek więzienny. Wtedy wiedzieliśmy, że to napewno wojna. Zamknięci ludzie wpadli w popłoch. Nagle ogromny hałas w gmachu więziennym zagłuszył wybuchy. To więźniowie rozwalali cele, poszukując materiałów do wywalania zamkniętych drzwi. Nasi także rozwalili nary, wydobyli krawędziaki, a przy ich pomocy drzwi naszego "magazynu" z miejsca otworzyły się. Za drzwiami była wolność, lecz nikt nie ryzykował wyjścia, ponieważ w piwnicach panowała absolutna ciemność. Nikt nie odważył się wychodzić, obawiając się zasadzki strażników. Ktoś wysunął poza drzwi deskę z nałożoną na końcu czapką dla sprawdzenia, czy nie zostaniemy ostrzelani. W tym czasie część więźniów z wyższych kondygnacji uwolniła się, a jeden z nich chodził wzdłuż suteryn wołając.: wychodźcie, jesteście bezpieczni i wolni, strażnicy więzienni uciekli. Nie trzeba było tego zawołania powtarzać. Rzuciliśmy się do ucieczki. Bramy więzienia rozbijali ludzie zamieszkali w pobliżu, zaopatrzeni w łomy, młoty i różne narzędzia. Trzytysięczny tłum wyoładowanych i zaizolowanych ludzi kłębił się po dziedzińcu. W wydzielonym budynku, gdzie były przechowywane akta procesowe wszystkich tu obecnych, plądrowano chcąc zdobyć własne. Nie sposób było w tym tłoku cokolwiek zrobić. Wszyscy wołali, wyrzucać akta na podwórze i palić. Tak też zrobiono. Ogromny stos akt, oblanych benzyną zamienił się w wielką pochodnię.

Pilnowaliśmy się we trójkę: technik z Wilna, porucznik z Lidy i ja. Poruszaliśmy się w kierunku bramy więziennej. Tłok był niesamowity. Każdy chciał wydostać się na wolność, która była tuż za bramą. Wychodząc, spostrzeegliśmy zwisające resztki strażnika z bocianiego gniazda, któremu duży odłamek bomby lotniczej ściął głowę razem z ramieniem. Inny leżał na dziedzińcu w kałuży krwi, także z obciętym ramieniem. Zamiast uciekać spełniali do końca swoje nieludzkie obowiązki. Do ostatniej chwili usiłowali zabezpieczyć więzienie.

Miasto było nadal bombardowane i ostrzeliwane pociskami artyleryjskimi. Za bramą więzienia, od strony rzeki Suchawiec, z dala obserwowaliśmy w ataku czołgi niemieckie z tyralierą wojska. Nie widzieliśmy nigdzie oporu ze strony Sowietów.

Była godzina 4 rano. Upojeni wolnością, lecz bardzo głodni, nie mając nic w ustach od dwóch dni, szliśmy we trójkę jak najdalej od budynku więzienia, rozglądając się za sklepami z żywnością. Tak weszliśmy do Śródmieścia. Na ulicach pełno było szkła, dymu, gruzów. Poza więźniami rzadko spotkaliśmy innych ludzi. Do pierwszej spotkanej kawiarni /"kofiejna"/ weszliśmy wybitym oknem. Spostrzeegliśmy tylko ciastka na półkach. Każdy z nas zjadł ich kilkanaście, wtedy rozsą-

dek nakazywał rozagę i wstrzeźliwość. Z zaplecza technik wyciągnąłem półmisek z jakąś wielką rybą w galarecie. Zjedliśmy szybko po kawałku, resztę mieliśmy zabrać ze sobą. Wtedy okazało się, że w pośpiechu zapomniałem swojego worczka. Straciłem szachy, karty, bransoletki i różaniec z oczu rybich. Poszukałem w kawiarni innego worca. Znalazłem. Pierwsze uczucie głodu zaspokoiliśmy. Popatrzyliśmy na kasę, dużą bryłę masła, ale nas nie interesowały. Wyszliśmy.

Ulicami szły odziesiąty wojska niemieckiego w rozproszeniu. Ubrani w polowe panterki i uzbrojeni rozglądali się za nieprzyjacielem. Nas nie indagowali. Spragnieni częstowali się od nas oranżadą. Kazali wypić łyk, po czym sami pragnienie. Wędrowaliśmy ulicami nieznanego miasta. Sklepy z odzieżą, obuwiem stały otworem. Mogłem przecież wymienić swoje ciężkie narciarki i zniszczone ubranie PW. Ale nie to było nam w głowie. Szukaliśmy chleba, mydła, ręcznika. W końcu zdobyliśmy. Teraz już spokojnie szukaliśmy schronienia na najbliższą noc. W tej gorączce wolności zapomniałem zabrać płaszcz gimnazjalny, czapkę gimnazjalną zamiast zimowej z nausznikami. Miałem tylko swój cienki kocyk wełniany.

Na przedmieściu zatrzymał nas gwar dochodzący z piwnicy budynku. Ludzie tłoczyli się wynosząc jakieś skrzynie. Nikt chyba nie wiedział co w tych skrzyniach znajduje się. Jakiś chłop zajechał wozem. Prosił moich dorosłych kolegów o pomoc, za udział w podziale towaru. Ja pilnowałem konia, a oni znikli w piwnicy. Po chwili dwaj nasi niosą skrzynię, ale nie na wóz, tylko za róg do ulicy poprzecznej. Przecież nie mieliśmy zamiaru grabić, lecz zabezpieczyć wyżywienie na najbliższe dni. Wskoczyliśmy do bramy. Jakaś kobiecina, nieco wystraszona przyniosła obcęgi, przy pomocy których otwarta została skrzynia. Było w niej 25 butelek szampana. Zabraliśmy z sobą po dwie butelki, ja tylko jedną, resztę oddaliśmy kobiecie. Moi panowie zdobyli jeszcze po parę pudełek różnych papierosów, ja także, bo za papierosy można było zawsze coś kupić. Miałem też kilka kawałków mydła.

Niebawem znaleźliśmy się na przedmieściu. Przy wąskich uliczkach, niebrukowanych, stały szeregiem domki jednorodzinne. Nie mieliśmy dokumentów i dopiero tutaj uświadomiliśmy ten fakt, nic dobrego nie wróżący na przyszłość. Nie chcąc narażać ludzi na ewentualne nieprzyjemności za kwatrowanie obcych ludzi, szukaliśmy noclegu. Było południe. Pod płotem na zielonej murawie rozłożyliśmy się, wypiliśmy dla kurażu parę łyków szampana i usnęliśmy twardym snem. Pod wieczór rozglądaliśmy się za jakimś budynkiem państwowym do spania. Ale w pobliżu takiego nie było. Był natomiast ewangelicki dom modlitwy.

Rozmowa z pastorem nie dała rezultata. Nagabywany dłużej zgodził

się nas przenocować, prosząc o uszanowanie świętego miejsca, nie palenie papierosów. Teraz zatroszczyliśmy się o słomę, bo przecież nie mieliśmy piaseczki, ani koców. Energiczny porucznik, zalotnie rozmawiając z najbliższą sąsiadką, młodą dziewczyną, ustalił miejsce gdzie mogliśmy zabiegać o parę snopków słomy do spania. Przyniósł trzy. Toaletę wieczorną zrobiliśmy u sąsiadki pod pompą, myjąc się do pasa w prawdziwie czystej i zimnej wodzie. Mieliśmy szczoteczki i pastę do zębów, toaletowe mydła, ręczniki, ba-nawet wodę kolońską używaną przez zapobiegliwego porucznika wódka. Sąsiad przyglądał się naszej toalecie i dużej kałuży, jako że nie odmawialiśmy sobie tej przyjemności. Byliśmy przecież niedomocy, spoceni przeżyciami i gorącym letnim dniem pełnym wrażeń. Rozłożyliśmy potem słomę w kącie domu modlitwy, przygotowując za dnia miejsce do spania.

Potem była na murawie kolacja. Pierwsza na wolności, jak w rodzinie. Młoda sąsiadka ugościła nas gorącą herbatą, jędrnym chleb i jakąś wędlinę z trudem zdobytą przez wódka. Sąsiadów częstowaliśmy szampańem. W ogóle wieczór i kolacja były "szampańskie." Co raz, piliśmy za szczęśliwą wolność, za wyzwolenie, za to żeśmy uszli kartorze sybirskiej i archangielskiej. Tego wieczoru było tyle toastów z naszej strony i sąsiadów, że pozbyliśmy się całego zapasu. W drodze byłoby dla nas ciężarem. Spaliśmy twardym snem odprężeni fizycznie i duchowo.

Nawykli warunkami więziennymi do wczesnego wstawania zbudziła nas godzina 6 rano. Wypoczęci uprzątnęliśmy starannie swoje miejsce i legowisko, słomę odnieśliśmy właścicielowi, klucze pastorowi dziękując za udzielenie schronienia, a z toaletą przenieśliśmy się jak wczoraj do naszej młodej sąsiadki.

Na murawie spożyliśmy śniadanie, przedtem jeszcze zmówiwszy modlitwę, spakowaliśmy skromny dobytek i wyruszyliśmy w drogę do domu.

Łatwo powiedzieć do domu, ale by go osiągnąć trzeba przebyć co najmniej 300 km. Droga niełatwa, zwłaszcza przy postępującym froncie. Brak dowodów tożsamości, nawet jakiegokolwiek papierka, to już niebezpieczeństwo połączone z wielkim ryzykiem. Któż z nas wtedy zdawał sprawę ze swego położenia, kiedy wolność upajała i podniecała.

Kiewątpliwą przeszkodą, wielkim utrudnieniem był nasz stan fizyczny. Przebywanie rok czasu w przepełnionych celach, gdzie się przebywa dzień i noc, spełnia wszystkie funkcje życiowe, a złe powietrze utrudnia oddychanie i trawienie, nie sprzyjało dalekiej podróży.

Świeży oddech człowieka uwolnionego z kaźni nie da się wyrazić słowami, wolność jest tak wielkim przeżyciem, że trudno ją wypowiedzieć. By zrozumieć-trzeba to przeżyć.

"Po twej tu władzy, Moskwo-
i po twojej sile....
Ostatni biegnie żołdat-
cisza długą chwilę...
Już ich nie ma-
Historii odwraca się karta.
/Z. Rańska/

POWRÓT DO DOMU

Na krańcu miasta Brześcia zarysowała się linia kolejowa, w kierunku zachodnim na Białą Podlaskę, a w przeciwnym na Baranowicze. Tak czy inaczej były do Lidy drogami okrężnymi. Nie zastanawialiśmy się jeszcze, jaką drogę obierzemy, ponieważ jeszcze nie wyszliśmy z obrębu miasta. Szliśmy dość rażno ulicą, wzdłuż wysokiego drewnianego płota, za którym były baraki drewniane i inne zabudowania wskazujące na magazyny fabryczne. Nagle z bramy do zabudowań wyszedł żołnierz niemiecki w hełmie i pod bronią. Po komendzie: halt, ręką odepchnął moich dorosłych kolegów na stronę, a ku mnie rzucił zdawkowo: Wieviel Jahre hast du? Ich bin sechzehn Jahre alt. Odpowiedziałem, że mam 16 lat. Krzyknął: raus /przez/. Po takiej komendzie już mnie nie było. Kiedy uszedłem ok. 200 metrów, usiadłem na skarpie rowu przydrożnego. Staraniem się zebrać myśli i wnioskować co dalej mam czynić. Rozglądałem się wokół, jak gdyby oczekując odpowiedzi co dalej? Wzdłuż linii kolejowej widziałem patrole niemieckie, więc mimo mojego "ruskiego" alibi, wprawdzie bez dokumentów, zdecydowałem się iść przed siebie. Stracić z oczu wojsko, to było jedyne postanowienie. Żadnych przede mną drogowskazów, żadnych ludzi w zasięgu wzroku. Droga pusta, jak gdyby donikąd wiodła. Znowu usiadłem w rowie, dalej już od torów, i wydawało mi się bezpieczniej. Odsiedziałem dalsze 20 minut, a zdawały mi się wiecznością. W końcu nie doczekawszy swoich wyruszyłem drogą na północ, nie wiedząc dokąd mnie prowadzi. Wprost w nieznaną byle dalej i przędzej. Mimo wczesnego ranka żar lał się z nieba. Moje buty narciarki zdawały mi się coraz cięższe, a moja prawa noga /właściwie stopa/ odmawiała mi posłuszeństwa.

Kiedy po upływie miesiąca spotkałem porucznika Włodka w Lidzie, okazało się, że po ok. 45 minutach oni zostali zwolnieni, zaś potem napotkawszy na torach bezpańską drezynę o "napędzie ręcznym" dotarli tego samego dnia do Białej Podlaskiej. Po upływie kilkunastu dni zameldowali się szczęśliwie w swoich domach. Technik odpocząwszy w gościnnym domu Włodka, także szczęśliwie dotarł wkrótce do Wilna.

Ja zostałem zdany na własne siły, ze skromną wiedzą o świecie, bez dokumentów tożsamości. Byłem przerażony niebezpieczeństwem ponownego aresztowania i oddalałem się szybko od miasta. Mając za sobą roczne przeżycia, bardzo trudne jak na mój wiek, uciekałem przed następnymi.

Z obu stron szutowki, albo jak kto chce żwirówki, ciągnęły się jak okiem sięgnąć bagniste łąki, mnóstwo komarów, które na szczęście trzymały się bagien. Dno rozlewisk było rdzawe, jak stare żelazo. Słońce doskwierało, na drodze nikogo, pragnienie mi dokuczało. Nie miałem ze sobą żadnego napoju, ba ,nawet naczynia. Nie wiem ile kilometrów już przeszedłem. Naraz za zakrętem zamajaczyła przede mną wieś. Najpierw myślałem, że to przywidzenie z gorąca, a lato tego pamiętnego w życiu moim-roku 1941, było upalne. Kiedy dotarłem do pierwszego zabudowania rozglądałem się po dziedzińcach gospodarskich za studnią.

Dotarłem do takiej, zresztą niejednej w tej wsi. Przy żadnej studni nie było wiadra, ani innego naczynia, do którego można by było żurawiem nabrać odrobinę wody dla ugaszenia pragnienia. Spotkałem wreszcie człowieka. Pytałem, dokąd owa droga prowadzi, którą kroczę. Odpowiedź brzmiała : nie znaju panoczku. Również nie otrzymałem naczynia do nabrania wody ze studni. Ano trudno, ludzie nie mieli zaufania do obcego. Po prostu bali się obcych.

Minąłem wieś. Nadal po obu stronach drogi były tylko bagniste łąki. Ze wstrętem i obawą o zdrowie, umyłem twarz w tej wodzie, zwilżyłem ręce i włosy. Pragnienie było tak dokuczliwe, że wreszcie nabrawszy oburącz niecóż tej chłodnej wody, umoczyłem zrazu usta, a potem łyknąłem parę razy.

Dokuczała mi stopa, dokuczało zmęczenie, z trudem znosiłem udręki samotnego marszu. Musiałem coraz częściej siadywać na poboczu drogi, gdzie od drzewa lub krzewu mogłem schronić się w cieniu. Przed wieczorem na horyzoncie ukazała się większa wieś. Rażno ruszyłem naprzód chociaż z mieszanymi uczuciami.

Gospodarz pierwszego zabudowania, wskazującego na zamożność właściciela, odmówił noclegu, po stwierdzeniu że nie posiadam żadnych dokumentów. Istotnie wyglądałem podejrzanie. Miałem na sobie drelichowy mundurek PW, byłem ostrzyżony i blady, mimo skromnego rumieńca na skutek przebywania w słońcu podczas pierwszego etapu tułaczki. Po długich targach, za kawałek mydła toaletowego, wpuścił mnie do stodoły, a nawet poczęstował kubkiem mleka i pajdą chleba. Stodoła o tej porze roku była pusta. Ułożyłem się w sásieku na wiązce zgarniętej siomy i usnąłem snem sprawiedliwego. Dowiedziałem się przedtem jeszcze od gospodarza, że wieś nazywa się Widomla, odległa od Brześcia o 30 km. Musiałem długo iść, wydedykowałem sobie, obiecując na jutro poprawę. Dowiedziałem się także, a był to świątły gospodarz, że w prawo za wsią droga wiedzie do Słonimia przez Prużany ok. 150 km, natomiast idąc prosto przez Kamieniec Litewski droga prowadzi do Hajnówki-ok. 60 km. Do Prużan też było niecałe 60, ale bałem się iść na wschód, tuż z frontem.

Decyzję o kierunku dalszej drogi pozostawiłem do jutra. Zrazu zasnąłem snem twardym.

Wczesnym rankiem obudził mnie hałas na dziedzińcu, usłyszałem głośne rozmowy w języku niemieckim. Rozejrzałem się po pustej stodole. Nie było z niej innego wyjścia, bo przeciwległe wrota były zamknięte od strony zewnętrznej. Skuliłem się na swoim barłogu, udawałem że jeszcze śpię, a różne myśli plątały się po głowie. Po chwili otworzyły się wrota od strony dziedzińca i słyszałem twardy krok podkutych butów żołnierskich. Rozglądał się, oceniając możliwości rozkwaterowania wojska. Zauważył mnie. Potrzącił kolbą. Nie dawałem jeszcze znaku życia. Do nadchodzących żołnierzy rzekł: kaput ? Wtedy udałem, że się budzę. Wywleczono mnie z przekleństwami na dziedziniec, a popychając wprost kierowano mnie ku zaprzęgowi jakiegoś ciężkiego wozu. Następne popchnięcie i znalazłem się pod kopytami końskimi. Konie jednak stały spokojnie, na szczęście moje. Wywlokłem się tedy spod koni, odważnie stając przed oficerem. Zapytał wreszcie: wer da ?, Papier ? Ich habe keine Papier- odpowiedziałem. Ich gehe von Brest nach Hause, zu meine Eltern, nach Stadt Lida. Ich bin Pole. Ich wahre gefängnis im Russe. Nie wiem ile w tej wypowiedzi było poprawnej niemczyzny. Wszakże mnie zrozumiano i poddano rewizji. Podczas rewidowania znaleziono na szyi medalik, a w kieszeni książeczkę do nabożeństwa. Nie trudno było Niemcom ustalić alfabet łaciński, co potwierdzało moje tłumaczenie. Zastanawiali się jeszcze przez chwilę. Obejrzeli moje ścięte włosy i bladą twarz. Spyтали, jak długo siedziałem u ruskich. Przy okazji odpowiedzi, usatysfakcjonowałem Niemców, że zawdzięczam im własną wolność. To ich wreszcie usatysfakcjonowało, a oficer zadowolony rzekł: Rauc, nach Hause.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Zabrałem swój cienki kocyk, woreczek z resztkami chleba i innymi drobiazgami toaletowymi, a skinięciem głowy podziękowawszy gospodarzowi, wyruszyłem w dalszą drogę prosto na Kamieniec Litewski. Szczęśliwy byłem z takiego zakończenia również dlatego, że Bogu ducha winien gospodarz, mógł odpowiedzieć śmiercią za przetrzymywanie żołnierza ruskiego, za jakiego mnie posądzono. Istotnie ten wyblakły mundur PW / wprawdzie nie rubacha ruska / ostrzyżona czupryna sugerowała ruskiego marudera, dywersanta i Bóg sam wie, jakiego jeszcze przestępcy.

Oddalałem się szybko. Minąwszy wieś poszedłem prosto, nie zbacząc na Prużany. Byłem jeszcze bardziej przekonany o swoich wczorajszych medytacjach na temat: którą obrać drogę?. Po przejściu około pięciu kilometrów drogi poczułem wreszcie głód. Wyjąwszy z woreczka ostatni kawałek chleba, idąc powoli go żułem, by jak najdłużej kon-

sumować. Siadałem na poboczu coraz częściej, ponieważ prawa stopa dokuczała mi boleśnie. Przewijałem na niej bandaż, który usztywniał nogę w kostce i zdawało mi się, że przynosi mi to chwilową ulgę. Owe 10 wiorst, jak przewidywał gospodarz, istotnie odliczyłem. Przed sobą zobaczyłem zabudowania. Dochodząc do zakrętu, gdzie krzyżowały się drogi na Białowieżę i Prużany, zaskoczył mnie duży ruch wojska. Skręciłem w kierunku miasteczka. Obok mnie wlokły się tabory konne, oddziały piesze oraz kolumny różnego rodzaju pojazdów wojskowych. Nie byłem przez nich nagabywany. Na ostrym zakręcie w miasteczko, stał biało pobielony mały domek, a przed nim ławeczka. Na niej siedziała zgarbiona, biednie ubrana staruszka, a obok niej dwoje malutkich dzieci gapiło się na przejeżdżające wojsko. Usiadłem na czwartego. Dzieci usunęły się, bym mógł usiąść wygodniej. Teraz wzrok tych trojga skierowany został na moją osobę. Licytowałem się w myślach ze sobą, czy zagadnąć, a jeżeli tak, to w jakim języku, by nie pogorszyć swojej sytuacji. Zwyciężyła, jak zwykle, kobieca ciekawość. A dokądże kawaler idzie? Pewno nietutejszy? Odpowiedziałem szczerze, zgodnie z obiektywną prawdą. Ujawniłem także fakt nieposiadania dowodu tożsamości. Z kolei na moje pytania o kierunek dalszej drogi, nie wiele mogła powiedzieć. Dziewczynka w tym czasie wyniosła z białego domku spory kubek z mlekiem zsiadłym i poczęstowała mnie z sympatycznym uśmiechem, jaki może być przywilejem wyłącznie małego dziecka. Wypiłem podziękowawszy najlepiej jak umiałem, odwzajemniając uśmiechem. Pierwszy krok, dokonany po dłuższym wycieczku, był tak niezdarny, że staruszka kazała mi czekać na ławce, a sama oddaliła się, znikając między szpalerem starych lip przy wąskiej drodze polnej, równoległej do której wiał się bystry strumień. Odczekałem około pół godziny, wypatrując staruszki, a jednocześnie przyglądając się kolumnom zdążającym na wschód. Za chwilę pokazała się staruszka w towarzystwie mężczyzny w wieku około pięćdziesiątki. Powtórzyłem swoją historię podróży, wyrażając żal, że poza książeczką i medalikiem nie mam żadnych innych dowodów polskości, a w ogóle nic co świadczyłoby o tożsamości. Człowiek przyjrzał mi się uważnie, zapytał o bagaż i sprowadził mnie ową dróżką do swego domku nad rzeczką. Była to rzeka Leśna, płynąca ku rzece Bug. Tyle się dowiedziałem w drodze do gościnnego domku.

Domek był nieduży, niewielkie musiało być ich gospodarstwo. Gospodarz obserwował swoją krowinę przez otwarte okno, ja usadowiłem się na ławie pod ścianą. Rozprawialiśmy o tym i owym. Staralem się odpowiadać wyczerpująco na zadawane mi pytania. Rozmowa, z początku dość banalna, wciągnęła wszystkich domowników. Byli nimi: żona gospodarza i córka, zdawała się moją rówieśnicą. Na stole obserwowałem resztki obiadu. Wszak nie uszło to uwadze gospodyni, bo zaraz zakrzętnęła się i przyniosła z kuchenki talerz pożywnej zupy. Nie odmawiałem.

Do zaroku pozostało jeszcze kilka godzin. Zadawano mi wiele pytań, interesując się moim życiem do wojny, okupacją sowiecką i pobytem w więzieniach. Odpowiadałem cierpliwie. Podejmowanie wielu problemów ze znajomością rzeczy zrobiło na gospodarzach dobre wrażenie, a to że jestem katolikiem przełamalo wszelkie obiekcje. Zostałem chętnie przyjęty na nocleg, chociaż z pewnym ryzykiem, jakiego podjęli się gospodarze.

Po wygodnie przespanej nocy, siły wróciły, a świadom bezpiecznego schronienia poczułem się w przychylniej atmosferze jak członek rodziny. Mówiono mi nazajutrz, że muszę wydobrzeć, dać wypoczynek nodze, leczyć ją kompresami i zregenerować siły do dalszej podróży. Próbowano mi wyperswadować, że na bezpieczną podróż trzeba poczekać, aż przydzie nawara wojska i ustanowione zostaną władze cywilne miasteczka. Rozmowanie gospodarzy było logiczne. Tymczasem zająłem się różnymi pracami gospodarstwa domowego: rąbałem drewno na opał, z gospodarzem przywoziłem świeżą trawę dla krowy, zamiatałem miotłą brzoźową podwórze, słowem starałem się być pomocny i skromną pracą zasłużyć na wyżywienie, którego mi nie skąpiono. Czwartego dnia pobytu poczułem się gotowym do dalszej wędrówki. Gospodarze absolutnie nie chcieli o tym słyszeć. Przestrzegali, jak rodzice własne dziecko, iż wędrować pod linią frontu, kiedy na zapleczu wałęsa się wielu maruderów wojska rosyjskiego, kiedy nedomiar nie posiada się żadnego dowodu tożsamości, jest wielkim ryzykiem, wręcz samobójstwem. Rozmowanie było nie do olenia. Pragnienie powrotu do domu, niestety jeszcze silniejsze. Nie wiedziałem jeszcze co we mnie zwycięży. Miło i dobrze mi było wśród nowo poznanych przyjaciół. Towarzystwo sympatycznej dziewczyny także zachęcające. Kiedy zaś uparcie ponawiałem swoje zamiary o dalszej podróży, gospodarz nakazał żonie schować moją zimową czapkę, by w ten sposób odwieść mnie od karkołomnych mrzonek.

Niestety więź rodzinna była silniejsza ponad wszystkie wygody. Wyszedłem 29 czerwca rano pod nieobecność dorosłych gospodarzy, a pożegnawszy córkę z prośbą o przekazanie gorących pozdrowień, wyruszyłem z Kamieńca Litewskiego ku północy na Białowieżę. Mimo upalnej pogody pozostawiałem za sobą kilometry drogi. Nawet moja stopa wydobrzała i nie sprawiała mi kłopotów. Im bardziej oddalałem się, tym częściej odpoczywałem. Po około 6 - 7 godzinach minąłem wieś Dmitrowicze, gdzie udało mi się bez większych trudności otrzymać duży kubek mleka zsiadłego oraz pajdę chleba. Pożywiwszy się, udałem się dalej w drogę, aby po przejściu dalszych 10 km osiągnąć wieś Kamienniki / o ile pamięć mnie nie zawiodła /. Wchodziłem w gęsty las. Teraz wiem, że dotarłem wówczas na skraj Puszczy Szereszewskiej, która od strony wschodu łączy się z Puszcza Białowieżą. Zmiana krajobrazu przyniosła mi

dużą ulgę. Droga zmieniła się nagle w dość szeroki trakt. Obok niej wila się utwardzona ścieżka. Szło się jak po deptaku, wymijając pnie potężnych drzew. Polany były rozjaśnione słońcem, ale w cieniu panował przyjemny chłód. Zwolniłem tempo, podziwiając urodę puszczy. Zewsząd dolatywały głosy przeróżnych ptasząt, koncert trwał nie zakłócony cichym stąpaniem przechodnia. Przy drodze spotykałem krzewy malin leśnych i jeżyny, krzewinki poziomek i czarnych jagód. Nie dziwo, że szedłem wolniej rozglądając się za owocami, zbierałem w garść, aby potem sycić się tą owocową mieszanką.

Wnet znalazłem się w rozwidleniu dróg. Nie mając mapy, ani nie oglądając jej przed podróżą, wybrałem tę, która zdawało mi się, była jakby główniejsza i na moje rozeznanie wiodła na północny wschód. Strony świata ustalałem według słońca, z poprawką na porę dnia, ale sprawdzałem ustalenia na pniach drzew, które jak każdemu wiadomo są obrośnięte zielonym mchem od północy. Ale moja droga, przeze mnie wybrana, po kilku przebytych kilometrach, licząc na czas tę odległość, zaczęła skręcać bardziej ku wschodowi. Zatrzymałem się, zbierając jagody pełnymi garściami, a w międzyczasie zastanawiałem się co czynić? Czy iść dalej, czy wracać do rozwidlenia? Dylemat trudny do rozwiązania. Każda droga dokądś prowadzi, więc zaryzykowałem iść dalej. Przez te jagody rachuba czasu poplątała się, nie wiedziałem już jak prędko idę, ile mogłem przejść kilometrów. Zawierzyłem Bogu, że dotąd czułem na sobie Jego opiekę, więc i tym razem wiara moja uspokoiła mnie zupełnie.

Byłem już zmęczony podróżą. w puszczy było ciepło, lecz zaczęły dokuczać komary, jako że miało się już ku wieczorowi. Las ucichł, zamilkły prawie wszystkie ptaki. Znalazłem opodal drogi kawałek suchego mchu wokół wielkiego drzewa i postanowiłem przygotować sobie legowisko. Umościłem posłanie, okręciłem się kocem dokoła i na głowę, polecając się Bożej Opiece. Wkrótce zasnąłem twardym snem.

Skoro świt, gdy rozbudzony usłyszałem jazgot ptaków, pomodliłem się i rozejrzałem za pożywieniem. Wyjąłem ostatnią pajdę chleba i przegryzając różnymi jagodami posiliłem się dostatecznie. Ruszyłem rażno zagłębiając się w puszcę. W pewnej chwili usłyszałem dalekie ujadanie psów, co zwiastowało obecność człowieka. Przyśpieszyłem nieco, a droga zostawała poza mną. Ujadanie psów było coraz bliższe.

Niestety napatoczyłem się na Niemców. Osaczali kawał puszczy, a na skrzyżowaniu leśnych dróg było ich bardzo wielu. Nie sposób było ukrywać się, bo psy mogły mnie zwęszyć. Szedłem wprost na Niemców. Sytuacja okazała się bardzo niebezpieczna, ponieważ trafiłem na obławę tutejszych, posądzanych o zabicie kilku Niemców.

Zatrzymany bez dokumentów, w ubraniu bardzo podobnym do ru-

skich mandurów, zrobiłem na nich nie najlepsze wrażenie. Słońce stało w zenicie. Zawleczono mnie wraz z "tutejszymi" do wsi Szereszewo. Na piaszczystym wzgórku, opodal wielkiej stodoły, osiemdziesiąt ludzi nie znało swego losu. Z ich oczu wycierał strach i rozpacz. Przyciskłem swoją książeczkę do nabożeństwa ufając, że może i tym razem uchroni mnie. Po pewnym czasie na ostrą komendę z pośpiechem rozbierali się wszyscy do pasa i ustawili się w jednym szyku wężowym, pojedynczo. Ludzie kolejno podchodzili do stolika, popychani i przynaglani przez żandarmów, a tych widziałem po raz pierwszy, bo dotąd miałem szczęście znać tylko żołnierzy Wehrmachtu. Ludzie legitymowali się i odpowiadali na zadawane pytania. Nie wiedziałem w jakim języku rozmawiają. Przesłuchiwanie było krótkie. Ktokolwiek nie potrafił się wysłowić-tak mi się zdawało- i uzasadnić swojej obecności na nieszczęsnym terenie obławy, lub nie mógł potwierdzić swojej tożsamości wpadał w ręce żandarmów, którzy odprowadzali ich za stodołę.

Ustawiłem się w końcowej części kolejki, jako prawie ostatni. Nie okazywałem zniecierpliwienia, strachu, starając się zachować zupełny spokój i rzeczowo przedstawić swoją sytuację. Po udzieleniu wyjaśnienia w języku niemieckim zostałem zrewidowany. Odnalezioną książeczkę do nabożeństwa żołnierz podał oficerowi, który jak inni poprzednio, znalazł w niej potwierdzenie moich wyjaśnień. Nigdy sam nie starałem się legitymować książeczką, ani medalikiem zawieszonym na szyi, rozumując, że korzystniej będzie gdy żandarm sam dojdzie do właściwego wniosku. Tak się stało. Zwrócono mi medalik, książeczkę i kazano niezwłocznie oddalić się, wskazując kierunek na Białowieżę, z którego przyszedłem do Szereszewa. Przede mną zwolniono trzy kobiety: starszą zgrzybiałą, kalekę, dziewczynę z wyraźnymi objawami choroby umysłowej.

Uwolniony cudem z opresji szybko oddalałem się, jednak nie sprawiałem pozorów ucieczki. Odetchnąłem głęboko, kiedy pierwsze drzewa puszczy skryły mnie. Nie zwalniałem kroku, by zwiększyć odległość od tego przeklętego miejsca. Po około 20 minutach doszły mnie salwy karabinu maszynowego. Ciarki przeszły po grzbiecie, a czoło zrosił obfity zimny pot. Wiadomo było, jaki był koniec owej obławy.

Reakcją po ustąpieniu strachu stał się głód. Zwolniłem kroku, by posilić się jagodami. Tuż na polanie odnalazłem ogród warzywny, chyba przy leśniczówce, po której zostały okopane mury i zgliszcza. Mój woreczek napełnił się marchewką, groszkiem, cebulą, jabłkami, gruszkami i wiśniami. Nie odczuwałem wtedy ani głodu, ani pragnienia. Wprawdzie chleba już nie miałem, ale sytość dodała mi otuchy do dalszej drogi. Każno i wygodnie szło mi się leśnym traktem.

Późnym popołudniem spotkałem pieszego, od którego dowiedziałem się, że przeszedłem już 30 km drogi, a do Białowieży pozostało mi nie więcej jak 12 km. Nieznajomy raczył mnie przestrzec, że w okolicy Białowieży mogą trafić na Niemców przeczesujących tę okolicę w celu wyłapania sowieckich żołnierzy. Wielu bowiem maruderów obrało sobie Puszcę Białowieską za najbardziej bezpieczne przejście na wschód. Przestrzegł, abym nie zbaczał z traktu, ponieważ grasują kilkunastoosobowe grupy sowieckie, a żadnej gwarancji nie ma, by przypadkowego świadka ich wędrówki paszczono z życiem.

Po tych przestroгах postanowiłem "rozbić obóz." Spożyłem najpierw owocowo-warzywną kolację, wyościłem mchem odpowiednio bezpieczne miejsce do spania, a owinięty jak zwykle kocem na głowę, zmęczony przebyciem długiej trasy tego dnia, usnąłem twardym snem.

Skoro świt, kiedy rozśpiewały się puszczańskie ptaki, zająłem się poranną toaletą przy napotkanym przypadkowo leśnym bajorku o kryształowo czystej wodzie. Śniadanie postanowiłem spożywać w marszu.

Zwijając legowisko, które poprzedniego dnia przygotowywałem starannie o zmroku, dokonałem makabrycznego odkrycia. Po przeciwnej stronie ogromnie grubego pnia dębu, zauważyłem czyjeś wystające nogi, a także skrawek szynela. Leżał tam bez życia żołnierz sowiecki, ułożony na boku z podkurczonymi nogami. Twarz jego była trupio blada, a z otwartych ust wystawały nieliczne zęby. Uświadomiłem sobie, w jakim sąsiedztwie nocowałem. Z pośpiechem zarzuciłem swój tobolek i kocyk przez ramię i czym prędzej oddaliłem się. Nogi po wygodnym trakcie leśnym niosły mnie, jak nigdy dotąd. Na szczęście nie spotkałem w pobliżu maruderów ruskich i solo przemierzałem kilometr za kilometrem.

Mój zryw marszowy nie trwał długo. Poczułem zmęczenie zbyt szybkim marszem i owym odkryciem. Zwolniłem i wtedy wsłuchując się w muzykę poranną puszczy, usłyszałem szemrzenie strumienia. Zboczyłem z traktu. Usiadłem na brzegu, a w strumieniu zanurzyłem po kolana swoje zmęczone nogi. Woda zimna a orzeźwiająca przelewała się po goleniach, stopy ulżyły mi, poczułem powrót sił, a spokój powrócił na duszy i ciele. Teraz dopiero spożyłem śniadanie owocowo-warzywne, popijając źródlaną wodę. Zatrzymałem się jeszcze dobrą chwilę, korzystając z leśnych jagód. Pomyślałem sobie, jak by to było dobrze, gdybym miał zapałki, garnuszek i mógł spożywać gorące posiłki. Czas mijał na gdybaniu i marzeniach. Nie potrafię określić, jak długo trwały te bezsensowne kalkulacje. Wreszcie otrząsnąwszy się i wróciwszy do rzeczywistości, wznowiłem marsz, a po kilku kilometrach wyszedłem na prześwit leśny i zorientowałem się, że miało się na południe. Zdecydowałem się nadrobić stracony czas, aby przed wieczorem osiągnąć Białowieżę, zasięgnąć

języka, poszukać przyzwoitego noclegu i przede wszystkim zdobyć chleba na dalszą drogę.

Ruszyłem znów rażno. Zdawało się, że byłem już niedaleko Białowięży. Po godzinie drogi, na moje własne wyczucie odległości, istotnie usłyszałem ujadanie psów, a nieco później usłyszałem głosy ludzkie. Nie rozróżniałem jeszcze języka. Postanowiłem mimo wszystko iść traktem odważnie, nie kryjąc się, bo tylko taka postawa mogła być dla mnie korzystna, niezależnie kogo napotkam.

Dotarłem wkrótce na skraj lasu, a przede mną zieleńły się łąki i złociło zboże. Z obu stron usłyszałem nagle: halt, halt, Hände hoch liegt ab ! Nie czekając chwili upadłem na twarz z podniesionymi w górę rękami. Usłyszałem bieg kilku żołnierzy, a po chwili poczułem uderzenie w tułów z obu stron i nowy rozkaz: aufstehen ! Popychany kolbami karabinów, doprowadzony zostałem do jakiegoś chutoru. Usadowiony wreszcie na ziemi pod ścianą stodoły próbowałem rozszyfrować akcje żandarmów, ale nie rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Uświadomiłem, że nie był to wehrmacht, tym gorzej. Zwrócony twarzą ku belkowanej ścianie, nie widziałem co dzieje się poza mną. Ze słyszenia mogłem domniemywać, że w ręce niemieckie dostało się wiele osób. Spędzono większość do stodoły. Ci, którzy być może nie zmieścili się w stodole, wraz ze mną zamknięci zostali w chlewie-oborze. Pięć osób umieszczono wewnątrz zagrody dla bydła. Mnie przypadło miejsce w sąsiedztwie maciory, która najbliższej nocy oprosiła się. Nie trudno domyślić się, że była to noc bessenna, bowiem od północy gospodarze uwijali się przy "porodzie."

Moje lokum miało wyjątkowy luksus, pomijając bliskie sąsiedztwo maciory i specyficzny odór chlewa. Mogłem, w przeciwieństwie do pozostałych, swobodnie wyciągnąć się na czystej słomie, którą wymoszczony był chlew na okoliczność owego porodu. Późnym wieczorem po krótkiej rozmowie z gospodynią /kto zacz/ uczestwowany zostałem przez nią ogromnym kawałem chleba i litrowym kubkiem ciepłego mleka- prosto od krowy- wprost z udoju. Rano także otrzymałem jeszcze większą porcję chleba i mleko. Mogłem zatem sporo chleba zostawić na zapas.

Sposób dalszego postępowania Niemców i obchodzenia się z zatrzymanymi był nietypowy. Nie legitymowano, nie przeprowadzano żadnych rozmów, żadnego wywiadu. W takiej sytuacji nie ośmieliłem się indagować Niemców. Rankiem, dnia 1 lipca 1941 roku /wtorek/ załadowano wszystkich mężczyzn na dwa ogromne samochody ciężarowe. Stłoczeni, na klęczkach lub na stojąco, byli nadzorowani przez kilku uzbrojonych w automaty żandarmów, siedzących na dachu szoferki. Zostałem przez nich wyróżniony, ze względu na znajomość języka niemieckiego i utykanie,

zajmując miejsce między Niemcami na szoferce. Samochody kluczyły leśnymi drogami. Napotykanie kolumny wojska żandarmi pytali o "Schießkompanie." Spośród zatrzymanych, chyba tylko ja jeden, wiedziałem o tym co nas czeka i dokąd zmierzamy. Ale jak zawsze miałem cichą nadzieję. Trudno określić czas, po którym z cichą ulgą i ową nadzieją, dojrzałem zabudowania jakiegoś miasta. Była to Hajnówka. Na skraju miasteczka samochody zatrzymały się przed ogrodzonym placem. Ze swojego wysokiego miejsca obserwacji dostrzegłem budynek murowany, a na placu długie wiaty wzdłuż wysokiego parkanu z desek. Po chwili samochody wjechały na podwórze fabryczne. Mogła to być cegielnia lub temu podobny zakład ceramiczny. Wszystkich wyładowano. Teraz dopiero rozpoczęło się legitymowanie i ewentualne rozmowy. Zostałem odnotowany przez żandarma. Wszystkich wpakowano do baraku pod zamknięciem. Była tam niesamowita ciasnota. Z rozmów przyciszonych wywnioskowałem, że większość to jeńcy sowieccy. Po lichu przespanej nocy, rano zostałem wezwany do naczelnika /komendanta/ obozu. Tu znowu wylegitymowałem się "dewocjonaliami", po niemiecku wyjaśniłem swoją historię, a przyznam że sporo przypominałem języka w kontaktach z Niemcami, więc coraz lepiej i z lepszym akcentem mogłem się bronić. Zaraz wypuszczono mnie za bramę.

Dzień lipcowy był upalny, jak zresztą całe lato 1941 roku. Nie wiele zastanawiałem się, dopóty nie będę oddalony od przykrego mimo wszystko przybytku. Przeszedłem skrajem miasteczka, ale nikt ze spotkanych sporadycznie ludzi nie zainteresował się moją "osobliwością." Postać moja zdradzała, że nie jestem tutejszy, przyglądano się mi, ale nic poza tym.

Na przeciwległym krańcu miasta droga bita skręcała ostro w lewo, w las, a niemiecki drogowskaz wskazywał kierunek na Bielsk Podlaski. Na północ zaś, nieco w prawo, na Białystok i Narewkę. Szosą bezustannie kroczyły kolumny piechoty i zmotoryzowane Wehrmachtu. Zrazu miałem ochotę wyruszyć na północ. Jednak po zastanowieniu się zdecydowałem chwilowo pozostać i przeczekać nawałnicę wojska. Cofnąłem się za zakręt drogi, zbiegłem po stromej a dość wysokiej skarpie na łączkę ku strumykowi, który okazał się Leśną Prawą, tą samą rzeczką co przepływała przez Kamieniec Litewski, gdzie przebywałem w gościnie u zacnych ludzi. Rozłożyłem koc na łączce, na skraju strumienia zagłębionego znacznie poniżej powierzchni łąki, ułożyłem się wygodnie i wygrzewałem w słońcu. Zdjąłem bandaż z nogi i rozłożyłem na trawie by go wysuszyć i przewietrzyć. W narciarkach było mi gorąco, nogi pociły się, więc co pewien czas musiałem przepierać i suszyć. Za rowem stała niewielka chatka, z której co jakiś czas wyglądała niewiasta.

Przeleżałem na łączce do południa. Niewiasta coraz częściej wyglądała z mieszkania na łąkę, zaintrygowana obecnością nieznanego. Po pewnym czasie odważyła się podejść do strumienia i z za wody zostałem nagabnięty: kto jestem i co robię na ich łączce. Kobieta mówiła po polsku. Po wyjaśnieniach przyniosła z domu dużą miskę pełną grochówki na mięsie. Posiliwszy się czekałem na ponowną "wizytę." Odbierając miskę, którą zdążyłem opłukać w bieżącej wodzie, poinformowała mnie, że w jej chatce nie ma warunków do zakwaterowania jeszcze jednej osoby, ale postara się o bezpieczne schronienie, jak wróci jej mąż do domu. Od niego dowiedziałem się istotnej przyczyny. Ze względu na położenie domu przy lesie często wpadają doń patrole wojskowe w poszukiwaniu zbiegów sowieckich.

Przed wieczorem zostałem przeprowadzony przez duży niezabudowany plac, a właściwie ugór, do jednego z szeregu domów otaczających ten teren. Zostałem tam sporą gromadą sąsiadów z okolicznych domków drewnianych. Opowiedziałem skąd i dokąd idę, poinformowałem o ostatnich przygodach w podróży. Było sporo różnych pytań i wypowiedzi. Podczas obfitej kolacji przesiadzieliśmy do późnych godzin wieczornych. Spożywałem wraz z całą gromadą smaczne wędliny i ciasta. Poczęstowany zostałem czarką samogonu. Nie wypadało odmówić. Gospodarze postanowili mnie przencocować, a nazajutrz wyszukać mi lepsze miejsce. Odradzali mi dalszą podróż. Tak się też stało.

Wydawało mi się, że mieszkańcy Hajnówki, nie byli pewni niektórych swoich sąsiadów, stąd obawy przed represjami za kwaterowanie człowieka bez dokumentów.

Wczesnym rankiem 5 lipca ulokowano mnie u gospodarzy ładnie położonego domku w rozległym ogrodzie, których syn zawieruszył się podczas wojny 1939 r. i dotąd nie mieli o nim żadnej wiadomości. Gestem gościnności chcieli odwzajemnić się ludziom nieznanym, u których ich syn mógł doznać gościny. Przyjęto mnie jak własnego syna. Zaraz poprosiłem o jakieś zajęcie dla siebie. Zamiotłem podwórze, wyzbierałem jabłka spod jabłoni, urąbałem drew pod kuchnię. Pod wieczór wykopaliśmy głęboki dół, w którym gospodarz zakopał beczkę pełną solonych śledzi, odpowiednio zabezpieczając papą i zasypując to miejsce starannie.

Nazajutrz po dobrze przespanej nocy podjąłem próbę marszu w kierunku Narewki. W odległości 7 km za miastem, tuż pod ścianą świerkowego lasu, natknąłem się na wartownika niemieckiego. Po wyjaśnieniach musiałem czekać na zmianę warty, która odbywała się co dwie godziny, by potem pieszo wracać ciągle podbiegając, by zdążyć przed jadącym wartownikiem na rowerze. Zmęczanego doprowadzono ponownie do fabryki.

Stąd znowu mnie zwolniono. Wróciłem po kilku godzinach do swych opiekunów. Zostałem grzecznie skarcony, że bez dokumentów walęsam się po mieście.

Kolejnego dnia, wczesnie rano, znowu podjąłem próbę wyjścia z Hajnówki. Bezskutecznie, mimo że próbowałem ominąć wartownika. Popędzany przez wartownika, jadącego tym razem konno, znalazłem się znowu u komendanta obozu. Tym razem przyjął mnie na wesoło. Wracalem jak bumerang do obozu. Prośba o jakiś dokument tożsamości nie została spełniona. Wy tłumaczono mi, że władzą kompetentną do wydania przepustki jest wyłącznie Feldkomendantura, która niebawem powinna być zorganizowana w mieście.

Tym razem zostałem zatrzymany, jako niepoprawny "recydywista". Około godziny 16-tej nazajutrz sformowano na dziedzińcu fabrycznym kolumnę jeńców rosyjskich w liczbie około 80 ludzi. Mnie również kazano dołączyć do grupy. Obrąłem sobie miejsce samotne poza ostatnią czwórka kolumny. Według informacji komendanta miałem być z innymi odprowadzony do Bielska Podlaskiego, gdzie powinienem otrzymać przepustkę /ausweis/. Kolumna wyruszyła za bramę. Z przodu, z boków oraz za kolumną jechali konno żołnierze Wehrmachtu. Z miejsca narzucono szybkie tempo marszu. Kolumna powinna była zameldować się w Bielsku jeszcze przed wieczorem. Odległość 30 km napawała mnie obawą. Z opowiadań było mi wiadomo, że Niemcy rozprawiają się krótko z chorymi nie nadążającymi za kolumną, jeżeli pozostali nie niosą ich lub nie prowadzą pod ręce. Nie mogłem liczyć na taką pomoc, jako im obcy. Odstawiałem od kolumny idąc ciągle kulejąc, tym więcej, im częściej przypatrywał się konny jadący za kolumną. Przynaglany próbowałem gonić kolumnę, niby na próżno. Lewą stroną tymczasem jechały tabory niemieckie, kolumny wojska, artyleria itd. Kolumna zbliżyła się już do ostrego zakrętu na Bielsk. Zostałem wyprzedzony przez ostatniego konwojenta, który ostatecznie przestał się mną interesować. Wówczas zboczyłem na skarpę przy drodze, szybko zdejmując but i przewijając bandaż, na wypadek gdyby konwojent cofnął się po mnie. Zostałem ostatecznie zlekceważony jako obiekt zainteresowania, zresztą im znajomy jako nie należący do jeńców wojskowych. Odczekawszy chwilę, zsunąłem się po skarpie na łączkę i ścieżką przy strumieniu wróciłem do miasteczka. Kluczyłem w sąsiedztwie siedziby ostatnich opiekunów, nie mając odwagi prosić o nocleg. Zdawałem sobie sprawę, że nie uzyskawszy zgody na podróż, mogłem sprawić im przykrość. Dostrzegł mnie sąsiad, który zaproponował nocleg u siebie.

Niebawem zaczęło zmierzchać. Ugoszczony kolacją w gronie gospodarzy z dwojgiem dzieci niewiele młodszych ode mnie, snuliśmy wspo-

mnienia i licytowaliśmy się co do najbliższej przyszłości pod okupacją nowego zaborcy. Udając się na spoczynek, przystałem na propozycję pozostania i pójścia wspólnie do kościoła na Mszę Świętą.

Wstał piękny dzień letni, upalny od samego rana. Idąc do kościoła na godz. 10-tą, przy głównej ulicy z dala dostrzegłem wielką podłużną tablicę z napisem "Feldkommendantur". Poczujęm przypływ nadziei oraz radości, że wreszcie skończą się moje kłopoty, otworzy się wolna droga ku domowi rodzinnemu. Z wielką nabożnością wysłuchałem Mszy Św., modliłem się o powodzenie i błogosławieństwo na dalszą drogę.

W drodze powrotnej, umocniony duchowo, odważnie przedłożyłem swą sprawę wartownikowi, który poprzez otwarte okno wywołał funkcjonariusza, a ten wprowadził mnie do budynku. Z poczekalni dostrzegłem kilku Niemców, którzy starego Żyda ciągnęli za brodę do innych pomieszczeń. To zdarzenie zrodziło we mnie wątpliwość, czy zostanę wysłuchany. Czy wreszcie zdobędę "ausweis" na drogę do Lidy.

Po chwili ukazał się oficer niemiecki, który spoza binokli obserwował mnie w jakiś osobliwy sposób. Po usłyszeniu: was willst du? - wyrecytowałem: Ich bin Pole. Kazał mi się zbliżyć i powiedział: prosz mówić po polsku. Usłyszałem, że będę mógł lepiej zreferować swój stan swoje potrzeby i prośbę o przepustkę. Przedstawiłem mu książeczkę, jako jedyny dokument, który pozwolił mi dotrzeć z Brześcia do Hajnowki, i jak dotąd służył mi za przepustkę na podróż do domu. Zdziwił się co nieco, a twarz jego wypogodziła się cśmielając mnie do dalsze prośby o przepustkę na podróż do Lidy. Chwilę zastanowił się, po czym przywołał żołnierza i kazał mu usiąść przy maszynie do pisania. Trwało to kilka minut. Podpisał zwykłym ołówkiem i przyłożył pieczęć. Mam tę przepustkę do dziś. Oto jej treść: "Ausweis. Der 16 jährige Gymnasiast Jan Stanislawski, welcher sich nach seiner Angabe im Gefängnis von Brest-Litowsk aufgehalten hat und hier in Hajnowka zu Besuch bei Verwandten in den letzten Tage weilte, hat die Erlubnis sich nach Lida zu seinen Eltern zu begeben. Hajnowka, den 6. Juli 1941. Der Ortskommandant /-/ Schüppke Oberleutnant u. Komp. Chef." Napis na pieczęci okrągłej: "Dienststelle Feldpost Nr 28265-L/."

Podziękowałem stwierdzając, że dzięki jego uprzejmości droga do domu stała się otwarta, na co usłyszałem "Bitte."

Istotnie od tej pory droga do Lidy odbywała się bez żadnych trudności. Skrawek papieru, podpisany zwykłym ołówkiem, był wszędzie i zawsze honorowany bez uprzedzeń i wątpliwości, a nawet umożliwiał korzystanie z pomocy wojsk niemieckich.

Poniedziałek poświęciłem jeszcze na wypoczynek oraz odwiedzenie wszystkich domów, które udzieliły mi schronienia i pomocy material-

nej w postaci utrzymania, za słowa otuchy i pokrzepienia. Odwiedzani usatysfakcjonowałem wszystkich, a oni szczerze winszowali mi powodzenia i życzyli szczęśliwej podróży.

We wtorek rano wyruszyłem pieszo do Narewki. Zaopatrzony zostałem w żywność na drogę. Zdumionemu wartownikowi, który rozpoznał mnie na poprzednich "spotkań" na pechowym siódmym kilometrze od Hajnowki, okazałem Ausweis. Żołnierz przeczytał, zsalutował mówiąc: glückliche Reise, a ręką wskazał wolną drogę. Zdumiony byłem postawą Niemców, przypisując to nie tyle sympatii do Polaka, co ich inteligencji i kulturze bycia. Drogę do Narewki przebyłem rażno, jak odmłodzony. Nawet moja prawa stopa po 24 km drogi w upale nie wskazywała o sobie.

Jeszcze za dnia rozglądałem się za noclegiem. Na skraju miasteczka zwróciła moją uwagę wieża kościółka i niemal bezwiednie skierowałem się w tę uliczkę. Dochodząc do plebanii, spotkałem organistę, który po krótkim wywiadzie zaproponował mi nocleg w swoim mieszkaniu, za przyzwoleniem księdza proboszcza. Pierwszy i następny wieczor musiałem poświęcić wspomnieniom od czasu aresztowania, poprzez wszystkie więzienia, uwolnienie oraz przygody w drodze z Brześcia do Narewki. Zainteresowanie było ogromne. Zaskarbiłem ich przyjaźń i gościnę. Szczególną uwagę poświęcili mojej niekompletnej ksiąteczce do nabożeństwa i medalikowi na szyi, które niewątpliwie ocaliły mi życie, potwierdzając moją przynależność narodową.

Wydawało się, że wszystkie przeszkody zostały pokonane. Rzeczywistość korygowała moje zapatrywania. Drogi główne, a także o lepszej nawierzchni, wypełnione były wojskiem. Czasem spotykało się wojsko na odludziu, takie są prawa i obowiązki żołnierza. Trudno być ryzykować, na co szczególną uwagę poświęcił ksiądz proboszcz w długich rozmowach wieczornych: nie należy kusić zła. Zostań chłopcze jeszcze kilka dni, a wyruszysz wtedy, gdy będą większe szanse bezpiecznej podróży. Przepustka to nie wszystko. Mogą się zdarzyć sytuacje, w których nie zdążyłbyś ją pokazać. Przekonał mnie i postanowiłem pozostać do niedzieli 13 lipca.

Owe pięć dni mojego pobytu zdawały mi się okresem bardzo długim. Na prośbę organisty wykonałem talię kart "metodą więzienną" z lepszym jeszcze efektem, bo korzystałem z narzędzi kreślarskich i odpowiednich materiałów. Jak wiadomo w tym gronie grywa się w "preferka", więc i ksiądz był zadowolony, a kart w sprzedaży nie było. Kilka razy zagraliśmy wspólnie. Tak przypadłem im do gustu, że mógłbym przesiedzieć nie tylko wojnę, ale i całą okupację.

Zaniedbałem swoją nogę, spędzając czas na wypoczynku najczęściej w pozycji siedzącej. Zdawało się, że jest całkowicie sprawna do podróży.

Kiedy wyruszyłem na dalszą trasę, zacząłem znówu kuśtykać. Po prześciu 15 km byłem zmuszony odpocząć i dotarłem tylko do wsi Cisówka. Tym razem zgłosiłem się do miejscowego sołtysa, by był łaskaw wyznaczyć mi miejsce na nocleg. Skierowany do polskiej rodziny przeprowadziłem masaż bolącej nogi oraz przykładałem kompresy z lnianej szmaty zwilżonej octem.

Nazajutrz niepowstrzymanie wyruszyłem dalej, zaliczając kolejne 24 km. Szło mi się gorzej, ponieważ wędrowałem drogami polnymi od jednej wsi do drugiej według ustalonej marszruty po najprostszej linii na północny wschód, zmierzając ku miastu Wołkowysk. Mogłem tam odwiedzić ciotkę Zofię Kozłowską z Boituciów i zatrzymać się na kilka dni. Byłem po ostatnich etapach zmęczony, więc postanowiłem zatrzymać się przez dwa dni w Świsłoczy. Tym razem pominąłem sołtysa pośdnicstwo, a rozglądając się po wsi-miasteczku ? wyszukałem sobie na dogodniejsze dla siebie lokum i przyjemniejszą gościnę. Tym razem brze trafiłem do rodziny nauczycielskiej, która zaproponowała mi dłuższy pobyt. Musiałem jednak grzecznie zrezygnować. Byłem już dostatecznie długo w podróży i nie mogłem jej przeciągać w czasie.

W piątek 18 lipca wykulałem dalsze 24 km dotarłszy do wsi Goliczna. Przenocowałem z pomocą sołtysa, ponieważ nie zależało mi na wyładach, a do następnego etapu zostało mi niewiele drogi do przebycia.

Sypiałem najczęściej w stodole na świeżym sianie, więc specjalnych kłopotów nie sprawiałem gospodarzom. O jedzenie nie czyniłem rań, jako że w takich gościnnych stronach zawsze taka propozycja chodziła od gospodarzy.

Wywiedziawszy się w Golicznie o drogę do Wołkowyska, w sobotę niemal przeskoczyłem owe 10 km dzielące mnie od miasta i bez przeszkód trafiłem do ciotki Zofii. Bywałem u niej przed wojną, więc odnalezienie jej domu nie sprawiło mi żadnych trudności.

Nie jestem w stanie wyrazić jej zdziwienia na widok mojej osoby. Była to radość i łzy, strach i nadzieja. Opowiadaniom nie było końca. Czuję się jak u siebie w domu. Pełne siedem dni pobytu w jej domu upłynęły na relacjach z poszczególnych etapów więziennych, samotne drogi, przygód i niebezpieczeństw. Sam byłem zdumiony, że przetrwałem i zniosłem trudy więzienia i podróży, owe uciążliwe 241 km na bolącej stopie, nie zważając na kurcze, bóle i inne dolegliwości.

W międzyczasie tych szczęśliwych wynurzeń i rodzinnej atmosfery, przemyślałem najprzód sam, jakie rysują się możliwości dalszej podróży do Lidy. Później przeprowadziłem wywiad ze znajomymi kolejjarzami, bo przecież wujek /mąż ciotki/ był także kolejjarzem, jak dobrać do domu najwygodniej, bo piesza podróż przerażała.

Wreszcie "Kochanieńki" kuzynek, musiał wytłumaczyć cioci, że trzeba pośpieszyć do domu, bo czeka na niego stęskniona matka, która nic nie wie, czy jej dzieci żyją i co się z nimi dzieje. Była przerażona własną niemocą i bezradnością znajomych, którzy w żaden sposób nie mogli pomóc chłopcu w dalszej podróży. "Koleje w kierunku Lidy nie funkcjonowały"- mówiła, bo mosty na rzekach zostały wysadzone w powietrze przez wycofujące się z pośpiechem wojska sowieckie. Innych środków lokacji w ogóle nie ma. Bezradność ich przerażała bardziej, niż mnie samego.

Ciocia Zosia ze łzami w oczach wyprawiła mnie w drogę, błogosławiąc Krzyżem Świętym i polecając Bożej Opiece. Ja sam wierzyłem we własne możliwości. Jeżeli przekulałem owe 241 km, to podołam następnym.

W pierwszym dniu podróży przeszedłem pieszo 30 km, spokojnie, nie śpiesząc się, zostawiając trochę sił na kolejne etapy. Odnalazłem poleconą mi przez ciotkę rodzinę we wsi Piaski, a kiedy powołałem się na Kozłowską, zostałem serdecznie przyjęty, ugoszczony i położony w prawdziwym łożu. W poniedziałek 28 lipca znowu zrobiłem normę 24km i znalazłem się w miejscowości Daniłowce, także trafiając do polecanych ludzi przez gospodarzy w Piaskach. Podobnie gościnnie podejmowany przenocowałem, a nazajutrz sam gospodarz osobiście odprowadził mnie do rozwidlenia linii kolejowych i wskazał drogę do stacji kolejowej Mosty. Czekano mnie, jak mówił, 15 km toru. Albo ścieżką przy torze, albo po torze? To najbliższa i najprostsza droga, z której zbłądzić nie sposób. Pożegnawszy się szedłem raz z lewej, innym razem z prawej strony, czasem zaś środkiem toru po podkładach. Ta ostatnia droga była bardzo uciążliwa, ale jakoś przezwyciężyłem trudności.

Przed południem dotarłem do rzeki Wiemen, pod zwałony most. Schodzącemu z wysokiej skarpy /nasypu kolejowego/, przyglądał się niemiecki wartownik. Czyżby pilnował resztek żelastwa, jakie pozostały z całego mostu? Okazało się, że pilnował przejścia przez rzekę. Przejście - to wielkie słowo. Owo przejście było dwiema deskami wspartymi na wbitych w dno rzeki słupkach /żerdziach/, a na nich łączyły się kolejne pary wąskich desek. "Mostek" nie miał żadnej barierki, samo zaś przechodzenie utożsamiało się z żonglowaniem na linii cyrkowej. Kiedy zameldowałem się wartownikowi, okazując Ausweis i prosząc pozwolenia na przejście rzeki, zastanawiałem się co robić: przechodzić w ubraniu, czy przepłynąć z ubraniem w jednej ręce trzymając. Nurt rzeki był w tym miejscu dość bystry, by znieść pływającego o kilkadziesiąt metrów dalej. Drugie niebezpieczeństwo groziło zgubieniem ubrania, a w najlepszym razie zmoczeniem. Wybrałem to pierwsze. Jeszcze chwilę odczekałem obserwując chłopca, robotnika kolejowego,

który balansował na deskach niosąc jeszcze rower przewieszony przez ramię. Zdacydowałem się wreszcie wejść na kołyszącą się kładkę za każdym zrobionym krokiem i powoli noga za nogą dotarłem na środek rzeki. Przy kołkach odpocząłem, trzymając się ich kurczowo i oczekując aż deski przestaną się huścić. Po nabraniu odwagi na dalszą turę ruszyłem przed siebie do następnych kołków, potem do następnych i jeszcze dalszych, oczekując za każdym razem kiedy przestaną się kołysać. Nareszcie zeskoczyłem i poczułem się bezpieczny na trawiastym brzegu. Po przejściu około 3 km dotarłem do stacji kolejowej, wprost na peron, przy którym stał pociąg towarowy załadowany żołnierzami Wehrmachtu. Do pociągu przyłączona była lokomotywa "pod parą", co wskazywało na rychłe odejście pociągu.

Nie zwlekając podszedłem do Niemca w czarnym mundurze, nie wiedząc jeszcze wtedy kogo on reprezentuje, a przygotowawszy przedtem zredagowane w myśli pytanie w języku niemieckim, podałem Ausweis. Nie zdążyłem wyrazić swej przygotowanej prośby, kiedy ów Niemiec wskazał oficera Wehrmachtu, do którego miałem się zwrócić. Dodał tylko: schnell. Podszedłem szybko z przepustką do kierownika pociągu, owego oficera, który rozejrzał się po wagonach i wskazał mi jeden z nich. Podszedłem ku otwartym drzwiom, w których siedzieli żołnierze ze spuszczoneymi nogami z wagonu. Tam także wylegitymowałem się Ausweisem. Rozległ się gwizd ruszającej lokomotywy, kiedy zostałem wciągnięty do wagonu.

Odetchnąłem z ulgą. Niemcy po przeczytaniu przepustki stali się bardzo rozmowni, ale moja znajomość niemieckiego okazała się niewystarczająca. Rozumiałem piąte przez dziesiąte. Zdobyłem się wreszcie na odwagę i szepnąłem, zamiast powiedzieć, bitte langsam. Powoli zadawali mi pytania, a ja starałem się odpowiadać. Kiedy nie rozumiałem mozolnie starali się wyperswadować kwestię przy pomocy gestów.

Pociąg nie zatrzymywał się na przystankach, z czego byłem zadowolony, bo przybliżał mnie prędzej ku domowi. Kiedy rozłożyli się zapasami jada, poczęstowano mnie kanapkami. Były to pajdy chleba z topionym serem i szczypiorkiem oraz kawa wojskowa z menażki. Odległość ok. 118 kilometrów przebyliśmy w ciągu dwóch i pół godziny.

Podczas biegu pociągu, w otwartych drzwiach wagonu towarowego przewijają się jak na kadrach filmowych, znane mi przepiękne krajobrazy Nowogródziny, rozleniwione upałem letnim wioski oraz wymarłe stacyjki kolejowe. Minęliśmy Skrzybowce, gdzie w r. 1919 była kwatera Józefa Piłsudskiego w czasie wyprawy na Wilno. Wskazały mi one, że pozostało jeszcze trzy kwadransy drogi do Lidy.

Byłem już podekscytowany bliskością rodzinnego miasta i ciekawy, jak je zastaną? Kiedy zaś pociąg przetoczył się przez most na rzece

Dzisiaj wiedziałem już, że pozostało około 12 km drogi. Teraz na stojąco oczekiwałem końca podróży. Pociąg jakby przyśpieszył. Zdawało mi się, że dostrzegłem zabudowania Sojkiszek, to prawie dzielnica miasta, gdzie mieliśmy kawałek pola uprawnego w rozwidleniu torów kolejowych. Tuż za prochownią pociąg zatrzymał się pod semaforem. Wykorzystałem tę okazję, podziękowałem wożakom za gościnę i wyskoczyłem na pobocze. Stąd znajomą ścieżką było bliżej do domu, aniżeli z dworca kolejowego. Nogi mnie same niosły, nie odczuwałem żadnego zmęczenia, żadnych trudów ponad miesięcznej wędrówki.

Mijałem pierwsze zabudowania: dom, w którym mieszkały koleżanki: Ela i Jadwiga Żytniakówny, dom mojej cioci Hanki Kirdzik z Wilniewczyców, inne domy, był wreszcie na skrzyżowaniu ulic pomnik-kapliczka, zbudowana ongiś przez drugiego dziadka Macieja Wilniewczyca, potem minąłem pole Utkiewicza graniczące z zabudowaniami wuja Józefa Wilniewczyca. Obejrzałem się za siebie. Kroczyła za mną czereda młodszych dzieciaków, którzy mnie rozpoznali.

Nagle z domu Józefa wybiegła ciotka Jadwiga i wciągnęła mnie niemal gwałtem, na herbatkę. Próbowałem odmówić, bo śpieszyłem się do domu. Zostało mi jeszcze nie więcej jak 8 minut drogi do domu. Usiadłem na chwilę, wypilem herbatę, w pośpiechu opowiedziałem sposób dotarcia do Lidy i po chwili udałem się do domu. Czereda dzieciaków krocząca za mną była coraz liczniejsza. Dochodząc do ul. Grażyny, skręciłem w lewo przy domu, gdzie mieszkał kolega Tadek Czywilis, poboczem szosy przyśpieszyłem. Już widziałem nasze zabudowania. Mijałem sąsiadów. Nagle naprzeciw mnie zobaczyłem Władka Konona. W pewnym momencie zauważyłem, jak by się zawahał, czy iść ku mnie, czy zboczyć. Wyczułem, że zdawał sobie sprawę z naszej konfrontacji przeprowadzonej w NKWD zaraz po naszym aresztowaniu, kiedy to powiedział: „przyznałem się bo nie wytrzymałem fizycznie śledztwa i piwnicy wypełnionej wodą do kolan, zimna i głodu; przyznaj się, by ocalić nasze zdrowie”. Myśleliśmy o tym samym-zapewne. Kiedy dostrzegł moją spokojną twarz, przyśpieszył, by serdecznie uściskać kolegę niedoli. Wrócił dużo wcześniej, a podróż z Brześcia zabrała mu tylko tydzień czasu. Wędrował w gromadzie. Ja nie miałem takiego szczęścia. Może byłem cokolwiek za młody, za mało posiadałem doświadczenia, utykając zaś nie dorównywałem krokiem innym wracającym z więzienia, których tu i ówdzie napotykałem po drodze. Stąd ta samotność, stąd ta długa droga.

Teraz wreszcie skręciłem na własne podwórze. Przyśpieszyłem kroku. Czereda dzieci została na ulicy. Objąłem wrokiem dom i ogródek, zdawało mi się, że dostrzegłem matkę wracającą z ogrodu spod łąki, uginającą się pod ciężarem kosza. Rzuciłem tobolek i pobiegłem co tchu na spotkanie.

Z odległości kilkunastu kroków dostrzegłem jej bardzo zmartwioną twarz, postarzałą, zgarbioną sylwetkę i oczy wpatrzone w ziemię ciemną. Spostrzegła mnie dopiero wtedy, kiedy rzuciłem się w Jej ramiona strudzone. Zamiast słów posypała się izerzą radości, izerzą, izerzą, izerzą. Ani słowa, tylko izerzą. izerzą radości i żalu. W jej oczach tkwił jeszcze strach. A Romek? -zapytała. Nie wiem mamó, nie wiem mamó powiedzieć, nie wiem. Chyba nie byłem dobrym dzieckiem. Im starszy jestem, tym większe mam wątpliwości, czy byłem Jej dobrym synem. Miłość Ojczyzny przedkładałem nad miłość synowską do Matki, która zdana została na własne siły, opuszczona przez męża, uciekającego przed represjami sowieckimi, opuszczona przez synów, pozostawiona własnemu losowi. Staliśmy długą chwilę. Rozmowa nasza urywała się, bo izerzą napływały strumieniem do oczu, które wypatrywały swoich bliskich z dnia na dzień, przez okres ponad jednego roku.

Nie dała wyręczyć siebie. Dostrzegła, że byłem wychudzonym biedakiem, a ciężki kosa, chyba z warzywami, wspólnie dźwigaliśmy do domu.

Wieczór spędziliśmy w ścisłym gronie rodzinnym: mama, siostra Irina i ja. Musiałem opowiedzieć wędrówkę naszą / brata także/ po więzieniach, mój przydatki powrót do domu, pieszo. W czasie tego wieczoru, rozmowa była przerywana izerzą.

Od następnego dnia drzwi domu nie zamykały się. Przychodzili sąsiedzi, koledzy, koleżanki. Całe dnie wypełnione były rozmowami.

Nie omieszkalem pójść do kościoła, by podziękować Bogu za ocalenie, za szczęśliwą podróż do domu. Modliliśmy się wspólnie z mamą. Modlitwy przynosiły nam ulgę, dawały nadzieję na powrót brata. Miałem podstawy domniemywać, że Romuald został wywieziony do Rosji, podobnie jak większość naszych kolegów. Wrócili tylko: Władek Konon, Surma, i chyba tylko ja. Trzech spośród kilkunastu.

Podczas kilkunastodniowej aklimatyzacji, za namową Mamy, przede wszystkim, a także krewnych i znajomych dorosłych, poddałem się badaniom lekarskim, które wykazały powiększenie serca na skutek zmian reumatycznych spowodowanych długotrwałym przebywaniem w zawilgoconych pomieszczeniach, spaniem na klepisku cementowym i asfaltowym.

Młody organizm wracał do zębora i siły. Zabrałem się z zamiłowaniem i wielką ochotą do różnych prac domowych i gospodarskich.

Stopę wyleczyłem maściami i kompresami oraz kąpielami w solach leczniczych.

Spotykaliśmy się z dużą łyczliwością w społeczności. Byliśmy obiektem zainteresowania ze strony różnych osób, sąsiadów, nauczycieli i kolegów szkolnych. Radość była niepełna. Kraj nadal był pod okupacją, zmienili się tylko okupant, jeden zastąpił drugiego.

"By stał się twierdzą nowej
siry,
nasz dom, nasz kraj"
/ z modlitwy partyzanckiej/

OKUPACJA NIEMIECKA

Wolnością upojony, zrazu nie zdawałem sobie sprawy, że Naród Polski znalazł się pod kolejną okupacją- tym razem, niemiecką. Niemcy wprowadzili z miejsca rygor i dryl pruski. Mieszkańcy miasta podporządkowali się purytańskim zarządzeniom i wymogom, nie tyle z przekonania, co ze strachu przed bezwzględną władzą wojskową. Wszędzie panował ład, czystość i porządek. Jednocześnie Niemcy "zajęli" się obywatelami narodowości żydowskiej, po czym odizolowali ich od reszty społeczeństwa, tworząc ogrodzone "ghetto." Pozostałe mniejszości narodowe, Litwini i Białorusini, zajęli pozycję wyczekującą. O ile żydów szacowano na około 28 - 30%, pozostałe mniejszości stanowiły zaledwie ok. 3-4%, nie wpływając na życie miasta, zarówno pod względem społecznym, jak i gospodarczym. Chwilowo powstrzymywali się także od polityki

Moje kontakty z młodzieżą gimnazjalną, z rówieśnikami i kolegami nieco starszymi, okazały się w pewnym sensie kłopotliwe. Wbrew własnej woli znalazłem się w roli "bohatera." Na szczęście inne problemy wyłoniły się podczas tych spotkań. W ślad za uznaniem mego doświadczenia więziennego i zaufaniem, na początku sierpnia 1941 r. zostałem wprowadzony do organizacji konspiracyjnej, zwanej wówczas tajną, o której niewiele wiedzieli koledzy. Dopiero później zorientowany zostałem przez ojca mojego kolegi Henryka Żurawskiego. Wywnioskowałem stąd, że tym razem sprawa jest poważniejsza, aniżeli owa dziecinada sprzed roku.

Na wstępie poinformowany zostałem, że organizacja nosi nazwę Z w Z, tj. Związek Walki Zbrojnej, jest organizacją ściśle tajną, wojskową, opartą o bezwzględne zasady hierarchii, karności i dyscypliny, a zadaniem organizacji jest osiągnięcie pełnej zdolności do zbrojnego wystąpienia przeciwko okupantowi niemieckiemu na sygnał głównego dowództwa, które mieści się w Warszawie. Tyle wówczas wiedziałem. Z czasem przybywało wiedzy o tej organizacji, ale muszę przyznać, że znajomość ograniczała się do grupy najbliższej. Świadomy obowiązków złożyłem przysięgę swojemu przełożonemu: "w obliczu Boga wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć będę ze wszystkich sił swoich, aż do ofiary mego życia. Wszelkim rozkazom władz ZWZ będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. - Tak mi dopomóż Bóg."

Przyjmujący przysięgę z kolei wygłosił formułę: "Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy wolności. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku o odrodzenie Ojczyzny. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią."

W ten oto sposób znalazłem się w piątce z Henrykiem Żurawskim, a każdy z piątki miał za zadanie werbować dobrze sobie znanych kolegów, tworząc własną piątkę. Zanim przystąpiłem do budowy własnej piątki, zostałem podporządkowany najważniejszemu zadaniu - szkoleniu wojskowemu. Polegało ono na znajomości poszczególnych części karabinu i pistoletu, posługiwaniu się bronią, jej zabezpieczeniu, znajomości amunicji oraz granatów. Po pewnym czasie zwiększył się zakres szkolenia teoretycznego i praktycznego, a m.in. rodzaje materiałów wybuchowych, sporządzanie min, sposób zakładania pod tory kolejowe, a w szczególności: ile mm musi dzielić dwa styki zapalnika, aby pod naciskiem lokomotywy spowodować wybuch miny, jak zakładać kostki trotylu /podobne do mydła/, aby szyna kolejowa pękła jak cięta nożem, ile trzeba na dobrą minę plastiku.

Pozostałe zadania, w tym pozyskanie broni we własnym zakresie, nie nastroczało mi żadnych trudności, ponieważ od 1939 roku dobrze zachowały się dwa karabiny kawaleryjskie typu "Mauser", które wyniesione wówczas z prochowni, spokojnie bez uszczerbku przeleżały w schowanku. Odzyskałem część granatów waczepnych i obronnych, a także pewną ilość amunicji do mauserów. Duża ilość amunicji i granatów wybuchła w czasie pożaru stodoły, w której były skrzętnie ukryte w poszyciu dachu.

Muszę przyznać, że zasady organizacji ZWZ oraz całą strukturę konspiracji poznałem dopiero dzisiaj, pisząc ów pamiętnik. Konspiracja związała się już w październiku 1939 r. pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski /SZP/. Wówczas zameldował się u gen. Tokarzewskiego dowódca 2. Warszawskiej Brygady Piechoty Motorowej płk dypl. piech. Stefan Rowecki z zamiarem przedostania się do Francji. "Doktor" - czyli gen. Tokarzewski, na podstawie posiadanych pełnomocnictw odmówił pomocy w wyjeździe z kraju, wyznaczając go na szefa sztabu SZP i swego pierwszego zastępcę. Ci dwaj wybitni dowódcy różnili się od siebie metodami pracy, ale wspólną ich cechą była wielka jasność umysłu /stwierdzają współcześni historycy/, cechował ich pełen szacunku stosunek do podwładnych żołnierzy. U gen. Tokarzewskiego imponowała rozległa wiedza społeczno-polityczna, u gen. Roweckiego "Rakonia" rozległa wiedza wojskowa. Obaj musieli dostosować metody działania do aktualnych warunków i nie wiele mogli skorzystać z metod konspiracyjnych wzorów sprzed I wojny światowej /POW/, Polskiej Organizacji Wojskowej. W grudniu tego roku /1939/ SZP została przemianowana na Związek Walki Zbrojnej, której komendantem głównym został gen. Stefan Rowecki - ps. "Grot", mianowany przez emigracyjny Rząd Polski w Londynie.

Zasady ZWZ oparte były na następujących postanowieniach:

1. Członkiem ZWZ może być każdy Polak /każda Polka/, nieposzlakowanej czci, poczynając od wieku lat 17, który cele organizacji przyjmie za swoje, podda się bez zastrzeżeń jej regulaminowi oraz złoży przepisana przysięgę; /załącznik-tekst przysięgi/.
 2. Najniższą komórką organizacyjną jest sekcja złożona z 5-ciu członków; na czele sekcji stoi sekcyjny.
 3. Tworzy się oddziały męskie i żeńskie. Oddziały żeńskie będą zatrudnione przede wszystkim w zakresie propagandy, kolportażu, łączności, transportów i służby sanitarnej.
 4. Kilka sekcji, nie mniej jak dwie, nie więcej jak pięć, istniejących w tej samej miejscowości- tworzy pluton. Na czele plutonu stoi plutonowy.
 5. Wyższych jednostek nie tworzy się /organizacyjnych/; natomiast plutony mogą być łączone doraźnie dla większych akcji bojowych lub dla celów ćwiczebnych.
 6. Komenda obwodu obejmuje większe miasta /ponad 10 tys. mieszkańców/, lub teren powiatu względnie jego część, jeśli powiat został przepoławiony linią demarkacyjną obu okupacji.
 7. Komenda Okręgu obejmuje miasta ponad 100 tys. mieszkańców lub teren województwa względnie jego część, o ile województwo zostało przepoławione linią demarkacyjną obu okupacji.
 8. Na czele obwodów i okręgów stoją komendanci obwodów i okręgów.
 9. Okupacja niemiecka podzielona zostaje na cztery komendy obszarów:
Komenda Obszaru Nr 6 w Toruniu
" " Nr 5 w Poznaniu
" " Nr 4 w Krakowie
" " Nr 1 w Warszawie
Okupacja sowiecka podzielona zostaje na dwie komendy obszarów:
Komenda Obszaru Nr 2 w Białymstoku
" " Nr 3 we Lwowie
- Linie rozgraniczenia pomiędzy poszczególnymi komendami obszarów zostaną wyznaczone szczegółowymi zarządzeniami.
10. Za granicą tworzone są bazy terytorialne obejmujące sieć granicznych punktów przejściowych oraz sieć punktów składowych dla bibuły, broni oraz środków technicznych. Urządzone zostają na razie trzy bazy: węgierska Nr 1, rumuńska Nr 2, litewska Nr 3. Ilość baz będzie zwiększona w miarę możliwości i potrzeby.

Zasady regulaminowe:

1. ZWZ jest organizacją ścisłą, tajną, wojskową, opartą o bezwzględne zasady hierarchii, karność i dyscypliny. Kandydat wstępujący do ZWZ składa przysięgę.

2. Wystąpić z szeregów ZWZ można tylko za zezwoleniem komend wyższych, poczynając od komendy okręgowej w górę, przy czym sankcje za zdradę tajemnicy nie przestają działać.
- Kary dyscyplinarne za niedbałe pełnienie obowiązków określi specjalny kodeks, wzorowany na normach postępowania wojskowego, jednak dostosowany do warunków pracy konspiracyjnej.
- System konspiracji będzie oparty o zasady następujące:
 - pseudonimy członków,
 - oparcie rozkazodawstwa o zlecenia ustne i system pamięciowy, przy ograniczeniu pisania do niezbędnego minimum,
 - oparcie systemu łączności o hasła i odzwy, słowne lub materialne,
 - kontakty organizacyjne odbywają się na kwaterach tajnych, nieustannie zmienianych, przy czym adresy kwatery można jedynie otrzymać przez odpowiednio dobrane punkty łączności po wymienieniu hasła,
 - w zasadzie każdy żołnierz z ZWZ zna tylko swych towarzyszy z sekcji; kontakty komend odbywają się w porządku ściśle hierarchicznym wedle zasady: tylko jeden kontakt w górę,
 - w kodeksie dyscyplinarnym będzie przewidziany specjalny system kar za niepotrzebne gadulstwo i za nieprzestrzeganie zasad konspiracji,
 - zasada najważniejsza: w doborze członków kładź nacisk na jakość kandydatów, ich niewątpliwą wartość moralną, pamiętając że największym błędem byłoby dążenie do sukcesów ilościowych. W myśl tej zasady celem pierwszego etapu organizacyjnego będzie zwerbowanie nie więcej jak po 500 członków na terenie każdego obszaru; z reguły plany rekrutacji będą normowane pod względem ilościowym rozkazami Komendanta Głównego."

W lutym 1942 roku ZWZ zostaje przemianowany na Armię Krajową, a z dniem 14 lutego 1942 roku komendantem głównym AK w stopniu generała dywizji zostaje mianowany gen. "Grot"- Stefan Rowecki. Zasady struktury organizacyjnej oraz zasady regulaminowe bez szczególnych zmian zostają przeniesione do Armii Krajowej z ZWZ.

Oddając pełną prawdę historii trzeba powiedzieć, że od chwili zawiązania SZP i ZWZ działały w kraju okupowanym różne organizacje związkowe o charakterze wojskowym. SZP i ZWZ inicjowały poszukiwanie kontaktów z Szarymi Szeregami, Tajną Organizacją Wojskową i Związkiem Strzeleckim, z pełnym sukcesem zresztą. Natomiast pozostałe organizacje, jak Orła Białego w Krakowie, szukały kontaktu z SZP - ZWZ. Polska Niepodległa, Gwardia Obrony Narodowej, Komenda Obrońców Polski, Pobudźca, Znak, Związek Polski Niepodległej, doszłusowały po wspólnie przeprowadzonych rozmowach, trwających czasem do 1942 r., wszystkie zaś wzięły udział w powszechnym powstaniu. Dobrze układały się stosunki Armii Krajowej z Batalionami Chłopskimi.

Jako członek organizacji powinienem być podjąć pracę w dowolnej instytucji, aby stworzyć pozory lojalności wobec okupanta oraz ustrzec się przed wzbudzeniem zainteresowania swoją osobą, uchylającą się od pracy. Powinność ta kolidowała z obowiązkami domowymi. Jako jedyny mężczyzna w domu musiałem pomagać matce w prowadzeniu gospodarstwa: krowieprzka i kilkunastu kur. Nadto ciążył na mnie obowiązek zbioru drugiego pokosu siana, sprzątnięcia zboża z pola, później owoców, ziemniaków i warzyw. W takich to okolicznościach zastała mnie zima. Zaczęto dobierać się do ludzi pozostających bez pracy, ale o dobrą posadę było trudno. Kiedy zaczęto nakazywać bezpłatnie do robót publicznych, jak oczyszczanie dróg i torów ze śniegu, postanowiłem zwrócić się o pomoc i radę do "piątkowego" dowódcy. Niebawem zostałem zatrudniony na kolei w Lidzie. Na początek była to trudna i ciężka praca fizyczna przy rozładowaniu wagonów z węglem. Siedemnastotonowy wagon należało rozładować we dwóch w czasie od godz. 6 rano do godz. 13-tej. Na szczęście po dwóch tygodniach harówki zostałem skierowany do czyszczenia rur dymnych w lokomotywach, gdzie upłynęły kolejne trzy tygodnie pracy niezmiernie brudnej. Wreszcie zainteresował się moją osobą technik Stanisław Dźwinell-Polsak. Do dziś nie jest mi wiadomo, czy on działał z polecenia dowódcy Armii Krajowej, która w lutym 1942 roku powstała w obwodzie lidzkim z dotychczasowej ZwZ. W taki oto sposób zostałem skierowany do pracy w narzędziowni przy wydawaniu narzędzi dla ślusarzy, tokarzy itp pracowników warsztatów kolejowych. Technik Stanisław Dźwinell zorganizował szkołę mechaniczną, za zgodą Niemców do której zostałem skierowany. Cztery dni w tygodniu pracowaliśmy fizycznie, przechodząc z działu jednego do drugiego: ślusarstwo, narzędziownia, kuźnia, gisernia, obróbka skrawaniem na tokarkach, stragarkach i innych maszynach. Dwa dni w tygodniu mieliśmy zajęcia teoretyczne w następującym zakresie: technologia, materiałoznawstwo, rysunek ręczny, kreślenie, matematyka fachowa /Fachrechnen/, język niemiecki, gimnastyka; oceniano także pilność, karność, porządek. Stosunek kierownika szkoły był poprawny a nawet życzliwy w stosunku do uczniów. Większość kolegów była mi znana, a każdy z nich legitymował się ukończeniem kilku klas gimnazjum ogólnokształcącego. Dzisiaj wiem, że oni wszyscy byli członkami ZwZ i Armii Krajowej, zaś szkolenie przygotowywało mechaników lotniczych do obsługi samolotów, i żołnierzy kompanii lotniczej 77 pp AK. Sam Stanisław Dźwinell był pchor. pilotem później szym zastępcą dowódcy Samodzielnej Kompanii Lotniczej ps. "Dzwon."

Po ciężkiej fizycznej pracy szkołka była wytchnieniem. Ponadto wykształciła dobre cechy charakteru pod względem pilności, karności oraz porządku, których to niejedni z nas potrzebowali.

W tym czasie działalność konspiracyjna dawała o sobie znać w terenie różnie rozmieszonym, na zachodzie kraju i na naszych terenach, a także różnych formach walki i dywersji. Warto zaznaczyć, że Komitet Ministrów dla Spraw Kraju w Londynie w listopadzie 1939 roku postawił konspiracji dwa główne zadania:

-stworzenie ośrodków czynnego oporu narodowego przeciwdziałającego załamaniu się sił moralnych społeczeństwa polskiego na terenie obu okupacji, niemieckiej i sowieckiej,
-współdziałanie w odbudowie państwa polskiego w drodze walki orężnej, a także osłonić i ułatwić wykonanie powstania, wzmacniając akcję dywersyjną i partyzancką na wschodnich terenach Rzeczypospolitej, a w miarę możliwości poza jej granicami wschodnimi. Dlatego też powołana została wydzielona organizacja dywersyjna Armii Krajowej pod nazwą /kryptonimem/ "wachlarz." Dowódcami "wachlarza" zostali projektodawcy tej organizacji: Komendant ppłk Jan Włodarkiewicz ps."Damian" i komendant ppłk Remigiusz Grocholski ps."Brochwicz." Na jesieni 1941 r. podzielono teren działania "wachlarza" na pięć odcinków- kierunków rozchodzących się klinami od Warszawy na wschód. Ten właśnie układ dał początek nazwie organizacji w systemie ruchliwych pięcioosobowych patroli dywersyjnych i czynił z nich twór, o nieznanym dotąd na tę skalę formach działania dywersyjnego:

Odcinek I. Lwów-Terespol-Płoskirów-Winnica-Żmierzynka; d-ca por."Orlik" a następnie od maja 1942 r. cc /cichociemny/ "Wojewoda" "Gotur" -Jan Michalski;

Odcinek II. Od Równego do Kijowa i od Sarn i Korostenia, na północ do Koziatynia i na południe do Berdyczowa; d-ca por."Ponury"-cc Jan Piwnik.

Odcinek III. Teren od Bugu 500 km na wschód aż do Homla;d-ca cc kpt."Wania"-Alfred Paczkowski;

Odcinek IV. Między Lidą, Baranowiczami, Słuckiem i Stołpcami po Bobrujsk, Mińsk, Borysów, Orszę, d-ca płk "Niedźwiedź", potem mjr "Trop" cc Tadeusz Sokółowski, wreszcie mjr "Zygmunt".

Odcinek V. Wilno-Połock-Dźwińsk-Ryga, d-ca por."Lipek" Jan Smela cc, a od VI.1942 kpt."Bezmiar", Leon Koplewski.

Siedzibami d-ców były miasta:/I/ Lwów,/II/ Równe,III/ Brześć,/IV/-Lida-Mińsk,^{Żmierzynka} V/ O znaczeniu "wachlarza" świadczy fakt, że z ogólnej sumy 8 milionów dolarów budżetu rocznego AK, połowę przeznaczono na poczynania "wachlarza". Wyniki jego działalności były imponujące.

W pierwszych miesiącach działalności w okolicy Lidy wysadzonych zostało 5 pociągów; z więzienia w Pińsku grupa "Ponurego" uwolniła więźniów, m.in. kpt "Wanię" d-cę III odcinka.

"wachlarz" zużywał wiele materiałów wybuchowych, przede wszystkim "rodzimej" produkcji konspiracyjnych laboratoriów chemicznych, które wyprodukowały 404 kg szedytu do grudnia 1942 roku. Otrzymał ze zrzutów 50 kg angielskiego "plastiku"-środka wybuchowego o kolosalnej sile kruszącej oraz 16 sztuk kolejowych min z opóźniającym zapłonem do umieszczenia w wagonach. Część tych materiałów zmagazynowana bywała w Baranowiczach i w Lidzie. Odcinek IV "wachlarza" /Lida-Mińsk/ uległ całkowitemu rozbiciu, a zagładę tego odcinka należy przypisać dekonspiracji przez agenta Gestapo, byłego funkcjonariusza "2" Jerzego Kesslera, który później bezpośrednio przyczynił się do aresztowania w Warszawie komendanta głównego Armii Krajowej gen.dyw. "Grota"-Stefana Roweckiego, którego Niemcy wywieźli i rozstrzelali w niewiadomym miejscu. Jerzy Kessler po wojnie był widziany w Olsztynie i mimo interwencji, Służba Bezpieczeństwa /UB/ wcale nie zareagowała. Władze naszego kraju "zrehabilitowały się" nazwaniem mostu Toruńskiego w Warszawie imieniem gen.Grota-Roweckiego. Drugi agent, przedwojenny ppor.rez.w Modlinie, rodem z Kielc, Jerzy Wojnowski ps."Motor" został zlikwidowany wyrokiem AK w okolicach Gór Świętokrzyskich. Jego ofiary, siostry Snopkówny, mają swój grób na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Jemu również zawdzięcza swą śmierć spora liczba partyzantów "Ponurego" i "Nurta" na kielecczyźnie.

Działalność "wachlarza", o której w owym czasie nic nie wiedziałem, jest mi bliska. Swego czasu kierownik szkoły mechanicznej Stanisław Dźwinell przeprowadził ze mną rozmowę, zapewne wiedząc już o moim zaprzysiężeniu, w wyniku której chętnie przystałem na propozycję przetransportowania materiałów wybuchowych z Lidy do stacji Bastuny, a właściwie pod Bastunami, gdzie znajdował się ostry zakręt i każdy pociąg zwalniał swój bieg. Miejsce to otaczały gęste lasy z obu stron torów. W sumie dwa razy dostarczyłem pośkrzyni materiały wybuchowe, przewożąc je ręczną drezyną, a drugie dwa razy lokomotywą, która luzem zmierzając w kierunku Wilna. wśród skrzynek z narzędziami i śrubami nie rzuciła się w oczy skrzynka z materiałem wybuchowym. Na lokomotywie łatwo było skrzynkę ukryć w węglu. Maszynista kolejowy-Polak- był przekonany, że przewożę na handel gwoździe, które w okresie okupacji były towarem łatwo zbywalnym na wsi. W miejscu wspomnianym wśród lasu zawsze zastałem oczekujących na "towar"ludzi. Tyle tylko udało mi się zrobić dla "wachlarza", jeżeli można to nazwać działaniem, zwłaszcza że byłem opanowany i nie zdradzałem żadnego niepokoju. Będąc pracownikiem "Bahnbetriebswerk" potem zaś "Bahnbetriebswagenwerk" mogłem działać śmiało. Odwagi dodawała mi granatowa furazjerka kolejowa, taka, jaką miewali Niemcy, a nosili ją także uczniowie wspomnianej szkoły.

w okresie od listopada 1942 r. do lutego 1943 r. nastąpiło przejęcie siatek "wachlarza" przez "Kedyw AK." Kedyw, to była skrócona nazwa kierownictwa dywersji, przy czym określone zostały zadania dla Kedywu Komendy Głównej AK. Obszarów AK, Okręgów AK. Działalność ich polegała na następujących zadaniach:

- dywersja na linie kolejowe, drogi, telekomunikację, przemysł wojenny, urzędy i magazyny wojskowe;
- sabotaż na kolejach, na poczcie, w przemyśle wojennym, w administracji i na wszystkich odcinkach pracy, gdzie można osiągnąć okupanta;
- terror w stosunku do Niemców, volksdeutschów i wszystkich współpracujących z okupantem, z tym że z tego rodzaju akcji należało wyłączyć wojsko /Wehrmacht/;
- odwet za wysiedlanie, łapanki, egzekucje i represje;
- samoobrona polegająca na uwalnianiu aresztowanych przez akcje bojowe z zewnątrz na transporty, więzienia, obozy i miejsca straceń;
- partyzantka.

Planowanie i zarządzanie wykonania tych działań leżało w kompetencjach komendantów obszarów i okręgów, z tym że Dowódca AK ustalał dla każdego z nich kontyngenty akcji sabotażowej-dywersyjnej, w których podawano tylko dolną ilościową granicę zadań do wykonania w poszczególnych miesiącach, nie ograniczając jednak dążeń do uzyskania większych norm.

Elementem organizacyjnym "Kedywu", przeznaczonym do wykonywania zadań walki czynnej, były oddziały dyspozycyjne, składające się z patroli kilkuosobowych męskich lub kobiecych, które łączono do większych akcji bojowych i dywersyjnych. Kronika osiągnięć Kedywu obejmuje wiele tomów.

Akcją dywersyjną na obiektach kolejowych w mieście Lida kierował wspomniany pchor. Stanisław Dźwinell ps. "Dzwon". w ramach tych akcji prowadziłem demontaż lokomotyw przyprowadzonych z "wypadków" na trasach kolejowych, szczególnie zaś ważniejszych części i armatury mosiężnej, trudnej do wymiany; wadliwe wykonywanie remontów, szczególnie panewek oraz zaworów; opóźnianie remontu maszyn podstawionych na gorąco od transportów wojskowych zmierzających na wschód; zanieczyszczanie pomp olejowych i przewodów piaskiem, co powodowało awarie i konieczność remontu.

Po jednej takiej akcji, kiedy przez niedopatrzenie zniszczyłem całą panewkę centralną od lokomotywy podstawionej na gorącą z transportu wojskowego, musiałem porzucić pracę i uciekać do oddziału partyzanckiego. Za powyższy opisany wypadek zostałem postawiony do raportu, ponieważ moja obecność w warsztatach kolejowych, zwanych potocznie "Depo", była bardziej potrzebna niż w lesie. Stało się to dopiero zimą 1942/43.

Na konto uciekiniera-sabotażysty Niemcy zaliczyli poprzednie awarie, które zostały zgłoszone do niemieckiego dowództwa stacji kol. Lida przez kierowników poszczególnych transportów z ich trasy.

Niemcy powołali również policję białoruską, a na wileńszczyźnie i na terenach górnej Dzitwy policję litewską, tzw. szaulisów - żołnierzy litewskich na usługach hitlerowskich Niemiec. Ta sielanka nie trwała długo. Rozpoczęły się aresztowania, zarówno Polaków jak i Białorusinów, wywożenie na przymusowe roboty, łapanki, nakładanie dużych kontyngentów żywnościowych, co zniechęciło chłopów do Niemców również. Ale sytuacja nadal była trudna. Białoruska Narodowa Samopomoc-elita marionetkowego rządu Białoruskiego, bardzo aktywna i fanatyczna uznawała za swych śmiertelnych wrogów Polaków i komunistów. O ile szukanie tych ostatnich narażało trudności, bo Niemcy bili Czerwoną Armię jak chcieli i dni Związku Sowieckiego zdawały się być policzone, więc całą furję swej nienawiści zwróciła BNS przeciw Polakom. W Słonimiu, Baranowiczach, Stołpcach i innych miasteczkach i wsiach miały miejsce w pierwszej połowie 1942 roku formalne rzezie resztek inteligencji polskiej.

Na nic się nie zdały zabiegi niemieckie oraz nacjonalistów białoruskich i litewskich, aby wprowadzić rozdzwięk pomiędzy Białorusinami a Polakami. Chłop białoruski zaciął się w sobie, nie wierzył w żadne hasła fobiecanki, a Białorusini ponownie zwrócili się do Polaków i szukali u nich pomocy. Białorusin odmieniony politycznie szedł z pomocą każdemu zagrożonemu, uprzedzał, przechowywał, pomagał poszkodowanym. Mowa polska, mimo zakazu, była nadal używana po wsiach i miastach. Wszystko co było polskie, było mile widziane. Czekano na Polaków, jako wybawców jakajdan jednej i drugiej okupacji, każdy prawie poczuwał się do narodowości polskiej. Do ugruntowania Polskości wśród Białorusinów przyczynili się Sowieci, a w szczególności partyzanci sowieccy, rekrutujący się głównie z maruderów i resztek wojska sowieckiego, pozostałego na tych terenach, a wyprzedzonego przez szybko poruszające się wojska niemieckie na Wschód. Rabunki, rozstrzeliwania, dokonywane przez sowiecką partyzantkę, przymusowe zaciąganie chłopów białoruskich do oddziałów sowieckich, różne inne represje, niszczenie i ograbianie gospodarstw, zniechęciły do reszty Białorusinów, a tym bardziej nielicznych komunistów, także polskich, w stosunku do Rosji. Sprawdzianem takich stosunków był moment tworzenia polskich oddziałów partyzanckich w strefie przygranicznej ZSRR, do których garnęli się wszyscy Polacy i Białorusini. Ostatni nie przyznając się do swego pochodzenia, często im wmawianego przez komunistów, twierdząc że są Polakami i chcą walczyć w szeregach partyzantki polskiej przeciw najeźdźcom, a przede wszystkim przeciw bolszewikom. Nie dziw, że w niektórych polskich oddziałach partyzanckich, 40 % stanu rekrutowało się z niedawnych Białorusinów. Zanim jednak powstała oficjalna partyzantka polska na Nowogródzczyźnie ludność wsi sama szukała sposobu obrony przed okupantem i jego pomocnikami.

Gdy cofniemy się wstecz do czasów przedwojennych, tj do roku 1939, stwierdzić należy, że ludność Kresów wschodnich na terenach graniczących z ZSRR, a szczególnie na odcinku powiatu Stołpce, zarówno białoruska, jak i polska w niektórych okolicach, w 80 % była prosowiecka. Agitacja komunistyczna docierała do wszystkich zakątków Ziemi Nowogródzkiej, chociaż nie wszędzie napotykała na podatny grunt. Propaganda sowiecka bezkarnie grasowała po Kresach wschodnich, szczególnie zaś trafiała do środowisk białoruskiej biedoty i żydostwa.

W 1939 roku, z chwilą wkroczenia wojsk sowieckich na wspomniane tereny, ludność ta na każdym kroku wiwatowała na cześć Rosji Sowieckiej. Jednak nie trwało to długo. Rozpoczęły się aresztowania, wywożenie ludzi w głąb Rosji, a w przypadku bogatszych dotknęła różnych ludzi, niezależnie od podawanej przezeń narodowości. Niedługo zaczęły dokuczać ludności niedostatek żywności, jaskrawe nieporządki w organizacji życia gospodarczego; - skąd my to znamy ?, i wiele innych zarządzeń okupanta bolszewickiego, które nie trafiały do przekonania przeciętnego mieszkańca wsi i miast, a otworzyły oczy każdemu zdrowo myślącemu. Urwały się donosy, a Białorusini zaczęli garnąć się do Polaków. Zawiały się ponownie wspólne sympatii i zaufania. Zaczęła się ogólna krytyka istniejących stosunków społeczno-gospodarczych i zarządzeń sowieckich. Teraz dopiero wielu przejrzało na oczy, oceniając komunizm według swojej doli i swego położenia.

Nowych przybyszy niechętnie przyjmowano do swych środowisk. Izolowano się przed ciągłą propagandą sowiecką, a wszystko co sowieckie było wręcz ohydne. Taki stan rzeczy trwał do chwili przyjscia nowego okupanta. Ludność nauczona doświadczeniem pierwszej okupacji, bez widocznego entuzjazmu przyjęła nowego gospodarza, choć z pewną ulgą. Z nieufnością odnosiła się do wszystkich zarządzeń i poczynań Niemców.

Polityka niemiecka na terenach Kresów wschodnich była odmienna od bolszewickiej. Aparat administracyjny szybko opanował całą gospodarkę. Nowy okupant nie naruszał własności prywatnej, ani nie wprowadzał żadnych zmian i reform, a początkowe zachowanie się nowo przybyłych było nawet poprawne. Takim postępowaniem okupant zjednał sobie 90 % chłopów białoruskiego, a nawet niektórych rolników.

Niemcy chcąc poróżnić mieszkańców Nowogródziny, nie dostrzegając między nimi nienawiści narodowościowej, z jednej strony zaprowadzili wyrafinowane metody prześladowania ludności polskiej, z drugiej-oficjalnie faworyzowali Białorusinów i przystąpili do budowy państwa białoruskiego. Powołali prezydenta Ostrowskiego, który rezydował pod ich opieką w Mińsku Białoruskim. Początkowo zyskują poparcie i współpracę znacznej części społeczeństwa pochodzenia białoruskiego i litewskiego.

- nie zdążył przejąć Okręgu

2. Szef organizacyjny- kpt. "Sawa"- Stanisław Stawowski-do 1944.
3. Adiutantura - ppor. "Zdzisław" , "Chmara" , od II.44 por. "Puszczyk"
4. Łączność radiowa- ppor. "Juz" -Józef Orzechwo
5. Łączność konspiracyjna-ppor. "Dąb" nn, "Lwa" nn
6. Szef legalizacji-ppor. Stefan Fedorowicz ps. "Stefan"
7. Szef Oddziału II-wywiadowczy-por. "Bustromiak" /Bolesław Wasilewski/ dla terenu, "Zoja" - dla dowództwa
8. Kwatermistrz-Oddz. IV- ppor. "Dunin" nn, kpt. dypl. Wacław Pecul-"Krzysztof"
9. BIP-Biuro Inform. i Propagandy-dr "Ligeza"-Stanisław Wawrzyńczyk
10. Szef saperów - kpt. "Sybirak"-Józef Lubikowski
11. Szef służby sanitarnej-"Nowogródzki"-dr Bolesław Diczkaniec
12. Szef kancelarii i oficer personalny-por. "Spokojny"-Józef Mamczyc
13. Szef Duszpasterstwa -ks. ppłk "Długosz"- ks. Gedymin Pilecki

Wcześniej niż Okręg powstawały zbrojne oddziały w woj. Nowogródzkim. Załącznikiem oddziału partyzanckiego była grupa 18 ludzi, którą od lata 1942 r. prowadził "Puszczyk"-por. Jan Skorb. Był to oddział utworzony przez Obwód Szczuczynski. W chwili ujawnienia się "Puszczyk" posiadał już ok. 100 ludzi. Oddział ten nosił nazwę "501". Z tego oddziału został wyłoniony oddział dywersyjny pod d-dztwem ppor. Chilińskiego-"Waltera." Powstaje także oddział ppor. Kazimierza Dogiła, ps. "Sawko" w liczbie 24 żołnierzy. W dwa miesiące później zostaje rozbity pod Skidlem. W dniu 5 maja 1943 ujawnił się pod barwami polskimi oddział 313 "Ragnera"-Czesława Zajączkowskiego z Lidy, dużo wcześniej działający po prawej stronie Niemna na przełomie 1942/43. W lipcu 1943 r. "Ragnar" posiadał w swoim oddziale więcej wojska niż stan batalionu. Do czasu ujawnienia działał w przebraniu jako oddział sowiecki i na ich rachunek dokonał wielu akcji zbrojnych przeciwko Niemcom. Jesienią 1943 roku odchodzi na teren Łaczy, Łyszyszek, Werenowa "Krysią"-ppor. Jan Borysewicz z zawodu nauczyciel, przedtem dowódcą plutonu konspiracyjnego w kompanii Wasiliszki, aby na północy Obwodu Lida organizować oddział partyzancki. "Krysią" rozpoczyna od 7 ludzi, 6 kb i 1 automatu. Rozrasta się szybko i stanowi oddział 314. Późnym latem 1943 powstaje na terenie Obwodu Baranowicze oddział 341 pod d-dztwem ppor. "Michała". Gnębiony, w trudnych warunkach społeczno-narodowościowych, przez bolszewików i Niemców przebija się przez Puszcę Lipiczańską, przez centrum partyzantki sowieckiej i stąd dołącza do oddziałów lidzkich. W czerwcu 1943 w rejonie Ługomowicze-Traby-Juraciszki powstaje oddział 321. Dowódcą zostaje ppor. "Zdroja", syn słynnego partyzanta z poprzedniej wojny gen. Bałachowicza. W październiku 1943 przychodzi na teren Okręgu 72 ludzi z Generalnej Guberni /GG/ dobrze uzbrojonych, pod d-dztwem ppor. "Szczęsnego" z organizacji UBK-

/Uderzeniowy Batalion Kadrowy/, prowadzonej przez ppor. Bolesława Piaseckiego, ps. "Sablewski". Oddział ten otrzymał już nazwę III batalionu-77 pp AK. Z tego oddziału grupa 24 ludzi pod d-dztwem "Szczęsnego" - por. Karolkiewicza, jeszcze 16.VIII.1945 r. przekroczyła granicę Prus Wschodnich na północ od Myszyńca i w rejonie Johanisberga wyrzuciła całą wieś niemiecką Mittelheide w odwet za doszczętne rozbicie oddziału polskiego ppor. "Czarnego."

W czasie ujawnienia się Oddziału Ragnera "313" miałem okazję przebywać w tym oddziale przez 3 tygodnie. W tym czasie brałem udział w walce z sowiecką partyzantką, której liczne oddziały przeprawiły się przez Niemen w rejonie Rudzina i Dokudowa i marszem od strony południowej zaatakowały wieś Fikonowce, która stanowiła wysuniętą placówkę AK dla obrony terenu Ragnera przed często pojawiającymi się bolszewikami po żywność. Wieś Fikonowce leżała na wyniosłości terenu wśród bagien. Tylko jedna droga umożliwiała dojście lub dojazd do tej wsi w okresie wiosny, lata i jesieni. Zimą, przy zamurzniętych bagnach, była dostępna z każdej strony. Na wzgórku od strony północy znajdował się mały cmentarzyk otoczony wysokimi sosnami. Na tym wzgórku w okopanych stanowiskach znajdowały się trzy ciężkie karabiny maszynowe typu "Maksim". Z tego miejsca możliwy był ostrzał okolicy wsi we wszystkich kierunkach. Szczególnie zaś chroniona była droga wiodąca do wsi od chaty sołtysa, która znajdowała się na zboczu sąsiedniego wzniesienia, przedzielonego od wsi wąską doliną, wzdłuż której przepływał strumyk, wpadający później do Lidziejki w jej dolnym biegu. Droga wiodąca do wsi zwężała się znacznie w miejscu, gdzie nad strumykiem zbudowany był mostek z okrągłych pni sosnowych. Mostek ów był dobrym punktem strategicznym, ponieważ ograniczał przejście do szerokości chłopskiego wozu.

Wstawał ciepły i pogodny poranek czerwcowy. Wąskie smużki błękitnych dymów unosiły się pionowo w górę z kilku drewnianych domów. To partyzanci przygotowywali śniadanie. Na placówce znajdowały się cztery plutony: sierżanta "Zabawy", dwa plutony z kompanii zmotoryzowanej "Pazurkiewicza" oraz czwarty pluton /d-cy nie pamiętam/. Obsada kadrowa placówki w Fikonowcach często zmieniała się, więc spotykało się co raz nowe twarze. Łącznie przebywało na placówce ok. 100 żołnierzy. W pewnym momencie wartownik zameldował, że poza chatą sołtysa w sadzie owocowym zaobserwował krzątanicę kilku ludzi. Po tym sygnale łącznicy rozbiegli się po kwaterach, zarządzając całkowitą ciszę i pogotowie z bronią, z zakazem wychodzenia z kwatery. Czujki zostały wystawione w czterech punktach obserwacyjnych. Nie minęło pięć minut, jak wojsko było całkowicie gotowe na dalsze rozkazy. Z tamtej strony wystawiono obserwatora, który lornetował placówkę z wysokiej brzozy przy stodole sołtysowej. Od naszej

strony obserwator sowiecki widziany był jak na dłoni. Cóż, brzoza z drobnymi listkami nie kryje. Z tamtej strony ukazało się najpierw czterech jeźdźców, którzy zmierzali drogą ku dolince. Po chwili puszczone w naszą stronę spoza stodoły krótkie serie z broni maszynowej. I znowu zaległa cisza. Kolby naszych karabinów i automatów grzały się w dłoniach niecierpliwych, ale wszyscy czekali na rozkaz. Za chwilę puszczone z tamtej strony kolejne serie. Po naszej stronie cisza. Wreszcie pojedynczy strzał, zabłąkany czy przymierzony, trafił w szopkę, która w mgnieniu oka stała się pochodnią. Był to pocisk zapalający. Przy bezwietrznej pogodzie ogień nie rozprzestrzeniał się, a pochodnia szybko się dopalała. Z czterech chat, w których dym wskazywał na obecność ludzi, wyszło czterech cywilów. Wśród nich było dwóch autentycznych chłopów, którzy pilnowali dobytku wsi, dwóch innych stanowili nasi żołnierze, w cywilu. Starając się być widocznymi dla wroga, machali rękami, by z tamtej strony nie strzelano. Minęło ładnych parę chwil, a ukazał się naszym oczom pochód kilkuset uzbrojonych i cywilów bez broni. Na czele zmierzało ku wsi ok. 50 konnych. Mogliśmy już rozróżnić poszczególne sylwetki. Na ramionach oficerów zwieszały się ku dołowi peleryny kozackie. Żołnierze czterech plutonów zostali rozmieszczeni zgodnie z zaplanowaną akcją. W pogotowiu były stanowiska karabinów maszynowych na przyjęcie gości. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali na wystrzał czerwonej rakiety. - Zachowanie się przybyszów wskazywało, że uważali placówkę naszą za nieobsadzoną. Być może zmyliły ich donosy konfidentów, w związku z wymarszem kilku plutonów dwa dni wcześniej do siedziby Ragnara, tj. do Bielicy po drugiej stronie Niemna.

Kiedy konnica i pierwsze szeregi minęły mostek, kierując się ku wsi, na sygnał czerwonej rakiety zarechotały "maximy". Ze wszystkich czterech stron kanonada skierowała się na okolice mostku. Ciała koni i pieszych tarasowały drogę i mostek. Wąski, ale stosunkowo głęboki po pas strumień utrudniał wspinanie się po stromych wałach zabezpieczających przed rozlewaniem się wód na teren dolinki. Strzelanina oddziałów nieprzyjaciela, znajdujących się na tyłach kolumny, do niewidocznych celów nie dała żadnego efektu. Oddziały zaczęły się wycofywać w popłochu, pozostawiając zabitych, rannych i porzuconą broń. Aby cofające się oddziały sowieckie nie miały dość czasu na opanowanie sytuacji, ruszyła w pogon naszą konnica. Dalekosiężna broń automatyczna w dalszym ciągu czyniła popioch, tym razem na czele cofających się oddziałów.

Jak zwykle w takich wypadkach, gdy siły nieprzyjaciela były dość znaczne, jeszcze przed bitwą pocwałował galopem goniec do dowództwa sztafety, by nad Niemnem oczekiwać na cofające się oddziały wroga. Z okolicznych placówek wyruszył kto był i mógł na spotkanie ku rzece.

Tam rozegrał się finał spotkania. Kto nie zdążył do przeprawy przed ^{zy}byciem pogoni, albo nie zaszył się w chaszczach, nie wrócił do swoich. Okoliczni chłopcy znieśli ciała poległych i pochowali w zbiorowej mogile. Zdobyto ok. 20 karabinów jednostrzałowych i kilka automatów typu pepel ^{isa}

Na drodze od Niszna do Filonowców znajdowała się wielka wieś Dokudowo, licząca około 2 tys. numerów, zamieszkała przeważnie przez chłopów rosyjskich z dawien dawna, z czasów caratu. We wsi była cerkiew i "batuszka"/duchowny/, który posiadał pięknego czarnego konia. Stał się ^{on} łupem naszej placówki, ponieważ został zdobyty w tej walce od oficera sowieckiego. Z Dokudowem był związany Jerzy Putrament oraz Puttkamerowie, a mieszkańcy tej wsi jeszcze nie raz byli świadkami zmagani partyzantów polskich i sowieckich.

Nawiązując do idei odtwarzania Polskich Sił Zbrojnych i zachowania ciągłości organizacyjnej wyszczególnione oddziały nowogródzkie przybrały nazwy batalionów 77 pułku piechoty, stacjonującego przed wybuchem wojny w Lidzie, w obwodzie stołpeckim 78 pp, stacjonującego w Baranowiczach, zaś szwadron kawalerii 26 pułku Ułanów wielkopolskich, stacjonującego w Baranowiczach. Ten ostatni miał następującą dewizę: "Gdzie koń chudy, ułan tłusty, to jest pułk dwadziesty szósty," a skończył boje partyzanckie w Kampinosie koło Warszawy. I dywizjon 27 pułku ułanów, stacjonującego w Nieświeżu z dewizą "Lejbgwardziści, donżuagi, to nieświescy są ułani. I szwadron c.k.m. 25 pułku Ułanów Grodzieńskich ze starą dewizą: "w boju kreski, w mira sławny, dwadzieśc trzeci prawosiawnyj."/w/w do wizy w/g Cezarego Leżeńskiego w książce p.t. Zostały tylko ślady kopyt/

Pod względem ilości członków Armii Krajowej, Obwód Lida-kryptonim - "Bór", był największym obwodem w Okręgu Nowogródzkim. Miasto i powiat zamieszkiwali Polacy, gdzieś tam tylko ludność białoruska i wzdłuż rzeki Dzitwy w jej górnym odcinku trochę ludności litewskiej.

W północno-wschodniej części miasta istniało od r. 1942 ghetto dla ludności żydowskiej, które w jesieni 1943 Niemcy zlikwidowali, wywożąc jego mieszkańców do obozu śmierci w Treblince.

Obwód Lida dzielił się na miasto i powiat. Komendantem miasta był kpt. "Dolina"- waligora, któremu podporządkowane były 5 kompanie miejskie. Powiat miał ich daleko więcej i stale się rozbudowywał. Co kilka m-cy przybywały nowe związki, w terenie stale coś dzielono, wykrawano i łączono. Dlatego też niektórzy dowódcy zatajali faktyczne stany oddziałów, aby nie odbierano nadwyżek do tworzenia nowych oddziałów partyzanckich. Pierwsze kroki organizacyjne w Obwodzie Lida rozpoczęto w drugiej połowie stycznia 1942 r., aby działające już w terenie oddziały partyzanckie objąć organizacyjnie oraz dowodzeniem ze szczybla Okręgu Armii Krajowej. Teren Obwodu obejmował dawny powiat Lidzki w/g podziału administracyjnego sprzed 1939 roku, pomniejszony o 5 gmin, które odeszły:

-do Obwodu Szczuczyńskiego: Wawiórka i Zabłoc,
-do Obwodu Juraciszki: Iwie, Lipniszki i Sobotniki.

Latem 1942 r. funkcję Komendanta Obwodu Lidzkiego powierzono technikowi Powiatowego Urzędu Drogowego inż. Kurzelewskiemu ps. "Sulima."

Siły partyzantki Nowogródzkiej oceniano różnie, a niektóre stany liczbowe znacznie odbiegały od siebie, z tych względów, o czym na str. 190.

77 pułk piechoty Armii Krajowej

w/g w e r s j i

Bataliony	I	II	III	IV	U w a g i
I.	350	350	350	350	
II.	650	650	700	650	
III.	500	480	550	600	
IV.	500	1600	1000	800	
V.	300	300	500	500	
VI.	500	650	600	600	
VII.	780	780	200	780	
VIII.	200	200	250	200	
I. 78pp	nie objęto statystyką			700	
1.komp.saperów 77pp	100	100	100	nie obj.Statyst.	
2.komp.saperów 77pp	100	100	100	" "	"
Samodz.komp.lotnicza n.obj.		70	70	" "	"
Dywizjon 27 p.ułanów n.obj.		300	n.obj.	300	
1.szwadron c.k.m.23p.uł."		150	n.obj.	150	
sam.komp.łączności	n.obj.	n.obj.	80	" "	"
1.szwadron 26 p.uł.	n.obj.	60	n.obj.	"70 "	"
O g ó ł e m:	3 980	5 410	4 300	5 700	

Uwagi:

I.wersja w/g Polskie Siły Zbrojne s.607

II.wersja w/g Janusz Prawdzie-Szlaski ppłk "Borsuk"-Nowogródzyczna w walce 1940-1945, Londyn 1976 s.128-130.

III.wersja w/g oprac."Oskara"-Bernard Zakrzewski, szef kontrwywiadu Komendy Głównej AK-"Schemat Nowogródzkiego Okręgu AK."

IV.wersja w/g Roman Korab-Żebryk: Operacja Wileńska AK, wyd.PWN 1985 s.458 i 459.

Wydaje się, że żadna z tych wersji nie oddaje stanów faktycznych. Każda z nich pochodzi z innego okresu i na dobrą sprawę nie powinny być zestawione, mimo to rzuca się w oczy rozbieżność, polegająca na pomniejszaniu stanów z upływem czasu, co jest absolutnie nieprawdziwe, ponieważ było odwrotnie, a tego wymagała aktualna sytuacja samej ludności i sprawy. Najbliższy prawdy jest stan wersji IV, oscylujący w granicach 6 tys. po uwzględnieniu uwagi w tekście, że nie obejmuje służb pomocniczych. Ponadto należy zwrócić uwagę, iż w ostatnim okresie czasu V-VI.1944r. dowódcy

niektórych batalionów, np. "Ragnar", przeprowadzili pobór wśród dorosłej młodzieży miast i miasteczek do partyzantki na podstawie imiennych kart powołania. Ta młodzież nie została objęta statystyką i ewidencją w związku z szybko następującymi po sobie wydarzeniami, objętymi akcją "Burza" - ogólnonarodowym powstaniem.

Poborowi nie lekceważyli kart powołania. Świadomi byli skutków, jakie mogły nastąpić. Egzekutywy Okręgu i Obwodów działały sprawnie, a wyroki wykonywane były z całą surowością. Doświadczyli ich zdrajcy i szpicle, najpierw w postaci ostrzeżeń i upomnień, strzyżenia na goło /kobiety/, potem kary chłosty popularnie zwanej "wyciorkami". Ostateczna kara śmierci przynosiła najlepszy rezultat. Rzadko i tylko w ostateczności stosowano karę śmierci, i tylko wobec tych, którzy mimo ostrzeżenia działali na szkodę narodu polskiego i konspiracji. Np. na policjanta z SD "Kłyszajkę" - niebezpiecznego szpicla niemieckiego, zamach wyznaczono na dzień "Bożego Ciała". Wykonawcy: obserwator, dwóch do wykonania wyroku, krzykacz, 8 ludzi osłony. Dla zwiększenia efektu ludność miasta Lidy została poinformowana o zamierzonym wyroku. Przez kilka dni skazany otrzymywał pisemne powiadomienie następującej treści:

- psie niemiecki zginiesz w czwartek /czyli 19 czerwca 1943 roku/;
- następnego dnia: psie niemiecki zginiesz pojutrze;
- kolejnego dnia: psie niemiecki zginiesz jutro;
- psie niemiecki zginiesz dzisiaj.

Kiedy zgromadziły się tłumy ludzi w kościele i przed kościołem farnym, a zainteresowany szedł z żoną pod eskortą żandarmów, obserwator dał znak umówiony, egzekutorzy celnie strzelają z ukrycia w tłumie, krzykacz woła: Ludzie, łapanka. W ogromnym rozgardiaszu Kłyszajko poniósł zasłużoną karę, osłona niemiecka zgubiła się w tłumie, nikt z ludności nie doznał krzywdy.

Trudny był zamach na renegata Jerzego Rippera-szefa siatki agentów i SD w Lidzie, nota bene ucznia Gimnazjum Ogólnokształcącego znanego przez wszystkich uczniów gimnazjum, -syn majora WP sprzed wojny.... żyda-przechrzty z Austrii. Byłem jeszcze w domu i wtedy pracowałem na kolei. Od "Ragnara" zgłosił się do mnie z hasłem młody mężczyzna-doświadczenie wojskowe przemawiało w każdym słowie i w każdym geście. Polecono mu przenocować w moim domu, a rano miałem go odprowadzić na skrzyżowanie ulic Miennickiego i 17 kwietnia. Około godz. 7 rano ku skrzyżowaniu zbliży się jeszcze dwóch uzbrojonych. Miałem czapkę dać znać im trzem z ulicy 17 kwietnia, iż nadjeżdża Ripper samochodem, jak niemal każdego dnia o tej porze. Wieczorem mój nieznajomy przybysz czyścił swą broń, czynił to długo, chcąc chyba rozładować swoje napięcie psychiczne. Rankiem wyszliśmy, ale na próżno, Ripper tego dnia rano nie jechał.

Były jeszcze dalsze próby, ale bezskuteczne. Ripper i były partyzant Jan Maź ps. Miotła ciągle wymykali się czyhającym nań zamachowcom. Wreszcie w ostatniej dekadzie stycznia 1944 r. warszawiacy plut. "Słowik" -nn oraz kpr. "Zośka"-Jerzy Koenig-wychowanek Lwowskiego Korpusu Kadetów, żołnierze 1 komp. I batalionu 77pp AK, w Lidzie na ul. Kasztanowej, w mieszkaniu prywatnym Rippera dokonali zamachu, w wyniku którego "Miotła" został zastrzelony, a Ripper ciężko ranny. Według późniejszych relacji był leczony w Berlinie i wylizał się z ran, a po wojnie widziany w Olsztynie. Nieznane są ich dalsze losy. W tym trudnym zamachu obaj bohaterscy żołnierze zginęli. "Słowik" na progu mieszkania, "Zośka" ranny w nogę zastrzelił się nie widząc szansy ucieczki przed watahą zbliżających się Niemców. Jak podają niektórzy autorzy relacji, zamachów dokonano ok. 300, po kilka w jednym dniu, aby Niemcom utrudnić ściganie zamachowców.

Przegląd batalionów 77 pułku piechoty Armii Krajowej

Batalion I.

Stan: 700 w/g relacji "por. Lwa"/

Dowódca- kpt. "Zych" /Władysław Żogło/

Adiutant-ppor. "Sawko" /Kazimierz Dogil/-zamieszkuje w Spocie

Lekarz -ppor. "Brodacz" nn, przybyły z Polski środkowej z oddz. Sablewskiego; nie byłby ozdobą stowarzyszenia abstynentów

1 kompania -dowódca ppor. "Lew"-por. mgr inż. Jan Wasiewicz, zam. Warszawa /w drugiej połowie V. 1944 odkomenderowany z kompanią do VII batalionu-"Ponurego."
-potem: ppor. "Men"

2 kompania -dowódca ppor. "Bartek"-/Józef Klukiewicz/ zmarł w X. 1984.

3 kompania -dowódca ppor. "Dąb"-/Jerzy Dąbrowski/

Stoczone walki: Dubicze, Żołudek, Różanka, Mjszyszki, Lipniszki, Orla, Sobotniki, Stankiszki, Zaczepice, Jaszuny-Stasiły, Starzynki-Szereźnie, Lubarty VII.43., Berdówka /zasadzką na szosie Lida-Iwje/VII.43, Krasula V.44., Puszcza Rudnicka VII.43., Hociewicze X.43., Suchary 16.V.44., Uniechowszczyzna 16.IV.44.

LUBARTY: Było upalne lato 1943r. Patrole przeczesywały teren między Orlą a Bielimą na odcinku Niemna do szosy Bielica-Żołudek. Meldunki donosiły, że Niemcy przygotowują oblężenie oddziałów partyzanckich, które zostałyby pozbawione możliwości wydostania się z kotła, szczególnie w kierunku Puszczy Rudnickiej. Niemcy obsadzili szosę i tor kolejowy Lida-Baranowicze, Lida-Mołodeczno i szosę Lida-Trokiele. Niektóre brzegi Niemna obsadzono Niemcami z oddziałów posiłkowych Słonimia i Wołkowyska. Rozkaz brzmi: przed zmrokiem przekroczyć szosę i tor do Baranowicz, nocą szosę Lida-Trokiele i tor Lida-Mołodeczno, czyli wyjść z oblężenia. Kompania otwiera drogę batalionowi, który wyciąga się w długi lecz zwarty wąż, a 3 pluton 1 komp. ubezpiecza tyły wachlarzem tyraliery. Po dwóch

godzinach marszu, jeszcze za dnia, w lewo od wsi Drozdowo przeskakuje tor i szosę z Lidy do Baranowicz. Zwolnionym tempem przemknął się między winojtami i henczarami, napoił konie w wodach Dzitwy i zaszył się w lasy. Po siedmiu godzinach uciążliwego marszu, obiadowani dodatkowymi porcjami amunicji i granatów, na komendę stój wyciągają zbolale nogi. Za sobą mają 50 km polnych dróg. Krótki odpoczynek, marsz ubezpieczający tabory, wreszcie spokojne przejście szosy Lida-Iwje. Tuż za nią błysnęła w oddali rakietka niemiecka, zwiastująca ich obecność przy torze kolejowym Lida-Mołodeczno. W oddali polyskują szyny torowiska. Na komendę posłane zostają dwie salwy. Przy silnym ostrzale oddziały wpały na Niemców zalegających skarpy torowiska. Hurknęło stokrotnym grómem granatów, zawyło powietrze ciężkimi odłamkami. Nasze granatniki i moździerze dopełniły raszy. Niemcy uciekli. Z torowiska posłano kilka sal i setki granatów. Tuż za torami batalion z kompletnym taborem zaszył się w gęsty las. Uzupełniono amunicję, dwóch rannych umieszczono na podwozach. Jeden żołnierz zaginął. Kolumny ruszyły. Od strony naszej szpicznowo zaterkotały pm-y i rkm-y. Znowu tyralierą bez zalegania w terenie, bijąc seriami z pasa kompanie uderzyły na szosę. Błyski niemieckie były znacznie rzadsze niż na torach i zniknęły równie szybko, jak powstały. Bez strat, po godzinie marszu, o świcie przebyli wpływ wody Żyżmy i po dalszym marszu ostatkim się, ogromnie zmęczeni rozłożyli się w lesie pod Trokielami obozem pilnie strzeżonym. W ciągu 12 godzin wojsko miało za sobą 40 przebytych kilometrów i dwie stoczone bitwy. W lesie przesiedzieli cały następny dzień i noc.

O świcie trzeciego dnia rotmistrz rozkazał patrolować drogę do następnego mp przewidzianego w lesie za Lubartami w kierunku Bieniakon. wyruszył ppor. "Lew" w drogę, a batalion w kilka godzin później kroczył przetartą drogą na Weronów, Towzginieny, Lubarty, Kalitańce, skąd już "o krok" do Puszczy Rudnickiej. Przednia szpica ppor. "Lwa", składająca się z dwóch plutonów w liczbie 50 żołnierzy przeszła bagnistą Żyżmę obok Mikiańców i przeskoczyła przez tor i szosę Lida-Wilno, omijając bunkry niemieckie w okolicy stacji kolejowej Bastuny. Minęła bokiem weronów i spomiędzy drzew obserwowała dużą wieś Kletniki, położoną między dwoma wzgórzami. Na odgłos uszytych pojedynczych strzałów wyruszyła drużyna "Franka" i zakrzaczonym rowem dostała się do wsi, skąd miała spod studni z żurawiem na skraju wsi wskazać wolną drogę dla pozostałych drużyn szpiczy. Okazało się, że strzelali szaulisi-litewscy policjanci. Po załatwieniu ich i zdobyciu dwóch karabinów, wojsko "Lwa" rozesłano po gospodarstwach na obiad, a jego samego miał gościć sołtys, pełniący obowiązki gospodarza wsi. Wystawiono posterunki. Nagle jeden z wartowników zameldował podporucznikowi ruch gońców cywilnych

między chałupami. Dowódca stwierdził po chwili, że po stokach pagórków otaczających wieś zbliża się tyraliera Niemców i szaulisów. Na oko było ich ok.400. Drużynami z ostrzałem Lew skierował się ku zwięzonemu wyjściu ze wsi w kierunku Bieniakoń. Widząc ten manewr Niemcy usiłowali zamknąć naszych pomiędzy wzgórzami. Drużyny "Lwa", dobrze kryjące się wśród jaiowców na łączce rozdzielającej wzgórze, dobrze również wstrzelane w tyralierę przeciwnika, zmusiły Niemców do wycofania się poza granie pagórków. "Lew" zdążył w tym czasie dopaść lasu odległego o 500 m i tam bezpiecznie w szyku bojowym przyjęli kurs na Bieniakonie. Po drodze w gajowce k/Posoleczy zaspokoili głód i otoczeni wartami przespali do rana. Na drugi dzień dotarli do mp pod Bieniakoniami. Drużyny szpicy miały dwóch lekko rannych. Wywiad doniósł, że Niemcy pod Lubartami stracili 17 zabitych, których odwieziono do garnizonu Lidzkiego. W obcym terenie dla batalionu nadniemeńskiego równie było niebezpiecznie, ale własne tereny były znane na wskroś, więc mimo wszystko poprzedzani patrolami po kilku dniach wrócili na stare leże. Niemcy zaś wrócili do miast, wiedząc że partyzanci uszli zasadzce. Taka to była dola partyzancka, leśnego wojska bez stałego miejsca postoju.

Batalion II.

Stan: 650

Dowódca: por."Kryśia" /Jan Borysewicz-nauczyciel/
Adiutant- sierż/por."Socha" /inż.Franciszek Załuski/
Lekarz- ppor."Burda"/Ryszard Fidełski/
Kapelan - ks."Pokorny"- „Poważny”
4/ 1 kompania - dowódca ppor."Bzura", dawniej "Oleś"
5/ 2 kompania - rotmistrz "Antoni" /Antoni Borowicz/
6/ 3 kompania - d-ca ppor."Wiesław" /A.Krzywicki/

Batalion II należał do Zgrupowania Północnego dowodzonego przez d-cę tegoż batalionu por."Kryśię." Działał z V batalionem w północnej części Obwodu Lida, sięgając wypadami na sąsiedni wileński teren.

Akcje i stoczone walki: Wawiórka, X.1943 pod Koniawą z 300 litewskimi szaulisami, VIII.43 we wsi Litwica k/Bieniakoń j.w., I.44-oddz. sierż."Bza" i "Rączego"/Tadeusz Bieńkiewicz,mój kolega z kl.II Gimnazjum/ odbił z więzienia lidzkiego na Syrokomli 69 więźniów zdekonspirowanych w gminie Raduń,20/21.V.44 napad na garnizon niem.w Raduniu-zdobyto 5 ckm,7 rkm;radiostację i 30 wozów sprzętu wojennego, w Ejszyszkach zdobyli sporo towaru i broni, I.44 zlikwidował załogę niem. w Horodnie, Bastuny, Werenów, Myto, Koleśniki, Rudnia, Sumy, Kaczoty, Puchacze, Ryski, Sobakińce, Wersoki, Opza, Dubicze, Motyle, Kacza, Pielasa, Kowalki.

Ambicja d-cy "Krysi" dorównywała jego wielkim zdolnościom. Młodszy stopniem od "Sztremera", był d-cą Zgrupowania. Odwaga, spryt, natychmiastowa decyzja, umiejętności zapamiętywania rzeźby terenu i mapy wysunęły go na czoło d-ców średniego stopnia. Spośród działań wyżej wyszczególnionych, na uwagę zasługują wzmożone działania dywersyjne i bojowe przed akcją "Burza" ;-----

Od II.45. Okręg wzmożył dywersję, celem dozbrojenia oddziałów w polu i siatki konspiracyjnej. Przez te walki opanowano całkowicie póln teren Okręgu, tak że Niemcy panowali tylko w większych miastach oraz pilnowali tylko linii kolejowych biegnących z zachodu na wschód i odwrotnie. Linie kolejowe były strzeżone bunkrami co 5 km, co w niczym nie przeszkadzało w poruszaniu się naszym oddziałom. Teren cały pozostawał w rękach polskich. Przebieg ważniejszych walk, przeprowadzonych przez wojsko batalionów 77 pp AK, przedstawiał się następująco:

- 1/ Na początku grudnia 1943 r. oddział pod d-dztwem por. "Krysi" odbił między wasyliszkami a wawiórką 26-ciu aresztowanych z kompanii konspiracyjnej Wasyliszki, konwojowanych do Lidy pod strażą żandarmów niemieckich i Ukraińców. Wybito całą eskortę 25 SS-manów.
- 2/ Na początku stycznia 1944 r., właśnie 17/18.1.1944 kilkunastoosobowy oddział z batalionu "Krysi", na czele z sierż. Alfredem Frysem, ps. "Bez b. żołnierzem Wehrmachtu, który jako Polak zdecydował się wstąpić do partyzantki a doskonale rozmawiał po niemiecku, co sprzyjało niewątpliwie tej akcji. D-cą plutonu był "Rączy" /Tadeusz Bienkiewicz-mój gimnazjalny kolega z jednej klasy/. Odbili 69 więźniów, w tym działaczy konspiracji, a także moi koledzy gimnazjalni. Wyprowadzili ich z miasta przez dzielnicę Wismonty i po przekroczeniu rzeki Lidzkiej, przemoczeni oraz ziębnięci /styczeń/ dotarli do Niecieczy, a stamtąd na wyznaczone mp. Strat własnych nie było. Niemców rozbrojono, 2 strażników więziennych zabito. Niemiecki garnizon w Lidzie liczył przeciętnie od 12-18 tys. wojska i policji niemieckiej. więzienie znajdowało się w pobliżu stacji kolejowej. Tym większa jest zasługa plutonu Frysa i chwała dla batalionu "Krysi".
- 3/ Dn.6.IV.1944 po stoczonym walce z niemieckim pociągiem pancernym, oddział "Krysi" zajął Bieniakonie /miasteczko/ i uwolnił aresztowanych żołnierzy AK. Wzięto także jeńców niemieckich do wymiany w innym mieście. Zdobyto 20 rkm, 2 automaty, kb, amunicję. Oddziały "Krysi" znane były z brawurowych i odważnych akcji, co gwarantowało powodzenie.
- 4/ Dn.6 maja 1944 zlikwidowano posterunek na moście rzeki Dzitwy w miejscowości Myto, zdobywając 1 ckm, 21 rkm, 91 kb i amunicję. Wykonał oddział "Krysi."
- 5/ Dnia 22 maja 1944 w akcji rozbrojenia straży granicznej między GG

a Ostlandem stoczono ciężką walkę w miejscowości Opsa, której nie udało się przedtem zdobyć sowieckim oddziałom w sile kilkuset ludzi. Drugi batalion "Krysi", po parogodzinnej strzelaninie zdobył bunkry i umocnienia miasteczka, przy czym wzięto do niewoli 50 Niemców oraz zdobyto uzbrojenie i skwipunek. Garnizon białoruski Opsy przeszedł na naszą stronę.

Batalion III.

Stan: 600

Poprzednio UBK /Uderzeniowy Batalion Kadrowy/ złożony z warszawskiej młodzieży, która brawurowym rajdem ze stolicy w jesieni 1943 roku krwawo okupiła przemarsz na Nowogródzczyznę.

Dowódca: ppor. "Sablewski" /Bolesław Piasecki/-założyciel stowarzyszenia PAX /zmarł I.1979/. Dowodził z fachową pomocą ppor. "Jacka"-Ryszarda Reiffa-prezesa PAX i posła na sejm.

Adiutant: ppor. "wroński"

Lekarz: dr "Kroczetow"/Grintel/-/Goebel/.

Kapelan: "Oro"

7/ 1 kompania d-ca por. "Szczęsny" /Stanisław Karolkiewicz/

8/ 2 " d-ca ppor. "Jacek" /Ryszard Reiff/

9/ 3 " d-ca ppor. "Olgierd" zginął pod wilnem, potem:
ppor. "Bojar" /Krasicki/

Batalion III. należał do Zgrupowania wschodniego, chroniącego Obwód Juraciszki.

Ważniejsze walki: Piaskowce, Stankiewiczze, Dworzyszczce, Traby, Wity, Smolarnia 1.II.44., Juraciszki, Lida, Wikszniany, Wiadziany, Krónia, Bokrzyszki, Dokudowo, Piaskowce, Maciewiczze, Brzozowce /Brzozowiec/ 2x, Zblany, Wilno.

Spośród wszystkich dowódców batalionów największe zainteresowanie budziła osoba Bolesława Piaseckiego. Przed wojną przywódca wzorowanego na faszystach Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga, a od wiosny 1941 r. Konspiracyjnej Federacji Narodu.

Batalion uszczypliwie nazywano przez kresowiaków "wojsko Królowej Jadwigi", ponieważ grupował przede wszystkim młodzież inteligentką /ale nie tylko/, miejską- sporo warszawiaków. Uprawiając własną politykę narodowościową postanowił wykorzystać Litwinów i zbliżyć ich do obozu alianckiego.

Mjr. "Kotwicz" zorganizował w okolicach Hołdowa obóz szkoleniowy, dowódcą którego był ppor. Wołkowyski/UBK/, a Wołkowyski z elewami wymaszerowali do Piaseckiego, tworząc 3 kompanię tego batalionu.

Dnia 27.IV.44. zlikwidowano kompanię szturmową wehrmachtu w Juraciszkach zajmując miasto. Zdobyto 3 ckm, 20 rkm, działko ppanc., amunicję. Akcję przeprowadził "Szczęsny"-por. i kpt. "Pal"-ten z VI batalionu.

Batalion IV.

Stan: 1600

Powstał z oddziału 313. Oddziały te najdłużej przebywały w Lidzie i były najliczniejsze - batalion także.

Dowódca: ppor. "Ragnar" - zwany potocznie przez wszystkich "Ragner" - Czesław Zajączkowski - technik z Lidy. Doskonały organizator oraz dynamiczny przywódca. Zorganizował szpital, własną podchorążówkę partyzancką, w której szkolił wszystkich przybywających ochotników oraz powołanych kartą mobilizacyjną tegoż dowódcy. Siał postrach wśród partyzantów sowieckich i komunistów.

Adiutant: ppor. "Pietia" nn

Lekarz: ppor. "Demon"

10/ 1. kompania d-ca ppor. "Fred" nn

11/ 2. kompania d-ca ppor. "Pazurkiewicz" /Jerzy Bokłazec/ - został powieszony publicznie przez Sowietów w 1944 r. w Lidzie na rynku, wyrokiem za zdradę ojczyzny /jakiej?, czyjej?/ Życie zakończył okrzykiem: Niech żyje Polska.
Mój sąsiad z Lidy. Brat Romuald zam. w Gorzowie.

12/ 3. kompania d-ca Henryk Baklan /kol. szkolny - nie żyje/ krótko, ppor. "Letnik" nn

z-ca ppor. "Hatrak" /Franciszek Cieplicki/

IV. batalion należał do Zgrupowania Nadniemeńskiego pod dowództwem mjr "Kotwicza" /Macieja Kalenkiewicza/. Działał na linii: Lida, Mosty, Wołkowysk oraz na innych sąsiednich terenach za wiedzą i zgodą pozostałych batalionów, szczególnie często "występował" na terenie podległym "Krysi."

Ważniejsze walki: Fikochowce VII.43. i II.43., Berdówka VII.43., Lubarty VII.43., Niemen, zasadzka na szosie Lida-Iwje VII.43., Morgi V.43., Puszcza Rudnicka VII.43., Puszcza Lipieckańska 5-krotnie, Myszyszki, Wsielub, Dokudowo 5-krotnie, Bielica, Ręcuki, Nieciecz 2-krotnie, Orla, Bielica, Hoidów, Zbliany, Dąbrówka, Piaskowce, Glechnowice, Dziewanowice.

W lutym 1945 roku po raz pierwszy miałem przyjemność uczestniczyć w kilku akcjach "Ragnera." Organizowałem pogrzeb partyzanta na cmentarzu katolickim w Lidzie. Dziewczęta z ul. Grażyny przygotowały wieńce z szarfami narodowymi, a chociaż była eroga zima postarały się o świeżą zieleń. Grób został przygotowany. Kiedy przed godziną policyjną ściemniło się grono zaufanych ludzi przybyło na tę smutną uroczystość. Jeden z uczestników przybył z oddziału. Kiedy uroczystość zbliżała się ku końcowi, odpowiedzialny za wieńce kol. Józek Pujdak, powojenny kapitan WP, dał znak i poszczególne delegacje złożyły wieńce. Wamiastką salwy honorowej dla bohatera był pojedynczy strzał z pistoletu. Odgłos strzału zgłuszyła gęsta zieleń świerków. Obecni odśpiewali hymn narodowy.

Dwa dni później zostałem powiadomiony, że wezmę udział w "akcji ludzkiej" na fabrykę obuwia. Wcześniej rano od "Ragnera" przyjechało zwykłym chłopskim wozem trzech chłopaków w cywilu. Jeden z nich był moim dobrym znajomym: Staszek Paszkowski ps. "Szara-Biała." W porze obiadowej, kiedy dyrektor fabryki wychodził na obiad, czwórka podjechała do bramy z ul. Suwalskiej. W kantorku skrępowani zostali strażnik i majster niemiecki, kable telefoniczne zostały przecięte. Skrępowanych zamknięto w podręcznym magazynku. Jeden z naszych strzegł drzwi wychodzących na dziedziniec fabryczny, drugi od ulicy. Pozostali dwaj wyładowywali z podręcznego magazynu 4 worki obuwia wojskowego. Na szczęście nie trzeba było interwencji siłowych, bo akcja została przeprowadzona szybko i sprawnie. Furmanka skręciła zaraz w ul. Lidzką i przez Roślaki wyjechaliśmy w pola, a stamtąd zaszyliśmy się w lasy. Sprawnie i bez niespodzianek przekroczyliśmy szosę Lida-Kirianowce-Iwje, potem już przez Wieciecz i Fiłonowce dotarliśmy na miejsce nad Niemnem.

W kilka dni po akcji Staszek "Szara-Biała" organizował ucztę imieninową. Wydawało się, że był solenizantem. Potem dopiero przekonałem się, że w m-cu lutym nie ma żadnego Stanisława. Musiała to być uroczystość innego "Świętego." Trudno po tylu latach pamiętać. Było dużo swobody, ponieważ późnym popołudniem dwa plutony odmaszerowały do Bielicy, odprowadzając liczną gromadę ochotników na podchorążówkę. Został w Fiłonowcach tylko jeden pluton sierżanta "Zabawy." warty były wystawione, a reszta ucztowała do późnej nocy. Na stole stał duży gąsior ajerkoniaku, sporządzonego ze spirytusu własnej produkcji chłopskiej oraz 60 utartych żóitek. Na stole nie brakło mięsiva i wędliny. Nie wiem, czy specjalnie, czy też po drodze powrotnej, zatrzymała się moja ciotka-żona wuja Józefa Wilniewczyca z Lidy. Około północy goście rozeszli się na kwatery, zmieniono warty i wszyscy usnęli twardym snem.

Około 4 nad ranem obudził wszystkich jeden pojedynczy strzał. Na ten alarm przede wszystkim zerwali się: "Zabawa", "Szara-Biała" w stopniu chyba plutonowego oraz kilku innych podoficerów. W świetle budzącego się dnia zobaczyliśmy na stoku pod chatą sołtysa poza wsią kilkunastu konnych, a wśród nich kilku oficerów w kozackich pelerynach. Gorzej wyglądała sytuacja od strony wschodniej, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągały się rzadko rosnące na bagnach łozy /wiklina/. Zamarznętym terenem bagiennym szła ku nam rozciągnięta szeregiem długa tyraliera, a za nią masa ludzka. Pierwszą decyzją d-cy plutonu było wysłanie gońca do mp batalionu z wiadomością o oblężeniu placówki w Fiłonowcach.

Przy tak skromnej załodze trudno było silić się na obronę placówki, zwłaszcza że zimą była ona dostępna ze wszystkich kierunków. Pierwszy wyskoczył na wiejską uliczkę sierż. "Zabawa" z pepeszą. Zanim przymie-

rzył się przy piotku z rzadko ustawionych kołków, otrzymał chyba zupełnie przypadkowo strzał w szyję, w okolicy szczęki. Sanitariuszka opatrzyła, a kilku chłopaków wyekspediowało rannego chłopskimi saniami do szpitala w Bielicy. Dowodzenie objął "Szara-Biała". Zabezpieczono ckm w przygotowanych dla nich miejscach i postanowiono ostrzeliwując się wycofać w kierunku północno-wschodnim dla zmylenia przeciwnika, przechodząc po zniknięciu w łożach i olszynch na kierunek południowo-zachodni, jednocześnie oczekując posiłków. Istotnie posiłki były już w drodze, zmierzając nad Niemen, przez który będą musieli przeprować się do Puszczy Zaniemeńskiej sowieccy partyzanci z żydami, którzy zamiast broni zaopatrzeni byli /niektórzy mówili-uzbrojeni byli/ w kołatki drewniane, jakie na wsi używano w kościołach zamiast dzwonek w okresie wielkiego Postu przed Wielkanocą. Kołatkami tymi usiłowano naśladować kanonady strzałów, śmieszne ale prawdziwe. Przychodzili za Niemen zawsze wtedy, kiedy zaczynał im dokuczać autentyczny głód. Ich polityka rabunkowa spowodowała, że wsie puszczańskie i okoliczne na wschód były pozbawione zboża, zwierząt gospodarskich, drobiu itp. Głód zmuszał ich do napadania bandyckiego na wsie za Niemnem, gdzie gospodarowali chłop polscy pod opieką polskiej partyzantki, gdzie nigdy nie brakowało jada, mięsa, mleka, ziemniaków, zboża, warzyw i jarzyn. Partyzantka polska gwarantowała dostatnie życie wsi polskiej i broniła przed Niemcami, którzy musieli zrezygnować z przymusowych kontyngentów od wsi.

Oni żyli na dzień dzisiejszy, stąd ich kłopoty, nic a nic nas nie obchodzące. Z tej przyczyny zrodziła się na wsi samoobrona chłopska, zanim jeszcze zaczęły powstawać oddziały zbrojne Armii Krajowej, przedtem ZwZ, czy innych ugrupowań. Tak było zresztą wszędzie tam, gdzie sowieccy partyzanci /bandy/ zadomowili się, nawet na wsi z elementem wyłącznie białoruskim. Któż miał gospodarować na nie uprawianej ziemi, skoro siłą wciągano chłopów pod broń do oddziałów partyzantki sowieckiej. Zresztą problem ten wraz ze stosunkami polsko-sowieckimi wymaga oddzielnego omówienia, nawet na tle dziejów historycznych.

Nie wiele skorzystali na Płonowcach. Udało się im schwytać kilka sztuk bydła, które wypuszczone z obór, a wystraszone strzelaniną rozbiegło się po bagnach i wertepach. Przy okazji wytlukli, jak zwykle, talerze, szyby w oknach, łamali i dewastowali chłopskie urządzenie mieszkania, mścili się na wszystkich gratach, tym zacieklej im mniejsze łupy zdobyli od zamierzonych.

Nasze oddziały wyszły im na spotkanie pędząc ze wszystkich okolicznych placówek partyzanckich nad Niemen. Co tam się działo, to może opisać barwnie wytrawny literat. Nasze liczne oddziały, a "Ragner" miał ich wówczas około jednego tysiąca, zabezpieczyli ich przed ucieczką

we wszystkich możliwych kierunkach, tylko droga odwrotu otwarta była w kierunku Niemna, tam zaś oczekiwały ich najliczniejsze oddziały. Spotkanie było tragiczne, wręcz trudne do opisania. Łodzi było niewiele, a ci co zdążyli, nie chcieli wracać po drugich, ratując się paniczną ucieczką. Konie miały kopyta owinięte szmatami, by cicho podejść naszych, ale nie stało im czasu na uwolnienie kopyt. Konie ślizgały się, a te które zdołały wejść do wody, często musiały ginąć pod salwami automatów wraz z ludźmi, którzy chwyтали się ogonów, grzyw.

Zemsta musiała być krwawa, ponieważ sowieci w natarciu złapali naszego młodego chłopaka, zaledwie 16-letniego partyzanta i zadali mu nieludzką, straszną męczarnię i śmierć. Przywiązali jego nogi do koni i rozdarli jeszcze żywego. Ten przypadek dostrzeżony podczas pogoni za uciekającymi, wpłynął niewątpliwie na ostateczną rozgrywkę z najeźdźcą. Pod salwami automatów wiele zginęło koni i ludzi w nurtach zimowego Niemna. Chłopak był ranny od kuli, ale oprawcy musieli mu dodać cierpienia i bólu. Podobna sprawa rozegrała się pod Surkontami, wtedy gdy zginął mjr Kotwicz. Rannego Stanisława Dźwinella ps. "Dzwon", z-cę dowódcy Samodzielnej Kompanii Lotniczej w stopniu pchor.pilota, żołdacy sowieccy dobili kolbami, rozgniatając karabinami krocze i twarz. Przedstawiciele narodu, który ma pretensje do wielkiej światowej kultury, do wszystkiego na każdym odcinku życia społecznego, politycznego, gospodarczego, do przodującej roli w świecie, wystawił sobie najgorsze świadectwo barbarzyństwa i ciemnoty. Pod Surkontami załatwili w podobny sposób wielu rannych spośród 36, którzy spoczęli we wspólnej mogile, pochowani przez "ludzi." Żyją jeszcze świadkowie tych ponurych wydarzeń. Oprawcy zaś mają dzisiaj odwagę powoływać się ^{na} wielkowiekowe przyjaźnie itd, itp puste słowa, niestety z haniebnym rodowodem. Wyobrażam cierpienia matki i siostry zamordowanego, które w parę dni potem z pomocą miejscowych chłopów-Litwinów tak samo zgorszonych-dokonały ekshumacji, by syna i brata pochować w sąsiedztwie, na cmentarzu w Jewsiewiczach, pochować godnie w mundurze jako żołnierza i katolika. W świetle tych i mnogości wielu innych wydarzeń oczernianie d-cy IV. batalionu ppor.Czesława Zajęczkowskiego ps."Ragnar" przez autorów obecnie opisujących wydarzenia na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie są pozbawione realizmu historycznego. Podobnie bezpodstawne są zarzuty kierowane pod adresem ppłk "Prawdźica" d-cy Okręgu Nowogródzkiego, oceniające historyczny realizm w świetle wszystkich wydarzeń, jakie rzeczywiście miały miejsce na naszych Kresach. Celuje w nich autor "Operacji wileńskiej AK" -ppor.Roman Korab-Żebryk, wyd.PWN,Warszawa 1985. Sądzę, że świadectwo prawdziwie dadzą autorzy literatury wolnej i niezależnej od polityki i wydawcy.

Batalion V.

Stan: 500

Dowódca: kpt/mjr "Sztremer" -Stanisław Truszkowski, zm. w-wa 1983
Adiutant: ppor."Wróblewski" -Wierzbicki
Lekarz: ppor."Janko"
Kapelan: ks."Zaba"

13/ 1 kompania zw."Żyżma" d-ca ppor."Boryń"/ por."Ryś" /kpt.Luro/
14/ 2 " "Puszcza" d-ca kpt."Licho" -Stanisław Szabunia
15/ 3 " "Solcza" d-ca por."Kalina"-Jan Bubiń/potem:
ppor."Wilik"-inż.Marian Wojciechowicz

V.batalion należał do Zgrupowania Północnego; działał na płn.
obwodu Lida do granicy Okręgu AK Wilno.

ważniejsze akcje: Bieniakonie, Gojcieniszki, St.Rakliszki, Nowe Rakli-
szki, Wiśnicz, Solcza, Łyszyszki 20.V.44, Podwary-
szki 28.V.44, St.Rakliszki V.44., Bastuny 1.VII.44.,
Wilno 7.VII.1944.

W styczniu 1944 akcja na Bieniakonie celem odbicia "Boruty"-ppor.Borej-
ki, który uciekł z dekonspiracji w Raduniu w grudniu 1943 r.Podobnie
w styczniu 1944.zdobycie pałacu w majątku Gojcieniszki, przypadkowe
spotkanie z aktorem Ludwikiem Sempolińskim, który tam ukrywał się przed
Niemcami, m.in. za piosenkę:"Ten wąsik, ach ten wąsik, ta buzia i ten
płask...." Dnia 22 stycznia 1944. akcja na garbarnię w Łyszyszkach,
zdobyto mnóstwo skóry na podeszwy do zelowania i na cholewy butów dla
wojska.Sukcesy V batalionu były przeważnie dziełem por."Licho"-Stani-
sława Szabuni, d-cy 2.kompanii, rówieśnika i kolegi "Krysi" /II.batal/
oba z tego samego rocznika podchorążówki przedwojennej w Ostrowi Ma-
zowieckiej. Pseudo zaczerpnięta z wiersza Marii Konopnickiej o "Sierotce
Marysi", cytuję: „Gdzie chce wejdzie, co chce zrobi,

jak cień chyżo, jak cień cicho,

nie odżegnać się od niego,

takie sprytne mare licho." Taki też był partyzant

"Licho"-por/kpt.Stanisław Szabunia, znany szeroko na Nowogródczyźnie.

Mjr.Stanisław Truszkowski ps."Sztremer", d-ca V.batalionu prawie sa-
modzielnie zawarł porozumienie z partyzantką sowiecką z Puszczy Rudni-
ckiej. Zobowiązał się dostarczać wyżywienie dla 2 tys.żydów i ok.220
partyzantów. Przeprowadzał ich z Puszczy Grodzieńskiej do Puszczy Rud-
nickiej, a z tej do Puszczy Malibockiej, żywił przechodzących i udzie-
lał wszelkiej pomocy. Metoda tranzytu przyjęła się w pasie działania
II,V i VI, batalionów oraz zaakceptowana była przez 6 i 8 brygady wi-
leńskie AK. Postulaty co do rewanżowania się "Sztremerowi" za żywność
dostawami broni tylko częściowo wykonane zostały. Dostał "Sztremer"
trochę amunicji i kilka rusznic przeciwpancernych. Pełny rewanż nastą-

pił dopiero po zajęciu terenów polskich przez sowiecki front i po wyzwoleniu Wilna, znacznym wysiłkiem wileńskich oddziałów partyzanckich. Najpierw aresztowano gen. "Wilka"-Aleksandra Krzyżanowskiego /generała tytularnego/ i szefa sztabu kpt.dypl."Sława"-Teodora Cetysa, a później przybyłych, niby to na naradę, oficerów AK. Piwniczny los spotkał również ppik."Poleszuka", ppik "Ludwika-Lubosława Krzeszowskiego. Dziwnym? -zbiegiem okoliczności Krzeszowski wkrótce potem znalazł się w Lublinie i na trybunie honorowej w Nowy Rok 1945 przyjmował defiladę oddziałów Berlinga z okazji uznania przez Moskwę PKWN za tymczasowy rząd PRL.

Zapierający się działalności w AK Kokociński Antoni ps."Julian" z BIP Okręgu wileńskiego spędził 11 lat pod kluczem: rok w więzieniu i 10 lat w łagrze w Warkucie. Pozostałych 60 oficerów AK, którzy mieli szczęście znaleźć się na liście NKWD, a przybyli na zwołaną naradę przez gen. Czerniachowskiego- dowódcę 5.Frontu Białoruskiego, otoczono obstawionych karabinami maszynowymi i załadowano na ciężarówki w pozycji leżącej na wznak, wywożąc wszystkich "na zasłużony wypoczynek" w głąb Rosji Sowieckiej. Wśród aresztowanych nie było żadnego oficera AK oddziałów nowogródzkich, spośród których część celowo nie zdążyła, a kilku przyglądało się "odprawie" z bezpiecznej odległości. Szerzej w następnym rozdziale.

Batalion VI.

Stan: 600

Dowódca: kpt."Pał" - Stanisław Dedelis

Adiutant: pchor. "Michał" nn

Lekarz: ppor. "wiatr"

Kapelan: ks. "Piotr" Piotr Siczek

16/ 1 kompania d-ca ppor."Zdroja"-Bałachowicz, zginął pod Wilnem 7.44r. następca "Dąb"

17/ 2 " ppor."wierzba"

18/ 3 " "Sulima" - "Ola" -Kuszelewski

Ważniejsze walki: Grzymasław, Gieraniony, Juraciszki, Traby, Iwje, Ługanowicze, Bakszty, Egirdy, wiśniowo, Dubowicze, ponownie Juraciszki,, Wilno.

Batalion należał do Zgrupowania wschodniego, chronił Obwód Juraciszki. Zaczątkiem tego batalionu był oddział 521 kpt."Pała." Był jeszcze w stanie organizacyjnym. kpt."Pał" wszelkie meldunki i raporty do władz wyższych uważał za zbędne, a nawet szkodliwe, bo zwracające uwagę wroga. w rezultacie o "Pał-u" i jego wojsku słyszało się niewiele.

Teren "Pała", wschodnia część obwodu do stacji kolejowej Bohdanów na linii Lida-Mołodeczno, wprost na południe po Puszcę Nalibocką, został przekazany Okr.wileńskiemu, jako tzw.brama wołożyńska, otwierająca drogę do Wilna, między dwoma dużymi kompleksami leśnymi.

Batalion VII.

Stan: 780

powstał 1.05.1944 m.in.z oddziałów "Lecha"

Dowódca: por./mjr "Ponury" - Jan Piwnik, cc z Gór Świętokrzyskich
po 16.06.1944 -ppor."Ostoja" - Bojowir Tworzynański

Adiutant: ppor."Mały"^{Jan Filipowicz} /potem chor."Burza" - Wacław Ługowski

Lekarz: dr "Olek" i dr "Janek" vel "Jontek"-Jan Kondrat

19/ 1 kompania d-ca ppor. "Ostoja" potem por."Kwaśny"- Jan Woźniak

20/ 2 " d-ca ppor. "Okoń" -Eugeniusz Klimowicz

21/ 3 " d-ca ppor./por. "Lew" -mgr inż.Jan Wasiewicz, wcześniej
do połowy maja 1944 był w batalionie I.

22/ 4 " d-ca por."Kwaśny",potem ppor."Aleksander"-T.Trzeciak

Kompania minerów d-ca plut.pchor."Lin"-Janusz Skalski,późniejszy redakt.
stan: 160 Kuriera Polskiego

Pluton Kawalerii /30 koni/ d-ca st.wachm. "Góra", potem

dwa plutony /52 konie/ d-ca j.w.

Batalion należał do Zgrupowania Zachód, strzegł zachod-
niej części Okręgu Nowogródzkiego oraz Obwodu Szczuczyn

Sredni stan uzbrojenia jednej kompanii: 14 rkm, 2 ckm, 1 granatnik, lub
1 moździerz, 1 rusznica ppanc., 40 pistoletów maszynowych, 30 automatów,
kb 10 strzałów, reszta kb, pełny stan łopatek.

Organizacja kompanii: 5 plutony strzeleckie po 5 drużyny w składzie 1+9,
1 pluton ciężki w składzie: 2 sekcje ckm,1 sekcja granatników lub moź-
dzieży, 1 sekcja ppanc.

Drużyna gospodarcza w składzie 1 + 4; tabor kompanii: 1 wóz przykuchen-
ny, 1 biedka żywnościowa; Tabor bojowy kompanii: 1 wóz/biedka ckm-ów,
1 biedka granatników, 1 biedka ppanc; tabor dowództwa: 1 biedka kancela-
ryjna, 1 biedka sanitarna; stan amunicji w kompanii - 180 tysięcy, część
na biedkach.

Ważniejsze walki: wielkie Brzozowce 2x, Soleza, Szczuczyn 2x, Skrzybow-
ce, Różanka, St.Rakliszki, Lubarty IX.43., Szczuczyn 29.IV.44,początek
maja 44.-w kilka dni po klęsce szczuczynskiej śmiałym uderzeniem "Ponu-
ry" rozbił niemiecki garnizon w wasyliszkach,dozbroił swoje wojsko, No-
wy Dwór 8.VI.44, Jachnowicze, Jewiasze 16.VI.44.

"Ponury", u którego byłem żołnierzem przez ostatnie miesiące, był prze-
widującym i gospodarnym, odważnym dowódcą. Utworzył bazy żywnościowo-za-
opatrzeniowe, w których stale były zapasy dla wojska, ściągane regular-
nie, równomiernie i sprawiedliwie od wszystkich wiosek w swoim rejonie,
które były z góry uprzedzone. "Ponury" płacił gospodarzom za żywność.
W ogóle wsie utrzymujące partyzantów, w całej Nowogródzczyźnie, nie od-
dawały kontyngentów dla Niemców. Tego strzegli partyzanci wszystkich
batalionów. Wyprawy zmotoryzowane Niemców były likwidowane w zarodku.

na niedostępnych mokradłach na skraju Puszczy Grodzieńskiej wyremontował starą chatę, dobrze chronioną wśród lasu, zaopatrzył ją w łóżka i sprzęt, organizując szpital dla wojska. W Okręgu Nowogródzkim były trzy takie szpitale, ten, w Niecieczy oraz w Bielicy, w których warunki odpowiadały wszelkim wymogom sanitarnym.

Poza wspomnianą podchorążówką Ragnerowską, także dowódcy innych batalionów organizowali szkolenie wojskowe. Dowódca pilot Brożyna i jego zastępca pchor.pilot Stanisław Dźwinell, ps."Dzwon" zorganizowali szkolenie mechaników samolotowych, którzy poprzednio w szkółce kolejowej opanowali teoretycznie i praktycznie potrzebne podstawy wiedzy i umiejętności. Żołnierzom Armii Krajowej stawiano wysokie wymagania społeczno-moralne, postawy obywatelskiej, umiejętności wojskowych.

Najważniejsza była znowu walka. Bliskość frontu oraz duży napływ ludzi, szczególnie młodzieży, do oddziałów stworzyły dobre warunki. Podobnie jak w Górach Świętokrzyskich, tak i na Nowogródczyźnie "Ponurego" odnalazł siebie jako dowódcę w nowym terenie a jego batalion stał się sprawną jednostką bojową. Ppor."Ostoja" miał 200 ludzi ostrzelanych i dobrze uzbrojonych. Kompania ppor."Okonia" szybko doganiała stany pozostałych kompanii już przedtem doświadczonych a działających od początków ruchu oporu. Kompania por."Lwa", która na wniosek "Ponurego" przysłała z batalionu I-ego, miała już bardzo bogate doświadczenie. W stan 220 ludzi, świetnie uzbrojonych żołnierzy ze stażem z 1942 i roku, była zawsze gotowa na rozkaz. W związku ze zbliżającą się akcją "Burza" /ogólnopolską/, batalion VII podjął się trudnego zadania opanowania szczytu granicy Ostlandu z umocnień zwanych Stützpunkt /graniczne forty/ pilnie strzeżone z liczną i dobrze wyszkoloną oraz uzbrojoną załogą. Umocnienia ziemne, betonowe, bunkry z przejściami podziemnymi do tzw."grzybków" z osadzoną bronią maszynową ciężkiego kalibru, trudno zdobywać, fortalami nie do zdobycia. A jednak kilka ich padło pod szturm oddziałów "Ponurego." Na ostatnim z nich, w Jewłaszach, po zdobyciu, zdradziecka seria hitlerowca przecięła jego piękne życie waleczność i długi szlak od Karpat, przez Węgry, Francję, wielką podróż i znowu Polskę, na której wylądował jako cc skoczek spadochronowy, podejmując jedno z najtrudniejszych zadań bojowych i dywersyjnych z odbiciem więźniów z więzienia w Pińsku.

Stützpunkt w Jachnowiczach, zdobyty 8.VI.1944 r., posiadał dokoła sieki z drutu kolczastego oraz pole minowe, łącznie ok.120 m.pasowości, zabezpieczający możliwość zbliżenia się lub przejścia dla powołanych. Wewnątrz załoga średnio 50 osobowa, uzbrojona w 2 granaty 1 ckm, 1 spandau, 2 rkm, pistolety maszynowe i kb, 600 granatów i stateczne zapasy amunicji. Siły "Ponurego": 1 komp. ppor."Ostoi"

200 żołnierzy, uzbrojonych w 2 ckm, 1 granatnik, 12 rkm, 25 automatów, pozostali kb. Trzy plutony podchodzą skrycie ok. godz. 18, rozstawiają broń maszynową. Ckm zajmuje miejsce na stodole w odległości 150 m od fortu. Do osłony idą 2 kompanie. Kompania ppor. "Okonia" zasadza się 3 km od Jachnowicz, gdzie droga z Sobakińców /drugi bunkier/ wpadała w szlak zwany Traktem Marszałka Piłsudskiego, łącznie 90 żołnierzy a dodatkowo spieszony szwadron 26 pułkowników AK. Ppor. "Lew" ze swoją trzecią kompanią zasadza się na Trakcie, na wysokości chutoru Groniki, skąd można się spodziewać odsieczy pancernej z Nowego Dworu.

Rozpoczyna się akcja. Na wezwanie poddania bunkra, Niemcy wystrzelili ją rakiety zieloną, widoczną dla sąsiednich stützpunktów oddalonych po obu stronach o ok. 10 do 12 km. w odpowiedzi na baraki i dziedziniec spadają pociski granatnika, rozbijając baraki i siejąc śmierć. Kpr. Koszek ze stodoly celnymi seriami nie pozwala Niemcom przedostać się z budynku do podziemnych korytarzy i bunkrów, w których znajduje się ciężka broń maszynowa, ustawiona do ostrzału całego przedpola. Wyrwami w umocnieniach ziemnych pierwszy pluton komp. "Ostoi" wdiera się do wewnątrz. Niemcy poddają się ze stratami: 5 zabitych, w tym d-ca, 11 rannych, ponad 52 jeńców. Akcja trwała zaledwie kilkanaście minut /12/. Trzeci pluton wywozi zdobycz: 1 ckm, 2 garłacze, 1 spandau, 2 rkm, 6 empi, 30 kb, 600 granatów, 15 tys. amunicji, 2 rakiety. Resztę baraków i umocnień podpalamo. Jeńców puszczono pieszo /rozbrojonych całkowicie/ do Ostryna z ulotkami tej treści: "Koniec wojny. W Niemczech rewolucja. Hitler zabity." Rakietami akcja została odwołana. Straty własne: 1 zabity.

Eskortując konwoj ze zdobyczą oddziały wyruszyły w kierunku Wasiliszek nad rzekę Dzitwę, gdzie był uprzednio wyznaczony rejon zbiórki całego batalionu. Kiedy wkraczali w wysokopienny las, dopędziła ich kolumna od Nowego Dworu. Lomotało też od strony Sobakińców. Dzitwę osiągnęli przed północą. W dwie godziny później czujki okrzyknęły powrót kompanii ppor. "Okonia". Nie odnieśli strat. Ostrzelali 2 ciężarówki usiłujące dojechać do Jachnowicz z odsieczą, dwie zniszczyli, naliczyli 27 zabitych, liczba rannych nie ustalona. Niemcy wycofując się zabrali rannych ze sobą.

Czekano jeszcze na kompanię ppor. "Lwa", który zgoniony i zmoczony deszczem, zameldował się przed świtem. Miał 2 zabitych i 1 rannego. Odsiecz która zamierzała wspomóc Jachnowicze od strony Nowego Dworu straciła: trzy samochody spalone, 57 zabitych, w tym 2 oficerów i 6 podoficerów, zdobyto 2 ckm, 1 spandau, 5 rkm, 2 moździerze, 18 empi i wiele karabinów. W okolicy Wasiliszek batalion rozłożony w lesie regenerował swoje siły przez kolejne cztery dni do kolejnych akcji partyzanckich.

Dnia 13 czerwca 1944 r. "Ponury" zjawił się w Pielasie, w miejscu postoju /siedziby/ dowódcy 11. batalionu 77 pp AK- por. "Krysi," w sprawie zorganizowania wspólnych akcji na graniczne stützpunkty. Przy okazji "Ponury" dowiedział się o rozkazie Komendy Głównej AK, odwołującym ppłk. "Prawdźca" ze stanowiska d-cy Okręgu Nowogródzkiego oraz szefa jego sztabu kpt. "Wartę"-cc mjr dypl. Stanisława Sędziaka, a także o mianowaniu nowego komendanta Okręgu ppłk. "Poleszuka"-cc Adama Szydłowskiego, zrzuconego do kraju w kwietniu 1944 r. Mjr "Kotwicz"- Maciej Kalenkiewicz awansował z d-cy Zgrupowania Nadniemeńskiego na d-cę 77 pp AK. Najbardziej zdeprymowani zostali wiadomością, że Okręg Nowogródzki został podporządkowany operacyjnie Komendantowi Okręgu Wileńskiego AK płk. "Wilkowi"-Aleksandrowi Krzyżanowskiemu, w związku z planowanym wspólnym działaniem sił obu okręgów w akcji "Burza".

Dnia 16 czerwca 1944 r. "Ponury" podciągnął 2 kompanię swego batalionu ppor. "Okonia" pod kolejny stützpunkt w Jewłaszach, 30 km na północ od Jachnowicz. Ppor. "Ostoja" z 1. kompanią w ukryciu osłaniał kierunek szczuczyński, 3. kompania ppor. "Lwa" zasadziła się na drodze z Ostryny. Dojście było dalekie więc wyruszone na akcję dzień wcześniej. Uderzenie główne przypadło nowicjuszom 2. kompanii "Okonia", jako ich chrzest bojowy. Rano 16 czerwca wymarsz. w południe kompania zalega w lesie. Jest upalnie i parno. Atak wyznaczono na porę obiadową Niemców, na godzinę 16,30. Natarcie ma ruszyć z odległości ok. 300 m. Naraz w zasadzce przy szczuczyńskiej szosie kompania "Ostoi" podniosła huraganowy ogień. Stützpunkt też ożył. Zaskoczenie nie wypaliło. Niezbyt dobrze ukryci żołnierze por. "Okonia" są celem dla bunkrów niemieckich. Pluton 1. zalega 30 m od zasieków pod b. silnym ostrzałem. Pluton 2. ppor. "Burego" wtulił się w teren o 100 m od bunkra. Pluton 3. uskoczył z żyta pod osłonę stodoły jednej z sąsiednich zagrod i o rzut granatem od zasieków wcisnął się w ziemię. Znosi się na klęskę. Czas zakończenia akcji wyznaczony został na 20 minut, a tu 20 minęło, wojsko leży jak na patelni. Pluton 3. przeżywa kryzys. Są zabici i ranni. "Okon" uspokaja, kieruje ogniem w strzelnicze otwory bunkrów/grzybków/, a kilku żołnierzy przecina druty w zasiekach. Naraz sanitariusz strzelec "Piug", przesadził niskie kozły zasieków i na oczach zduszonych plutonów podbiegł do bunkra, wsunął w szparę lufę karabinu i strzelił-jak się okazało, prosto w głowę niemieckiego cekaemisty. Za ten czyn został odznaczony Krzyżem Walecznych. Bunkier zamilkł, "Piug" upadł ciężko ranny. Tuż za nim wypadł "Ponury"- chłopcy, naprzód-zawołał. W tym momencie z przyziemnego bunkra-betonowego grzybka rozległa się seria peemu. "Ponury" z rozprutym brzuchem runął, a przy nim także jego adiutant. Granatami obrzucono bunkier, który powoli zamilkł. Uparty Niemiec puścił serię na lekarza "Jontka"-smagnęło ognistą strugą

po plecach! Jontek-szarpał słowa "Ponury". Powiedz żonie... i rodzicom... że ich bardzo... kochałem... i że umieram jak Polak...

Chiopcy wdarli się do głównego budynku. Teraz walczone wręcz, kolbą, granatem. Iunie Komendancie... szeptał "Jontek"... zdobyliście... A gdy osłabie ręce lekarza Jana Kondrata nie mogły już utrzymać głowy dowódcy, "Ponury" wyszeptał prawie bezgłośnie: ... i podrówcia... Góry... Świętokrzyskie... Jawnasze zdobyto, z 40-osobowej załogi nie wyszedł nikt żywy. Straty własne: 8 zabitych, 7 zmarłych z ran, 8 lekko rannych. Zdobyto dużo sprzętu i broni. / na podstawie Cezarego Chlebowskiego-w/g relacji/.

Było wiele jeszcze ciężkich walk i potyczek, w których zwyciężyło poświęcenie i bohaterstwo naszych żołnierzy.

Na koncentrację wileńską, na skutek spóźnionych rozkazów, nasz VII batalion nie zdążył. Przesz front niemiecko-sowiecki przebiegał się na rzece Solczy, na skraju Puszczy Rudnickiej.

Wskutek rozkazów przeprowadzonych z dowódcą i Moskiewskiej Gwardyjskiej Dywizji /rozmowy przeprowadził ppak "Prawdziwie"/ VII batalion oraz II. batalion spotkany po drodze, a także i szwadron ułanów, posuwają się w drugim rzucie bolszewickiej dywizji, czyszcząc teren z pozostałości nieprzyjaciela. Z rejonu Puszczy Bersztańskiej oddziały zostają odwołane przez ppłk. "Wilka," na koncentrację w rejon Targiele-Taboryszki. Nie dając się rozbroić VII. batalion przebiega się do Puszczy Rudnickiej, w której przechodzi osaczenie. Z osaczenia tego przez bolszewików ocalało 70 % stanu. Na skutek beznadziejnej sytuacji batalion zostaje rozpuszczony. Grupa około 60 ludzi przedostaje się przez Puszczy Ruską, lasy Druskienickie i nadleśnictwo Hoża do Grodna i stąd indywidualnie w rejon Warszawy. Przed Grodnem oddzieliła się grupa kilkunastu chłopców, zdecydowana iść na południe, w kierunku na Warszawę przez Wołkowyśk, uznawając tę drogę za mniej uczęszczaną. Szedłem z tą grupą.

Batalion VIII.

Stan: 250.

zwany "BOHDANKA" od nazwy wsi, pod którą stoczył pierwszą walkę;

Dowódca: por. "Jastrzębiec" zginął pod Wsielubem w IV. 1944. ^{ppor. "Jarosz"}
^{Tadeusz Drobniak}

Adiutant: ppow. "Tor" ^{później: ppow. "Kocur"} /Józef Zwińogrodzki/

Batalion tworzył się w połowie maja 1944 r.

23/ 1 kompania d-ca por./kpt "Jastrzębiec" ^{później ppow. Turkuć}

24/ 2 " d-ca ppow. "Jurand"

pluton ckm d-ca sierż. "Bohusz"

25/ 3 kompania d-ca 1. szwadronu por. "Ślepowron" /70 ludzi/

d-ca 2. szwadronu rtm. "Ostroga"-Jan Skrochowski /160/

ważniejsze akcje: Zdzięcioł, Wsielub, Miemen, Gawia, Sobotniki, Niemen, Jacuki, Taboryszki n/Mereczanką, Dokudowo, Bohdanka,

Zblany, Zdzięcioł, Jacuki, Nowojelnia.

Batalion należał do Zgrupowania Kadziemeńskiego pod d-dztwem mjr "Kotwicza."

Ponadto w ramach Zgrupowania Stołpeckiego działały następujące obwody i ich kompanie konspiracyjne Armii Krajowej, współpracujące z Okręgiem Nowogródzkim AK:

<u>O b w ó d</u>	<u>k o m p a n i e</u>	
Nowogródek	1. komp. nowogródek	brak danych
	2. " Korelicze	"
	3. " Zdzięcioł	d-ca "Turkuć"
Stołpce	1. " Iwieniec	d-ca "Lech"
	2. " Derewno	"M"
	3. " Okiencice	d-ca "Żmija"
	4. " Stołpce	d-ca "Waldan"
Słonim	1. " Słonim	d-ca "Liśkiewicz"
	2. " Byteń	brak danych
	3. " Kozłowszczyzna	d-ca "Donat"/"Zapaśnik"
Baranowicze	1. " Baranowicze	d-ca "Zygmunt"
	2. " Baranowicze	d-ca "Józef II." 700
	3. " Nowa Mysz	brak danych
	4. " Horodyszcze	"
	5. " Lachowicze	"
	6. " Korczyn	"
Nieśwież	1. " Nieśwież	d-ca por. Stanley/Winter/500
	2. " Kleck	"

Ważniejsze walki: Derewno 1.12.43, Nieścierowicze, Chotówka, Naborowszczyzna 3.12.43, Kul 6.12.43, Wyhanicze 16.12.43., Kunacze 7.12.43., Zamościany 1.01.44, Rubieżewicze 01.44 Nowiki 7.01.44., Rodziewszczyzna, Dudy, Wiala, Jaroszewicze, kamień, Pachniewicze, Derewno, Praliki, Weina, Pilica, Suła, Rubieżewicze, Zastawa, Zieniewicze, Dziawgi, Ciasnowo, Chotowa, Kowalowce, Lubiesz.

Batalion I. 78 pp AK

Stan: 700

Dowódca: kpt.pil."Dźwig" ^{Pięczyński} następnie: "Pistolet"-por.Adolf Pilch

Adiutant: chor. "Wyżeł"

1. kompania d-ca por. "Dan" zginął w Powstaniu Warszawskim na dworcu Gdańskim
2. kompania d-ca por. "Strzała" nn
3. kompania d-ca por. "Halski"-Pięczyński, zginął na Bielanych podczas walk w Powstaniu Warszawskim

27 pułk ułanów AK

Stan: 350

Dowódca: chor. "Noc" , "Nieczaj" /Zdzisław Murkiewicz/

Adiutant: wachm. "Samotyja" nn

1. szwadron d-ca st.wachm. "Dąb" /Jakubowski/

2. " d-ca ppor. "Szary", "Lawina" /Niedźwiecki/

3. " d-ca ppor. "Narcyz" /Kulikowski/ zginął pod Żyrardowem
29.09.1944.

4. " d-ca ppor. "Jawor" /Pietruski/

ważniejsze akcje batalionu I.78pp AK oraz 27 p.uł.AK:

Piaski, Zaborów, Pilaszków, Brzozówka, Janówek, Natańce, Roztoka, Truskaw, Łosia Wola, Sowa Wola, Wiersze, Pocięcha, Sieraków, Żoliborz w-wa, Dworzec Gdański, Stare Miasto, Leszno, Marianów, Zaborów Leśny, Kampinos, Leoncin, Zaborówek, Żyrardów, Jaktorów, Międzyborów, Budy, Dąbrowa, N. Miasto n/Pili-
cą, Lasy Przysuskie, Wola Pakoszevska k/Skierniewic, Pniowe
k/Żyrardowa, Kowiesy k/Mszczonowa, Gosławice k/Rawy Mazowie-
ckiej, Radycz k/Rawy Maz., Biały Ług k/Końskich, Dąbrowa,
Bohów k/Końskich, Leśna Huta, Lasy Koneckie, Brzozowo k/To-
maszowa, Białaczew k/Opoczna, Modrzew k/Opoczna,

wcześniejsze walki na terenie wschodnim województwa No-
wogródzkiego w roku 1943 przeprowadzono m.in. w Staszynie,
Kistrzebach, przeprowadzono blokadę Puszczy Nalibockiej, De-
rewno, Dorażno, Niwno, Nieścierowicze, Trakt Nalibocki, Siw-
ca, Uhły, Rudnia Nalibocka, Pódreże, Zaborze, Młynki, Pie-
trałowicze, Czarna, Iwieniec, Wasiszki, Nowiki, Felicjanów,
Raków, Połoneczka, Zelwa, Dzierzby.

28 pułk ułanów
szwadron ckm

Stan: 67

Dowódca: rtm. "Jar" "Grot" /Jarosław Gąsiewski/

Adiutant: wachmistrz pchor. "Pardo"

Działy także samodzielne kompanie podporządkowane bezpo-
średnio dowództwu Okręgu Nowogródzkiego AK:

1. kompania saperów d-ca kpt. "Sybirak" /Józef Łubikowski/ Stan: 100

2. kompania saperów d-ca kpt. "Bosak" nn - Stan: 100

3. Samodzielna

Kompania Lotnicza d-ca por. /kpt "Brożyna" pilot z Torunia -Stan: 70

z-ca d-cy pchor. pil. "Dzwon" -Stanisław Dźwinell

kwatermistrz - st.sierż. Pieniążek ps. nn

4. kompania łączności d-ca por. "Juz" /Józef Orechwo/ Stan: 80

W związku z planową akcją obsługi saperskiej oddziałów party-
zanckich oraz przewidywanym niszczeniem szlaków komunikacyjnych, dywer-
sji,

sabotażu oraz zabezpieczenia wykonawców na okres powszechnego powstania, powołane zostały kompanie saperские, które miały dokonywać następujących zniszczeń:

- mosty kolejowe, na rzekach: Niemen w Stołpcach i rzece Myszaniec, na obu szlakach w kierunku Słoniemia i Brześcia oraz na rzece Szczarze w Byteniu;
- mosty drogowe na rzece Niemen w Stołpcach, na rzece Szczarze w Słoniemiu i rejonie Bytenia oraz na Myszance i Szczarze na pld od Baranowicz;
- tory kolejowe, rozjazdy, urządzenia wodociągowe, urządzenia sygnalizacyjne itp na stacjach Stołpce, Horodnia, Baranowicze, Iwacewicze, Słoniem i innych obiektach i miejscowościach;

Na północnych szlakach komunikacyjnych:

- mosty drogowe na rzekach: Gawii, Żyżmie, Dzitwie i Lebiodzie;
- mosty kolejowe na rzekach j.w.;
- tory, rozjazdy, urządzenia wodociągowe, sygnalizacyjne, łączności itp. na stacjach: Gawia, Lida, Kóżanka.

Samodzielna Kompania Lotnicza kontynuowała w partyzantce szkolenie obsługi lotniska i lotnictwa, przygotowała mechaników oraz oddziały zabezpieczające zrzutowiska i lądowiska, wyznaczające nocą tereny metodą sygnałów świetlnych. Ponadto brała udział w akcjach bojowych innych batalionów i kompanii. W operacji wileńskiej zdała egzamin przy wyznaczaniu lądowiska i zrzutowisk w porze nocnej.

Mój osobisty udział w oddziałach partyzanckich zaszyfrowałem fragmentarycznie, opisując działania bojowe w Oddziale "Ragnara", na placówce w Piłonowcach, Niecieczy i Siałach, a także w akcjach specjalnych na terenie miasta Lidy. Często wędrowałem po terenach województwa między batalionami 77pp AK, stąd pamiątkowe zdjęcie w Oddziale "Krysi" zrobione wspólnie z kolegami gimnazjalnymi tej samej klasy: kol. Tadeuszem Bienkiewiczem ps. Rączy i kol. Zbyszkiem Hryckiewiczem ps. Szczerbaty, kol. Julkiem Zdanowiczem ps. "Hucuk." Fotografia jest zamieszczona w książce Cezarego Chlebowskiego-Gdy las był domem, wyd. pierwsze, Łódź 1972, s. 112-113, vide trzeci od lewej w rzędzie stojących. Nosilem na głowie granatową furazerkę kolejową, o której poprzednio pisałem. Później zostałem wcielony do 1 kompanii I. batalionu kpt. "Zycha", w drużynie "Jastrzębca." Dowódca kompanii por. "Lew" /mgr inż. Jan Wasiewicz/ krótko zrelacjonował mój udział: Ob. Jan Stanisławski w maju 1943 r. z lidzkiej konspiracji został wcielony do mojej kompanii tj. 1 komp. I. bat. 77ppAK, w której służył do lipca 1944 r. wiosną 1944 został awansowany do stopnia starszego strzelca. Ob. Jan Stanisławski, ps. ISKRA pod moim dowództwem brał udział w wielu walkach i potyczkach z Niemcami, a między in-

nymi: 1/ w lipcu 1943 pod Lubartami k.m. Bieniakonie, 2/w dniu 16 maja 1944 r. pod Sucharami nad Niemnem, 3/ w dniu 8 czerwca 1944 r. pod Nowym Dworem k/ Grodna, 4/ w dniu 16 czerwca 1944 r. pod Jewłaszami nad Niemnem. St. strzelec "ISKRA" był odważnym i walecznym żołnierzem, za co otrzymywał pochwały w rozkazach mojej kompanii i batalionu. Koniec cytaty. Również wspomina o wspólnych walkach kpr. Wacław Grygielewicz, ps. "Mamut" rezygnując zdobycie stützpunktu pod Jachnowiczami 8.VI.1944 r. oraz w Nowym Dworze i 16.VI.1944 pod Jewłaszami, w której zginął dowódca batalionu por./mjr "Ponury"-Jan Piwnik cc.

Wśród wspomnień najmilej i najchętniej przywołuję z pamięci spokojne, ciche wieczory w leśnej ciszy, kiedy można było spokojnie pogwarzyć z towarzyszami doli i niedoli, odśpiewać modlitwę partyzancką:

O, Panie, któryś jest na niebie,
wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie,
O polski dach, o polską broń.

O, Boże skrusz ten miecz,
Co siekł nasz kraj,
Do wolnej Polski nam
Powrócić daj.
By stał się twierdzą
nowej siły,
Nasz dom, nasz kraj.

O, Panie, usłysz skargi nasze,
I usłysz nasz tułaczy śpiew.
Znad Niemna, Wilii, Sanu, Bugu,
Męczeńska do Cię woła krew.

O, Boże skrusz ten miecz... itd.

Bywało głodno i chłodno. Kiedyś w Dowgiałisskach doskwierał nam głód. Z kolegą Tadeuszem Czywilisem ps. Fala, chodziliśmy po litewskich chatkach za jakimś skromnym posiłkiem. Nie było nawet chleba, ale na patelni piekły się ogromne bliny z greckanej mąki. Dwie młode dziewczyny mimo niechęci, poczęstowały nas tym smakołykiem i udało się nam zjeść po dwa, dzięki czemu zaspokoiliśmy głód i nabraliśmy sił do dalszej tułaczki nocą. w Rulewiczach pomiędzy Rielasą a Wawiórką w dużej ciemnej komorze nowego domu było zgola inaczej. Partyzancka spiżarnia była pełna. Na żerdziach wisiały portusze wieprzowe i wołowe, a jada nie brakowało. Bytemu zawsze łatwiej o sen w niewygodnym leżu w stodole, kiedy mimo chłodu, zagrzać się można w sianie lub sianie, a nawet na mchu pod drzewami lasu.

Wieczorami, czasem przy wątym ognisku, śpiewaliśmy tęskne pieśni, lub piosenki partyzanckie. Tych ostatnich, najczęściej trzeba było się uczyć na pamięć, jako że nie było miejsca w skromnym chlebaku na przybory piśmienne. Kto by zresztą chciał pisać na kolanie.

Każdy Okręg miał ambicję posiadać i śpiewać własny hymn partyzancki. Nowogródzki hymn trudno wpadał melodią w ucho żołnierza, a także tekst pieśni rzadko kto mógł opanować pamięciowo.

Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami,
Każdego z nas sumienia wezwał głos.
Przebojem iść, a los musi iść z nami,
Bo jeśli nie- to przełamiemy los.

Życie i śmierć rozdziela nam przypadek.
Najwyższym prawem nam żołnierska cześć.
Granatów huk i nocnych wypraw ślady,
Twardego życia, twarłą tworzą pieśń.

Ta nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,
Nie ma w niej dziewcząt, ni pachnących ust,
Jak nasze życie, pachnie krwią i dymem,
Pieszczotą rąk karabinowy spust.

Naszą muzyką cekaemów bicie,
Nocne ataki nam rozrywką są,
Choć wrogi pocisk przetnie czyjeś życie,
Kto pozostanie- wywalczy wolność swą.

Dość mamy pęt, skończyła się cierpliwość,
Dość pełnych więzień i spalonych miast.
Mścicielska pięść wymierzy sprawiedliwość,
A naszą pieśń podniosiem aż do gwiazd.

Ta nasza pieśń nie brzęczy łańcuchami,
Kipi w niej bunt, nasz sprawiedliwy gniew.
Ten przeciw nam, który nie idzie z nami,
Jak wyrok groźny jemu jest nasz śpiew.

Wiele pieśni partyzanckich śpiewano po lasach i kniejach, ale chyba najczęściej było na wschodnich krańcach woj. Nowogródzkiego, np.:

Modlitwa Zgrupowania Stołpeckiego /melodia: O, Panie.../

W poszumie drzew o Stwórcu, Panie,
Błogosław nasz żołnierski trud.
Cokolwiek stało się lub stanie,
nie damy Kresów - to nasz ślub.

O, Boże, wesprzyj nasz walczący Kraj
I za śmierć synów wolność Polsce daj,
By mógł Cię wielbić tak jak dawniej,
Nasz lud, - nasz Kraj.

Tam, również śpiewano własną "Kolędę Stołpecką":

Gdy się Chrystus rodzi,
Po zbolalym świecie
Ciemna przemoc brodzi
I narody gniecie.

Tam panoszą się tyrany,
Kona nasz lud katowany,
Zbrodnia, zbrodnia, zbrodnia,
Co się tam dzieje.

Przyjdź Dzieciatko Boże
Pod te nasze strzechy,
Przynieś nam nadzieję,
Choć promyk pociechy.

Ze się wolność znova wróci,
I że lud cały zanuci:
Gloria, gloria, gloria
In excelsis Deo.

W Puszczy walibockiej powstała pieśń partyzancka: Pieśń Walibocka.

Nam zostawili w spuściénie
Rycerze kresowych tych stron,
Testament o służbie Ojczyźnie,
O walce na życie lub zgon.

Choć przyszłość nie znana, niepewna,
Choć przyjdzie samemu się bić,
Ruszyli chłopcy z Derewna
Do walki, by móc jutro żyć.

Poszli do boju szaleńcy,
Rzuciwszy rodziny i dom,
W oczach ich zapal młodzieńczy,
Na ustach piosenka, jak grom.

O, ziemio Kresowa, kochana,
Izami zroszona i krwią,
Idziemy, by zdusić germana,
By wolność przywrócić dziś Twą.

Choć Niemcy rodziny wywożą,
A ruscy wórają "za Bug",
Strasznym odwetem nam grożą,
Nie zmienimy szabli na piług.

Choć walczymy osamotnieni,
Wydani przemocy na kup,
Nic naszych kroków nie zmieni,
Wywalczymy swobodę lub grób.

Ambicję wykazali ułani, szczycąc się własnym hymnem:

Marsz 27 pułku ułanów

Naprzód z ochotą, gdy szmajser wybija takt.
Idziesz piechotą, lub konno, choć batów brak.
Jedno zawsze jest - to piosenka wesoło brzmi,
Gojąc nasze rany, blizny, w te wojenne dni.

Z piosenką idziemy w bój,
Z piosenką idziemy na trud i znoj,
Z piosenką piję wódeczkę,
Z piosenką Kocham dziewczeczkę.

W dwudziestym siódmym dowódca morowy chłop,
Wesoły zawsze, gdy szwadron wroga natrze,
Dla swoich chłopców, swe życie gotów jest dać,
Ułani z dowódcą razem będą wroga prać.

Z dowódcą idziemy w bój,
Gdy zagra krzaczem i seria kul,
By zapaść żywcem germana,
To jest ochota ułana.

W oddziałach partyzanckich Nowogrodziny śpiewano również piosenki, które znane były w całym okupowanym kraju, a melodia i teksty docierały również do nas, np.: ogólnie znane: Rozszumiwały się wierzby płaczące, Kółysanka o zakopanej broni, Dziś do ciebie przyjść nie mogę, Po partyzancie dziewczyna płacze. Piosenka nie znała i nie zna granic. W oddziałach "Ponurego" śpiewano piosenki, które wraz z nim i jego kilkoma kolegami, przywędrowały na Nowogrodziny i tam się zadomowiły:

Nie masz to jak partyzanty, Na pierwszy rozkaz, Poszedł Jędrak z śmiercią hulać, Kujawiak partyzancki, My kraj bez Quislingów, częściej słyszane niż śpiewane. Najbardziej jednak przypadła do gustu piosenka pt: więc szumcie nam jodły, śpiewaną na melodię, ..Gdy naród do boju. Słowa tej pieśni napisał pchor."Andrzej"-Andrzej Gawroński, w oddziale "Ponurego" w Górach Świętokrzyskich, który obecnie mieszka w Australii. Pieśń ta była uważana za hymn partyzancki, oto słowa:

Choć z dala swą mamy rodzinę i bliskich,
My polscy żołnierze od Gór Świętokrzyskich,
Lecz chcieli niebios, by krew nam na wrzosach
wolności ścieliła kobierce.

Więc szumcie nam jodły, piosenkę,
Rodacy podajcie nam rękę,
Wśród lasów, wertepów, na ostrzach bagnatów
wolności niesiemy jutrzenkę.

Nie dbamy o spokój, nie dbamy o ciszę
A do snu nas giuchy szum jodeł kołysze,
Pod głową w chlebaka żelazo granatów,
A uśmiech na twarzy spokojny.

Więc szumcie nam jodły piosenkę.....

A nasze koszary to chłodny cień lasu,
Swe głowy chronimy pod skrzydła szalasów,
A nasza dziewczyna- to stał karabina,
Choć zimna, jak piorun wybucha.

Więc szumcie nam jodły piosenkę.....

A kiedy się walka z najeźdźcą rozpęta,
Sunie po lesie jak dzikie zwierzęta,
Tu oddział nasz leży, tam gromem uderzy,
"Ponury" nas uczy brawury.

Więc szumcie nam jodły piosenkę.....

Raz, kiedy na patrol szedł oddział zuchwały,
Rozpętał się ogień i kule zagrały,
Na trawie, na polu, dowódca patrolu
Padł kulą śmiertelnie rażony.

Więc szumcie nam jodły piosenkę.....

Już oczy swe zamknął, poblady jak chusta
I tylko wiatr polny ciałuje mu usta.
Na miękkim z traw leżu śpij, polski żołnierzu,
Coś wolnej nie dożył ojczyzny.

Więc szumcie nam jodły piosenkę.....

Wspomniany na stronie 213 " Marsz partyzantki Nowogródzkiej ", został napisany /tekst/ przez "Klm"-a /Henryka Rasiwicza/ z III Wileńskiej Zmotoryzowanej Brygady AK dowodzonej przez por. "Szczerbca" i był śpiewany przez żołnierzy jednego z plutonów tej brygady. Informację taką podał Franciszek Grodziewicz ps."Bosy", dowódca jednego z plutonów tej Brygady autorowi książki-śpiwnika p.t. Niech wiatr ją poniesie- Tadeusz Szewera, wyd. Łódzkie, Łódź 1970.

Wśród naszych kolegów i znajomych tekst ten był rozpowszechniony na jednym ze spotkań październikowych oraz na spotkaniach czerwcowych na Wykusie w Górach Świętokrzyskich, jako hymn-marsz Okręgu Nowogródzkiego Armii Krajowej.

wartościowym przyczynkiem do zilustrowania początków ruchu oporu oraz akcji bojowych są wspomnienia Tadeusza Bienkowicza ps. "Rączy", na którego wiele razy powoływałem się w tym rozdziale dziejów. W pamięci swojej zachował wiele szczegółów, które były przedmiotem jego rozmyślań podczas pobytu w więzieniu od 1949 do 1957 roku. Cytuję :

" W maju 1945 roku, wieczorem z zaścianka Bieńkowiec wyruszyli w teren: por. "Kryś" z automatem PPD, "Rączy" /Tadeusz Bienkowicz/, "Czarny" i "myśliwiec"-nazwiska nieznane- uzbrojeni w ręczne karabiny i po 2 granaty. Zarzynieśli się na terenie placówki AK Paszkiewicz, gdzie tworzyli nowe /zgrupowanie/ placówki, gromadzili broń, organizowali siatki wywiadu, zbierali wiadomości o konfidentach niemieckich i szpiegach, oraz ustalali lokalizację posterunków policji okupanta. Na tym terenie dołączyła do nich grupa 10 osób pod dowództwem st.sierż."Cichego." Z pod Dubicz przybył "Matrosow" /Stanisław Smielewicz/. Oddział podzielono na 3 drużyny: pierwsza z drużynowym "Lalusiem" /Władysław Janczewski/, druga- drużynowy "Burzyński", trzecia- drużynowy "Natan"/Albert Dubrownik/, "Rączy" został sanitariuszem. Do oddziału napływali nadal ochotnicy. W czerwcu 1945 r. grupa liczyła już 24 żołnierzy.

W czasie marszu w odległości ok. 25 km od Hermaniszek w stronę Lipniszek w ciemną noc na odgłos strzałów we wsi, oddział pośpieszył na pomoc napadniętej wsi przez bandę rabunkową. Na wozach leżały zabite barany i inna zrabowana żywność. W wyniku walki poległ st.sierżant "Cichy". Ze strony napastników zginął przywódca bandy. Zrabowane mienie pozostało we wsi. Uwaga: Początkową działalność oddziału "Kryś" odtworzono ze wspomnień "Rączego." Ustalenie dokładnych dat akcji było niemożliwe. Zachowano tylko kolejność działań.

Spod Hermaniszek oddział miał przedostać się w okolice Białostrudy. Za Krupowem partyzanci przejeżdżali obok majątku Kuburcze. Na odgłos nadjeżdżających wozów z partyzantami, Niemcy i policjanci zalegli w zasadzce, przepuścili ubezpieczenie przednie partyzantów i pierwszy polski wóz z żołnierzami, poczym otworzyli do partyzantów huraganowy ogień. Partyzanci przez łubin doczołgali się do odległego o ok. 150 m lasu skąd ostrzelali pozycje niemieckie i zapalili stodołę. Padły dwa konie partyzanckie. Po stronie polskiej strat w ludziach nie było. Strat wroga nie ustalono. Akcja przebiegała zaledwie 7 km od Lidy, gdzie stacjonował garnizon niemiecki i żandarmeria. Akcji nie przedsięwzięto ze względu na możliwą odsiecz wroga z Lidy.

Po dojściu do rzeki Dzitwy oddział por."Kryś" przepłynął się na drugą stronę rzeki, kiedy był już dzień. Most na Dzitwie łączący szosę Lidzka-Grodno /12 km od Lidy/ był strzeżony przez Niemców. Przy moście niemiecki punkt obserwacyjny umożliwiał strażom śledzić każdy ruch w pobli-

zu mostu. w pobliżu wsi Kyto stacjonowało ok. 100 żołnierzy niemieckich. Przeprowadzenie partyzantów Niemcy obserwowali z odległości 1 km. Na nowym miejscu partyzanci przystąpili do czyszczenia broni. Niemcy cichaczem zbliżyli się do kwater partyzanckich z trzech stron i otworzyli ogień. Partyzanci zaczęli wycofywać się. Po osiągnięciu wzgórza por. "Kryś" wyrwał ręk "Czarnemu" i otworzył ogień w chwili, gdy Niemcy podeszli na bliższą odległość. Niemcy rozsypali się w popiochu. "Kryś" kilkakrotnie zmieniał swoje stanowisko ogniowe i po oddaniu kilkunastu serii do npla dołączył do oddziału. Partyzanci odskoczyli z tego miejsca i przepławili się wpław na drugi brzeg rzeki w stronę Lidy. Niemcy po otrzymaniu posiłków rozpoczęli obławę na szeroka skalę. Oddział korzystając z pomocy dobrych przewodników, klucząc wśród nadrzecznych bagien, doszedł do wsi Ryłowce.

Lipiec 1945. Kompania por. "Kryś" pod Szczuczynem połączyła się ze szczuczynską kompanią por. "Kubusia" i pomaszerowały na koncentrację I. Nadniemeńskiego Batalionu do miejscowości koło Orli nad Niemnem. Połączone kompanie forsując tory kolejowe Lida-Wołkowysk rozprawiły się z patrolem niemieckim, a nocą w miasteczku Łozudek ostrzelały posterunki niemieckie. W koncentracji wzięło udział 350 żołnierzy. Cel koncentracji: przeprawa przez Niemen i marsz do miasteczka Zdzięcioł dla rozbicia posterunku niemieckiego, jego likwidacji, wzięcia do niewoli załogi, oraz zdobycie sprzętu bojowego i amunicji z posterunku. Dowódca batalionu kpt. "Lech."

1-go listopada 1945 r. późnym wieczorem /przed północą/ pierwszy i drugi pluton kompanii "Kryś" tyralierą otoczyły ogrodzenia posterunku policji litewskiej w Koniawie. Na rozkaz "Ognia" ostrzelano z broni ręcznej i maszynowej budynek drewniany posterunku. Załoga posterunku zaległa do pobliskiego bunkra. Od frontowego wejścia rozległ się okrzyk huraaa, partyzanci wstrzymali ogień. Trzeci pluton wchodził na podwórze posterunku. Drewniany budynek ostrzelano seriami pocisków zapalających. Dach i ściany zajęły się ogniem. Bunkra nie zdobywano ze względu na brak broni strumotorowej /granatniki, młóździerze/. Duże usługi w akcji świadczyli partyzantom mieszkańcy wsi Ginele, ps. "Brzoza", który niegdyś służył w policji litewskiej w Koniawie. Po akcji marsz do rana. Postój we wsi Komaruńce, 6 km od Oran. Wystawiono patrol pod dowództwem sierżanta "Eza." /Alfred Frycz/.

Drugiego listopada odwiedzano patrol. Z komaruńców wyjechały dwa wozy konne /rzeźbionymi partyzantami w chłopskie barki i barankowe czapki. Wozy z partyzantami podjechały pod bramę posterunku Ortskomendantury żandarmerii w Kolesznie. Przyjeździec do bramy żandarmowi wyjaśniono, że przywieziono zakawione ziemniaki. Wjechało na teren posterunku. Przed wejściem do kwatery żandarmów "haczy" z wyciągniętego spod burnusa peemu

zastrelili towarzyszącego im Niemca. "Ręczw" i "Matrosow" odciągnęli za bitygo Niemca spod drzwi. "Bez" i "Szturm"/Michał Krasinski/przez okna wrzucili do wnętrza posterunku dwa ręczne granaty obronne. Po wybuchu weszli do wnętrza i przeszukali wszystkie trzy pomieszczenia. Trzej pozostali żandarmi ukryli się pod łóżka, musiano ich wyciągnąć za nogi. W tej akcji zdobyto: 1 czeski rkm z zapasową lufą i dwunastoma magazynkami nacielowanymi amunicją, ręczne zwakie karabiny, 3 pistolety, amunicję karabinową i 200 granatów ręcznych/trzonowych/. W majątku wersoka koło Kołesnik uwolniono zatrzymanych z posterunku żandarmów-byli to Austriacy pragnący możliwie spokojnie przetrwać wojnę.

Nocą z 6/7 stycznia 1944 r. w Wasyliszkach, własowcy pod dowództwem miejscowej żandarmerii dokonali aresztowania Polaków, podejrzewanych o przynależność do konspiracyjnej organizacji polskiej /AK/. Trzech uwięzionych: Pietraszuna, Bohdziewicz i Maszejkowskiego bestialsko zamordowano, przedtem jednak znęcano się nad nimi sadystycznie-obcinając uszy, języki. Na żywcę łamano i wyjmowano żebra. Dnia 9.1. w niedzielę po południu ułokowano więźniów na jednej przyczepie ciągnikowej, na drugiej ułokowali się konwojenci z SD /własowcy/. Ciągnik ruszył w kierunku Wawiórki i Lidy. W sobotę wieczorem ze wsi Łalusze, żołnierze komp. por. Krysi wyjechali podwodami. W pobliżu wsi Wawiórka partyzanci zalegli w krzakach. Przez całą niedzielę czekano na transport więźniów z Wasyliszek. O zmroku warkot motorów. Nadjeżdżający ciągnik zasypano pociskami z broni ręcznej i maszynowej. Na krótko przerwano ogień, aby więźniom umożliwić ucieczkę w kierunku pozycji partyzantów. Wtedy padł więzień Zolik, trafiony w okolice szyi. Rozpoczęła się ponownie strzelanina. Własowcy i żandarmi zmuszeni byli walczyć na otwartej przestrzeni i ponosili większe straty w zabitych. W wyniku tej akcji zginęło ok. 20 własowców i żandarmów z więźniów: Zolik, Hajdukiewicz i kilku innych, z partyzantów: kpr. "Buzwiński", "Zagłoba", "Abisyniec"/Leon Dziakiewicz, / ranni partyzanci: st. strz. "Prug" i 4 inni. Odbito 25 więźniów, którzy weszli w skład nowopowstającej kompanii por. "Antoniego" /Jan Borowicz/- do czasu aresztowania komendant placówki wasyliszki. Kompania ta weszła w skład powstającego 11 batalionu 77 pp AK.

Pod koniec 1945 r. nasilają się aresztowania na terenie Ziemi Lidzkiej Dn. 22.11.1945. SD przeprowadza aresztowanie męzczyzn z Bienkiewicz i okolicznych zaścianków. Wśród aresztowanych był przedstawiciel KG AK. Aresztowano wtedy ok. 50 osób w wieku od 17 do 70 lat. Aresztowania przeprowadzał Jerzy Ripper i naczelnik, czy komendant lidzkiego SD-Hildebrant. Dnia 27.12.45 w m. Raduń, w godz. od 11-16 ok. 150 esesmanów i żandarmów z własowcami dokonali masowych aresztowań. Aresztowano komendanta placówki AK w Raduniu sierż. "Wilka" i innych żołnierzy miejscowej konspiracji.

Aresztowanych zaindowano na 4 ciężarówki i odwieziono do więzienia w Lidzie. W tym też czasie przeprowadzono aresztowania członków siatki konspiracyjnej w Lidzie. W mieście zatrzymano k-dta Obw. por. "Wiesława" - /Kazimierza Krzywickiego/. W wieczór sylwestrowy 1943 do kwatery por. "Krysi" w folwarku Kowalki przybył por. "Łdzisław" z komenady Okręgu Nowogrodek i zaproponował przeprowadzenie akcji odbicia więźniów z więzienia lidzkiego. Postanowiono akcję przeprowadzić i przystąpiono do jej realizacji. W tym celu wytypowano sierż. "Bza", najlepiej mówiącego po niemiecku i mającego zwyczaj wojska niemieckiego. Wyznaczono również innych żołnierzy: "Rączy", "Drzazga" - /Jan Czerniawski/, "Szczerbaty" - /Zbigniew Bryckiewicz/, "nucui" /Julian Zdanowicz/, "Szaszka" /Wacław Morawski/, "Kula" - nn. Żołnierze ci przebrali się w niemieckie umundurowanie i nocą wyjechali. Zatrzymali się w gospodarstwie państwa Żwierków położonym przy gościńcu Lida-Radun / w niewielkiej odległości od drogi/. Do czasu wykonania akcji zmieniano kilkakrotnie miejsce przebywania, byli we wsiach Jewsiewicze, Hancewicze, Hwiowce i w innych, w których mieszkali Polacy. Zamierzona akcja była tajna i zaplanowana pierwotnie na 5 stycznia 1944. Jednak na skutek przeniesienia do innej niż więzienna służba żołnierza konspiracji - policjanta Królika ps. "Róża", a który miał otworzyć furtkę więzienną drzwi /bramy/ wejściowych do budynku oraz drzwi do poszczególnych cel, termin akcji został przesunięty na 18 stycznia 44. Około godz. 14-tej partyzanci przykryci burkami z bronią ukrytą w saniach, wyjechali ze wsi Jewsiewicze do akcji w Lidzie. Tam zatrzymali się w mieszkaniu Janiny Tamulewicz przy ul. Tartaki 3. Mieszkanie było położone w pobliżu więzienia przy ul. Syrokomli. Więzienie było usytuowane między ul. Syrokomli i Kolejową, biegnącą równolegle do torów kolejowych węża lidzkiego. Więzienie było oddalone od torów ok. 400 m i 200 m od budynku dworca kolejowego. Na torach ożywiony ruch transportów wojskowych. W pobliżu więzienia przy ul. Syrokomli stały baraki oddziału transportu z załogą 5-ciu ludzi. W budynku Ogniska Kolejowego koło więzienia kwatrowało ok. 150 wiasowców, a ich wartownik stał przed budynkiem. Załoga więzienia składała się z 10 policjantów białoruskich, których komendantem był Niemiec nazwiskiem Bittner. O godz. 23-ciej przebrani za żandarmów i policjantów partyzanci wyszli do akcji. O godzinie 23,10 miała być otworzona furtka więzienna. Po dłuższym pełnym napięciu nerwowego oczekiwaniu furtka się uchyliła. Partyzanci weszli do wnętrza budynku. Dwóch pozostało pilnować kwatery i śpiącego w niej naczelnika więzienia, inni poszli do dalszej akcji. Rozbrajano zdumionych policjantów. Przy jednym z nich znaleziono legitymację Ge-stapo, był to Surokin, a pod podszewką jego ubrania znaleziono drugą legitymację z poprzedniej agenturalnej służby. Już wcześniej był wydany na niego wyrok

Śmierci, nadarzyła się okazja aby ten wyrok wykonać- wykonano przez zasztytowanie Surokina /strzelać nie było wolno/. więźniowie byli zamknięci na drugim piętrze. Otwierano cele. wyczytano 72 nazwiska więźniów do wyjścia. Wśród wyczytanych powstała panika. Wtajemniczeni więźniowie, ja "wiesław" uspokajali towarzyszy. Akcja przebiegała w nocy z 18/19 stycznia, w więzieniu chodziła pogłoska o zamierzonym rozstrzelaniu w dniu 19 stycznia 25 więźniów-stąd ta panika. Część uwolnionych więźniów nałożyła policyjne płaszcze, uzbrojeni w karabiny i granaty przekonali wyzwolonych więźniów, że ta akcja nie jest niemiecką prowokacją a jest zorganizowana dla ich uwolnienia. Opuścili więzienie, przeszli ul. Tartaki, zatrzymał ich jakiś oficer niemiecki pytaniem. Partyzanci strzelili do żandarma i ciało jego przerzucili przez parkan na teren tartaku. Z ulicy Legionowej wyszli na szosę Lida-Baranowicze /Nowogródek/. Przeszli most na rzece Lidziejce i ulicami Gorzystą i Mostowską opuścili miasto, i udali się do folwarku Wiażela. Dalej poprowadził ich łącznik z oddz. por. "Ragnera" do wsi Siahły, tam czekał pluton od "Ragnera" i tu był pierwszy odpoczynek wyzwolonych więźniów i partyzantów po akcji. Dnia 22.I. sierżant "Bez" przekazał "Ragnerowi" /Czesław Zajączkowski/ 71 więźniów odbitych z lidzkiego więzienia.

30 stycznia 1944-likwidacja posterunku Ortskommendantury w Horodnie i magazynów w Horodence. D-ca grupy partyzantów-sierż."Bez" otrzymał plan majątku Horodno /opracowany przez miejscowego ogrodnika Rutkowskiego/. Działania w tej akcji:wymarsz oddziałów partyzanckich ze wsi wysokie o godz. 6-tej, rozpoczęcie akcji o 8-mej. O godz.8,15 wysadzić most drewniany na rzece Dzitwie /odległość 6 km od Horodna i 5 km od miasteczka gminnego Raduń/na szosie Raduń-Bastuny. w Raduniu stacjonuje żandarmeria i Luftwaffe. Ubezpiecza wysadzenie mostu drużyna kpr."Kaczora" z plutonu "Żbika". Dwie pozostałe drużyny z tego plutonu ubezpieczają wysadzenie budynków majątku Horodenko godz.8,15. Minowanie i wysadzenie budynków w Horodence powierzono "Pająkowi" /Bogdan Bańkowski/. Akcję ma przeprowadzić grupa szturmowa w składzie sierż."Bez"- w przebraniu oficera żandarmerii, "Rączy"- żandarma, "Drzazga"-żandarma, "Kula"-chiopa, "Kordian" /Edward Wojtuszkiewicz/-policjanta. Stan niemieckiej załogi w majątku: dwie drużyny SS - 20 ludzi, 10 żandarmów i 4 policjantów. Uzbrojenie załogi posterunku: 2 ckm, 5 lkm, 2 granatniki. Majątek umocniony do wysokości 2 m podwójną ścianą z belek pomiędzy którymi była warstwa gruzu i kamieni.Zewnętrzne umocnienia stanowiły trzy bunkry połączone z głównym budynkiem rowem łącznikowym. Całość otoczona płotem z drutu kolczastego. Grupa szturmowa do majątku wjechała podwodami. Gdy dojechali do szczytowego wejścia na posterunek feldfebel SS złożył raport o stanie załogi niemieckiej przebranemu za oficera żandarmerii "Bzowi".

"Bez" płynnie po niemiecku podał cel swego i przybyłych z nim ludzi - zadania: odbiór z niestrzeżonej stacji kolejowej Bastuny ważnych materiałów. Chodziło o stację kolejową na szlaku wilno-Lida. Załogę niemiecką zastano przy czyszczeniu broni. Część załogi poddała się. Opór stawili kanceliści z tego posterunku, którzy oddali strzały do wynurzających się z ukrycia partyzantów dowodzonych przez por."Kryśia". Na skutek tej strzelaniny polegli strzelec "Tygrys" i "Abe". Rozbrojoną w czasie akcji załogę posterunku uwięziono w bunkrze. W tej akcji zdobyto: 1 radiostację nadawczo-odbiorczą dalekiego zasięgu z pełnym wyposażeniem, 4 stacje radiowe polowe, 2 ckm, 2 rkm, 16 pistoletów maszynowych, 60 karabinów, 40 pistoletów, 1 moździerz, 2 granatniki, 3 lkm, 25 tys. sztuk amunicji do empi, około 100 tys. szt. amunicji karabinowej, ok. 3 tys. granatów trzonowych, 6 motocykli, duże ilości kocow, butow, 4 samochody ciężarowe, 1 samochód terenowy. Po zakończeniu akcji posterunek został spalony. O wyznaczonej godzinie /8,15 / wysadzono most na Dzitwie, budynki w Horodence oraz spalono drewniany most na rzeczce przy szosie w Pohorodnie."

Wiele wspomnień napisano, wiele relacji jeszcze ukaże się, ale żadne słowo nie odda atmosfery tamtych czasów, bohaterstwa i poświęcenia .

Koniec okupacji niemieckiej i rzeczywistość polska

Zajęcie Kresów Wschodnich, Warszawy i reszty Polski przez armię sowiecką stworzyło nową sytuację. Radio jedno jarzmo - przyszedł nowy okupant rozszyfrowany już przedtem przez kresowiaków. Przez kraj cały przepływa masa wojska sowieckiego. Łoźnicznik zmęczony, znaczny procent młodych chłopaków, wszystko nędznie wyekwipowane, wyróżnia się tylko sprzęt amerykański i angielski.

Wiadomo, jak zachowują się Sowiety, szczególnie na Kresach Wschodnich, w Lubelskiem, gdzie od paru miesięcy już gospodaruje i działa pseudo-polski rząd. W wyzwoleniu wszystkich polskich Ziemi Wschodnich od północy do Karpat, aż po Wisłę, brały aktywny udział oddziały Armii Krajowej w ramach akcji ogólnopolskiej pod kryptonimem "Burza". W zdobyciu Chełma i Lublina także dużą rolę odegrały oddziały AK i BCH /Bataliony Chłopskie/ z którymi, aż po Kielecczynę współpracowała Armia Krajowa. Początkowo władze sowieckie tolerowały niektórych działaczy chłopskich - ludowców. W Lublinie dotyczyło to niejakiego Cholewę, wojewodę konspiracyjnego Lubelskiego, który urzędował oficjalnie, uznawany przez całą ludność. Wreszcie wojewodę Cholewę i innego ludowca Chmielewskiego zaproszono na konferencję, która skończyła się wywiezieniem obu do Rosji.

Interwencja niejakiego Andrzeja Kotera u Bieruta, który ukrywał się na gospodarstwie podczas pierwszej wojny światowej pod Lublinem, skończyła się oświadczeniem Bieruta, że on nic w tej sprawie nie może uczynić?!

Decyzje konferencji "Jaltanńskiej" były nowym nieszczęściem, które wstrząsnęły Narodem Polskim. Dyktat krymski streszcza się do dwóch spraw zasadniczych: granic i rządu niezależnego. W zakresie dokonano w stosunku do granic wschodnich wyraźnego gwałtu. Nie może on być uznany przez Polskę dobrowolnie ze względów prawnych i moralnych. Stalin i jego poplecznicy sprowokowali Ukraińców do gwałtu i przeloccy, rzucając hasło: "Polacy za San i Bug," przy równoczesnym mordowaniu Polaków. Padły tysiące, głównie chłopów polskich, którzy przecież nie mieli na swoim sumieniu prześladowania Ukraińców. Wszędzie tam, gdzie byli Ukraińcy, niezależnie na jakich ziemiach, postawa ich była zgodna z prowokacją Stalina i stalinowskich siepaczy.

Jednocześnie Sowieci zażądali pod karą śmierci "ujawniania się wszelkiej maści działaczy politycznych związanych z Rządem Londyńskim, żołnierzy Armii Krajowej, zdawania broni". Cel tej akcji był wiadomy. Sowieci sporządzali listy imienne ujawnionych, aby potem rozprawić się z każdym oddzielnie. Znanych z okresu przedwojennego działaczy politycznych, pod pretekstem obrad nad wzstaniem Polski powojennej i Rządu, samolotem wojskowym wywieziono do Rosji. Wszyscy oni osadzeni zostali w liczbie szesnastu "na Lubiance", więzieniu moskiewskim. Początkowo było to dobre wyżywienie do czasu procesu, przy czym "urozmaicone" było środkami chemicznymi, osłabiającymi wolę więźnia. Wszyscy mieli jakieś dziwne objawy: głównie puchnięcie i zanik pamięci. Potem nastąpiła ścisła izolacja oraz śledztwo. W śledztwie /czego sam doświadczyłem/ stale zmieniał się nastrój: od wyszukanej grzeczności do brutalności. Metoda ta miała oszołomić i dezorientować więźnia, aby nie wiedział czego ma się trzymać w swojej taktyce obronnej. Sowiety tę metodę stosują nawet w polityce międzynarodowej. Wszystko to: regulamin, izolacja, wyżywienie zwykłe i "specjalne" przystosowane jest dla wygody śledztwa. Stoi ono w Rosji Sowieckiej na szczycie umiejętności. Stawia ono za cel, by więzień powiedział o sobie to, czego nawet nie było. Wszystko to były pozory, bo wynik był do przewidzenia. Owych "16", m.in. Okulickiego, skazano w Moskwie na wiele lat więzienia, zaznaczając że były to łagodne wyroki podyktowane okolicznościami zwycięstwa w wojnie. Od wyroków nie było żadnego odwołania. Po wyrokach zmieniły się warunki i wyżywienie, to ostatnie ograniczono się do zupy na zepsutej rybie /skąd ja to znam?/, porcji chleba i gorzkiej kawy, zwanej kawą. Okulicki nie odsiedział 10-letniej kary, zmarł półtora roku po procesie w wieku 50 lat życia, był zdrow i przedtem nie chorował. Można ten fakt skojarzyć ze śmiercią Bieruta w czasie krótkiego pobytu na zjeździe w Moskwie, rzekomo w czasie choroby na gripę? Zmarło jeszcze kilku. Pozostali z "16" wrócili do kraju wprost pod opiekę "Bezpieki", otrzymując następne wyroki po ok. 10 lat bez żadnej podstawy prawnej.

Zasada komunistyczna jest prosta: "człowiek jest - paragraf zawsze się znajdzie." /Informacja o "16"-tu oparta jest na wspomnieniach Kazimierza Bagińskiego-jednego z owej szesnastki/.

Wobec b.żołnierzy Armii Krajowej, roztoczona została opieka "Bezpieki" systemem sowiecko-komunistycznym, który jest do dziś aktualny, a jako skuteczny nie podlega zmianom, chyba że tylko na gorsze. Moi koledzy i przełożeni, którzy w jakiś sposób zostali rozpoznani, także odsiedzieli przeważnie dziesięcioletnie wyroki. wspomniany por. "Lew" "odmęczył" swoje dziesięć lat. Kol. "Rączy"- Tadzio Bieńkiewicz, skazany na karę śmierci za posiadanie broni i nie ujawnienie się odsiedział 8 lat, po czym został ulaskawiony, gdy "Gomółka-też aresztant" wrócił do władzy w 1957 r.

Charakterystyczne, iż jedyna sprawa, która zdawałoby się powinna entuzjazmować wieś- to reforma rolna. Chłopi jednak nie mieli zaufania do jej trwałości. Widzieli robotę niedbałą, obliczoną na efekt agitacyjny, który niweczyła obawa, iż skończy się to kołchozami. I faktycznie z czasem do tego doszło. Dzięki Gomółce akcja kołchozowa wzięła w łeb. Kołchozy tak szybko likwidowały się, jak szybko je budowano.

A do tego wszystkiego wojsko sowieckie pędziło na wschód tabuny bydła, wywoziło do Rosji wszystko, co im się mogło przydać. Urządzenia i maszyny fabryczne, demontowali i wywozili mleczarne, tartaki i maszyny drobnych warsztatów rzemieślniczych. Słuchy dochodziły, że wszystko ten dobytek został zmarnowany, ponieważ nie potrafili na miejscu zmontować tych urządzeń, a urządzenia i sprzęt zalegały złomowiska. Demontowali również torowiska kolejowe, a szyny wywozili do Rosji. miało to miejsce np. w powiecie Strzelce Kraj. na Ziemiach Odzyskanych, skąd wywieziono zdemontowaną linię kolejową od trasy Gorzowskiej do miasta Strzelce Kr. i dalej do Tucznia /ok.18 km trasy/. Wojsko sowieckie napadało na ludzi i domostwa, szczególnie na zachodzie. Zabierano rowery, którymi nie umieli jeździć, wszelkie dobra, które zaliczano do poniemieckich, mimo że zostały przez osadników przywiezione. Kiedy jechałem rowerem do Inspektoratu Szkolnego w Strzelcach z Trzebicza, usiłowano mi odebrać rower. Spodziewając się takich skutków uciekłem, a za mną puszczono kilka serii z automatów, na szczęście nie były celne, bo osłonił mnie zakręt szosy.

Podczas wysiedlania Niemców z tamtych terenów, odbierano zegarki i wyroby ze złota. Nikt tego nie rejestrował. Nasze "władze" musiały się tym sposobem dobrze obłowić.

Takimi efektami kończyła się okupacja niemiecka i takie perspektywy powojennej egzystencji napawały troską wszystkich Polaków.

II/1239/2km

© ARCHIWUM KRAJOWE

22.11.20
Ukrayna Dowództwo III, Bagnu 5. p. p. Legionów
KARTA POLOWA 5 PP. LEGIONÓW

co tam stajecie
proszę pisać
do podrozwani
dla braci
znajomych



Wielmożny Pan
Br. Stanisław Janicki
Warszawa
Okresy 26
ul. Pułaskiego 19

Wydanie Dowództwa 5 pp. Legionów.

Żebietarstwo, dn. 16/11.20

Najserdeczniejszą podziękowanie
z frontu smernu braci i siostr

Krzysztof Szlachetka

1778

11.11.20
Dowództwo III, Bagnu 5. p. p. Legionów
KARTA POLOWA 5 PP. LEGIONÓW

Braci bracia!
Należy z wami spróbować
być u siebie i pominić
myślenia o sobie
proszę. Aby serdecznie
podziękować
znajomych i siostr
i dla braci i siostr
Krzysztof Szlachetka



Wielmożny Pan
Br. Stanisław Janicki
Warszawa Okresy 26
ul. Pułaskiego 19

Wydanie Dowództwa 5 pp. Legionów.

11.11.20 Dowództwo III, Bagnu 5. p. p. Legionów
KARTA POLOWA 5 PP. LEGIONÓW

Aby serdecznie
podziękować
z frontu i pro
siostry

Krzysztof Szlachetka



Wielmożny Pan
Br. Stanisław Janicki
Warszawa
Okresy 26
ul. Pułaskiego 19

Wydanie Dowództwa 5 pp. Legionów.



Wigilia
żołnierska
1919 r.

Fot. F. Żurek.
Prawo reproduk.
zastrzeżone.



Poczta
przyszła

Fot. F. Żurek.
Prawo reproduk.
zastrzeżone.



Wigilia 1919 r.

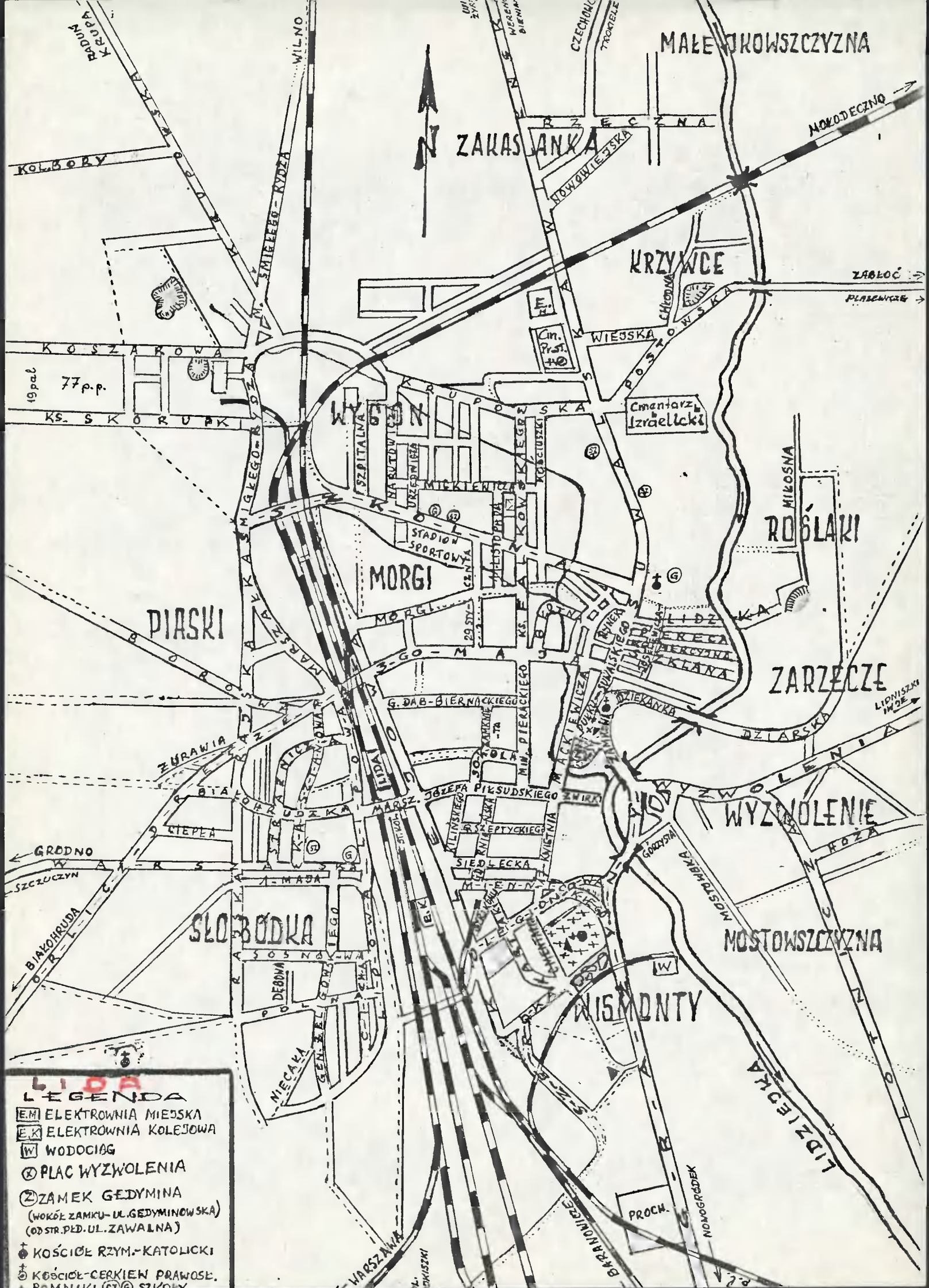


Jest fiota

Fot. F. Żurek.
Prawo reproduk.
zastrzeżone.

GRANICE OKRĘGU NOWOGRODZKIEGO OŚRODKÓW-OBWODÓW ARMII KRAJOWEJ





- LIDA**
LEGENDA
- ELEKTROWNIA MIEJSKA
 - ELEKTROWNIA KOLEJOWA
 - WODOCIĄG
 - PLAC WYZWOLENIA
 - ZAMEK GEDYMINA
 (WOKÓŁ ZAMKU - UL. GEDYMINOWSKA)
 (OD STR. PĘD. UL. ZAWALNA)
 - KOŚCIÓŁ RZYM.-KATOLICKI
 - KOŚCIÓŁ-CERKIEW PRAWOSŁ.
 - PAMNIKI (S) (G) SZKOŁY

WOJ. NOWOGRODZKIE

